

Grota śmierci

Coulter Catherine

Książka X z FBI



calibre 0.9.43

CATHERINE COULTER

GROTA ŚMIERCI

Rozdział 1

Jaskinia Winkela
Maestro, Wirginia
Piątek po południu

Ruth Warnecki zatrzymała się, żeby spojrzeć na mapę, chociaż oglądała ją tyle razy, że papier był wytarty i poplamiony, ze smugą dżemu truskawkowego w jednym rogu. No dobrze, szła i czołgała się tym krętym korytarzem przez dokładnie 46,2 stopy, które wskazywała mapa. Zmierzyła je starannie, tak samo jak mierzyła każdy tunel, odkąd weszła w pierwszy boczny korytarz na końcu jaskini. Wąski i kręty tunel, przepelniony wonią guana nietoperzy, w niektórych miejscach tak niski, że musiała pełzać na czworakach, wreszcie się wyrównał. Jak na razie wszystkie odległości zgadzały się z pokazanymi na mapie co do centymetra.

Teraz po jej prawej stronie powinno znajdować się małe, łukowate przejście. Ruth uniosła snop światła latarki, którą miała przytwierdzoną na głowie, jakieś osiem stóp w górę ściany, po czym zaczęła powoli oglądać kamienie. Nie zauważyła żadnego łuku ani śladu, że kiedykolwiek tam był. Jeszcze raz przeczytała wskazówki i sprawdziła odległości, ale nie, nic nie pomyliła. Znowu oświetliła latarką ścianę, poszerzając pole poszukiwań o około trzech stóp w każdą stronę. Nic. Była jednak pewna, że szuka we właściwym miejscu.

Ruth rzadko klęła, kiedy była sfrustrowana, zamiast tego nuciła. Teraz też zaczęła nucić, przesuwając dłońmi wzdłuż ściany i naciskając kamień. Ściana była z wapienia, sucha w dotyku, pokryta wiekową warstwą piasku. Nic, tylko lity kamień.

Ruth była rozczarowana, ale wiedziała, że dla poszukiwacza skarbów to chleb powszedni. Jej stary wuj, Tobin Jones, który szukał skarbów przez pięćdziesiąt lat i był dla Ruth kimś w rodzaju mentora, powiedział jej, że na każdą autentyczną mapę z drogą do skarbów przypada więcej fałszywych niż jest nielegalnych mieszkańców Kalifornii. Działo się tak dlatego, że każda fałszywa mapa była skarbem samym w sobie, jeśli trafiła do rąk naiwniaka. Problem polega na tym, powiedział Tobin, potrząsając głową, że wszyscy jesteśmy naiwni. Ale zawsze wierzył, że i tak jesteśmy lepsi od tych idiotów drepczących po pustych parkach i plażach z wykrywaczami metalu w poszukiwaniu drobników.

Chociaż Ruth też używała wykrywacza metalu, miała nawet jeden przypięty do paska obok dwóch latarek. Tak, wiedziała o fałszywych mapach, ale do tej była naprawdę przekonana. Wszystkie badania wskazywały, że jej mapa może być prawdziwa, nawet wiek papieru, atramentu i sposób pisania - sprzed około stu pięćdziesięciu lat.

Łuku jednak nie było. Znowu ogarnęło ją rozczarowanie i kopnęła w ścianę. Zawsze istniało ryzyko porażki i Ruth już nieraz to spotkało. Dwa razy kupiła fałszywe mapy i ściagała facetów, którzy je sprzedali - idioci powinni byli wiedzieć, że mają do czynienia z gliną. Potem jeden Szkot sprzedał

jej mapę jaskini oddalonej o niecałe ćwierć mili od Loch Ness. Powinna była wiedzieć lepiej, ale mężczyzna był tak czarujący, że przez jedną cudowną chwilę mu uwierzyła.

Potrząsnęła głową. Skup się, nakazała sobie. Czują przez skórę, że ta mapa była prawdziwa. Jeśli tu było jakieś złoto, zamierzała je znaleźć. Skoro nie widać było łuku, to może dlatego, że przejście zawaliło się i wypełniło gruzem przez te wszystkie lata.

Ta, pewnie, zaśmiała się sama z siebie, a jej śmiech zabrzmiał dziwnie i złowrogo w głuchej ciszy. Co za idiotka! Łuk oczywiście mógł się zawalić, ale pozostałyby jakieś ślady. Gruz z przejścia leżałby na tym samym miejscu do końca świata. Nic nie pojawiłoby się cudownie znikąd, żeby tak idealnie zapełnić dziurę od podłogi do sufitu.

Tego mogli dokonać tylko ludzie.

Ruth cofnęła się o krok i uniosła głowę tak, żeby strumień światła z latarki na głowie padł prosto na ścianę. Obejrzała ją centymetr po centymetrze, naciskając pięścią wszędzie tam, gdzie mogła dosięgnąć. Pan Weaver powiedział jej, że ta część Jaskini Winkela nigdy nie została zbadana, a co dopiero naniesiona na mapę. Mimo że wydawał się o nią martwić, nie potrafił ukryć błysku w oku na myśl o podziale skarbu.

To wszystko przez tę atmosferę jaskini, pomyślała, śmiertelną ciszę, głucho echo kroków. Ruth była pewna, że od bardzo dawna nikogo tu nie było, być może nawet od czasów, gdy ukryto tu złoto. Pan Weaver zamknął wejście żelazną bramą - idioci robili sobie krzywdę, a potem pozywali go do sądu, powiedział jej. Nie mógł znaleźć klucza, ale to nie miało znaczenia. Otwarcie zamka okazało się dziecinnie proste.

W końcu Ruth odsunęła się od ściany i znowu zaczęła nucić.

Jeśli ktoś wypełnił otwór pod łukiem, zrobił to wyjątkowo starannie. Nie było widać żadnych spojeń, żadnych nierówności ani niczego, co mogłoby wydać się nie na miejscu. Usiadła oparta o przeciwległą ścianę jaskini i zdjęła jeden ciężki but. Zdała sobie sprawę, że jest zmęczona. Wyjęła batonik energetyzujący, jej ulubiony, z masłem orzechowymi powoli zabrała się do jedzenia, popijając wodą z plastikowej butelki, którą miała przypiętą do paska. Wciąż siedząc, uniosła głowę, żeby znowu popatrzeć na ścianę. Zaczynała już nienawidzić tej piekielnej ściany. Zaczęła od góry i znowu powolutku obejrzała ją aż do samej ziemi.

Około dwóch stóp nad ziemią coś dostrzegła, światło załamywało się inaczej. Ruth podpełzła do ściany i obejrzała wąski cień, który zobaczyła. Tak, była tam, cienka linia kurzu i brudu, nie szersza niż pół cala.

O mój Boże, to nie była zwykła linia. Miała kształt łuku. Ruth poczuła przypływ adrenaliny. Przyjrzała się bliżej i zobaczyła, że ktoś wyłobił łuk głęboko w ścianie. Dotknęła linii palcami i lekko popchnęła. Palce zagłębiły się bez trudu aż po same kostki w miękkiej warstwie starego kurzu. Teraz jedno wiedziała na pewno. Warstwa pyłu w wrytym łuku była dekady starsza od niej. Ruth zastanawiała się, ile minęłoby lat, zanim linia łuku stałaby się kompletnie niewidoczna. Kto wyciął ten łuk i kiedy, na litość boską? A może to była zmyłka?

Ruth lekko popchnęła wapien pod linią. Ku jej zaskoczeniu, ściana poddała się naciskowi. Położyła dłoń płasko na kamieniu i mocno pchnęła. Kamień przesunął się jeszcze trochę. Serce waliło jej jak młotem. Kamień był na tyle lekki, że bez trudu mogła go wykopać. Odczepiła od pasa mały kilof i ruszyła do dzieła. Wapien zaczął się kruszyć i nagle Ruth patrzyła na mały otwór.

Nachyliła się, ale dziura była zbyt mała, żeby zajrzeć do pomieszczenia po drugiej stronie. Bo tam było pomieszczenie, jaskinia, której szukała. Szczercząc zęby jak wariatka, dalek dziobała kilofem

ścianę. Wapień rozpadł się i gruz poleciał na drugą stronę. Kiedy oczyściła dziurę, otwór okazał się nie większy niż buda bernardyna, ale Ruth mogła już przez nią zajrzeć. Odsuwając gruz, wsunęła głowę w dziurę. Zobaczyła tylko ziemię. Odpięła z paska latarki, poświeciła obiema i tą, którą miała na głowie, prosto przed siebie, potem powoli w prawo i w lewo. Światło wpadło w bezdenną ciemność, nie wywołując żadnych refleksów.

Ruth wyciągnęła głowę i przysiadła na piętach. Ludzie, którzy schowali złoto, wycięli ten kawałek wapienia z innej części jaskini i wstawili tutaj, żeby ukryć niskie wejście do komnaty skarbów. Ruth była tak podekscytowana, że nieświadomie machała dłońmi. Już prawie jej się udało! Włożyła rękę w dziurę, ale poczuła pod palcami tylko gładkie podłoże, twarde i suche, zupełnie tak, jak pokazywała mapa. Wszystko było tak, jak powinno. Więc jednak cenna mapa, ukryta w zawilgoconym, kartonowym pudle z dziewiętnastowiecznymi książkami, które kupiła od staruszka w Manassas, nie została narysowana dwa tygodnie temu na zapleczu w Newark i podrzucona między starocie. Zrób to, Ruth! - powiedziała sobie w duchu. Przejście było wąskie, ale gdy tylko przeciśnie ramiona, z resztą nie powinna mieć problemu.

Prześliznęła się nogami do przodu, uniosła latarki i oświetliła przestrzeń przed sobą. Według mapy pomieszczenie powinno być dosyć spore, trzydzieści na czterdzieści stóp. Nie dostrzegła przeciwległej ściany, nie zobaczyła zupełnie nic.

Wyciągnęła kompas. Tak, przeciwległa ściana powinna być na wschodzie. Wszystko było tam, gdzie powinno. Nagle zdała sobie sprawę, że powietrze nie było stęchłe ani wilgotne, czego można było oczekiwać po pieczarze zamkniętej od stu pięćdziesięciu lat. Ruth wciągnęła powietrze, które było dużo świeższe od tego w głównym przejściu. To dopiero dodało jej energii - musiała być blisko niezaznaczonego na mapie wyjścia, czyż to nie wygodne dla ludzi, którzy ukryli złoto? Wstała powoli i spojrzała wprost przed siebie. Czują się jak na dnie głębokiej studni, ale robiła to już przedtem, a z latarką na głowie na pewno zauważyłaby ewentualne pułapki. Wciągnęła jeszcze trochę cudownie świeżego powietrza. Unosił się w nim jakiś zapach, dosyć słodki, którego Ruth nie potrafiła zidentyfikować. Przez chwilę poczuła się zdezorientowana. Zatrzymała się i oddychała powoli i głęboko w oczekiwaniu, aż przejaśni się jej w głowie, aż świat wróci na swoje miejsce. Poczuła jakiś ciężar w ramionach i nogach, ale po chwili to uczucie zniknęło i znowu mogła myśleć jasno. Pora się ruszyć. Ruth zrobiła krok do przodu, ostrożnie stawiając stopę na twardej ziemi. Czego oczekiwała? Że straci grunt pod nogami? Roześmiała się głośno, żeby udowodnić sobie, że może. Jej głos wydał się świeży i pełen energii, wyraźny jak głos pani Monroe, kiedy zadzwoniła do Woodrowa, żeby zamknął swoje sprawy i przyjechał. Co za dziwaczna myśl.

Ruth poczuła znane rozedrganie w głowie - mieszanka strachu i podniecenia, pomyślała i uśmiechnęła się. Och, kurczę, ale była nabuzowana, aż jej się lekko kręciło w głowie. Ale nie była głupia. Nie zamierzała radośnie pobiec przed siebie i wpaść prosto do dołu kryjącego się za linią światła. Musiała być sprytna, jak Indiana Jones. Musiała uważać na rozciągnięte sznury i pułapki. To dopiero była szalona myśl. Poczuła zawrót głowy i potknęła się. Osunęła się na kolana, położyła latarki na ziemi obok siebie i zaczęła przesuwając dłońmi po podłożu, które, dzięki Bogu, nadal było gładkie i piaszczyste, chociaż gdy przyjrzała się bliżej, wydawało się lekko lśnić. Nie było żadnych sękatek, starych winorośli, rozciągniętych w poprzek komnaty, które miały uwalniać zatrute strzały albo odpalać strzelby, które i tak już by dawno nie działały. Ruth nie słyszała niczego poza własnym oddechem. Tak naprawdę była tak podekscytowana, że z trudem zmuszała się do pełzania, miała ochotę puścić się biegiem do krótkiego przejścia za komnatą. Tam było złoto, w małej wnęce,

czekało na nią od chwili, w której ukryli je tu wychudzeni żołnierze i narysowali mapę, żeby mogli po nie wrócić. Tyle że żadnemu to się nie udało.

Ruth posuwała się na czworakach do przodu. Co jakiś czas świeciła latarką w ciemność przed sobą. Wydawało jej się, że pełza już tak bardzo długo.

Zbyt długo.

Nagle poczuła się zdezorientowana i znowu doświadczyła dziwnej ciężkości rąk i nóg. Zatrzymała się i oświetliła latarką mapę. Ledwo mogła ją odczytać i nie wiedziała dlaczego. Pamiętała, że według mapy od przeciwległej ściany dzieliło ją trzydzieści stóp, wiedziała o tym, ale teraz jakoś nie mogła tego pojąć. Na pewno przepelzła już trzydzieści stóp. Wydawało się jej, że pełza od wieków. No dobrze, może od trzech minut. Spojrzała na zegarek. Trzydzieści minut po drugiej. Znowu popatrzyła na mapę, skrawek papieru, którego mogła dotknąć, tak samo prawdziwy jak ona sama, jej przewodnik po podziemnym świecie, w drodze do Styksu. Roześmiała się ochryplym, nieprzyjemnym śmiechem. A skąd to się wzięło? Próbowwała się skupić. Znajduje się w jaskini, nic więcej. Musi być blisko drugiej ściany, po prostu musi. Wtedy postąpi trzy duże kroki w prawo, a tam będzie wąskie przejście - bo to miało być przejście, prawda? - które prowadzi...

Coś usłyszała.

Ruth zamarła. Od chwili, w której pokonała żaloszny zamek i rozpoczęła wyprawę w głąb jaskini, jedynym dźwiękami, jakie słyszała, były odgłosy nietoperzy i jej własny głos, jej oddech. Ale teraz wstrzymała oddech. W ustach nagle zrobiło jej się tak sucho, jak suche było piaszczyste podłoże pod jej stopami. Wytężyła słuch.

Otaczała ją cisza tak absolutna jak ciemność.

No dobrze, z ciszą sobie poradzi. Cisza była dobra. Była sama, żadne potwory nie czaiły się na granicy światła. Bez powodu doprowadzała się na skraj hysterii, ona, która była tak dumna ze swego opanowania. Ale dlaczego nie widzi żadnych ścian?

Wiedziała mniej więcej, ile mierzy stopa, niewiele więcej od jej własnej stopy, więc zaczęła liczyć. Kiedy doliczyła do czterestu stóp, zatrzymała się, wyciągnęła przed siebie dłoń najdalej, jak mogła, a jej latarka przecięła ciemność. Żadnej ściany. No dobrze, miała kłopot z oceną odległości. Żaden problem, żadnego powodu do paniki.

Ale coś usłyszała - przez ułamek sekundy. Co to był za hałas? Ruszyła przed siebie, dalej licząc. Kolejnych dwadzieścia stóp. W porządku, to się robi niedorzeczne. Gdzie jest przeciwległa ściana?

Ruth wstała i oświetliła latarkami ciemność wokół siebie.

Znowu wyciągnęła kompas i wpatrzyła się w igłę. Zachód. Nie, to niemożliwe. Nie kierowała się na zachód, tylko na wschód, w stronę drugiej ściany. Potrząsnęła kompasem. Nadal wskazywał zachód. Widocznie się zepsuł.

Wcisnęła kompas z powrotem do kieszeni i odpięła od paska ciężką taśmę mierniczą o długości dwudziestu pięciu stóp. Powoli wysuwała metalową taśmę w ciemność przed siebie, aż doszła do końca. Żadnej ściany.

Strach, lodowaty i paralizujący, podszedł jej do gardła. Dlaczego tak się czuła? Jest glina, na litość boską, znajdowała się w dużo gorszych sytuacjach niż ta. Była dumna za swej koncentracji, z umiejętności opanowania paniki, ze zdrowego rozsądku. Ruth jest jak skała, mawiała jej matka i nie zawsze był to komplement.

Ale teraz się trzęsła.

Ale do rzeczy, Ruth, do rzeczy, powiedziałaby Savich.

W porządku, sprawa wygląda tak: komnata okazała się dużo większa, niż to pokazywała ta przeklęta mapa. Kolejna niedokładna wskazówka, jak łukowate przejście zasłonięte płytą z wapienia. No i co z tego? Nic wielkiego. Wróci do głównego przejścia i wszystko jeszcze raz przemyśli. Ile stóp przeszła? Bardzo dużo. Odwróciła się i wyciągnęła taśmę z powrotem w stronę, z której przyszła. Rzecz jasna nie mogła dostrzec łuku, który krył się za kręgiem światła. Uklękła na taśmie, żeby upewnić się, że idzie prosto. Kiedy dotarła do końca taśmy, wyciągnęła ją na następne dwadzieścia pięć stóp. Nic. I następne dwadzieścia pięć. Poświeciła dokoła latarkami, ale nic nie zobaczyła. Spojrzała na kompas. Wskazywał północny wschód. Nie, to absurdalne. Kierowała się na zachód, z powrotem do wejścia.

Znowu podniosła wzrok, zdając sobie sprawę, że światło latarki zmieniło się w nikły promyk. No dobrze, przeszła milę, kogo to obchodzi? I kompas się zepsuł. Nie będzie się zastanawiała, czy oszalała. Wsunęła kompas do kieszeni, podniosła taśmę i wyciągnęła ją na następne dwadzieścia pięć stóp pewna, że w każdej chwili zobaczy łuk. Pokonała następnych sto stóp. W każdej chwili taśma mogła przejść przez dziurę do głównego korytarza. Ruth pełzła coraz wolniej. Zanim pokonała następnych dwadzieścia pięć stóp, cała drżała.

Przestań, przestań, nakazała sobie. Nacisnęła przycisk zwijania i usłyszała syk chowającej się taśmy. Stała tam, ściskając taśmę w dłoni i wiedziała, że boi się ją wyciągnąć po raz kolejny. Po co?

Nie, nie, to było głupie. Musiała. Nie miała wyboru. Znowu wyciągnęła taśmę, która wyszła gładko i szybko. Ale nawet gdy rozciągała ją na całą długość dwudziestu pięciu stóp, czuła przez skórę, że niczego nie dotknie. Jednak podpełzła jeszcze do przodu, po czym zatrzymała się i rozejrzała. Była w środku niczego, otoczona ciemnością. Ciemność ją przygniatała. Nie, nie, przestań!

Była pewna, że pełzła prostą drogą, ale najwyraźniej się myliła. To było jedyne wytłumaczenie. Musiała zboczyć na prawo lub lewo. Ale i tak, czy taśma nie powinna dosięgnąć ściany? Oczywiście, że powinna, ale ty nie jesteś blisko żadnej ściany, prawda? Nie jesteś blisko niczego, pomyślała.

Ruth zaczęła poruszać się w kółko z taśmą wyciągniętą przed siebie na całą długość. Żadnej ściany, nic.

Powoli umysł odmawiał jej posłuszeństwa, a myśli stawały się coraz bardziej nedorzeczne. Ogarnęła ją fala nudności i zawrotów głowy, aż musiała usiąść na ziemi. Prawie nie mogła oddychać. Poczowała przypływ lodowatego, obezwładniającego strachu, od którego zjeżyły się jej włosy na karku. Serce waliło jej jak młotem, w ustach zaschło.

Jestem zawieszona w próżni bez żadnej drogi ucieczki, uwięziona w czarnej dziurze, większej niż cokolwiek, co umiem sobie wyobrazić, pomyślała.

Ta myśl, która przeszła jej umysł jak błyskawica, wstrząsnęła nią do głębi. Skąd się ona wzięła? Ruth nie mogła się skupić, nie mogła zaczerpnąć powietrza. To było absurdalne. Musi zastanowić się, jak ma się stąd wydostać. Musi być jakaś odpowiedź, zawsze jest odpowiedź. Pora, żeby jej umysł znowu zaczął pracować. No dobrze. Jest w jaskini. Po prostu zaszła dalej, niż myślała, ta idiotyczna komnata była większa niż na mapie...

Znowu usłyszała ten dźwięk, miękki, szeleszczący odgłos, który wydawał się dobiegać ze wszystkich stron naraz, ale nie dostrzegła żadnego źródła hałasu, jak na przykład pełznącego po piasku węża, tak ciężkiego, żeby było go słychać. W jej stronę zbliżał się wąż, ale ona nie mogła go zobaczyć, nie mogła uciec ani się ukryć. Może to jeden z tych boa z Południowej Ameryki, gruby jak pień drzewa, ciężki i wijący, długi na dwadzieścia stóp, zmierza powoli w jej kierunku. Owynie

swoje wielkie cielsko wokół Ruth i ściśnie... Wyrwała kompas z kieszeni i rzuciła go najdalej, jak mogła. Usłyszała lekki trzask, gdy upadł na ziemię.

Odgłos ucichł. W jaskini znowu panowała absolutna cisza. Musiała wziąć się w garść. Wyobraźnia płatała jej figle. Przestań, po prostu przestań, nakazała sobie, jesteś w cholерnej, krętej dziurze głęboko w stoku góry, pewnie w jakimś labiryncie.

Może teraz znalazła się w centrum labiryntu - w środku labiryntu przydarzają się złe rzeczy, rzeczy, których nie oczekujesz, które mogą zmiażdżyć ci głowę, zamienić w miazgę, rzeczy... Była zagubiona w ciemności, umrze tutaj.

Usiłowała skoncentrować się na głębokim i regularnym oddechu, wciągała cudownie świeże powietrze o dziwnym, słodkawym zapachu i próbowała zwalczyć absurdalne obrazy, które stawały jej przed oczami, ale nie potrafiła. Nie mogła znaleźć nic solidnego, nic prawdziwego, w czym mogłaby znaleźć oparcie. Ogarnął ją strach, aż wrzasnęła w ciemność:

- Przestań być jak twój ojciec! Przestań!

Ku jej uldze, dźwięk własnego głosu nieco ją uspokoił. Udało jej się zdusić rosnącą panikę. Musi tylko iść po prostej linii taśmy mierniczej. Na litość boską, taśma jest metalowa, nie może skręcać. Pójdzie wzdłuż taśmy i na pewno dokądś dojdzie, bo tu musi być jakieś „dokądś”. Serce zwolniło swój rozpaczliwy bieg, oddech powoli wracał do normy. Ruth pochyliła się, rozpostarła mapę na ziemi i oświetliła ją latarką.

Jedyną zagadką była ta przeklęta, kłamliwa mapa. W końcu łuk był tam, gdzie miał być. Łuk, to o to chodzi! Przeszła przez zły łuk! Może zaraz za miejscem, w którym przerwała poszukiwania, znalazłaby narysowane na mapie przejście i dotarłaby do właściwej komnaty. A może mapa była pułapką.

Ale skąd dochodziło to świeże powietrze? Gdzie jest ta cholerna ściana?

Ruth poczuła, jak głowę rozsadza jej ból, ślina napływa do ust, a w głębi trzewi rodzi się krzyk. W tej chwili zrozumiała, że umrze. Wstała, zachwiała się lekko i nasłuchiwała tamtego dźwięku. Chciała go usłyszeć. Poszłaby w jego stronę, tam musiało być coś żywego i Ruth pragnęła to znaleźć. To nie mógł być ogromny wąż - nie, to niedorzeczne. Och, Boże, głowa zaraz jej eksploduje. Przeszył ją taki ból, że niemal padła na kolana. Schwyciła głowę obiema dłońmi, jej palce zatopiły się w mózgu, w szarej substancji, gęstej i pulsującej i zaczęła krzyczeć. Nie mogła przestać, wrzaski same wyrzywały się z jej ust, coraz głośniejsze, odbijały się echem w jej głowie, w mózgu przelewającym się między palcami. Musiała użyć całej siły woli, żeby oderwać dłonie od głowy, ale palce miała mokre i jak szalona wycierała je o dzinsy, próbując wytrzeć do sucha, ale one wciąż były wilgotne. Płakała, a krzyk znowu rósł jej w gardle, aż w końcu wydostał się na zewnątrz, wypełniając ciszę. Proszę, Boże, nie chciała umierać. Zaczęła biec, potykając się, przewracając i znowu wstając, nie dbała, czy wpadnie na ścianę. Chciała uderzyć o skałę.

Ale tam nie było żadnych ścian.

Rozdział 2

Motel Hootera

Pumis City, Maryland

Sobota wczesnie rano

Kim byli ci ludzie? Moses Grace i Claudia - takimi imionami podpisali wiadomość o porwaniu Pinky'ego i pod takimi zameldowali się w hotelu. Dlaczego porywacze mieliby się tak reklamować? Musieli wymyślić te imiona, pomyślał Savich. Moses Grace i Claudia, kimkolwiek byli, nie wiedzieli, że gliny tu są, czekając, aż oni wyjdą.

Savich był tak zmęczony, że czuł, jak każda myśl ucieka mu z głowy, zanim zdążył ją skończyć. Tylko przenikający do szpiku kości wiatr prosto z Arktyki powstrzymywał go przed zaśnięciem. Tracił czucie w stopach, aż musiał mocno tupnąć. Siedzieli tutaj od jedenastej. Teraz była prawie trzecia nad ranem, a oni nawet nie mogli zapalić przenośnego piecyka, bo Moses Grace i Claudia mogliby dostrzec światło. Obserwatorzy siedzieli ukryci w gałęziach drzewa naprzeciwko Motelowi Hootera, wśród bezkresnych pól zachodniego Maryland.

Dlaczego ten typ, Moses Grace, wybrał Pinky W omacka, było kolejną zagadką. Pinky był komikiem w średnim wieku, pracował na pół etatu w Bonhornie Club i, jeśli mu się pozwoliło, potrafił opowiedzieć trzydzieści kiepskich dowcipów w dziesięć minut. Sam nie miał dużo pieniędzy, a jedyną jego rodziną był brat, który miał jeszcze mniej. Był ewenementem w Bonhornie Club, bo był jednym z białych asów panny Lilly. Nie było go przez jeden dzień, zanim jego brat, Cluny Womack, znalazł wiadomość przyklejoną taśmą do kuchennego blatu. „Hej, Savich, mamy Pinky'ego. Do zobaczenia”. I podpisy:

Moses Grace i Claudia. Pismo, pełne zawijasów, wskazywało na młodą dziewczynę, a litera „i” została ozdobiona małymi serduszkami.

Wiadomość była skierowana specjalnie do niego. Moses Grace i Claudia wiedzieli nie tylko, kim Savich był, ale też, że występował w Bonhornie Club, znali także Pinky'ego.

Tkwili w patowej sytuacji, dopóki pewnego wieczoru nie zadzwonił na komórkę agentki Ruth Warnecki jeden z jej informatorów, który przedstawił się jako Rolly. Ponieważ Ruth wyjechała z miasta, telefon odebrała agentka Connie Ashley. Rolly mieszkał na ulicy i tak naprawdę był niezłym świrem, ale już nieraz dostarczył cennych informacji. Ruth nazywała go swoim psycho-kapusiem, bo ceną za jego rewelacje był litr ciepłej krwi O minus. Ruth miała układ z gościem w lokalnym banku krwi, który dawał jej litry przeterminowanej krwi, kiedykolwiek jej potrzebowała.

Rolly opowiedział Connie, jak testował to nowe ciemne piwo ze Słowenii czy innego równie szurniętego miejsca, które podobno zawierało domieszkę krwi, ale on nie mógł jej wyczuć i, dodał po namyśle, stał w sklepie całodobowym na Webster Street, kiedy podsłuchiwał tego starego faceta i młodą dziewczynę, którzy nie dalej niż sześć stóp od niego kłapali dziobami o tym, jak to zwinęli

starego Pinky' ego wprost z jego mieszkania, gdy oglądał na kablówce powtórkę „Policjantów z Miami”.

Rolly powiedział, że facet brzmiał jak stara syrena - Rolly za bardzo się bał, żeby dokładnie mu się przyjrzeć - i mówił tak, jakby był bliski śmierci, a kaszłał, jakby miał wypluć płuca. Stary koleś mówił do dziewczyny „Claudia” i nazywał ją słoneczkiem i kochaniem. Ona nawijała jak karabin, taka lolitka, i rzucała więziennym slangiem jak stary recydywista.

Rolly był święcie przekonany, że ci dwoje byli szurniętymi świrami, mówili, że upchną Pinky'ego w Motelu Hootera w Maryland i śmiali się, wyobrażając sobie, jak to agent Dillon Savich i jego brygada będą biegali w kółko, rycząc jak trzynogie osły. Rolly nie wiedział, dlaczego wybrali akurat ten motel na wygwizdowie zachodniego Maryland. Claudia roześmiała się i powiedziała: „W każdym razie, Mosesie Grace, jeśli gliny pokażą swoje buziunie, ja zamierzam posmarować Pinky'ego masłem i wsadzić do wielkiego tosterka”. Dlaczego zwróciła się do niego pełnym imieniem i nazwiskiem?

Kiedy Connie zaproponowała mu jeszcze jeden litr krwi, Rolly przypomniał sobie, że para wspominała coś o zabraniu Pinky'ego z motelu w sobotę przed świtem, ale nie powiedzieli dokąd. Głównie się śmiali, jak wariaci. Nawet Rolly wzdrygnął się, mówiąc o tym Connie.

To mogła być pułapka. Może. Najprawdopodobniej. Ale FBI i lokalna policja stawiała się na miejscu, bo nie mieli żadnego innego tropu. Wiedzieli tylko, że wszystko kręciło się wokół Savicha. W krótkim czasie przygotowali tę skomplikowaną akcję - zbyt skomplikowaną, zbyt wypracowaną, pomyślał Savich. I teraz czekali - strzelcy FBI w stanie pełnej gotowości - w bezlitośnie lodowatą, zimową noc, aż Moses Grace i Claudia wyjdą z pokoju, ciągnąc ze sobą biednego Pinky'ego.

Savich potarł dłońmi ramiona, po czym wycelował noktowizor w okna pokoju dwieście dwanaście, ostatniego pokoju na drugim piętrze Motelu Hootera. Stara furgonetka Mosesa, tak brudna, że nie można było odczytać tablic rejestracyjnych, stała na parkingu.

Raymond Dykes, właściciel motelu, powiedział Savichowi, że oba nazwiska wpisała dziewczyna, tym samym ozdobnym pismem. Nie potrafił jej dobrze opisać, bo ani na chwilę nie zdjęła ogromnych, ciemnych okularów, które zakrywały jej połowę twarzy, ale była biała, bardzo blado-biała i Raymond widział, że była ładna, z tymi puszystymi, długimi blond włosami i błękitnym sztucznym futrem, okrywającym jej bluzkę i dzinsy.

Wkroczyli do recepcji wieczorem, nie pamiętał o której godzinie. Może o ósmej, dziewiątej albo nawet dziesiątej? Pod pachami nieśli torby z jedzeniem z McDonalda i powiedzieli, że w samochodzie mają chorego brata. Pan Dykes dał im aspirynę dla niego. Moses Grace nazywał go Pinky, zabawne imię, dlatego właściciel je zapamiętał. Patrzył, jak ciągną Pinky'ego i torby z McDonalda do góry, do swojego pokoju. Pomyślał o frytkach i Big Macu i miał nadzieję, że Pinky nie zwymiotuje na dywan.

Kiedy Savich, Sherlock i agenci Dane Carver i Connie Ashley spotkali się z szeryfem Tumi i szóstką jego funkcjonariuszy i przekazali im instrukcje, Moses Grace i Claudia ukryli się już z Pinkym w swoim pokoju. Do dwunastej piętnaście agenci ewakuowali pozostałych trzech mieszkańców motelu.

O pierwszej odbiornik Savicha zatrzeszczał i agent usłyszał stary, zdarty głos Mosesa:

- Ten dupek nie opowiedział nam ani jednego kiepskiego dowcipu. Tylko popatrz na niego, śpi jak niemowlę.

Claudia, która miała głos nastolatki, dodała od niechcienia: - Wiesz, mogłabym go obudzić

delikatnym pocałunkiem noża w ucho, a koleś poderwałby się w try miga.

Starszy mężczyzna roześmiał się, zaczął charczeć i kaszleć, jakby flegma gotowała mu się w piersi, a potem zapadła cisza.

Savich popatrzył na odbiornik, jakby wzrokiem chciał zmusić go do działania, ale nikt nic więcej nie powiedział.

W ciągu paru następnych minut usłyszał tylko kilka ziewnięć i chrapanie. Odgłosy świadczyły, że porywacze zasnęli, ale czy mógł im ufać? W oknie widać było światło, jednak Savich nie dostrzegł żadnego ruchu.

O trzeciej nad ranem usłyszał wyraźny, starczy głos Mosesa:

- Wiesz, Pinky, chyba wbiję ci paznokiec głęboko w lewy policzek i pogmeram w twoich zatokach.

Żadnej odpowiedzi ze strony Pinky'ego, co oznaczało - Savich miał nadzieję - że mężczyzna został zakneblowany.

Claudia zachichotała.

- Szkoda, że nie zabraliśmy także twojego brata, Pinky. To taki słodki, gruby prosiak. Mogłabym go nafaszerować i upiec, zupełnie jakbyśmy byli na pikniku. - I znowu zachichotała.

Nie mogli wtargnąć do pokoju jedynie na podstawie słownych pogroźek. Musieli czekać i Savich wiedział, że to doprowadza wszystkich do szału.

- Stary wydaje się zmęczony i chory - wyszeptał Dane Carver. - A Claudia jest nakręcona, mówi tak szybko, że niemal widzę ślinę, która pryska jej z ust. Ona jest młoda, Savich, naprawdę młoda. Co ona robi z tym staruchem? Kim dla niego jest? Tak, jak Rolly powiedział Connie, to wariaci, nie ma żadnych wątpliwości.

Savich skinął głową.

- Masz jakiś pomysł, kim oni mogą być? I dlaczego to wszystko zostało wymierzone akurat przeciwko tobie?

Savich mógł tylko potrząsnąć głową. Dykes był jedyną osobą, która ich widziała, i nie mieli jeszcze czasu skonsultować jego zeznań ze specjalistą od portretów pamięciowych, ale Savich i tak nie pokładał w nim wielkiej nadziei, bo jego opis był zbyt ogólny i, szczerze mówiąc, nieprzekonujący. Na pewno gdyby się postarał, mógłby przypomnieć sobie jakieś szczegóły. To niepokoiło Savicha, zaczynał podejrzewać, że z Dykesem było coś nie tak. Z drugiej strony, jeśli wszystko pójdzie zgodnie z planem, Savich już wkrótce ujrzy Mosesa Grace i Claudię na własne oczy.

W zimnej ciemności nocy Savich wiedział, że to wszystko nie ma absolutnie żadnego sensu. Nie było mowy, żeby Moses Grace zrobił to, co podsłuchał Rolly i wywiózł o świcie Pinky'ego z motelu. Dokąd miałby go zabrać? Coś było zdecydowanie nie w porządku. Może Rolly opowiedział Connie tylko to, co Moses chciał, żeby usłyszeli.

Dziesięć po czwartej za plecami Savicha pojawiła się agentka Connie Ashley, jak cała brygada ubrana na czarno, z twarzą niemal zupełnie zakrytą czarną czapką i szalem.

- Przed chwilą dzwonił Rolly. Chciał rozmawiać z Ruth, ale powiedziałam mu, że jej nadal nie ma i teraz to ja zarządzam krwią i telefonem. Rolly przypomniał sobie, że ten stary facet mówił, że chce wywieźć Pinky'ego przed świtem, żeby spokojnie dojechać na cmentarz w Arlington.

- I Rolly teraz sobie o tym przypomniał? W środku nocy?

- Rolly powiedział, że coś go obudziło z głębokiego snu - nagle mu się przypomniało.

- Ile krwi zażył sobie za tę informację?

- Jeszcze dwa litry.

- Ale dlaczego akurat cmentarz w Arlington? - zastanawiał się Savich. - W jakim celu?

- Rolly nie wiedział, powiedział, że tak mówił ten starszy facet. Wydaje mi się, że Rolly kłamie, Dillon. To nie daje mi spokoju. Chciałabym, żeby Ruth tu była, ona by wiedziała, czy kłamie czy nie. - Zamilkła na chwilę i popatrzyła w okna ostatniego pokoju na drugim piętrze, gdzie wciąż paliło się światło. - Przez te grube żaluzje w ogóle nie można zobaczyć, czy ktoś tam jest.

- Przynajmniej możemy usłyszeć wszystko, co mówią - wyszeptał Dane. - Dobrze, że wszystkie wtyki Ruth mają telefony komórkowe.

- Dała im komórki, powiedziała mi, że nie rozwiązaliby sprawy Jeffersona, gdyby jej kontakt zadzwonił za godzinę czy dobę, a nie od razu. Śmiała się, opowiadając, jak bardzo ten prezent spodobał się Rolly'emu, powiedział jej, że mamy dwudziesty pierwszy wiek i trzeba iść z postępem. Ci dwoje tam dają jakieś znaki życia?

- Przez ostatnie kilka godzin żadnych - odpowiedział Savich. - Ale jedyne drogi ucieczki prowadzą przez drzwi frontowe albo okno z tyłu, którego wy pilnujecie, więc muszą być w środku. Nawet jeżeli Rolly kłamał co do porannego wyjazdu na cmentarz, to i tak wkrótce będą musieli wyjść. Musimy tylko być czujni.

Connie skinęła głową i bez słowa wtopiła się w gęstwinę drzew, żeby szerokim łukiem wrócić do pozostałych agentów i lokalnych policjantów.

- Zgadzam się z Connie - wyszeptał Savich. - Coś tu jest nie tak.

Dane zacierał obciążone rękawiczkami dłonie.

- Ale co innego możemy zrobić?

Absolutnie nic, pomyślał Savich, poza czekaniem. Dlaczego Moses Grace miałby zabierać Pinky'ego na cmentarz w Arlington? Savich zmarszczył brwi, popatrzył na swoje dłonie i poruszył palcami, żeby przywrócić cyrkulację krwi. Nic tu nie miało sensu i to go przerażało. Miał spytać Connie, czy z Sherlock wszystko w porządku, ale oczywiście, że tak. Miał nadzieję, że przynajmniej Ruth lepiej się bawiła na swojej jaskiniowej wyprawie.

Znowu zmarszczył czoło, gdy pomyślał o Raymondzie Dykesie, właścicielu motelu. Na początku był bardzo chętny do współpracy, aż zbyt chętny, pomyślał teraz Savich, narzekał bardzo niewiele i był tylko ogólnie zdegustowany. Oczywiście powiedzieli mu, że podatnicy pokryją wszystkie straty, ale i tak powinien był bardziej protestować. Savichowi nagle przypomniała się wyszczerbiona czerwona miseczka, która stała na końcu pomalowanego na zielono kontuaru w recepcji. W środku było co najmniej sześć kulek przeżutej gumy i czyż to nie zaskakujące? Dykes nie żuł gumy, kiedy z nim rozmawiali. Czy te kulki pochodziły z ust Claudii?

Savich popatrzył na swój zegarek z Myszka Miki. Minęły dokładnie trzy minuty od chwili, gdy spojrzał na niego po raz ostatni. Zadrżał, kiedy wściekły podmuch lodowatego wiatru przedarł się przez wełniany szalik, który miał na szyi. Wyobraził sobie swojego syna, Seana, śpiącego z misiem Gusem w objęciach, przykrytego po uszy miękkim kocem, całego ciepłutkiego i śniącego o zupie pomidorowej z popcornem na wierzchu - ostatniej ulubionej potrawie chłopca.

Popatrzył na Dane'a, przykucniętego za kubłem na śmieci jakieś sześć stóp od niego, niedaleko gęstego, ciemnego lasu, i zastanawiał się, o czym kolega myśli po tylu godzinach na tym lodowatym posterunku. Dane'owi nie drgnął ani jeden mięsień. Był profesjonalistą w każdym calu, nie chciał, żeby Moses albo Claudia, wyglądając przez okno, dostrzegli jakikolwiek ruch, bo wtedy Pinky W

Savich modlił się, żeby nie znaleźli Pinky'ego leżącego z roztrzaskaną czaszką na popękany linoleum. Co oni tam robili? Było ich dwoje, zabili Pinky'ego - co do tego Savich nie miał żadnych wątpliwości - a mimo to w pokoju panowała śmiertelna cisza. Ani jednego stłumionego oddechu, szeptu, schrypniętego głosu starca.

Przycisnął krótkofalówkę do ust i wyszeptał:

- Dane i ja wchodzimy. Kiedy usłyszycie, że wyważyliśmy drzwi, zapalcie reflektory. Szeryfie, niech pan użyje megafonu i każe im wyjść, im więcej hałasu, tym lepiej. Wiemy, że tu są. Nie mogli się wymknąć.

Savich rrtiał nadzieję, że szef policji Pumis zrobi to, co powinien, i nie schrzani akcji. Skinął głową w stronę Dane' a, wstał i prawą stopą kopnął w klamkę. Drzwi stanęły otworem, waląc z hukiem w ścianę.

Dane stał za plecami Savicha, z lewej strony. Został wyprostowany, a Savich przykucnął.

Szybko omietli wzrokiem pusty pokój.

- Wychodzić z łazienki! - krzyknął Dane. - Ale już!

- Tu nikogo nie ma - powiedział Savich. - Nikogo nie ma - powtórzył wolniej. - Nie rozumiem, jak się stąd wydostali?

- I nagle wiedział, jeszcze zanim zobaczył małe czerwone światełko na stoliku nocnym, skierowane dokładnie w drzwi wejściowe. Wrzasnął do krótkofalówki: - Tu jest bomba! Na ziemię!
- On i Dane rzucili się przez drzwi i skoczyli przez rozchwianą barierkę, gdy poczuli potężny wstrząs, od którego cały budynek zatrzęsł się w posadach.

Rozdział 3

Savich i Dane wylądowali dziesięć stóp dalej na popękany asfalcie parkingu, przeturlali się i pobiegli przed siebie. Za nimi wystrzeliła ogromna kula ognia, płomienie buchnęły z pokoju przez dach jak wulkan. Powietrze zrobiło się gorące i wypełnił je taki huk, jakby rozstąpiło się piekło. Przez sekundę wydawało się, że cały motel uniósł się nad fundamenty.

Usłyszeli, jak ostatnia kondygnacja zapada się na niższe piętra. Biegli, usiłując osłaniać się przed fruwającymi wszędzie z siłą pocisków kawałkami betonu. Z buchających płomieni wystrzeliły wysoko w powietrze wielkie kawały drewna i poszczerbione odłamki szkła, które spadały wokół nich niczym deszcz. Savich zobaczył, jak nad parkingiem przeleciał telewizor, po czym rozbił się w drobny mak o asfalt przed nimi.

Powietrze było tak gorące, że Savich czuł, jak parzy go gruby, wełniany płaszcz, który miał na sobie, i zastanowił się, czy nie pali się żywcem. Dane wyglądał prawie normalnie, więc może on też. Nie wiedział, czy koloodporne kamizelki, w które byli ubrani, robiły jakąś różnicę. Kiedy zanurkowali w obludzonym rowie jakieś dwadzieścia stóp dalej, ryknął do przyłączonej do nadgarstka krótkofalówki:

- Sherlock, nic ci nie jest?

Minęła jedna długa sekunda, po czym rozległ się jej zdyszany głos.

- Wszyscy jesteśmy cali, ale niewiele brakowało, Dillon. Główna eksplozja poszła w waszą stronę, nie w naszą. Wszędzie latają kawałki gruzu - właśnie patrzę na większą część łóżka, jeszcze w pościelą - ale schowaliśmy się za dębem. Dillon - usłyszał lęk w jej głosie. - A wam nic nie jest? Jak Dane?

- Wszystko w porządku, słowo. Przeskoczyliśmy przez barierkę na drugim piętrze, mieliśmy miękkie lądowanie i udało nam się uciec. Wszystkie te ciuchy, które mamy na sobie, zamortyzowały upadek.

Sherlock roześmiała się nerwowo.

- Wiesz, co się stało?

- Kiedy Dane i ja weszliśmy do środka, pokój był pusty. Czujęm przez skórę, że to pułapka, jeszcze zanim zobaczyłem to urządzenie, stało na szafce nocnej, a czerwone światełko migало wprost na nas, więc rzuciliśmy się do ucieczki.

- Co oznacza - powiedziała wolno Sherlock - że Moses Grace i Claudia wydostali się niezauważeni przez z nas z tego pokoju i jakimś cudem zabrali ze sobą Pinky'ego. Może mieli zdalnie sterowany detonator, timera albo jakiś samowyzwalacz.

- Oni to wszystko zaplanowali - odezwała się Connie. - Założę się, że użyli kontaktu Ruth, żeby nas podpuścił. Ona rozerwie go na strzępy.

- To wydaje się prawdopodobne - uznał Savich. - Musimy znaleźć Roll y' ego, Connie, i dać mu

niezły wycisk. Wyślij za nim list gończy. Musimy go dopaść najszybciej, jak to tylko możliwe.

Connie obiecała, że się tym zajmie, wyciągając jednocześnie komórkę.

- Wyśledzę go najszybciej, jak będę mogła. Oni musieli wydostać się stąd zanim w ogóle tu przyjechaliśmy, Dillon. Mogli wyciąć dziurę w ścianie łazienki, ten budynek jest zbudowany niemal z kartonu, albo po prostu wymknęli się przez okno z tyłu, a Dykes ich nie widział. Nie ma mowy, żeby uciekli, kiedy my tu byliśmy.

- Niech szef policji Tumi i jego ludzie rozproszą się po lesie i spróbują coś znaleźć - polecił Savich. - Porywacze musieli gdzieś ukryć drugi samochód albo ciężarówkę. Za lasem biegnie na wschód droga dojazdowa. - Ale wiedział, że jest już za późno. Para była daleko stąd i świetnie się bawi na myśl, że policjanci czatujący pod motelem są martwi albo poważnie ranni. Że on był martwy. Savich popatrzył na starą furgonetkę, przywaloną dymiącym gruzem.

- Sherlock, wszyscy muszą ruszyć w teren w poszukiwaniu Mosesa Grace i Claudii. Sprawdź, kogo uda ci się jeszcze ściągnąć. Dane zadzwonił pod dziewięćset jednaście, więc straż pożarna powinna tu być lada chwila.

- Tak, zajmę się tym. Connie też zadzwoniła pod dziewięćset jednaście, tak jak pewnie każdy policjant tutaj. Przysięgasz, że nic ci nie jest, Dillon?

Savich nie mógł w to uwierzyć, ale uśmiechnął się do krótkofalówki. Bardziej bał się o zdrowie Sherlock niż o swoje. A jej nic nie było.

- Kiedy to się skończy, zabiorę cię na tańce. Zwrócił się do Dane'a.

- Przynajmniej nie grozi nam już zamrożenie na śmierć. Dane wyszczerzył zęby w uśmiechu, w twarzy czarnej od sadzy zabłysły białe zęby.

- Ale dostaliśmy kopa. Niezły plan, poza małą obsuwą czasową. Oni chcieli dorwać ciebie, Savich. Ciekaw jestem, czy widzieli, jak skoczyliśmy, czy też myślą, że zginąłeś.

Dwadzieścia minut później Savich stał przed tym, co zostało z Motelu Hootera, i patrzył, jak strażacy polewają dogasające płomienie. Z żarzących się zgliszcz unosił się czarny dym, tu i ówdzie buchał jeszcze pojedynczy płomień i wciąż jeszcze było za gorąco, żeby podejść bliżej. Stary budynek spłonął błyskawicznie. Szeryf Turni posłał dwóch swoich ludzi po właściciela hotelu i w tej chwili Savich zobaczył zmierzającego w ich stronę Raymonda Dykesa. Mężczyzna miał opuszczone ramiona i wyraz absolutnego szoku na bladej twarzy. Savich miał ochotę wkopać go do zamrożonego rowu, w którym schronili się z Dane'em po wybuchu. Usłyszał, jak Dyke mówi do siebie:

- Co za sukinsyny! Jezus, Maria i Józefie Święty, to nie tak miało być. Jak Marlene się dowie, to mnie zabije. Już jestem martwy.

Ostatnie elementy układanki trafiły na swoje miejsce. Moses Grace oszukał Raymonda Dykesa. To była pułapka, zastawiona w celu zabicia Savicha i tylu gin, ilu się tylko da.

Dane postąpił parę kroków do przodu i stanął za Dykesem.

Głosem tak łagodnym, jak szept zakonniczy na nieszporach, powiedział:

- Rozumiem, że jest pan zaszokowany faktem, iż wysadzili pański motel, panie Dykes.

- Straciłem dorobek całego życia, całego mojego życia.

- Okłamali pana, pokazali panu jakieś pieniądze, a pan im uwierzył, tak?

Dykes popatrzył na płonące zgliszcz motelu.

- Tylko informację - powiedział. - Tylko tego chcieli - informację. Dali mi pięćset dolarów, od ręki, cali w uśmiechach, pięćset dolarów za jeden telefon. - Pstryknął palcami i jęknął, chwytając się

za brzuch. - Ani słowa o wybuchu. Już po mnie. Nie znacie Marlene.

- Pańskiej żony?

- Nie, siostry.

- A zatem oni zapłacili panu za to, żeby dał im pan znać, jak przyjadą gliny? To wszystko?

Dykes skinął głową, a potem jakby nagle zdał sobie sprawę, że rozmawia z agentem FBI i mówi rzeczy, których nie powinien, głośno przełknął ślinę.

- Za późno, panie Dykes - powiedział Dane z nutą groźby w głosie. - Jeśli nie powie mi pan teraz wszystkiego, będzie pan miał prawdziwe kłopoty. Zadzwoił pan do ich pokoju, kiedy my zajmowaliśmy pozycje na zewnątrz?

Dykes zaczął się kołysać z ramionami przyciśniętymi mocno do piersi. Skinął głową.

- Co jeszcze? Czego pan oczekiwał?

- Niczego. Powiedzieli, że wyjdą tyłem - powiedział Dykes.

- Oczekałem trzy sygnały, tylko tyle miałem zrobić, jedynie ich ostrzec. Nic więcej. Potem słyszałem, jak śmieją się z petard. Kiedy zapytałem ich, co mają na myśli, ten starszy facet, pan Grace, roześmiał się jeszcze raz i powiedział, że gdyby mógł, chciałby wystraszyć gliny na amen, że wy wszyscy nie jesteście warci splunięcia. Gdyby tylko miał jedną petardę, tylko tego potrzebował, tak mówił. Ale przecież nie miał, prawda? - Popatrzył na płonący stos gruzów, który jeszcze godzinę temu stanowił główne źródło jego dochodu, po czym uniósł czerwone od dymu oczy na twarz Dane'a.

Dane miał ochotę porządnie mu przyłożyć za taką chciwość i głupotę.

- On nie kłamał. Nie miał petardy, tylko bombę.

- Dlaczego oni mnie okłamali, agencie Carver? - wyszeptał Dykes. - Dlaczego? Zrobiłem to, o co mnie prosili, zadzwoniłem do ich pokoju, kiedy się zjawiliście, odczekałem trzy sygnały. To było szalone, podłe i szalone. Zrujnowali mnie.

- Nie, panie Dykes - zaprzeczył Savich - sam pan to sobie zrobił. - Wciąż próbował przyjąć do wiadomości, co ten człowiek zrobił za pięćset dolarów.

- To przez tę dziewczynę z pięknymi włosami. To ona mi zapłaciła, żebym dał im znać, jak się pojawiać. Ale ja nie urodziłem się wczoraj, ludzie zawsze próbują mnie wykiwać, bo im się wydaje, że pokoje są tanie, a nazwa motelu *[* Hooter (ang.) - klakson (przyp. tłum.)] to żart, ale im uwierzyłem. Ona była taka ładna j polubiła mnie. Miała taki biały brzuch i... chyba nie rozegrałem tego najlepiej, co? Jestem idiotą.

- Tak, powiedziałbym, że dziś zachował się pan jak idiota - przyznał Dane.

Dykes, chudy jak szczapa, owinięty o wiele za dużym płaszczem, z grubą warstwą żelu błyszczącą na sześciu długich, przyklejonych do czaszki włosach, w końcu zdał sobie w pełni sprawę, jak poważne ma kłopoty.

- Nie, ja... ja... ja nie jestem idiotą i to nie jest miłe, że pan tak mówi. Ja nie chciałem, żeby stało się coś złego, agencie Carver, musi mi pan uwierzyć. Nie miałem pojęcia, co oni planują. Och, Jezus, Maria i Józefie Święty, Marlene mnie zabije.

- Wziął pan pięćset dolarów, wiedząc, że stawką jest nasze życie. - W cichym głosie Dane' a nie było wściekłości, ale gdyby Dykes podniósł wzrok na agenta, zobaczyłby ją wyraźnie w jego oczach. Ale mężczyzna potrząsnął głową ze wzrokiem wbitym we własne buty.

- Poprosili o pokój dwieście dwanaście? - spytał Savich. Dykes przytaknął.

- Tak, to najlepszy pokój, bo jest na końcu budynku i ma okno w łazience.

- Teraz rozumie pan - powiedział Dane - że oni albo wycięli dziurę w cienkiej ścianie w

łazience, albo wyszli przez tylne okno i zniknęli, zanim my weszliśmy do pańskiego biura. Chcieli zabić tak wielu z nas, ilu tylko mogli. Ładunek był bardzo potężny. Czy ma pan rodzinę, panie Dykes, czy pozostaje pan na łasce siostry, Marlene?

- Tak, Joyce zostawiła mnie dwa lata temu dla kierowcy ciężarówki, którego tir zasmradza każdy stan, przez który przejeżdża. Pewnie obiecał Joyce, że pokaże jej wszystkie widoki, i idiotka uwierzyła.

- No to siedząc w miłej i zacisznej celi więziennej, będzie pan mógł myśleć o Joyce podziwiającej Wielki Kanion - podsumował Savich.

- Może Marlene odwiedzi pana w celi - dodał Dane i wziął od jednego z policjantów parę kajdanek, które zamknął na kościstych nadgarstkach Dykesa, po czym przekazał aresztanta funkcjonariuszowi, który patrzył na mężczyznę tak, jakby nie mógł uwierzyć w to, co tamten zrobił. Policjant popchnął Dykesa, niezbyt delikatnie, w stronę samochodu.

- Przeczytajcie mu jego prawa, Wiggins - zawołał szeryf Turni. - Wielka szkoda, że głupota nie jest przestępstwem. - Zwrócił się do Savicha: - Zatem te dwa strzały, które słyszeliśmy... To naprawdę były strzały, prawda?

- Cokolwiek to było, zostało doskonale zaplanowane w czasie - powiedział Dane. - Może brygada od podpaleń znajdzie na pogorzeliśku resztki magnetofonu. Może rozmowa, którą słyszeliśmy, tak samo jak strzały, została nagrana i odtworzona w odpowiednim czasie.

Szeryf Turni skinął głową i popatrzył na swojego człowieka, który sadzał Dykesa na tylnym siedzeniu samochodu.

- Roy, nie zostawiaj tego głupa samego. Zaraz do ciebie przyjdę.

- Jednego możemy być pewni - powiedział Savich do Dane'a. - Kiedy usłyszeliśmy strzały, ani ich, ani Pinky'ego już dawno nie było w pokoju. Mogli na obserwować.

- Możesz przypiec Rolly'ego, jak go zamknę - powiedziała Connie i potrząsnęła głową. - To podkopie zaufanie Ruth do jej wtyczek. Wiesz, że ten mały skunks przypomni mi o dodatkowych litrach krwi, bo zamierzał urządzić przyjęcie w stylu gotyckim?

- Moi ludzie nie natrafili jeszcze na żaden ślad, ale znajdziemy ich - zapewnił szeryf Turni Savicha. - Dzwoniłem do policji stanowej, przekazałem im opisy, powiedziałem o Pinkym. Zrobiliśmy wszystko, co mogliśmy.

Savich wiedział, że zostało jeszcze wiele pracy, ale głównie dla specjalistów medycyny sądowej.

- Ta stara ciężarówka - zauważyła Connie - to była przynęta, żeby nas tu zatrzymać. Ciekawa jestem, czy oni rzeczywiście pojechali na cmentarz w Arlington.

- Czy to kolejna pułapka? - głośno zastanawiała się Sherlock.

Ale Savich wiedział, że nie mają innego wyjścia, jak tylko przygotować następną skomplikowaną operację, na co mieli nie więcej niż cztery godziny. Nie potrafił sobie wyobrazić, ilu ludzi będą potrzebowali, żeby obstawić tak ogromny teren, z tysiącami białych płyt, pomników i nagrobków.

- Nie chcę tego mówić, naprawdę nie chcę, ale mam wrażenie, że oni naprawdę tam będą. Znajdź Rolly'ego, Connie.

- Dillon, chcesz zadzwonić do Ruth, prosić ją, żeby wróciła? Savich już miał skinąć głową, ale potem przypomniał sobie, jak bardzo czekała na tę wyprawę, jak była podekscytowana jaskinią i jak mówiła, że niech no on tylko zobaczy, co przywiezie z powrotem.

- Nie, dajmy jej spokój. Jest nas tutaj wystarczająco dużo.

Wróci w poniedziałek.

Nagle zobaczyli starszą kobietę maszerującą w ich stronę zdecydowanym krokiem, w kozakach do kolan, z twarzą owiniętą szalikiem, w grubym wełnianym płaszczu, który łopotał wokół jej nóg. Zatrzymała się przy samochodzie policyjnym, pochyliła i wrzasnęła:

- Coś ty narobił, Raymondzie?! Savich uniósł brew.
- Marlene, jak mniemam.

Rozdział 4

Maestro, Wirginia

Piątek wieczór

Szeryf Dixon Noble włożył skórzaną kurtkę i rękawiczki i wyszedł z biura mieszczącego się pod numerem jeden na High Street parę minut przed piątą. Uderzył go powiew zimniejszy niż nos Brewstera w środku zimy. Zapowiadali, że spadnie jakieś półtora do dwóch stóp śniegu. Szeryf naprawdę nie miał ochoty myśleć o tych wszystkich telefonach, o awariach prądu i karambolach, starszych mieszkańcach bez ogrzewania, chorych, którzy nie mogli dostać się do szpitala - lista nie miała końca. Już dawno temu skompletował zespół „funkcjonariuszy od katastrof”, jak go nazywał, których sam wyszkolił tak, żeby potrafili poradzić sobie z najgorszymi psikusami, które pech i natura mogły im spletać.

Luty i tak był spokojny, pomyślał, poza Walentynkarni. Will Garber przyniósł swojej żonie, Darlene, trzyfuntowe pudło czekoladek w ramach przeprosin, ale Darlene ich nie przyjęła. Złapała garść czekoladek i wtarła je w twarz męża, na co on walnął ją na odlew, wypadł z domu, upił się w barze Calhouna, złamał nos właścicielowi i wylądował w więzieniu.

- Hej, Dix, masz jakieś plany na weekend?

Dix zatrzymał się na chwilę, i kiwnął głową Stupperowi Fultonowi, właścicielowi sklepu z artykułami żelaznymi, który był w jego rodzinie od pokoleń:

- Nic szczególnego, Stup. Jeśli spadnie dosyć śniegu, chłopcy, połowa dzieciaków w mieście i ja będziemy zjeżdżali na sankach ze Wzgórza Breakera. A jeśli spadnie za dużo, będę biegał z łopatą po mieście i wykopywał ludzi z zasp.

- Nie myśl, że chcę się przyłączyć do saneczkowania - powiedział Stup. - W moim wieku połamałbym wszystkie kości, gdybym wpadł na drzewo.

Dix widział, że Stup zmarzł, ale nie ruszał się z miejsca.

- Coś cię trapi?

- Cóż, Dix, chodzi o to, że Rafer prosił mnie o robotę.

- Rafer ma czternaście lat, więc jest wystarczająco duży, żeby pracować, ale ma też fatalne stopnie z biologii i angielskiego i już mu powiedziałem, że może zapomnieć o pracy, jeśli nie poprawi ich na czwórki. Sam próbuję mu pomóc, wieczorami budujemy razem model podwójnej spirali DNA na biologię i czytamy „Otella” na angielski. Ten chłopak to idiota.

- Rafer? On nie jest idiotą, Dix, potrzebuje tylko dobrej motywacji.

- Nie, Stup, nie Rafer, ten facet, Otello. Wiesz, ten, który morduje swoją żonę w sztuce Szekspira.

- Och, no dobrze. Rafer tak bardzo chce dostać tę pracę, że obiecał mi, że będzie pracował ekstraszybko i zrobi wszystko, co mu każę, w czasie krótszym o połowę, niż zrobiłby to ktokolwiek inny, a potem będzie się uczył.

Dix roześmiał się.

- Ten chłopak zawsze wie, co powiedzieć. Co mu odpowiedziałeś?

- Że porozmawiam o tym z tobą.

- Powiedz mu, że płacisz za godzinę, więc jeśli będzie się tak uwijał, dostanie tylko połowę wypłaty. Zobaczymy, co on na to.

Stup potarł ramiona i wyszczerzył zęby w uśmiechu.

To dobre, Dix. Jutro ma do mnie przyjść i tak mu powiem.

Dix, zanim doszedł do swojego range rovera, pogawędził jeszcze z sześcioma mieszkańcami, w tym z bibliotekarką Melis są Haverstock, która spytała go, czy miałby ochotę pójść z nią w sobotę wieczór na kolację do Pierwszego Kościoła Metodystów. Szeryf uprzejmie odmówił.

Kiedy jedenaście minut później wjechał na podjazd, już robiło się ciemno. Dix miał już naprawdę dosyć długich, zimowych nocy. Było zimno, nagie gałęzie drżały w lodowatym powietrzu. Nadchodziła śnieżycą, czuł to w powietrzu, była coraz bliżej. W domu paliły się wszystkie światła, co oznaczało, że albo chłopcy są w domu, albo wyszli, nie zadając sobie trudu zgaszenia lamp. Kto to mógł wiedzieć?

Usłyszał szczekanie Brewstera i wiedział, że pies czeka przy drzwiach, machając szaleńczo ogonem. Brewster miał zwyczaj sikać z radości, więc Dix przyspieszył w nadziei, że zdąży uprzedzić ten przykry wypadek.

Był piątkowy wieczór i Dix będzie musiał skłonić Roba do zrobienia prania. Wszyscy trzej musieli przetrwać różowe bokserki i podkoszulki, zanim Rob w końcu nauczył się nie mieszać kolorów w pralce. Rafer przez dobre dwa tygodnie nosił pod spodniami slipki kąpielowe, bo chłopaki na wuefie śmiali się do rozpuku z jego różowej bielizny.

Brewster, którego imponujący szczek przerastał o kilka kilogramów, próbował wspiąć się na jego nogę, gdy wchodził do domu.

- Hej, Brewster, jak się masz, kolego? Już jestem w domu, zaraz będziemy się bawić. I nawet nie niusiałeś mi na buty. - Podniósł miniaturowego pudła i roześmiał się, gdy pies zaczął radośnie lizać go po twarzy.

- Chłopcy, jesteście w domu?

Rafer, ziewając, wkroczył powoli do pokoju.

- Cześć, tato. Ja jestem.

- Gdzie jest twój brat?

Rafer wzruszył ramionami - ulubiony gest wszystkich nastolatków oznaczający „a co mnie to obchodzi”.

- Nie wiem, może poszedł do Mary Lou. Powiedział, że chce się dostać pod jej spódnicę.

- Jeśli spróbuje dostać się pod spódnicę Mary Lou, jej tata zedrze z niego skalp.

Rafer wyszczerzył zęby w uśmiechu.

- A to dobre. Ostrzegę go, ale wiesz, tato, kiedy Rob jest z nią, robią mu się takie szklane oczy, jakby był wariatem. Zresztą, nieważne.

- Tak, ostrzeż go, Rafe. - Oczywiście, że Rob był zwariowany, był nastolatkiem. Dobrze, że istnieli jeszcze tacy ojcowie jak tata Mary Lou, bo przy tych szalejących hormonach... Rodzice krótko trzymali dziewczynę, ale Dix podejrzewał, że będzie musiał znowu, po raz kolejny, pomówić z Robem: nastolatek i rozmowa o odpowiedzialnym seksie to dopiero przyprawiało go o ból głowy.

- Rob zrobił pranie - powiedział Rafer, a Dix poczuł przypływ zadowolenia, które szybko

minęło, gdy syn prychnął.

- Jakiego koloru mamy teraz bieliznę?

- Prześliczny błękit królewski - odpowiedział Rafer. - Tak powiedziała pani Melowski.

- Świetnie. Wspaniale. Dlaczego pokazywałaś pani Melowski nasze niebieskie bokserki?

- Ona ciągle do nas przychodzi, chce się z tobą widzieć, a Rob akurat trzymał w ręku majtki, ona je zobaczyła i zaczęła się śmiać. Pokazała Robowi, co zrobił źle.

- Ja też mu pokazywałem, niezliczoną ilość razy.

- Powiedziała, że trzeba będzie je parę razy wyprać i wymoczyć w wybielaczu, żeby odzyskały dawny kolor. Zostawiła cytrynowe ciasto na deser. Tato, co będzie na obiad?

- Na pewno nie pizza, Rafe. We wtorek zrobiłem gulasz i zamroziłem. Przygotuję do tego jakieś grzanki.

- Sprawdzę, czy mamy dosyć keczupu.

- Mamy. Sprawdziłem rano, przed wyjściem. Zostało trochę tego ciasta?

- Zjadłem parę kawałków - przyznał Rafer.

Dix ujrzał oczami wyobraźni resztki deseru. Wyjął z kieszeni komórkę i zadzwonił do domu Claussonów. Na pewno Rob był u nich i grał w foosball z Mary Lou i jej rodzicami, którzy byli zabójczy w tej grze. Mieli najszybszy refleks, jaki Dix w życiu widział. Rob musiał naprawdę dostać w kość, bo wydawał się zadowolony, że ma wrócić do domu na kolację.

- Tato, czy Mary Lou może zjeść z nami?

Zanim Dix zdążył odpowiedzieć, usłyszał w tle głos pana Claussona:

- Nie, Rob, dziś wieczorem przychodzi do nas ciotka Mary Lou.

- Wracaj do domu, Rob.

- Tak, Rob - odezwał się Rafer. - Nie chcesz przecież, żeby pan Clausson zdarł z ciebie skalp.

Śnieg zaczął padać około dziewiątej trzydzieści. Dix oglądał z chłopcami telewizję, on i Rafe godzinę wcześniej pochowali Otella i Desdemonę. Rafe, zdaniem Dix'a całkiem słusznie, chciał wiedzieć, dlaczego Jago nie wyrwał mu wnętrzości, ale powiedział tylko:

- Słuchaj, Szekspir dał nam pięć trupów. To chyba wystarczy, prawda?

- Tak, chyba to dosyć, żeby wykończyć całą obsadę - przyznał w końcu Rafe.

Model podwójnej spirali DNA został skończony i królował na biurku Rafe'a obok piłki Tytanów, podpisanej przez Steve'a McNair. Zwykle w piątkowe wieczory oglądali telewizję, to była frajda dla chłopców, którzy w tygodniu mieli szlaban na telewizor.

Rafe zasnął w połowie „Prawa i porządku” z głową na nodze Dix'a. Rob, wysoki i chudy szesnastolatek, chrapał cicho rozwalony w ulubionym fotelu. Włosy miał tak czarne jak Dix, ale po matce odziedziczył niebieskozielone oczy.

Ja jestem starszym w tym pokoju, pomyślał Dix, i tylko ja nie śpię.

Zastanawiał się, co chłopcy robili w ciągu dnia, że byli aż tak zmęczeni.

O dziesiątej wygonił synów do łóżka i zabrał Brewstera na wieczorny spacer. Ponieważ śnieg dopiero zaczął padać, nie musiał się martwić, że Brewster zapadnie się po uszy, co często zdarzało się zimą. Dix wyprowadził psiaka na werandę i patrzył, jak radośnie zeskakuje ze schodów i pędzi, szczekając, w głąb ogrodu. Obracał się wokół własnej osi, podskakując, jakby miał sprężyny w tylnych łapach, a przednimi próbował schwytać wirujące drobinki śniegu i machał jak szalony puszystym, krótkim ogonkiem.

Dix wyszedł na chodnik i uniósł twarz do nieba. Śnieg był tak drobny i miękki, że topniał w

chwili, w której dotykał jego twarzy. Szeryf stał w ciszy, uśmiechając się do Brewstera i czekał, aż płuca wypełni mu nocne powietrze. Zdał sobie sprawę, że dobrze się czuje, jest mniej rozbity niż zwykle i uznał to za krok w odpowiednim kierunku.

Brewster szczechnął na niego trzy razy i popędził w stronę lasu.

- Brewster! Wracaj, wiesz, że do lasu nie wolno!

Ale Brewster poczuł woń jakiegoś zwierzęcia i nie zamierzał zrezygnować z polowania. Dix, naciągając po drodze skórzane rękawiczki, ruszył za psem. W lesie żyło mnóstwo dzikich zwierząt, a dziewięćdziesiąt dziewięć procent z nich było większe i bardziej groźne niż Brewster. ‘

Dix nawoływał psa raz za razem, ale jedyne, co słyszał, to coraz bardziej oddalające się szczekanie. Pewnie Brewster coś znalazł, może ranne zwierzę.

Nocne niebo wisiało nisko, pełne ciężkich, nadętych chmur grożących znacznie poważniejszymi opadami niż te kilka płatków.

- Brewster!

Skowyt przeciął nocną ciszę, teraz już nie tak odległy. Czy Brewster złapał oposa?

Śnieg stawał się coraz gęstszy, ale Dix chroniła gęsta korona gałęzi.

- Brewster!

Pies szczechał jak szalony na jakieś wybrzuszenie na ziemi, coś nieruchomego, co przypominało człowieka.

Dix złapał psiaka, schował za pazuchę i zapiął kurtkę.

- Uspokój się, Brewster, i nie nasikaj mi na koszulę. - Popatrzył na leżącego przed nim człowieka, nieprzytomnego lub martwego.

Dix upadł na kolana i odwrócił ciało. To była kobieta z zakrwawioną twarzą: Ściągnął rękawiczki, nabrał garść śniegu i lekko przetarł jej twarz. Krew zeszła bez trudu. Z boku głowy kobiety zobaczył rozcięcie, które lekko krwawiło. Przytknął palce do jej szyi, puls miała powolny, ale miarowy. Dobrze. Przybliżył usta do jej twarzy.

- Słyszysz mnie? Musisz się obudzić. Powieki kobiety drgnęły.

- O tak. Otwórz oczy, na pewno dasz radę.

Kobieta nie otworzyła oczu, ale wydała niski jęk. Dix metodycznie sprawdził jej ręce, nogi i tułów i nie znalazł żadnych złamań. Co nie znaczyło, że ich nie było. Włożył z powrotem rękawiczki i delikatnie uniósł kobietę na rękach. Brewster wysunął łebek zza pazuchy. Kobieta była wysoka, szczupła i dosyć ciężka. Bał się przerwucić ją sobie przez ramię na wypadek, gdyby miała jakieś obrażenia wewnętrzne, więc musiał nieść ją na rękach.

Gdy wyszedł z lasu, śnieg i wiatr zaatakowały go z całą siłą.

Zanim doszedł do domu, śnieżycy była tak gęsta, że ledwo dojrzał światło na werandzie.

Obtupał śnieg z butów i cicho wszedł z Brewsterem i kobietą do domu.

- No dobrze, Brewster, ty na podłogę, a panią położymy na sofie. - Ubranie kobiety było prawie suche, więc przykrył ją dwoma kocami i ściągnął jej buty. Na stopach miała grube, wełniane skarpetki, wciąż suche.

Dix wyciągnął komórkę z kieszeni i wystukał dziewięćset jedenaście. Odebrała dyspozytorka Amalee Witten.

- Cześć, szeryfie, co jest?

- W lesie koło mojego domu znalazłem raną kobietę. Przyślij karetkę najszybciej, jak możesz.

Amalee miała pięćdziesiąt dwa lata i ważyła sto dziesięć kilo, ale kiedy sytuacja tego wymagała,

potrafiła ruszać się szybciej niż Rob, gdy wypadła jego kolej na sprzątanie łazienki.

- Trzymaj się, szeryfie.

- Tato, czy ona wydobrzejje?

- Nie wiem, Rob, nie mogę jej obudzić. Idź, zrób gorącej herbaty. Zobaczymy, czy uda się nam ją napoić.

Niecałe pięć minut później syn wszedł do salonu, trzymając w dłoniach kubek herbaty.

- Nie jest zbyt gorąca, żeby nie poparzyła sobie ust.

- Dobrze. - Dix uniósł głowę kobiety i przyłożył kubek do jej dolnej wargi. - No, powąchaj, to Lipton, najlepsza herbata w torebkach. Rob zrobił ją tak, jak trzeba, żebyś mogła tylko otworzyć usta i pociągnąć solidny łyk. Ogrzeje cię od środka.

Ku jego zaskoczeniu kobieta otworzyła usta i łyknęła herbaty. Otworzyła oczy, popatrzyła na Dix'a i wypila jeszcze trochę.

- Czy coś cię boli?

Powoli potrząsnęła głową i przemówiła słabym głosem:

- Tylko głowa. - Próbowała unieść dłoń, ale Dix ją przytrzymał.

- Masz ranę po lewej stronie, nad skronią. Nie będę jej ruszał, niech lekarze się nią zajmą.

Brewster wskoczył na sofę i położył się obok kobiety.

- To jest Brewster, to on znalazł cię w lesie, zanim śnieżyca rozpuściła się na dobre.

- Brewster - powiedziała, dotykając jego mordki - dziękuję.

- Nazywam się Dixon Noble, jestem szeryfem w Maestro. Chłopak, który zrobił herbatę, to mój syn, Rob. Możesz mi powiedzieć, jak masz na imię?

- Ja... - Potarła podbródkiem o sierść Brewstera, który lizał ją po dłoni. - To dziwne - powiedziała po chwili, odwracając się, żeby spojrzeć na Dix'a. - Wyobraź sobie, że nie mam zielonego pojęcia.

Dix powoli wstał. Kobieta wydawał się przerażona, a ostatnią rzeczą, jakiej chciał, to, żeby straciła nad sobą kontrolę.

- Nie wiem, co jeszcze się wydarzyło - powiedział łagodnie - ale na pewno dostałaś solidny cios w głowę. Może dlatego nie pamiętasz. Lekarz na pewno nam powie, co się dzieje. Jestem pewien, że to przejściowe, więc spróbuj się nie martwić, dobrze? Sprawdzę w kieszeniach twojej kurtki, czy nie masz jakiegoś dokumentu. Pamiętasz, czy miałaś ze sobą torebkę albo portfel?

Zobaczył, że kobieta miała rozszerzone źrenice, i to go zaniepokoiło.

- Nie przejmuj się tym. Może masz coś w kieszeniach dzinsów. Sprawdzą to w szpitalu, bo ja nie chcę cię ruszać. Jutro poszukam twojej torebki w lesie.

- To jakieś szaleństwo - powiedziała i Dix dostrzegł, że poruszyła się pod kocem. Pewnie sama sprawdzała kieszenie spodni. - Nic nie mogę znaleźć. To nie ma żadnego sensu. Gdzie jest moja komórka? Czy miałam torebkę? Nie, raczej nie. Nigdy nie brałam ze sobą torebki.

Dix czekał cierpliwie. - Nigdy.

- Ale wiesz, że miałaś komórkę?

- Tak. W każdym razie tak mi się wydaje. - Zaczęła nucić.

- Dlaczego śpiewasz? - spytał Rob.

- Nie lubię przeklinać, więc nucę, kiedy jestem zła.

- Fajnie - powiedział Rafe, który stanął obok sofy i patrzył na kobietę.

- To mój drugi syn, Rafer. No dobrze, powoli coś sobie przypominasz. Nie zmuszaj się. Na

wszystko zawsze można znaleźć wytłumaczenie.

- To, co przed chwilą powiedziałaś, wydało mi się znajome, jakbym sama mówiła tak do ludzi.

Za Robem do pokoju weszli pracownicy pogotowia. Dziesięć minut później Dix i kobieta siedzieli w karetce, która zmierzała w stronę szpitala w Loudon, oddalonego o jakieś dwanaście mil. Śnieg padał tak gęsto, że droga zajęła im ponad pół godziny. Kobieta była blada i miała szkliste oczy. Dix trzymał ją za rękę. Nie nosiła żadnych pierścionków tylko praktyczny, czarny zegarek. W izbie przyjęć na razie panował spokój, ale wszyscy byli przygotowani na najgorsze.

Gdy kobietę zabrano na badania, Dix usiadł w prawie pustej poczekalni i zabrał się do lektury National Geographic z 1997 roku.

Usłyszał jej krzyk, wstał automatycznie i podszedł do odgradzonej zasłoną niszy.

- Szeryfie, musimy wypełnić dokumenty.

Zrobił, co mógł, ale ponieważ nie miał pojęcia, kim była kobieta ani jaka była historia jej chorób, większość rubryk pozostała pusta, poza imieniem: Jane Doe *[* Jane Doe - amerykański odpowiednik polskiego N.N. (przyp. tłum.)].

Dix wyjął komórkę i zadzwonił do Emory'ego Coxa, żeby dowiedzieć się, co się dzieje.

- To dziwne, szeryfie, ale mieliśmy tylko jeden telefon i nie uwierzy pan, ale to była pomyłka.

- Nie, nie wierzę. Pewnie chodziło o przemoc w rodzinie i jutro żona pojawi się u nas ze złamanym nosem i cała w siniakach. Zobaczymy.

- Jak na razie wydaje się, że wszyscy zachowują się mądrze i siedzą w domach.

- Miejmy nadzieję, że nadal tak będzie, Emory. Ja jestem w szpitalu, mam tu pewne kłopoty - Opisał Emory'emu, jak znalazł kobietę, wiedząc, że pewnie Amalee opowiedziała już o tym połowie ludzi w mieście. - Chciałbym, żebyś posłał dwóch ludzi, Clausa i B.B., żeby poszukali samochodu tej kobiety. Nie, nie wiem, jaki to rodzaj auta, bo ona w tej chwili prawie nic nie pamięta. Chcę, żebyś sprawdził raporty o zaginionych młodych kobietach w całym hrabstwie. Jeśli do jutra rana nie przypomni sobie, kim jest, przepuścimy jej odciski palców przez System Identyfikacji Lini Papilarnych, może dopisze nam szczęście. Jeżeli będzie trzeba, jutro możecie zrobić jej zdjęcie, które roześlemy. Sprawdź motele i hotele w promieniu piętnastu mil od Maestro. Mogę tylko powiedzieć, że ma po trzydziestce, ciemne włosy, jasną cerę i bardzo zielone oczy. Jest raczej szczupła, może biega. Jej ramiona i nogi wydawały się silne, kiedy sprawdzałem, czy czegoś nie złamała. Jest wysoka, pięć stóp dziewięć, może dziesięć. Samochód powiedziałby nam wszystko, bo pewnie w środku są jej dokumenty, albo moglibyśmy ją zidentyfikować po tablicach rejestracyjnych, więc przekaz Clausowi i B.B., że ten samochód to priorytet.

Pół godziny później podszedł do niego doktor Mason Crocker.

- Wydaje się, że fizycznie wszystko z nią w porządku, szeryfie. Prześwietlenie nic nie wykazało. Nie ma śladu żadnych złamań ani obrażeń wewnętrznych. Może cierpieć na wstrząs pourazowy i myślę, że jest pod wpływem narkotyków. Coś jest nie tak z jej oczami, są rozszerzone i mgliste. Jest niespokojna i ma wysokie ciśnienie. Nie wiem, co to za narkotyk, rzadko spotyka się takie objawy. Posłaliśmy jej krew na badania toksykologiczne.

- Myśli pan, że została podtruta? Doktor Crocker wzruszył ramionami.

- Nie mogę tego wykluczyć. Ale wydaje się, że ona już z tego wychodzi. Jednak będziemy musieli zatrzymać ją na obserwacji.

- Tak, proszę ją dokładnie zbadać.

- Powiedział pan, że znalazł ją w lesie.

- Tak. Właściwie to Brewster ją znalazł.

- Nie miała przy sobie żadnych dokumentów?

- Gdzieś w lesie może leżeć jej torebka, ale powiedziała mi, że nigdy jej ze sobą nie brała, chociaż nie pamięta, co robiła. Jutro pošlę chłopców na poszukiwania.

Ona nie pamięta, kim jest, jak się zraniła ani jakim cudem znalazła się nieprzytomna w lesie.

- Myśli pan, że udaje?

Doktor Crocker potrząsnął głową.

- Nie sądzę. To może być amnezja historyczna. Utrata pamięci dotyczy tylko konkretnych wydarzeń, bo ona wie, kto jest prezydentem i jak kiepsko grają Redskini. Czasami ludzie, którzy zostali ciężko skrzywdzeni albo sterroryzowani, muszą na jakiś czas o tym zapomnieć, taka reakcja obronna organizmu. Mam nadzieję, że ta kobieta nie uciekła z Więzienia Dobbsa.

- Też mam taką nadzieję. Zadzwońię do nich i poproszę, żeby sprawdzili. To był żart.

- Może była na pikniku czy coś.

- W taką pogodę?

Może jest z Kalifornii. Wie pan, szeryfie, jeśli ktoś uderzył ją w głowę, żeby ją obrabować, mógł ukraść dokumenty.

- Tak, wpadłem na to - powiedział Dix, unosząc brew.

- To co pan z nią zrobi? Jeśli wszystko będzie w porządku, jutro rano ją wypuścimy.

- Pomyślę o tym. Życzę panu nudnej nocy, doktorze.

Rozdział 5

- Dziękuję za podwiezienie, Penny - powiedział Dix do trzydziestoletniej policjantki, która umiała się boksować i była żoną dyrektora zakładu pogrzebowego. - Mam nadzieję, że masz mnóstwo gorącej kawy.

- Tommy nie wypuściłby mnie z domu, gdybym nie zabrała jego gigantycznego termosu wypełnionego po brzegi tą lurą, która on nazywa kawą. Nic mi nie będzie, szeryfie.

Brewster i obaj chłopcy czekali na niego spragnieni wszystkich krwawych szczegółów. Dopiero po pierwszej Dix, z psem przytulonym do pleców, wreszcie zasnął.

Następnego ranka śnieg osłabł, w ciągu nocy napadało go nie więcej niż stopę. Dix zabrał się do robienia śniadania, a chłopcy odśnieżyli podjazd i pobiegli do lasu, gdzie znalazł kobietę. Brewster dowodził wyprawą, co oznaczało, że ganiał wokół nich, aż zupełnie opadł z sił. Rob przyniósł psiaka do domu i położył w kuchni obok ciepłego pieca.

- Omal się nie udusił w zaspie, tato. Chyba ma dosyć. Nie znaleźliśmy portfela tej pani ani torebki, ani niczego. Za dużo śniegu.

- Dziękuję, że szukaliście. Siadajcie, śniadanie gotowe. Jeżeli Dix w czymś był naprawdę dobry, to w robieniu śniadań. Cały dom pachniał smażonym bekonem, jajkami, owsianką z brązowym cukrem i muffinkami z czarną borówką.

O dziesiątej chłopcy wyszli z sankami przerzuconymi przez ramię i skierowali się ku Wzgórzu Breakera, gdzie zbierze się połowa nastolatków z Maestro razem z kilkorgiem co bardziej surowych rodziców. Dix dokończył odśnieżanie podjazdu i pojechał do szpitala. Po drodze wstąpił na posterunek, ale na szczęście nie było większych katastrof, żadnych karamboli ani zerwanych linii wysokiego napięcia.

Nikt też nie znalazł porzuconego samochodu, nie zgłoszono zaginięcia żadnej kobiety. Nikt o odpowiednim rysopisie nie zameldował się w żadnym pobliskim motelu ani hotelu. Dix oczekiwał, że kobieta zatrzymała się w motelu Buda Baileya, gdzie na ogół gościli przyjezdni. Najwyraźniej ktoś ją uderzył. Zostawili ją samą w lesie czy udało się jej uciec i zemdląła? Potrzebował tylko jej samochodu. Czy napastnicy mogli uderzyć ją w głowę, a potem odjechać jej autem? Ukryć je gdzieś?

Może przyjechała tu w jakimś konkretnym celu, który komuś się nie spodobał. A może ktoś przewiózł ją kawał drogi od miejsca, w którym została zaatakowana.

Główne drogi zostały już odśnieżone, a padający drobny śnieg nie powinien przysporzyć problemów. Ale prognozy zapowiadały duże opady po południu.

Zadzwoił Emory, żeby sprawdzić, co się dzieje.

- Ktoś musiał ją widzieć - powiedział Dix. - Sprzedał jej benzynę, jedzenie, cokolwiek.

- Może nie przyjechała tu sama.

- Gdyby tak było, ktoś już na pewno zgłosiłby jej zaginięcie.

Emory westchnął.

- Może to jej staruszek próbował się jej pozbyć.

- Nie miała obrączki.

- Ja też nie noszę, szeryfie, a jestem tak żonaty, że Marty może kończyć za mnie zdania.

- To dziwne, ale ona nie wydawała mi się zameżna. Emory nie zrozumiał, co szeryf miał na myśli, ale nie drażył tematu.

Dix znalazł doktora Crockera w pokoju pielęgniarek na drugim piętrze, mężczyzna był jeszcze bardziej wymięty niż wczoraj, stetoskop niemal spadał mu z szyi.

- Był pan w ogóle w domu zeszłej nocy, doktorze?

- Nie, nie opuszczałem szpitala od sześciu tygodni. Żartuję, szeryfie. Nasza pacjentka bardzo się stara tego nie okazywać, ale jest przerażona, co zrozumiałe po takiej nocy. Poza tym wciąż nie pamięta, kim jest ani w jaki sposób znalazła się w twoim lesie. Rana na głowie nie jest groźna. Mamy weekend, więc większość wyników dostaniemy dopiero w poniedziałek.

Dix zadał doktorowi Crockerowi jeszcze parę pytań, po czym poszedł do pokoju dwieście czternaście. Sala była dwuosobowa, ale kobieta była sama. Siedziała, oglądając wyciszone kreskówki w telewizji. Na skroni miała biały plaster, nic więcej. Nie ruszała się.

- Liczysz w metrach? - spytała, zobaczywszy go.

- Słucham? W metrach? Nie, w stopach i calach, jak większość Amerykanów. Dlaczego pytasz?

- Przed chwilą mi to wpadło do głowy. Zdałam sobie sprawę, że bez trudu przeliczam na metry i centymetry i z powrotem. Nie mówię, jakbym była z Europy, prawda?

- Nie, jesteś Amerykanką do szpiku kości. Powiedziałbym, że z okolic Waszyngtonu w stanie Maryland.

- Może jestem nauczycielką matematyki i uczę systemu metrycznego.

- Może. Wygląda na to, że już niedługo sobie wszystko przypomnisz, ale nie forsuj się, dobrze? Zrelaksuj się. Jak twoja głowa?

- Boli, ale dam sobie radę.

Dziwne, ale wydawało mu się, że ona ze wszystkim sobie poradzi. Dix wyjął z kieszeni małe czarne pudełko, otworzył je i rozłożył przyrządy na stoliku przy łóżku.

Kobiet patrzyła przez chwilę, po czym spytała:

- Zamierzasz pobrać moje odciski palców?

- Tak. Mam taki przenośny zestaw, którego używam, kiedy ktoś nie może przyjść na posterunek. Może miałaś pracę, która wymagała rejestracji odcisków.

- Mogę być w NCIC?[* NCIC (National Crime Information Centre) - Krajowe Centrum Informacji Kryminalistycznej (przyp. tłum.)] - Gdy tylko wypowiedziała te słowa, zmarła.

- NCIC... Wiesz, co to znaczy?

Widział, że kobieta bardzo się stara, i uniósł dłoni.

- Nie, przestań. Prześlę twoje odciski do IAPIS. To Zintegrowany System Identyfikacji Linii Papilarnych. Jeśli jesteś jednym z czterdziestu milionów pracowników służby cywilnej, otrzymamy odpowiedź w ciągu dwudziestu czterech godzin.

- Zapomniałam, jak masz na imię.

- Dixon Noble. Jestem szeryfem Maestro.

- Maestro. Jaka dziwna nazwa. Czarująca, ale dziwna.

- Lepsze niż Tulipan w Montanie.

Uśmiechnęła się, ale z jej oczu nie zniknął ból. Znał to spojrzenie, znał aż za dobrze. I prawie czuł, jak kobieta usiłuje opanować panikę.

- Chcesz aspirynę?

Nie, aż tak bardzo nie boli. Słyszałam, jak pielęgniarki o mnie rozmawiały. Zastanawiały się, co lekarze ze mną zrobią.

- To żaden problem - powiedział Dix. - Zabieram cię do domu.

Pielęgniarka uparła się, żeby kobieta dojechała do drzwi wyjściowych na wózku. Gdy usiadła w fotelu pasażera w range roverze, przyjrzała się szeryfowi, który wycofywał auto z parkingu, po czym wpatrzyła w jaskrawe, poranne słońce, odbijające się od śniegu.

- Ten widok jest taki piękny i wydaje się znajomy, więc chyba nie jestem z Arizony.

- A to ciekawe. Jakaś część ciebie czuje się dobrze przy tej okropnej pogodzie.

- Raczej żalosne.

- Moi chłopcy szukali w lesie, tam, gdzie cię znalazłem, ale na nic nie natrafili. Na dziś popołudnie zapowiadali więcej śniegu, ale wygląda na to, że spece od pogody znowu się pomylili. Później przyjdzie Emory i zrobi ci kilka zdjęć. Pokażemy je wszystkim w okolicy. Ktoś musiał cię widzieć, ktoś na pewno cię zapamiętał.

- Jestem prawie pewna, że nie mieszkam w okolicy, więc musiałam gdzieś wynająć jakiś pokój. Podoba mi się twój samochód - powiedziała, zaskakując go. - range rovery świetnie trzymają się drogi, ale kiedy jadę jako pasażer i trasa jest wyboista, robi mi się w nich niedobrze.

- A jaki masz 'samochód'?

- Bmw. No tak, świetna próba, ale nie jestem pewna, przepraszam. Bmw był pierwszym, jaki przyszedł mi do głowy, więc może... Mam nadzieję, że bez względu na to, jaki jest, wkrótce znajdziecie mój samochód. Wtedy w sekundę będziecie wiedzieli, kim jestem.

- Skąd?

- Sprawdźcie numer nadwozia, nie mówiąc już o tablicach rejestracyjnych.

- Tak, to prawda - przyznał. - Moi ludzie szukają twojego auta. Jeśli ten ktoś, kto cię uderzył, próbował je ukryć, to miał szczęście. Cały ten śnieg doskonale zakamuflował samochód.

Kobieta odchrząknęła.

- Wygląda na to, że ktoś próbował mnie wyeliminować i po części mu się udało.

- Wszystko będzie dobrze, - powiedział spokojnie. - Ale zastanawiam się, jak dotarłaś do mojego domu.

- Może las był w pobliżu? - Kobieta nie wydawała się zmartwiona, co było dziwne u cywila. Była raczej ciekawa niż przerażona, jakby stała przed problemem, który musiała rozwiązać.

- A może udało ci się dojść do lasu o własnych siłach?

- Kto wie? - Roześmiała się, po raz pierwszy szczerze.

- I oto jestem, równie bezużyteczna jak ratownik, który nie umie pływać. Co mogłam takiego zrobić, że ktoś zadał sobie tyle trudu?

- Niemal widzę trybiki w twojej głowie. Przestań się starać. Odpocznij. Wspomnienia wracają coraz szybciej. Już niedługo wszystko sobie przypomnisz. Myślisz, że masz zwykłą beemkę?

- Nie, sportową. - Znowu zaczęła się śmiać. - Możesz w to uwierzyć?

- Doktor Crocker powiedział mi, tobie pewnie też, że fragmenty informacji będą do ciebie wracały, ale największe elementy jeszcze przez chwilę pozostaną w ukryciu. Tak, jak powiedziałem, przestań się starać. Może rozpoznasz swój samochód, kiedy go znajdziemy.

- Twoja żona musi być bardzo tolerancyjną kobietą.

- Była.

Kobieta nic nie odpowiedziała. Znowu rozboleła ją głowa.

Ku jej zaskoczeniu, zanim zdążyła cokolwiek powiedzieć, szeryf wręczył jej termos.

- Boli cię. Weź jeden z tych proszków przeciwbólowych, które ci dali.

Skinęła głową, wzięła dwie tabletki, popiła kawą i oparła głowę o siedzenie.

Gdy tylko otworzyła drzwi samochodu, usłyszała głośne szczekanie.

- To B rew ster. Niezły z niego pies myśliwski. Uważaj, żeby cię nie obsiusiał.

Psiak jej nie obsiusiał, ale gdy tylko zobaczył kobietę zwiniętą na sofie, przytulił się do niej i polizał po brodzie. Szeryf przykrył ją dwoma ręcznie haftowanymi kocami. Miała ochotę spędzić na tej cudownej, miękkiej sofie cały dzień.

Obudziła się, kiedy usłyszała głos szeryfa:

- Ciszej, chłopcy, mamy gościa.

- Ta pani, którą znalazłeś wczoraj w nocy, tato?

- Tak. Nic jej nie będzie, ale wciąż nie pamięta kilku rzeczy, między innymi tego, kim jest.

Dix zobaczył, że kobieta się obudziła i patrzy na całą trójkę.

Jeszcze raz przedstawił jej chłopców.

- To ja zrobiłem ci gorącą herbatę - przyponmiał Rob.

- Tak, pamiętam. Dziękuję ci.

- Nie wiem, jak mam się do ciebie zwracać - powiedział Dix.

- Hm. Może Madonna?

- Nie masz przerwy między przednimi zębami - zauważył Rob.

Przesunęła językiem po zębach.

- A możecie udawać, że mam? I że jestem blondynką?

- Madonna ciągle zmienia kolor włosów, więc to żaden problem - zdecydował Rob.

- Mama lubiła Madonnę, mówiła, że ona ma taką wyobraźnię, że będzie kreowała siebie na nowo, aż skończy osiemdziesiąt lat i może wtedy kupi Florydę - dodał Rafer.

Rafer, inaczej niż jego brat, miał jasnobrązowe włosy i ciemne oczy ojca - kombinacja, która kiedyś będzie przypisywała dziewczęta o zawrót głowy. Obaj bracia byli na razie chudzi jak szczapy, ale było widać, że wyrosną na dużych mężczyzn, jak ich tata. A mama?

- No dobrze - powiedział Dix. - W takim razie Madonna. Rob, możesz zrobić Madonnie herbaty i kilka tostów z dżemem?

Rob popatrzył na leżącą na sofie kobietę. Wyglądała naprawdę marnie.

- Pewnie, tato.

Rozległo się pukanie do drzwi. Rafer poszedł otworzyć, a Brewster szczekał wściekle u jego stóp.

To był Emory Cox, zastępca Dix'a.

- Przyszedłem zrobić zdjęcie, szeryfie. Dzień dobry pani.

Dix przedstawił gościa.

- Na razie nazywaj ją Madonna, Emory.

Emory zrobił polaroidem sześć zdjęć, po czym Dix wyprowadził go z salonu tak, żeby nikt nie mógł ich usłyszeć.

Rafer stał w drzwiach i przyglądał się gościowi. Otworzył usta, po czym je zamknął.

- Wiesz coś o podwójnej spirali DNA, Madonna?
- Pewnie, Rafe, chodź tu i pogadamy o tym.
- Pokażę ci mój model!

Rozdział 6

Cmentarz Narodowy

Arlington, Wirginia

Sobota rano

Lekki śnieg przestał padać dwie godziny temu, o siódmej. Niebo było ołowianoszare, chmury ciężkie od zapowiadanego na popołudnie śniegu.

Agent Ron Latham stał obok agentki Connie Ashley, która studiowała mapę cmentarza.

- Dlaczego Moses Grace miałby przyjechać akurat tutaj?

Myślę, że Rolly ma kosztowne potrzeby, które musi zaspokoić... - Raczej pragnienie - zauważyła Connie.

- Do tego wszystkiego facet jest alkoholikiem? - Agent Jim

Farland udawał, że rozmawia przez komórkę.

- Nie, chyba nie. Później ci opowiem o jego ulubionym napoju. Jim Farland powiedział głośno do komórki:

- Cześć, mamó. Tak, idziemy do sektora dwudziestego siódmego, gdzie są pochowani dawni niewolnicy... Tak, i po 1900 roku ponownie pochowali tam zmarłych przed wojną domową. Słuchaj, mamó, muszę iść, pogrzeb zaczyna się za dwadzieścia minut. Do zobaczenia.

- Tak szybko zorganizowali tę operację, że chyba nie łapię wszystkich szczegółów - powiedział Ron do Connie. - Mamy udawać turystów, dopóki nie pojawią się Moses Grace i Claudia, holując Pinky'ego Womacka?

- Tak mi powiedział ten psychol. Ruth mówiła, że Rolly nigdy jej nie zawiódł. Musimy na nim polegać, dopóki sami się czegoś nie dowiemy. Miałam telefon Ruth tylko dlatego, że jestem kobietą, a Rolly nie dogaduje się z facetami. No cóż, pora się ruszyć.

- Podoba mi się ta poduszka na twoim brzuchu, Ashley - powiedział Ron z krzywym uśmiechem. - Ile masz dzieciaków?

Connie przystanęła, żeby pomasować sobie plecy. To nie było tylko na pokaz. Chodziła po cmentarzu już od dwóch godzin, zatrzymując się, żeby posłuchać mów pogrzebowych czy zamienić parę zdań z innymi agentami, spacerującymi w przebraniu turystów po ogromnym cmentarzu. Przeczytała w ulotce, że pochowano tu ponad dwieście sześćdziesiąt tysięcy ludzi. Zastanawiała się, czy zdąży przejść koło każdego nagrobka i pomnika, zanim skończą. Pomyślała o Ruth, miała nadzieję, że ona miała lepszy weekend. Wolałaby być z koleżanką na pustkowiach Wirginii, niż czekać tutaj na pojawienie się starego wariata. Snajperzy zajęli pozycje wszędzie tam, gdzie mogli się ukryć, już o ósmej rano.

Savich stał przy Bramie Pamięci w sektorze trzydziestym i rozmawiał przez komórkę ze swoim szefem, Jimrnym Maitlandem.

- Na razie nie widać ani śladu. - Tak samo jak godzinę temu, gdy składał raport, ale tego już nie powiedział. - Na szczęście nie ma tu wielu prawdziwych turystów, ze względu na pogodę. Mamy oko na te kilka osób i staramy się nie robić nic, co zwróciłoby uwagę Mosesa Grace.

Maitland westchnął.

- Jeden z moich chłopców gra dzisiaj w kosza, po raz pierwszy w reprezentacji Maryland, a ja siedzę w tej cholernej ciężarówce i czekam na psychopatę, który bez skrpułów podłożył bombę moim agentom. Nie sądzę, żeby Pinky jeszcze żył. A ty, Savich?

- Tak, to mało prawdopodobne. Ten, kto wyciął taki numer w motelu, na pewno nie będzie się starał utrzymać Pinky'ego przy życiu. Ale nie mówiłem tego pannie Lilly, ona wciąż ma nadzieję. Pinky to taki oryginał, nigdy nikomu nie zrobił krzywdy, ale zawsze za dużo mówił. Mam drugi telefon, który powinienem odebrać. Zadzwoń do ciebie za godzinę i zdam ci raport. Możesz posłuchać tego meczu koszykówki przez radio?

- Liczę na to, Savich.

Savich uniósł twarz do ołowianoszarego nieba i wciągnął świeże, ostre powietrze głęboko w płuca. Czuł, że Moses Grace jest blisko. Poczul wibrowanie komórki.

- Słucham, Savich.

- Cześć, chłopcze. Mówi twoja Nemezis. Czy to nie wspaniałe słowo? Claudia znalazła je w książce, powiedziała, że właśnie tym dla ciebie jestem.

Savich zamarł, a jego umysł pracował jak szalony. Wiedział, po prostu wiedział.

- Kto mówi?

- Nie wiesz? Biedny staruszek, którego usiłujesz dopaść, zabić i zakopać głęboko pod ziemią, agencie Savich. Widziałem cię w telewizji po naszej małej imprezie w Motelu Hootera, w lokalnej stacji, bardzo wczesnie rano. Założę się, że nie pospałeś sobie. Muszę ci powiedzieć, naprawdę byłem pod wrażeniem. Ale widzisz, to ja ustalam zasady, a ty stosujesz się do nich jak głupi leming. To cię pograży, kiedy staniemy twarzą w twarz. Ale masz gadane, chłoptasiu, cały chłodny i opanowany jak na kogoś, kto przed chwilą o mało nie wyleciał w powietrze. Szkoda, że nie skręciłeś karku, kiedy skakałeś z tego cholernego balkonu, to by bardzo ułatwiło sprawę. Claudia, moja mała, słodka dziewczynka, powiedziała, że jesteś atletą i że ma na ciebie chrapkę. Cały się zarumieniłem od słuchania, co chciałyby z tobą zrobić. Co do Pinky'ego, to nie powiedziałbym, żeby był w najlepszej formie.

- Co mu się stało?

- Powiedzmy, że mały gnojek jest tam, gdzie powinien. Savich poczuł mdłości. Miał ochotę wycisnąć z tego człowieka resztki życia, przerwać raz na zawsze potok obmierzłych słów.

- Czyli gdzie?

Od skrzeczącego śmiechu Mosesa Savichowi ścierpła skóra.

Czy ten stary potwór patrzył na niego teraz?

- Cóż, sprawy wyglądają następująco, agencie Savich. Pinky już jest pod ziemią. Znajdź grób szeregowego Jeremy'ego Williamette, chłopak zmarł w Korei w wieku osiemnastu lat. Tyle, ile ma teraz Claudia. To ona wybrała miejsce, w którym Pinky będzie rezydował, dopóki wy, chłopcy, nie wyciągniecie jego ciała.

- Skąd masz numer mojej komórki?

- Od Pinky'ego, rzecz jasna. Okazało się, że dała mu go Miss Lilly, i wiesz co?

Savich milczał. Myślał o Pinkym, który pewnie był martwy już w Motelu Hootera. Pochowali go

razem z żołnierzem?

- Chcesz, żebym ci to przeliterował, chłopcze? Bardzo proszę Nikt mnie nie pokona, a już na pewno nie taki kiepski glina jak ty. - Roześmiał się i Savich słyszał, jak pryska śliną. - Znasz Rolly'ego, tego małego perwersa, który donosi agentce Warnecki? Myślę, że dużo trudniej będzie wam znaleźć jego. Słyszałem, że ta mała, ruda agentka, która tam stoi, to twoja żona. Powiedziałem Claudii, że te gliny mają więcej jaj niż mózgu, ale mnie nie słuchała. Jest strasznie podekscytowana i trudno ją winić. Wygląda na to, że bardzo się napracowaliście, żeby mnie złapać, naprawdę to doceniam. Dzięki temu czuję się ważny. Ilu was tam jest? Dwudziestu? Czterdziestu? Wszystko dla mnie i dla Claudii.

Słowa wypłynęły z ust Savicha, zanim zdążył je ocenzurować.

- W jednym masz rację, zwariowany staruchu. Zabiję cię i zakopię naprawdę głęboko.

Moses parsknął i odkaslnął. Savich słyszał bulgotanie śliny w jego gardle. Czyżby był chory?

- Nie, nie zastrzeliłbyś mnie w zemście, to jedna z waszych kretyńskich reguł. Zgarnąłbyś mnie uprzejmie i z honorami, nawet pomógłbyś mi dostać miłego, sprytnego prawnika, który twierdziłby, że słyszałem głos mojej dawno zmarłej matki, która zamykała mnie w piwnicy, aż skończyłem szesnaście lat i nie jestem za nic odpowiedzialny. Nie chciałbyś być okrutny wobec człowieka upośledzonego psychicznie, prawda? Może nawet wylądowałbym w przytulnym szpitalu wśród słodziutkich pielęgniarek, kręcących mi dupeczkami przed nosem. Kurcze, to wydaje się znajome.

Problem polega mi tym, chłopcze, że tobie brakuje jeszcze jaj, żeby mnie zabić. Popatrz tylko na swoją żonę, taka poważna i czujna, z tymi pięknymi rudymi włosami, założę się, że są gęste i bardzo miękkie. Claudia bardzo jej nie lubi. Może znajdzie się dla niej miejsce obok Pinky'ego, kiedy Claudia z nią skończy.

I zapadła cisza. Moses Grace się rozłączył.

Savich zadzwonił do Sherlock, która z ołówkiem w ręku sprawdzała z listą nazwiska na nagrobkach. Moses na nią patrzył. Odeszła od Pomnika Rough Riders w sektorze trzydziestym szóstym i zatrzymała się, rozglądając po nagrobkach. Mniej niż trzy jardy od niej stała prawdziwa turystka, grubo ubrana w ochronie przed porannym chłodem, chuchała w dłonie i przestępowała z nogi na nogę..

Savich był tak przerażony, że poczuł mdłości. Sherlock stanowiła idealny cel dla każdego strzelca z bronią z teleskopem. Nie wątpił ani przez chwilę, że Moses miał taką broń i że potrafił strzelać. Jak daleko byli i gdzie? Savich uśmiechnął się dziko, gdy zadzwonił telefon Sherlock.

- Sherlock, na ziemię! Natychmiast się ukryj! - Ale skąd padnie strzał?

Nie minęła nawet minuta, a Sherlock już była otoczona przez agentów ubranych w kamizelki kuloodporne. Parę minut później Savich, z Sherlock u boku, maszerował szybko do sektora dwudziestego siódmego, gdzie według planu cmentarza spoczywał szeregowiec Jeremy Williamette. Ku zaskoczeniu Savicha Sherlock o nic go nie spytała, gdy kazał jej paść na ziemię, a teraz bez słowa kroczyła w zwartej grupie kobiet i mężczyzn, którzy otaczali ją z bronią gotową do strzału. Gdy pośpiesznie się zebrali, Savich popatrzył na każdego z nich po kolei i powiedział:

- Przed chwilą dzwonił do mnie Moses Grace. Jest tutaj, jest kompletnie szalony i dam sobie głowę uciąć, że ma broń z teleskopem. Musimy być bardzo ostrożni. Rozmawiał ze mną o Sherlock, groził jej.

Savich chyba nigdy nie był tak czujny. Rejestrował każdy dźwięk, każdy odgłos kroku wokół niego. Sherlock szła obok niego, bez przerwy badając wzrokiem okolicę. Przynajmniej nie muszą już

udawać turystów na tym zimnie, mogą skupić się na szukaniu tego starego potwora i Claudii.

- Maitland przysłał lekarza sądowego - powiedział do żony - techników i jeszcze tuzin agentów, żeby znowu przeszukali całą okolicę. Wie, że Moses Grace tu jest, i martwi się tak samo jak my.

Sherlock skinęła głową.

- Jeśli przywieźli tu Pinky'ego dziś rano, to nie mieli wiele czasu. Może coś zostawili - powiedziała, czujnie rozglądać się dokoła, tak samo jak on.

Agenci otoczyli grób szeregowca Jeremy'ego Wiliamette.

Nagrobek niczym się nie różnił od tysięcy pozostałych. Wielkie litery układały się w napis:

JEREMY ARTHUR WILLIAMETTE UKOCHANY SYN
SZEREGOWIEC ARMII STANÓW ZJEDNOCZONYCH KOREA

18 maja 1935 - 10 września 1953

Nikt nie odezwał się ani słowem, ale wszyscy odczuli boleśnie śmierć młodego człowieka, poczuli, że był jednym z nich.

Connie Ashley, która już odwiązała poduszkę z talii, powiedziała:

- To wygląda naprawdę świeżo.

Savich popatrzył na przyprószoną śniegiem czarną ziemię i ohydny bukiet zwiędniętych czerwonych róż i poczuł smutek. Chciał uratować Pinky'ego, ale było już za późno. Podniósł bukiet róż przewiązany wielką, złotą kokardą. Parę stopni mniej i kwiaty by zamarzły. Podał bukiet agentowi Donowi Grassi.

- Dowiedz się, gdzie Moses Grace kupił te róże. Mógł je zabrać z innego grobu, ale popytaj w najbliższych kwiaciarniach.

Dane Carver spytał, nie odrywając oczu od czarnej, sypkiej ziemi:

- Myślisz, że Moses Grace i Claudia teraz na nas patrzą? Savich powoli skinął głową, obserwując po kolei każde drzewo w okolicy.

- Tu jest zbyt wiele miejsc, w których można się ukryć.

Dwieście akrów pełnych drzew, nagrobków, budynków, pomników. - Zwrócił się do Ollie Hamisha, swojego zastępcy. - Ollie, zadzwoń do pana Maitlanda i powiedz mu, że chciałbym przeczesać to miejsce. Powiedz mu, żeby zadzwonił do Fortu Meyer i poprosił żołnierzy o pomoc.

- Myślisz, że Pinky tu jest? - Dane postawił oczywiste pytanie. Każdy agent, który tam stał, wiedział, że Pinky Womack był pod tą czarną ziemią, ale nikt nie chciał spojrzeć w twarz makabrycznej rzeczywistości. Nikt nie odpowiedział. Wszyscy stali w ciszy.

Savich zdał sobie sprawę, że czekają, aby nimi pokierował, ale on nie mógł przestać myśleć o tym, że ten potwór groził Sherlock. Ich oczy spotkały się nad grobem.

- Tak, bardzo, bardzo mi przykro, Dillon. Biedny Pinky.

- Sherlock nagle się pochyliła. - Patrzcie na to. Kulka przeżutej gumy.

Savichowi przypomniała się miseczka wypełniona kulkami przeżutej gumy na ladzie w Motelu Hootera - cała ta guma nie leżała tam dlatego, że Raymond Dykes lubił ruszać szczęką. Moses Grace zostawił ją tam celowo, tak samo jak tu.

- Zostawił ją dla nas - powiedział - żeby nas sprowokować, może to jakiś jego żart. To pewnie bez znaczenia, ale sprawdźmy ją, zrobmy testy DNA.

Savich patrzył, jak Dane chowa gumę do torebki na dowody.

Dwóch z jego ludzi przyprowadziło brygadę grabarzy.

Znaleźli ciało Pinky'ego Womacka w trumnie, oczy miał szeroko otwarte i widać było w nich

szok. Leżał na umundurowanym szkielecie osiemnastoletniego Jeremy'ego Williamette.

Z plam krwi można było wywnioskować, że Pinky został dźgnięty nożem w pierś, zapewne w serce, więc śmierć nastąpiła szybko - przynajmniej Savich miał taką nadzieję. Nie dostrzegł żadnych śladów tortur, ale będą mogli mieć pewność dopiero po autopsji.

Od razu zadzwonił do panny Lilly z Bonhornie Club.

- Biedny Pinky - powiedziała, gdy usłyszała, co się stało.

- Nie był taki zły, wiesz, Dillon? Czasami potrafił nawet rozśmieszyć Fuzza, barmana. Chociaż niezbyt często. Sama powiem jego bratu, nie martw się o to. Och, Dillon, to naprawdę okropne.

Wsuwając telefon do kieszeni, Savich wiedział, że minie sporo czasu, zanim zdoła usunąć twarz Pinky'ego ze swoich myśli. Zastanawiał się, gdzie podziała się jego żona.

Usłyszał ostre szczęknięcie broni, krzyki i zobaczył agentów biegnących z wyciągniętą bronią. Dostrzegł Sherlock, znowu otoczoną przez agentów, jak klęczy nad leżącą koleżanką i mocno przyciska dłonie do jej ramienia. Savich krzyknął jej imię, a ona podniosła na niego wzrok. Źrenice miała rozszerzone, twarz bladą jak papier.

- Connie stała niecałe dwie stopy ode mnie, Dillon. Nic jej nie było. Dzięki Bogu była cała.

Ale agentka, Connie Ashley nie. Poczul ulgę, gdy zobaczył, że jest przytomna. Kiedy ukląkł przy niej, wyszeptała:

- Nie rozczulaj się nade mną, Dillon. Przeżyję.

Mimo nacisku krew wypływała spomiędzy palców Sherlock.

Odsunął ją lekko, przyłożył zwiniętą chusteczkę do ramienia Connie i przycisnął z całej siły.

- Tak - powiedział. - Nic ci nie będzie. Ale porozczulam się nad tobą, zanim przyjedzie karetka.

- Myślę, że strzelali stamtąd - powiedziała Sherlock.

- Z północnego wschodu, przez tamte drzewa, może z drugiego piętra tamtego domu..

Savich kazał jej opowiedzieć dokładnie, gdzie ona i agentka Ashley stały, gdy padł strzał. Skinął głową.

- To wystarczająco blisko. No dobrze, sprawdźmy, czy uda nam się ich znaleźć. - Rozdzielił zadania i krzyknął, gdy agenci zaczęli się rozchodzić: - Bądźcie ostrożni! - po czym znowu ukląkł przy Connie.

- Dopadniemy go, Connie, nie martw się o to.

Z oddali dobiegło ich wycie syren. Śnieg padał coraz gęściej. Savich patrzył, jak jego żona wyciera dłonie z krwi Connie w świeży śnieg.

Wokół nich zaczęli gromadzić się turyści. Wiedział, że media mogą zjawić się w każdej chwili i miał nadzieję, że karetka przyjedzie pierwsza.

Patrzył na żonę, trzymającą Connie za rękę aż do przyjazdu ambulansu.

Rozdział 7

Maestro, Wirginia

Sobota po południu

Rafe wypił jednym haustem pół szklanki mrożonej herbaty, otarł dłonią usta i powiedział do ojca:

- Madonna opowiedziała mi o tej kobiecie, Rosalind Franklin, która dokonała wielkich odkryć o DNA, a nikt nie docenił jej pracy i nawet nie dostała Nobla.

- Hm.

- Była niewiele starsza niż mama, kiedy umarła. Nieźle, co?

- Pewnie, Rafe. Ciekawe, czego mogłaby dokonać, gdyby żyła dłużej.

- Madonna powiedziała to samo. Powiedziała, że to Rosalind Franklin zrobiła pierwsze zdjęcie podwójnej spirali molekularnej.

Dix zastanawiał się, dlaczego nigdy nie słyszał o Rosalind Franklin, ale nic nie powiedział. Postawił przed synem miskę rosółu z kluskami, drugą umieścił na tacy i zaniósł do salonu. Madonna leżała wsparta na trzech poduszkach, a Brewster rozłożył się jej na piersi z pyskiem na przednich łapach. Oczy mu się zamykały, gdy głaskała go po łebku. Dix przysięgłby, że jej spojrzenie było dużo bystrzejsze niż godzinę temu.

Zgonił Brewstera na podłogę, postawił jej tacę na kolanach i przysunął sobie krzesło.

- To najlepsza zupa Campbella. Mam nadzieję, że będzie ci smakować, moi chłopcy ją uwielbiają. Ile mil biegasz tygodniowo?

- Nie więcej niż piętnaście, nie chcę przeforsować kolan i...

- Odłożyła łyżkę na tacę. - Biegam i mam na imię Madonna. Po prostu świetnie. Kurczę. Może do tego jestem bogata, skoro wygląda na to, że mam beemkę? Jak myślisz?

- Może. Ja też staram się biegać nie więcej niż piętnaście mil tygodniowo.

Zjadła trochę zupy, po czym znowu odłożyła łyżkę.

- Szeryfie, czy w okolicy jest coś ciekawego? No wiesz, dla turystów? Wydaje mi się, że lubię wycieczki. Czy jest tu coś, co mogłabym chcieć zobaczyć?

- Piękne widoki, co oznacza, że mogłaś przyjechać na piknik albo wędrowkę, albo może szukałaś staroci w okolicznych miasteczkach. Tyle że już od dłuższego czasu zapowiadali tę śnieżycę. Nie sądzę, żebyś chciała wędrować w oślepiającym śniegu.

- Nie, chyba nie. Więc musiałam przyjechać tu z innego powodu. - Skończyła zupę, westchnęła i odłożyła łyżkę. Dix odstawił tacę na stolik i poklepał się po nodze. Brewster wskoczył mu na kolana i wtulił pysk w jego dłoń. Madonna wyjrzała przez szerokie okno.

- Chyba nie będzie już padać.

- Nie stawiaj na to swojej beemki. Przed chwilą byłem na dworze, chmury na wschodzie są niemal czarne i płyną w naszą stronę. Obawiam się, że może nam grozić niezła śnieżycą. Ciepło ci?

- Tak, dziękuję. Jak długo jesteś szeryfem w Maestro?

- Prawie jedenaście lat. Wybrano mnie, kiedy miałem dwadzieścia sześć lat.

Uniosła brew.

Och? I w jaki sposób zdarzył się ten cud?

Roześmiał się.

- Kiedy skończyłem dwadzieścia dwa lata i przydzielono mnie do dwudziestego siódmego posterunku na Manhattanie, ożeniłem się z córką burmistrza. Po pięciu latach w Nowym Jorku postanowiliśmy wrócić tutaj. Ojciec Christie, Chapman Holcombe - wszyscy nazywają go Chappy - poparł moją kandydaturę na stanowisko szeryfa. Jest właścicielem połowy Maestro i prowadzi interesy w całej Wirginii, więc wygrana nie stanowiła problemu.

- Mówisz do swojego teścia „Chappy”?

Popatrzył na swoje czarne buty, po czym wzruszył ramionami.

- Pewnie. Chłopcy nazywają go dziadkiem Chappym. Wyglądało na to, że były między nimi jakieś zadawnione urazy, o których szeryf nie miał ochoty mówić. Może coś w związku z jego żoną, Christine?

- Chappy ma brata, którego nazywa Twister*[* Twist (ang.) - przekręcić (przyp. tłum.)]. Tylko on tak na niego mówi.

Roześmiała się.

- Twister, niezłe imię! Jak sobie na nie zasłużył?

- Przy porodzie był ułożony nogami do przodu. Lekarz musiał schwycić jego stopy, obrócić i dopiero wtedy mógł go wyciągnąć. Ciężka sprawa, to niemal zabiło jego matkę. To ona lak go przezwiała i tylko matka i brat tak go nazywali. Mieszkała z Twisterem, ale zmarła w zeszłym roku, we śnie. Miała dziewięćdziesiąt sześć lat. Chappy wciąż go tak nazywa, a on tego nie cierpi.

- Żałujesz czasami, że tu przyjechałeś?

- Że wyjechałem z Nowego Jorku? Czasami. Uwielbiałem gry Metsów na stadionie Shea, zawsze myślałem, że będę zabierał tam chłopców. Raz wziąłem, Roba na mecz Knicksów z Boston Celtics, ale miał tylko dwa lata i zwymiotował na faceta, który siedział koło nas. Ale na ogół uważam, że Maestro to wspaniałe miejsce dla chłopców. Śladowe ilości narkotyków, żadnych gangów. Największe problemy z nastolatkami to prowadzenie po alkoholu i wycieczki do Alei Zakochanych. W ogóle nie mamy tu wielu przestępstw, ale wystarcza pracy dla całego posterunku. Ja też nie mam chwili wytchnienia. Przez Stanislausa przyjeżdża tu sporo gości spoza miasta.

- A kto to jest Stanislaus?

- Muzyczna Szkoła Stanislaus, czterystu uczniów prawie przez cały rok. Znana jest jako Juillard*[*Juillard - słynne konserwatorium nowojorskie założone w 1946 roku (przyp. tłum.)]. Południa. Jak jedziesz koło kampusu, to słyszeć śpiew i różne instrumenty tak piękne, że wydaje ci się, że umarłaś i poszłaś do nieba. Dyrektorem Stanislausa jest Twister, czyli doktor Gordon Holcombe, młodszy brat Chappy'ego.

- Hm. Wygląda na to, że Holcombe'owie tu rządzą. Stanislaus... chyba kojarzę tę nazwę.

- Jest dosyć sławna. Może czytałaś o niej przed przyjazdem tutaj.

Wzruszyła ramionami, wyciągnęła dłoń do Brewstera, który leżał na kolanach Dixy z łapami do góry, i podrapała psa po brzuchu.

- Ilu masz ludzi? Dwudziestu? Przyjrzał się jej uważnie i skinął głową. - Ile kobiet?

- Dziewięć.

- Nieźle, szeryfie.
- Znowu jesteś blada. Boli cię głowa?
- Nie na tyle, żebym musiała wziąć kolejną tabletkę.
- Jasne. Wiem, że to trudne, ale spróbuj się nie martwić.

Doktor Crocker powiedział, że wkrótce wróci ci pamięć, a na razie moi ludzie wszędzie pokazują twoje zdjęcie. Musiałaś zatrzymać się gdzieś w okolicy czy zatankować benzynę. Niedługo będziemy wiedzieli, kim jesteś. Może nawet jutro rano, jeśli twoje odciski palców są w LAPIS.

Westchnęła.

- Nie mogę przestać się zastanawiać, co ja tu robiłam. Może przyjechałam na wędrownkę albo na piknik i natknęłam się na jakichś bandytów.

- Sprawdzamy wszystkie pola kempingowe. Ale pogoda naprawdę nie sprzyja zajęciom na świeżym powietrzu, chyba że jeździłaś skuterem śnieżnym albo spacerowałaś na biegówkach. Jeździsz na nartach?

Milczała przez chwilę i wpatrywała się w swoje ręce, marszcząc brwi.

- Nie wiem. Może. Ale nie wydaje mi się.

- Dlaczego?

- Nie jestem pewna, ale mam wrażenie, że w moim życiu jest wielu ludzi i ostatnią rzeczą, jaką bym zrobiła, to wyjechała gdzieś sama. - W zruszyła ramionami i uśmiechnęła się. - Ale mogę się mylić.

Pewnie nie. Może trochę odpoczniesz, zdrzemniesz się. Pomarzysz o obiedzie, mam naprawdę dobrą potrawkę.

- Z mnóstwem keczupu?

Zupełnie jak moi chłopcy!

Madonna zasnęła w pokoju Roba o dziewiątej, ubrana w piżamę chłopca. Strój wyglądał na nie noszony i Rob powiedział, że lak właśnie jest, bo ani on, ani jego brat nie nosili piżam z tego prostego powodu, że ich ojciec też nie, nawet w środku zimy.

Leki przeciwbólowe sprowadziły na nią głęboki sen, przed oczami stały jej jak żywe różne obrazy. Stała w ciemnym miejscu, tak ciemnym, że nie widziała własnej dłoni przed oczami. Gdziekolwiek była, nie mogła stamtąd wyjść, ale to jej nie przeszkadzało. Stała otulona ciemnością i czekała na mężczyznę, który miał jej dać milion dolarów. Dlaczego po ciemku? zastanawiała się, ale to także wydawało się nie mieć znaczenia. Czekala cierpliwie, rozmyślając, czy szeryf nosił bokserki czy slipy - cóż za interesująca kwestia - ale wtedy ten obraz zniknął, a ona nadal stała w środku niczego, zastanawiając się, gdzie jest mężczyzna. Było zbyt ciemno, żeby mogła sprawdzić, która jest godzina.

Usłyszała jakiś dźwięk i jej serce przyspieszyło, bo on wreszcie tu był, mężczyzna z jej pieniędzmi, milion dolarów w złocie i to wszystko należało do niej, zarobiła je, harując jak wół. Nie wiedziała, jak zamierza unieść sztabki, ale była pewna, że sobie poradzi. Przecież miała plan. Inaczej nie byłaby taka szczęśliwa i podekscytowana, tkwiąc w środku czarnej dziury.

Znowu coś usłyszała. Czy to odgłos kroków? Mężczyzny niosącego złoto? Ale w tym momencie zdała sobie sprawę, że to nie kroki słyszy, ten dźwięk był zbyt głuchy. U siadła rozbudzona, wyskoczyła z łóżka i spojrzała w stronę okna, ale zobaczyła tylko całun gęsto padającego śniegu.

W domu było chłodno, ale przyjemnie. Na stopach miała grube, wełniane skarpetki Rafera, więc nie czuła chłodu dębowych paneli, gdy podeszła do okna i wyjrzała przez nie, wciąż myśląc o tym, co

jej się śniło. Spod okna dobiegł ją zgrzyt. Próbowwała spojrzeć w dół, ale nic nie mogła zobaczyć. Zaciekawiona otworzyła okno i wyjrzała. Pod samym oknem kucało nad czymś dwóch mężczyzn, obaj w grubych kurtkach i dżinsach wpuszczonych w ciężkie, wojskowe buty. Na głowach mieli czapki narciarskie, a na rękach grube rękawiczki. Byli niemal biali od śniegu. Musiała zrobić jakiś hałas, bo jeden podniósł głowę i zobaczył ją.

Powiedział coś, a potem poruszył się tak szybko, że ledwo zdążyła odskoczyć w głąb sypialni, gdy kula rozłupała drewno ramy okiennej niecałe sześć cali od jej głowy.

Przez okno wleciały następne dwie, trzy kule, wystrzelone z pistoletu z tłumikiem.

Rozejrzała się za bronią, ale jej nie zobaczyła. Gdzie jest jej pistolet? Zawsze miała broń pod ręką. Kolejna kula roztrzaskała to, co zostało z ramy. Podbiegła do drzwi sypialni, otworzyła je i wrzasnęła:

- Szeryfie!

W sekundę wybiegł ze swojego pokoju na końcu korytarza, z berettą w prawym ręku, lewą dopinając rozporek dżinsów. - Co się stało? Nic ci nie jest?

- Dwaj mężczyźni pod moim oknem, mają drabinę. Usłyszałam ich i kiedy wyjrzałam, oddali do mnie cztery, może pięć strzałów.

Dix minął ją i pędem podbiegł do otwartego okna. Usunął się z linii strzału, przycisnął do ramy i wyjrzał na zewnątrz. Mężczyzn już nie było, ale na śniegu zostawili mnóstwo śladów i przewróconą drabinę.

Ostrożnie zamknął roztrzaskane okno i zaciągnął zasłony.

- Masz nie odstępować mnie na krok, Madonna - polecił.

- Rob, Rafe wracajcie do swojego pokoju i zamknijcie drzwi na klucz. Już!

Chłopcy zniknęli w mgnieniu oka.

Dix pobiegł do swojego pokoju, schwycił komórkę i zadzwonił do nocnego dyspozytora.

- Curtis, w moim domu jest dwóch mężczyzn, strzelali do Madonny. Zbierz, kogo możesz, i wyślij do mnie jak najszybciej. Oni są niebezpieczni. Powiedz wszystkim, żeby byli bardzo ostrożni.

Przyczepił komórkę do paska i dokończył się ubierać. Kiedy wkładał buty, opowiedziała mu, co wiedziała. Skinął głową.

- Dobrze. Pierwszy radiowóz będzie tu za cztery minuty.

Chcę, żebyś tu została, nawet nie myśl o opuszczeniu tego pokoju. Rozumiesz?

- Ale ja... Daj mi broń, szeryfie, wiem, jak jej używać.

Rozdział 8

- Nie ma mowy, Madonno. Rób tak, jak mówię, i schowaj się za tamtą komodą.

W głębi duszy wiedziała, że nigdy nie schowałaby się za komodą ani nikt by tego od niej nie oczekiwał, ale głowę wciąż miała obolałą i pełną obrazów ze snu. Upadła na kolana i przycisnęła dłonie do uszu.

Na dole Dix odsunął zasłonę w salonie i wyrzwał na zewnątrz.

Podwórko wyglądało jak pocztówka z obrazu impresjonistów, biały puch śniegu zacierał i zmiękczał rzeczywiste kształty, wśród których wciąż czaiło się coś niepokojącego, bo gdzieś tam kryli się napastnicy. Nie dostrzegł żadnego ruchu, ale wiedział, że byłoby głupotą z jego strony, gdyby wyszedł na zewnątrz i pozwolił jednemu z tych klaunów się ustrzelić. Wiedział, że chłopcy zrobią dokładnie to, co im kazał, ale nie miał pewności co do niej, Madonny. Minutę później usłyszał syreny i zobaczył blask świateł na śniegu.

Był już w kurtce i rękawiczkach, gdy niemal jednocześnie na ulicę wjechało pięć radiowozów.

- Zostańcie na miejscach! - krzyknął, po czym powoli, z berettą w dłoni, wyszedł na werandę. Słyszał, jak Brewster szczeka histerycznie, i nie miał wątpliwości, że pies się posika.

- Szeryfie! - krzyknęła Penny - Gdzie oni mogą być? Potrząsnął głową i szybko opowiedział, co się stało.

- Szukajcie dwóch mężczyzn. Posłuchajcie. Są uzbrojeni i już strzelali, żeby zabić, więc bądźcie ostrożni. Do lasu możemy iść po ich śladach. Jeśli zgubimy ślad wśród drzew, to się rozdzielimy. Mam nadzieję, że znajdziemy ich, zanim wyjdą z lasu. Pośpieszmy się, nim śnieg zatrze wszystkie ślady.

Policjanci zebrali się wokół śladów widocznych przy przewróconej drabinie. Odciski stóp biegły prosto do lasu, ale już powoli znikały pod śniegiem.

Między drzewami natknęli się na B.B. i Clausa i we czwórkę ruszyli po śladach napastników. Wkrótce odciski stóp zniknęły, a pojawiły się małe bryłki śniegu, które odpadły od butów mężczyzn i mnóstwo połamanych w pośpiechu gałęzi. Ślady biegły do zachodniego brzegu lasu, potem cofały się o jakieś dwadzieścia stóp i znowu zawracały.

- Słuchajcie - powiedział Dix.

Usłyszeli dźwięk zapalnego silnika i rzucili się do biegu.

Między drzewami zobaczyli ciężarówkę ruszającą w stronę Wolf Trap Road. Spod kół wielkim łukiem przysnął śnieg i żwir. Byli za daleko, a śnieg padał zbyt gęsto, żeby mogli odczytać numery rejestracyjne.

- To tacoma - powiedziała Penny. - Tommy ma taką. Myłam tę cholere więcej razy, niż mogę pamiętać. Jest czarna albo ciemnoniebieska.

Dix przekazał to przez komórkę i schował telefon do tylnej kieszeni dzinsów.

- Emory będzie tu za chwilę z radiowozem. Jedziemy za tą cholerną ciężarówką. B.B., ty wróć do domu i poczekaj tam z kilkoma ludźmi. Ci kolesie szukają guza. Zaopiekuj się moimi chłopcami.

W mniej niż trzy minuty Dix, Penny, Claus i Emory siedzieli w radiowozie, Dix prowadził. Penny wychyliła się przez okno od strony pasażera i próbowała śledzić wzorkiem ślad kół ciężarówki.

- Prosto do Wolf Trap Road, szeryfie - wrzasnęła.

Jechali tak szybko, że ślizgali się i skakali z jednej strony drogi na drugą, ale przez większość czasu Dixowi udawało się trzymać samochód na drodze. Dojechali do Lone Tree Road. - W lewo, szeryfie!

Zakręcił tak ostro, że niemal wpadli do rowu, ale Dix, klnąc jak szewc, zdołał wyprowadzić auto na drogę.

Słyszał, jak Claus powtarza na tylnym siedzeniu:

- Dopadniemy ich, obedrzemy ze skóry i usmażymy ich wątroby.

- Dobry pomysł, Claus - zawołał. - szkoda, że to nie takie polowanie. Penny, zamarzałaś już tam?

- Nic mi nie jest, szeryfie. Nie jest dobrze, zbliżamy się do autostrady. Wiesz, że z Doppler Lane można wyjechać na Siedemdziesiątą Wschodnią. Będziemy mogli zadzwonić do patrolu autostrady, jak tam dojadą.

- Nie, dopadniemy ich - powiedział Dix i przyspieszył.

- Hej, tam przed nami to mogą być oni. - I jeszcze mocniej przycisnął pedał gazu. Radiowozy były świetnie zbudowane, miały nowe zimowe opony i sporo koni, ale wiedział, że ryzykuje, pędząc tak w śnieżycy. Nie sądził, żeby mężczyźni w ciężarówce odważyli się jechać tak szybko. Spojrzał na Penny, która wyszczerzyła do niego zęby i naciągnęła wełnianą czapkę nisko na oczy. Twarz miała niemal całą pokrytą szronem.

- Alleluja! Widzę ciężarówkę, mniej niż pięćdziesiąt jardów przed nami. Dopadniemy ich, szeryfie!

Claus wysunął głowę przez okno z tyłu.

- Nie widzę rejestracji, ale to wygląda jak tacoma Tommy'ego. Na pewno jest czarna.

Ciężarówką zarzuciło na obie strony, gdy wjeżdżała na autostradę, ale kierowcy udało się wyprostować.

Na autostradzie nie powinno być dużo samochodów o pierwszej w nocy przy takiej śnieżycy, pomyślał Dix, próbując utrzymać radiowóz na środku drogi.

- Emory, Penny miała rację. Zadzwoń do patrolu autostrady, może ich złapią. Za cztery mile jest zjazd do Stumptree.

Dix wiedział, że taka prędkość była szaleństwem w tę pogodę, ale nic go to nie obchodziło. Bardzo chciał dogonić tych facetów, przecież próbowali zabić Madonnę. Kim ona była? Co zrobiła lub zobaczyła? Nigdy nie powinien był przyprowadzać jej do swojego domu, do swoich synów. Ale skąd mógł wiedzieć, że będzie jej szukało dwóch zabójców?

Pędził jak szalony, ale wciąż nie widział ciężarówki. Pewnie wyłączyli światła.

- Penny, widzisz ich?

- Co chwila mi znikają.

- Emory, daj Penny swojego remingtona, niech spróbuje przestrzelić im opony, jak podjadą bliżej. Chcę mieć tych kretynów żywych. - Remington był dumą i radością Emory'ego, ale nie zaprotestował, bo Penny strzelała najlepiej na całym posterunku.

W tej chwili w szybę uderzyła kula. Szkło pokryło się pajęczyną pęknięć.

- Skurwysyn! - wrzasnął Emory.
- Penny, schowaj się! - zawołał Dix, zwalniając.
- Daj mi broń, Emory, pora na zemstę!
- Do cholery, Penny, bądź ostrożna.

Roześmiała się i sprawdziła, czy magazynek jest pełny. Penny była jak lwica, pomyślał Dix, niczego się nie bała i przyspieszył, żeby podjechać bliżej do napastników. W końcu zobaczył ciężarówkę, która jechała tak samo szybko, utrzymując między nimi stały dystans. Penny wystrzeliła, szybko i pewnie, wszystkie pięć nabojów prosto w padający gęsto śnieg.

Dix prawie nie widział ciężarówki, ale przez sekundę dostrzegł nisko jakiś błysk obok lewej opony.

- Chyba w coś trafiłaś - krzyknął do Penny. - Wyglądało na lewe tylne światło.
- Tak, też tak myślę - odpowiedziała, ładując do remingtona następnych pięć naboii, które podał jej Emory. - Hej, Emory, niezła zabawka. Ta lufa jest cięższa od mojej teściowej.
- Z okna pasażera wygląda jakiś facet! - krzyknął Emory.
- Uważaj, Penny! - Ale ona już się schowała. Usłyszeli sześć szybkich strzałów, dwie kule odbiły się od zderzaka. Penny znowu wychyliła się z okna i szybko opróżniła magazynek.
- Musimy podjechać bliżej, szeryfie, stąd nie dam rady trafić w oponę.

Dix jechał już ponad 120, ale przyspieszył do 140 km. Słyszał, jak Claus krzyczał coś do Penny, a potem wystrzelił ze swojego glocka, żeby ją osłaniać albo odwrócić uwagę ściganych.

Penny znowu naładowała magazynek - powoli, żeby nie wypuścić naboii z przemarzniętych rąk - i znowu zaczęła strzelać.

Nagle rozległ się przeraźliwy huk. Światło, które widział wcześniej, rozbłysło oślepiająco jak latarnia morska, rozświetlając na niebiesko padający śnieg. Dix usłyszał krzyk Penny i zobaczył, jak Emory odskakuje do tyłu. Kula trafiła ją w tej samej chwili, w której wybuchła ciężarówka. Świat zamarł, a Dix patrzył na pomarańczowe jak strój więźniów w Louden płomienie, strzelające w górę na dwadzieścia, trzydzieści stóp, prosto w czerwonopomarańczowe niebo. Otoczył ich dym czarny jak smoła.

Kiedy ciężarówka wybuchła z ogłuszającym hukiem, Dix już naciskał na hamulec. Przejechali przez płomienie, wokół nich latały odłamki. W dach radiowozu uderzył kawał czarnej blachy, ale nie przebił auta. Mało brakowało, a wszyscy byliby już martwi.

Dix nie przestawał cisnąć hamulca, próbując jechać prosto, ale samochód wpadł w poślizg. Modlił się przenosząc stopę z hamulca na gaz i próbując wyprowadzić auto, aż w końcu udało mu się zapanować nad samochodem.

- Szeryfie! O mój Boże!

Dix myślał, że serce mu stanie. Prosto na nich w szaleńczym tempie toczyła się płonąca opona. Dix skręcił w prawo i opona uderzyła w zderzak, popchnęła ich do przodu i w lewo.

- Trzymajcie się!

Radiowóz zatrzymał się dziesięć stóp od barierki na w miarę płaskim gruncie, na szczęście daleko od grubej ściany drzew. Zatrzymała ich zaspą wysoka na dobre cztery stopy.

Penny, przytrzymywana przez Clausa, leżała bezwładnie na siedzeniu pasażera. Z rany na jej głowie płynęła krew.

Dix poczuł zawroty głowy, ale szybko się otrząsnął. Ściągnął Penny wełnianą czapkę i przycisnął ją mocno do rany.

- Zanieśmy ją na drogę. Samochód nie ruszy. Claus, dzwoń pod dziewięćset jedenaście.

Ostrożnie wyjęli Penny z przedniego siedzenia i Emory zaniósł ją na autostradę tak delikatnie, jak nosił swą maleńką córeczkę.

Zobaczyli iskry strzelające z drutu wysokiego napięcia, który spadał na nich, wijąc się dziko. Drut nagle strzelił obok Clausa, niemal dotykając jego nogi. Odskoczył w ostatniej chwili. Patrzyli, jak drut zapada się w śnieg wciąż strzelając iskrami.

- Nic się wam nie stało? - spytał Dix.

- Nie, jesteśmy tylko trochę roztrzęsieni - odpowiedział Emory, pochylając się nad Penny i sprawdzając jej źrenice. - Ale głowa Penny nadal krwawi i jest nieprzytomna. Nie podoba mi się to.

Claus przekrzywił głowę.

- Słyszę syreny. Zaraz przyjedzie pomoc. - Popatrzył na płonąca ciężarówkę. - Ale dla nich już nic się nie da zrobić.

Rozdział 9

Madonna patrzyła, jak szeryf tuli do siebie chłopców. Bardzo się o niego bali, ale byli chłopcami i starali się tego nie okazać. Milczeli, ściskali jednak ojca tak mocno, że pewnie nie mógł oddychać. Wiedziała, że nic nie mówią, bo boją się, że się rozplaczą. Ona sama czuła się bezradna, bezużyteczna jak eunuch w noc poślubną i nienawidziła tego uczucia.

Dix odezwał się cicho do synów, mówiąc im, że jest z nich dumny i podziękował im za opiekę nad Madonną, co wywołało słaby uśmiech na jej twarzy.

W końcu Rob się odsunął i popatrzył na ojca.

- Masz krew na twarzy.

- To nie moja, nie martw się.

- Przestraszyłeś nas jak cholera. - Rob uderzył ojca pięścią w ramię.

- Nie przeklinaj - powiedział Dix automatycznie i potarł z uśmiechem ramię. - Nieźle. Za kilka lat rozłożysz mnie na łopatki. Nie sprawialiście Madonnie kłopotów?

- Nie - powiedział Rafe, który jeszcze całkiem się nie pozbierał. - Zrobiła kakao, a my opowiedzieliśmy jej o domu starego Steetera, jak on kradł małe dzieci i je więził. Ona powiedziała, że nie może nam opowiedzieć żadnej historii, bo nic nie pamięta.

Dix uniósł brwi.

- Na pewno lepiej się poczuła po tej historii, pewnie żałowała, że sama nie może wam nic opowiedzieć.

- Madonna chce zobaczyć ten dom - powiedział Rob. Sprawdzić, czy nie ma tam jakichś sekretnych przejść.

- Stary pan Steter zmarł dziesięć lat temu - wyjaśnił jej Dix - i zostawił wielki wiktoriański dom bratankowi, który nigdy do niego nie przyjechał, a mnóstwo kruczków prawnych zabrania go wyremontować czy sprzedać. Dzieciaki opowiadają sobie o tym domu przedziwne historie.

- Fajnie byłoby go obejrzeć, jeśli obiecasz, że nie będą nas prześladować żadne duchy. Chcesz kakao, szeryfie?

- Z wielką chęcią. - Dix zdjął kurtkę i rękawiczki i poszedł do łazienki, żeby zmyć krew z twarzy. Po powrocie do kuchni opadł na krzesło, a Rob i Rafe nie odstępowali go ani na krok. - Opowiesz nam o tym wszystkim, tato?

- Złapałeś tych facetów, którzy strzelali do Madonny? Skąd ta krew?

- Było dosyć nieprzyjemnie, Rafe. Goniliśmy ich na autostradzie. Penny musiała trafić w ich bak z benzyną, bo ciężarówka wybuchła. Tamci mężczyźni nie przeżyli. Na twarzy miałem krew Penny. Została ranna w głowę i odpoczywa w szpitalu. Nic jej nie będzie. Straż pożarna usuwa resztki ciężarówki.

Opowiedział chłopcom dosyć, by zaspokoić ich głód wrażeń, pomyślała Madonna, ale nie tyle,

żeby stało się to dla nich zbyt prawdziwe. Ale i tak te fakty były przerażające.

- Czy tamci faceci się spalili? - spytał Rafe.

- Tak, Rafe, spalili się. - Wylecieli w powietrze i rozerwało ich na strzępy, pomyślał Dix, nie mogli być już bardziej martwi. - Czy Penny miała zakładane szwy na głowie? - zaciekawił się Rob.

- Tak, doktor Oliphant założył jej dziesięć równiutkich szwów. - Dix potrząsnął głową na widok jawnego rozczarowania Rafe'a. Chłopiec ziewnął szeroko. - Za kilka godzin będzie jasno. Spróbujmy się przespać, dobrze?

- Rob i ja możemy nie spać całą noc, i tak nie będziemy zmęczeni, tato.

Madonna uśmiechnęła się w duchu.

Ale ja jestem stara i marzę o drzemce. - Pozwoliła szeryfowi i chłopcom zaprowadzić się na górę. Wiedziała, że znowu będzie leżała w sypialni Roba i wpatrywała się w ciemność przerażona tym, kim mogła być. Miała nadzieję, że rano Dix powie jej dokładnie, co się wydarzyło i, przede wszystkim, kim byli ci mężczyźni i dlaczego próbowali ją zabić. Nie zamierzała go o to pytać przy chłopcach.

Dix obudził się w niedzielny poranek o dziesiątej, poczuł przyływ paniki i wziął głęboki oddech. Już po wszystkim, chłopcom nic się nie stało. Zobaczył, że Rafe i Rob śpią jak susły w łóżku Rafe'a, i uśmiechnął się. Zajrzał do Madonny, ale łóżko Roba było puste i starannie posłane. Ostatni raz tak starannie zaścieliła je Christine - nie, nie będzie o niej myślał. Mimo strzaskanej ramy okiennej w pokoju nie było zimno, bo Madonna zasunęła szczelnie zasłony.

Kiedy dwadzieścia minut później wszedł do kuchni Madonna wyciągała biszkopty z piecyka.

- Cześć, słyszałam, jak wstałeś. Na blacie jest świeża kawa.

- U marłem i poszedłem do nieba - powiedział, patrząc łakomie na biszkopty.

- Jest niedziela rano, jedyny dzień, w którym arterie są odporne na cholesterol. Lubisz jajecznicę na bekonie?

- Ja zrobię śniadanie. Chodź, usiądź i...

- Szeryfie - powiedziała cierpliwie. - Nic mi nie jest, nudzę się. Pozwól mi się jakoś odwdzięczyć, dobrze?

Zrobiła mu dekadencje śniadanie, gorące biszkopty ociekały masłem i dżemem truskawkowym i Dix pomyślał, że dokładnie tak powinno wyglądać niedzielne śniadanie. Tak dawno nie robił chłopcom biszkoptów w niedzielny poranek.

Dix przełknął ostatni kęs trzeciego biszkopta, otarł usta serwetką i powiedział:

- Przypomniałaś sobie coś nowego? Potrząsnęła głową i napiła się kawy.

- Wiem, że się boisz, Madonna. Wiem, że trudno jest przebywać w takim zawieszeniu, patrzeć na obcą twarz w lustrze, ale już niedługo przyślą mi wyniki z LAPIS i będziemy wiedzieli, kim jesteś. Nawet jeżeli twoje prawdziwe imię nie przywoła żadnych wspomnień, przynajmniej da ci jakieś zakotwiczenie. Poczekaj, od razu zadzwonię do Cloris. - Podniósł telefon z kuchennego blatu.

- Cześć, Cloris, potrzebuję kilku...

Usłyszała podekscytowany głos kobiety na drugiej stronie linii, zobaczyła, jak Dix uśmiecha się i słucha. W końcu udało mu się coś powiedzieć.

- Dzięki, Cloris. Tak, było prawie dokładnie tak, jak powiedziałaś. Później wpadnę do Penny do szpitala. Założę się, że jej mąż, Tommy, mało nie rozniósł tego szpitala ze strachu. Ale to wspaniałe nowiny. No dobrze, Cloris, teraz moja kolej.

Zapytał o LAPIS i słuchał odpowiedzi ze zmarszczonymi brwiami.

- OK, ale daj mi znać, jak tylko czegoś się dowiesz, dobrze? Wpadnę później.

Rozłączył się.

- Przykro mi, odpowiedź z LAPIS jeszcze nie przyszła. Ale mamy niedzielny poranek. To są dzinsy Roba?

Stała przy zlewie, zmywała naczynia i słuchała, jak mówił jej, że wciąż nie wiadomo, kim ona jest. A potem co powiedział? Odwróciła się i uśmiechnęła szeroko.

- Rob był tak miły, że mi je pożyczył. Zapomniałam, jak małe tyłki mają nastoletni chłopcy, te spodnie są dosyć ciasne.

Dix uśmiechnął się, wbijając wzrok w kubek z kawą.

- Wiesz, kim byli ci mężczyźni? Powiedz mi, co się stało.

Potrząsnął głową.

- Nie, nie wiem. Ciężarówka cała spłonęła, ale udało nam się ją zidentyfikować. Wczoraj diler w Richmond zgłosił jej kradzież. Ci mężczyźni nie mieli przy sobie żadnych dokumentów i spalili się do cna, identyfikacja zajmie nam trochę czasu.

- Może wcale się nie udać - powiedziała.

- To prawda. Skąd to wiesz?

Wzruszyła ramionami.

- To wydaje się logiczne, zwłaszcza jeśli nie macie na czym pracować. Beretta jest dla mnie za duża. Nie lubię jej używać.

Dix uniósł wysoko brwi, ale nic nie rzekł. Zdała sobie sprawę z tego, co powiedziała, i zaczęła bawić się ścierką kuchenną. Dix rzucił Brewsterowi plasterek bekonu.

- A jaką broń wolisz?

- Siga. Ma nieduży zasięg, ale jest dobrze wyważony i celny.

Skinął głową. Wydawało się, że rozmowa o broni to dla niej chleb powszedni. Kim ona była?

- Przepraszam, że naraziłam twoich chłopców na niebezpieczeństwo.

- Chroniłaś ich - odparł łagodnie. - Opiekowałaś się nimi i zorganizowałaś im czas. Naprawdę to doceniam.

- Wiem, że powinnam była pójść tam z tobą, a nie chować się za komodą. Jesteś bardzo miły, szeryfie. Z tego, co wiem, niewielu szeryfów jest takich.

- Znasz wielu szeryfów?

- Jest taki koleś w Karolinie Północnej, który... - Przerwała i potrząsnęła głową. - Wiem tylko, że chciałam go uderzyć. Czy to nie dziwne? Na chwilę stanęła mi przed oczami jego twarz z pewnym siebie uśmieszkiem, ale już zniknęła.

- Co robiłaś w Karolinie Północnej?

- Nie mam zielonego pojęcia.

Wstał, podszedł do niej i położył jej dłonie na ramionach.

- Spróbuj się nie bać, Madonno. Już niedługo dowiemy się, kim jesteś, zidentyfikujemy tych facetów i będziemy wiedzieli, o co w tym wszystkim chodzi. Nie martw się.

Dix wyszedł na posterunek, zanim chłopcy wstali i wrócił dopiero po południu. Wszedł do domu i po drodze do salonu rzucił kurtkę i rękawiczki.

- Wreszcie przestało padać. Może to już koniec. Nawet słońce wyszło na chwilę

Rafe i Rob znowu do niego podbiegli, a on ich przytulił, ale chłopcy wyrwali się szybko i zasypali go gradem pytań.

- Słyszeliśmy o tym drucie, który niemal przypalił Clausowi nogę - A co z tą wielką, płonąca oponą, która leciała prosto na was?

- A ci faceci, którzy chcieli zastrzelić Madonnę, zostały z nich tylko spalone szkielety!

- Aha, więc ktoś już wszystko wam opowiedział. Trochę przesadził. To, co ważne, powiedziałem wam wczoraj. Odrobiliście lekcje?

- Och, tato - jęknął Rob. - Jest niedziela. Idziemy pojeździć z Breaker's Hill.

- Nie pamiętasz, tato? - spytał Rafer. - W piątek wieczór skończyliśmy Otella. Madonna ograła nas w scrabble i nauczyliśmy się nowego słowa: liszaj.

Dix otworzył usta, żeby odpowiedzieć, i usłyszał, że przed dom zajechał samochód. Co znowu? Popatrzył na nią i zawołał: - Nie nazywasz się Madonna tylko Ruth.

- Słucham? Co powiedziałeś? Nazywam się Ruth? Ruth jak?

Kim jestem?

Usłyszeli pukanie do drzwi. Normalnie Dix pozwoliłby, żeby chłopcy otworzyli, ale wciąż miał świeżo w pamięci wydarzenia ostatniej nocy. Wziął na ręce rozszczekanego Brewstera i poszedł otworzyć.

- Warnecki - krzyknął przez ramię. - Na nazwisko masz Warnecki.

Uniósł rękę.

- Poczekajcie chwilę, chłopcy, nie podchodźcie, dobrze? Natychmiast usłuchali, ale Brewster nie chciał się uciszyć. - Uspokój się, Brewster, piesku.

Dix otworzył w drzwi i zobaczył wielkiego mężczyznę w czarnej skórzanej kurtce, czarnych spodniach, białej koszuli, czarnych butach i czarnych skórzanych rękawiczkach, obok którego stała kobieta, także ubrana na czarno.

- Szeryf Noble?

- Tak. Kim jesteście?

- Nazywam się Dillon Savich, a to moja żona, Lacey Sherlock. Słyszeliśmy, że zatrzymała się u pana kobieta, która nie może sobie przypomnieć, kim jest. Chcielibyśmy ją zobaczyć.

- Jesteście jej krewnymi?

- Pracuje z nami...

- Dillon! Och, Boże, to naprawdę ty, Dillon? Pamiętam cię! Sherlock? Och, dzięki Bogu, wyglądasz cudownie. Nazywam się Ruth Warnecki i wszystko pamiętam! Nie mogę uwierzyć, że tu jesteście!

Savich postąpił krok do przodu, a Ruth wpadła mu w ramiona. Śmiała się, całowała go po policzkach i pozwoliła mu unieść się w uścisku, po czym odchyliła się w jego ramionach, a w oczach błyszczały jej łzy.

- To było straszne. Nie pamiętałam, kim byłam, i mówiłam takie dziwne rzeczy. To jest szeryf Dixon Noble, on się mną zajął. Rob i Rafe też się mną opiekowali. Szeryf dopiero przed chwilą powiedział mi, że nazywam się Ruth Warnecki, zobaczyłam was dwoje i wszystko mi się przypomniało. To było naprawdę przerażające, Dillon. Sherlock, pięknie wyglądasz w czerni. Tak dobrze do siebie pasujecie. Bardzo się cieszę, że was widzę. - I pocałowała Savicha w ucho i lewą brew i uściśnęła tak mocno, jakby nigdy nie miała go puścić.

Dix i chłopcy stali z tyłu, Dix wciąż trzymał szamoczącego się Brewstera, który, o dziwo, przestał szczekać, ale z całych sił pragnął przyłączyć się do uścisków.

Wielki mężczyzna, Dillon Savich, postawił Ruth na podłodze, ale wciąż tulił ją do siebie, gdy

powiedział:

- Proszę nam wybaczyć, szeryfie, ale bardzo się martwiliśmy, kiedy Ruth się nie zameldowała.

- Nie zameldowała się gdzie? - spytał Dix.

- Och, Luther Hitchcock do ciebie dzwonił, tak, Dillon? domyśliła się Ruth. - On zawsze martwi się na zapas, ale tym razem jestem mu bardzo wdzięczna. - Uśmiechała się do wszystkich jak szalona. - Nie mógł pojechać ze mną, bo miał atak woreczka żółciowego i... - Przerwała, a jej twarz nagle stężała i zbladła.

- Co, Ruth? Co się stało?

- Dillon, ktoś próbuje mnie zabić i to na pewno z powodu skarbu w Jaskini Winkela.

- W Jaskini Winkela? - zdziwił się Dix. - Jaki skarb? Kim ty jesteś, Ruth?

Sherlock uśmiechnęła się do tego twardego mężczyzny, ściskającego pod pachą małą kulkę białego futra, która bardzo chciała na nich skoczyć, z nastoletnimi chłopcami po obu stronach.

- Jesteśmy z FBI, szeryfie. Ruth wyciągnęła rękę.

- Agent specjalny Ruth Warnecki, szeryfie Noble. Miło mi pana poznać.

Dix ujął jej dłoń, a Brewster ją polizał. Była tak podekscytowana, że potrzasała jego ręką w górę i w dół.

- To dlatego używasz Siga - powiedział.

- Mam też glocka siedemnastkę.

- Naprawdę jesteś agentką FBI, Madonna? - spytał Rafe. - To znaczy, agencie Warnecki, yyy... agencie specjalny Warnecki? Prawdziwą agentką FBI, jak w telewizji? Kurczę, musiało ci nieźle dopieć, jak tata kazał ci się schować za tą komodą

Roześmiała się.

- Wtedy nie tak bardzo. Jestem pewna, że teraz by mnie o to nie poprosił, nie jest podobny do tego idioty z Karoliny Północnej. Mówcie do mnie Ruth, chłopcy. - Brewster zaczął szczekać jak szalony, a Ruth wyjęła go z objęć Dix'a i uściskała. - Tak dobrze znowu być sobą - powiedziała. - Dużo lepiej niż być Madonną.

Brewster polizał ją po twarzy między szczeknięciami i obsiusiał koszulkę Roba.

Rozdział 10

Ruth siedziała między Savichem a Sherlock i nie chciała puścić ich dłoni.

- Powiedz nam, co pamiętasz - poprosił Savich - a my pomożemy ci przypomnieć sobie resztę, nie martw się.

- Ostatnią rzeczą, jaką pamiętam, jest to, że precyzyjnie się przez taki niski łuk do komnaty. Potem wszystko zaczęło mi się mieszać i zrobiło się... czarno. Pamiętam wszechogarniającą ciemność, dokładnie taką samą jak w moim wczorajszym śnie. Może ten sen był odbiciem tego, co mi się przydarzyło.

- W takim razie opowiedz nam o tym śnie - powiedziała Sherlock i delikatnie ścisnęła dłoń Ruth.

- Wydawałoby się, że powinnam go już zapomnieć, ale pamiętam z najdrobniejszymi szczegółami. W tym śnie stałam sama w ciemności tak gęstej, że nie widziałam własnej dłoni, ale nie byłam przestraszona. Czekałam na człowieka, który miał mi przynieść milion dolarów w złocie. Teraz wiem, że śniłam o skarbie, którego szukałam w Jaskini Winkela. Słyszałam, jak nadchodzi, ale potem zdałam sobie sprawę, że to nie są jego kroki, i się obudziłam. I to wszystko.

Dix potrząsnął głową.

- Wciąż nie mogę uwierzyć, że w Jaskini Winkela jest ukryty skarb. Nigdy o nim nie słyszałem. - Podniósł wzrok na Roba i Rafe' a stojących w drzwiach salonu, ciepło ubranych i gotowych do wyjścia na Breaker' s Hill, ze wzrokiem wbitym w Ruth.

- Wiesz coś o skarbie w Jaskini Winkela, Ruth? - spytał Rob. - Czy to złoto piratów? Monety?

Uśmiechnęła się do chłopców i potrząsnęła głową.

- Nie, to coś lepszego... złoto ukradzione z ładunku przeznaczonego dla generała Lee w Richmond.

- Rany! - zawołał Rafe, wchodząc do salonu. - Skarb, tu, u nas, pod samym bokiem, a my nic o tym nie wiedzieliśmy. - Ale dlaczego w Jaskini Winkela? - dopytywał się Rob i też wszedł do salonu.

- Wiecie, że głównym składnikiem czarnego prochu armatniego jest azotan potasu? A azotan potasu pochodzi z saletry, która występuje w złożach skalnych. Podczas wojny secesyjnej wysadzili mnóstwo jaskiń w zachodniej Wirginii w poszukiwaniu saletry. Założę się, że to właśnie stąd żołnierze, którzy ukradli złoto, wiedzieli o Jaskini Winkela. Może nawet to oni ją wysadzili, znaleźli pieczarę i uznali za doskonałą kryjówkę. I tam właśnie schowali złoto.

- Milion dolarów w złocie? - upewnił się Rob, stając obok brata. - Ile to jest sztabek?

- Musiało być ich mnóstwo, skoro zadali sobie tyle trudu. Obaj chłopcy już niemal siedzieli Ruth na kolanach, zapominając kompletnie o sankach. Brewster wskoczył na oparcie kanapy i czekał, dopóki Rob nie wziął go na rękę.

- Hej, chłopcy - powiedziała Ruth - obiecuję, że będę was informować na bieżąco.

- No dobrze, urwisy - wtrącił się Dix. - Teraz musimy porozmawiać z Ruth, więc znikajcie.

Uważajcie na siebie, nie chcę żadnych więcej szwów.

Chłopcy niechętnie wyszli z salonu.

- Byłem ciekawy czy wyjdą bez walki - powiedział Dix, patrząc, jak znikają w holu. - Naprawdę rozbudziłaś ich wyobraźnię, Ruth.

Kiedy usłyszeli trzask zamykanych drzwi frontowych, Savich odezwał się:

- No dobrze, Ruth, opowiedz nam o tej mapie. Gdzie ją znalazłaś?

- W zeszłym miesiącu kupiłam na wyprzedaży w Manassas komplet bardzo starych książek. Miały ponad sto lat i dotyczyły przeróżnych dziedzin, jak to w domowej bibliotece. W małym śpiewniku z popularnymi piosenkami z tamtych lat znalazłam mapę Jaskini Winkela, na której zaznaczono miejsce, gdzie rebelianci ukryli sztabki złota, które mieli przewieźć ze stacji kolejowej Manassas Junction do generała Lee w Richmond. Dwudziestego pierwszego lipca 1861 roku zrobiło się spore zamieszanie, gdy McDowell zaatakował Buli Run - albo Manassas, jak je nazywają na Południu - i żołnierze musieli to wykorzystać, ukraść złoto i schować je w jaskini.

Kiedy kurz opadł, okazało się, że z Harpers Ferry zniknęło ponad sto funtów złota. Ludzie myśleli, że zdobyli je żołnierze Unii. Rebelianci, którzy ukryli złoto w jaskini, narysowali mapę, żeby mogli wrócić po nie po wojnie, ale chyba żaden z nich nie przeżył, skoro mapa wciąż była w książce. Miałam wrażenie, że to jedyny egzemplarz, ukryty na wszelki wypadek w tym śpiewniku, może kiedy jeden z żołnierzy odwiedził rodzinę. Najwyraźniej nie powiedział o tym nikomu z bliskich. W każdym razie mapa wyglądała na prawdziwą, papier wydawał się odpowiednio stary, a pismo też pasowało do tamtych czasów.

- Mogło być więcej map - powiedział Dix. - Złodzieje na ogół sobie nie ufają.

Ruth wzruszyła ramionami.

- Może. W każdym razie warto było spróbować.

- Ale skoro wydaje się, że inni dotarli do jaskini przed tobą - zauważył Savich - złota już pewnie dawno tam nie ma.

- Masz rację, Dillon. Moja mapa też zniknęła.

- Jutro pojedziemy do jaskini. Dowiemy się, co ci się przydarzyło.

Ruth złapała go za rękę.

- Myśl o powrocie tam naprawdę mnie przeraża. Czuję się, jakby na zewnątrz czaiły się tygrysy szablo zębne, a ja siedzę przy ogniu, który i tak mnie nie ochroni.

Sherlock zadrżała.

- Chciałabym powiedzieć, że cię nie rozumiem, ale czułam to samo wtedy, w tym tunelu.

Ruth posadziła sobie Brewstera na kolanach, pogłaskała jego miękkie uszy i zapatrzyła się w ogień buzujący na kominku.

Dix pochylił się w jej stronę. - Dobrze się czujesz, Ruth?

- Tak, przepraszam, na chwilę odpłynęłam. To wszystko, co wydarzyło się od piątku... trochę mnie przerosło. - Otarła łzy i zrobiła hardą minę. - Ale nie będę już o tym mówić. Jestem twarzą laską i zamierzam się tak zachowywać.

- Możesz wyc do księżycy, jeśli masz ochotę - roześmiał się Dix. - Po tym, co przeszłaś, Ruth, nawet takiemu macho jak ja spadłyby skarpetki.

- Najważniejsze jest to, że jesteśmy tu wszyscy razem i dotrzemy do sedna sprawy - powiedziała

Sherlock. Objęła Ruth i mocno ją przytuliła, a Brewster usiłował wsunąć między nie nos. - Jesteś twardą sztuką i nie zapominaj o tym. A teraz chcę, żebyś mi powiedziała, że chodzenie po jaskiniach nie jest takie trudne. Ani Dillon, ani ja nigdy nie zoczyliśmy z wytyczonego chodnika w jaskini.

Ruth wzięła się w garść.

- Musicie być bardzo ostrożni. Nie widziałam w Jaskini Winkela żadnych trudnych przejść, nawet w miejscach, których nie było na mapie, pewnie dlatego żołnierze ją wybrali. Chodzi o to, że nigdy nie powinno się wchodzić do jaskini samemu i ja zachowałam się jak prawdziwa idiotka. Byłam taka podekscytowana, myślałam, że nie potrzebuję Luthera.

- Tak. - Dix skinął głową. - Masz rację. Zachowałaś się jak idiotka. Ja jestem zwolennikiem sportów grupowych i nie poszedłbym sam do nieoznaczonej części jaskini nawet uzbrojony w milionwatową żarówkę.

- Dziękuję, profesorze Noble - powiedziała Ruth, po czym zwróciła się do Sherlock: - Uwielbiam, kiedy mężczyzna się ze mną zgadza. W każdym razie ja was poprowadzę, nie mam mapy, ale dosyć dobrze pamiętam drogę. Obiecuję, nie będzie tak źle. Bywałam w dużo gorszych jaskiniach, gdzie musiałam czołgać się na brzuchu po zimnej wodzie, zjeżdżać po pionowej ścianie, nie wiedząc, co czeka na mnie na dnie - i modląc się, żeby w ogóle było jakieś dno - albo przeciskając się przez przejścia za wąskie dla dwunastolatka.

W Jaskini Winkela nie ma nawet żadnych klaustrofobicznych miejsc, w których cierpłaby ci skóra, przynajmniej ja ich nie widziałam. Nie spotkałam też żadnych nietoperzy ani zwierząt. Będzie chłodno, ale nie będziemy musieli taplać się w żadnych strumieniach. Nie zostaniemy tam na tyle długo, żeby dostać hipotermii. Będziemy potrzebowali mnóstwo latarek, to jest najważniejsze.

Zamilkła na chwilę.

- Muszę się dowiedzieć, na co natknęłam się w tej pieczarze.

Tak bardzo chciałabym sobie przypomnieć. Czy zobaczyłam coś, czego nie powinnam? Czy ktoś mnie stamtąd wyciągnął? Ale jeśli chcieli mi pomóc, to dlaczego uderzy li mnie w głowę i zostawili nieprzytomną w lesie szeryfa? Prawda jest taka, że gdyby Brew ster mnie nie znalazł, pewnie bym umarła. A potem ci dwaj mężczyźni, którzy próbowali włamać się do domu i mnie zastrzelić. Jeśli chcieli mnie zabić, to dlaczego nie zrobili tego od razu?

- Przestań tak bardzo się martwić, Ruth, wszystkiego się dowiemy - powiedział Dix. - Hej, Madonna, poznaliśmy już twoje imię.

Dobrze było pośmiać się, pozwolić, żeby strach z Jaskini Winkela zniknął choć na chwilę.

- Jak mnie znaleźliście? - spytała Ruth Savicha, a on roześmiał się.

- Uwierz mi, Ruth, wielu ludzi wie, że szeryf znalazł w lesie kobietę. I wszyscy dowiedzieli się o wczorajszym szalonym pościgu na autostradzie i jak ci dwaj bandyci próbowali zabić kobietę, która mieszka w domu szeryfa.

- Rozesłali nawet twoje zdjęcie Internetem - dodała Sherlock i poklepała dłoń Ruth. - A teraz zostaniemy tutaj, dopóki nie wyjaśnimy całej sprawy.

- Ależ, Dillonie, ja prowadzę sprawę Tillera.

- Zadzwoń do Dane'a. On się tym zajmie, nie martw się.

- Ale on za dwa tygodnie bierze ślub.

- W takim razie będzie miał motywację, żeby jak najszybciej zamknąć sprawę - uznała Sherlock. - Sprawa Tillera? - spytał Dix.

- Farmer w Maryland orał świeżo zakupione pole i natrafił na ludzkie szczątki. Usiłujemy odkryć,

co się stało.

- Słyszałem w radiu, że znaleźliście martwą ofiarę porwania pochowaną na cmentarzu w Arlington w grobie żołnierza wojny koreańskiej. O co w tym chodziło?

Sherlock i Savich wymienili spojrzenia. Savich wzruszył ramionami.

- No dobrze, chyba nadeszła pora, żebyśmy opowiedzieli ci o Mosesie Grace i Claudii, Ruth. Pamiętasz, że zostawiłaś Connie swoją komórkę? Zadzwoił do niej Rolly.

Opowiedział Ruth i szeryfowi o nieudanej akcji w Motelu Hootera, jak znaleźli ciało Pinky'ego na cmentarzu i Connie została postrzelona.

- Przykro mi, Ruth, ale Moses Grace sugerował, że zabił też Rolly'ego. Nie wiemy, kim są Moses Grace i Claudia. Okazało się, że on dzwonił do mnie z telefonu Pinky'ego. Operator potwierdził, że telefon przeszedł przez wieżę w Arlington. Zostawiliśmy otwarte konto na wypadek, gdyby znowu chciał do mnie zadzwonić. Jeśli on jeszcze kiedyś włączy ten telefon, od razu go namierzemy. Myślę, że mimo slangu, jakim mówi, i fatalnej gramatyki, jest całkiem bystry. Pewnie już się pozbył telefonu Pinky'ego.

- Naprawdę próbował zastrzelić Sherlock?

- Poluje na nas oboje. Przed przyjazdem do Maestro zostawiliśmy Seana u jego babci - powiedział Savich, po czym wyjaśnił Dixowi: - Już kiedyś przechodziliśmy przez coś takiego.

- Powinam być tam z wami, Dillon. Powinniście byli do mnie zadzwonić.

- Nie, sami wystarczająco dobrze spieprzyliśmy sprawę. Ruth zerwała się na równe nogi i zaczęła chodzić w tę i z powrotem z wierzgającym Brewsterem na rękach.

- Nie mogę uwierzyć, że przyjechaliście mnie tu szukać, kiedy w Waszyngtonie tyle się dzieje.

- Rodzina to rodzina, Ruth. Masz rację, Moses Grace jest przerażający, już zdążyłem się o tym przekonać. Wziął mnie na cel z jakiegoś powodu, może chodzi o zemstę, więc zaczęliśmy przeglądać moje dawne sprawy. Facet jest stary i wydaje się chory, ciągle kaszle.

- Claudia jest młoda - ciągnęła Sherlock - rysuje serduszka nad literą „i”. Nazywa ją kochaniem. Nie wiemy, czy jest jego córką czy wnuczką, a może po prostu nastolatką, która uciekła z domu. Usiądź, Ruth, bo zaczyna kręcić mi się w głowie.

Ruth usiadła świadoma tego, że Dix na nią patrzy. Zdawał sobie sprawę, że będzie musiał przyzwyczać się do żargonu policyjnego, którego używała Ruth. W niczym nie przypominała teraz Madonny.

- Wciąż próbujemy znaleźć samochód Ruth - powiedział.

- Później sprawdzę numery rejestracyjne, ale na razie wiemy, że został gdzieś ukryty albo wywieziony poza nasz okręg.

Savich zwrócił się do szeryfa, który przyglądał się im bacznie od kilku minut:

- Nie wiesz nawet, jak bardzo jestem ci wdzięczny za to, że znalazłaś i zaopiekowałaś się Ruth.

Dix machnął ręką.

- Chyba rozpoznaję twoje nazwisko, Ruth. Kilka miesięcy temu pisali o tobie w „Washington Post”, prawda? Pomogłaś odnaleźć nauczyciela matematyki, zanim zabił go jakiś zazdrosny wariat, prawda?

- Wielkie nieba, pamiętasz to? - Ruth ukazała zęby w uśmiechu. - To był Jimbo Marple. Jeden z moich chłopaków widział, jak ten stary zabierał Jimbo prosto z parkingu przed centrum handlowym, i od razu do mnie zadzwonił. Savich był wściekły, kiedy jeden ze snajperów zastrzelił starego. Masz nie złą pamięć.

- W każdą sprawę, którą prowadzimy, jest zaangażowanych wielu ludzi - powiedział Savich. - Nasza Ruth jest znana ze swoich kontaktów. Zebrała je wszystkie, kiedy pracowała w policji, zanim przysłała do FBI.

- I strzela jak szatan - dodała Sherlock. - Mówi swojemu glockowi, w co ma trafić, i w następnej sekundzie trafia w dziesiątkę.

- Kiedy on prowadził ten pościg na autostradzie, ja chowałam się za komodą.

- Ale teraz jesteś już z nami - powiedziała Sherlock łagodnie. - Twarda sztuka - dodała z zadowoleniem Ruth.

- A zatem FBI zamierza przejąć tę sprawę? - spytał chłodnym tonem Dix, uśmiechając się sztucznie.

Sherlock obdarzyła go promiennym uśmiechem.

- Och, nie, szeryfie Noble, jesteśmy tu tylko po to, żeby pomóc. W końcu Ruth jest jedną z nas. DiUon zadzwonił do naszego szefa, powiedział mu, co robimy. Pan Maitland też chce wyjaśnienia tej sprawy. Nie cierpi, gdy ktoś próbuje zabić któregoś z jego agentów.

- Nie zamierzamy cię wygryźć, szeryfie - zapewnił Savich, patrząc Dixonowi prosto w oczy. - Możemy dostarczyć ci sprzętu, informacji i czegokolwiek będziesz potrzebował.

Dix wciąż nie wyglądał na przekonanego, ale skinął głową. - Jeszcze herbaty, agencie Savich?

Dix wyłączył komórkę i wrócił uśmiechnięty do salonu.

- Chłopcy dostali lepszą propozycję obiadu niż resztki potrawy ojca. Idą z innymi dziećmi na pizzę do Claussonsów, niech Bóg błogosławi ich i ich przodków, więc nie będziemy I 11 usieli uważać na to, co mówimy. Trochę im nałgałem, powiedziałem, że asy FBI nie zostaną u nas długo, więc nie zdążą nic u Ruth wyciągnąć. To i pizza przeważało szalę.

Gdy zjedli potrawkę szeryfa, Sherlock patrzyła, jak Ruth swobodnie krząta się po kuchni, napełnia wodą czajnik, stawia go na kuchence i wyjmuję herbatę z szafki.

- Mamy ser i krakersy na deser. Są zamknięte gumką, więc powinny być w miarę świeże.

Dix roześmiał się.

- Przykro mi, że nie mogłem was poczęstować niczym lepszym.

- Potrawka była doskonała - zaprotestowała Sherlock. - Jesteś świetnym kucharzem, szeryfie.

- Musiałem się nauczyć - powiedział krótko i włożył torebki herbaty do dwóch kubków. - Ruth, jeszcze kawy?

Skinęła głową.

- Ruth... Podoba mi się to imię. Bardziej pasuje do ciebie niż Madonna. Jest takie potężne, biblijne.

Ruth uśmiechnęła się do niego.

- Przepraszam za tę nagłą zmianę imion, szeryfie. Jak myślisz, gdzie Dillon i Sherlock mogliby się zatrzymać?

- W motelu u Buda Baileya, na głównej ulicy, pół przecznicy od mojego biura. Och, zapomniałem, Ruth, powiedz mi, gdzie się zatrzymałaś? Nikt nie rozpoznał cię na zdjęciu.

Nie zrobiłam żadnej rezerwacji. pomyślałam, że jak odnajdę mój skarb i nie będzie zbyt późno, to wrócę do domu.

- Tankowałaś gdzieś?

- Tak, w Hamilton.

Szeryf zmarszczył brwi.

- Nie szukaliśmy aż tak daleko. Gdzie mieszkaś?

- W Aleksandrii.

- Ci mężczyźni w ciężarówce, która wybuchła - odezwała się Sherlock. - Zrobili im już autopsję?

- Mieliśmy szczęście, że jakoś skłoniliśmy koronera do pracy w niedzielę. Mimo że ci mężczyźni spalili się prawie do cna, udało się uzyskać szątkowe odciski palców i zrobić rentgen szczęki. Musieli skądś przyjechać. Mam nadzieję, że w ciągu kilku dni dostaniemy zgłoszenie z departamentu osób zaginionych, chyba że przyjechali z daleka, a to by oznaczało, że byli profesjonalistami. Ale nie mieli wiele czasu, więc sądzę, że raczej stoi za tym jakaś lokalna grupa. W każdym razie wezwałem wszystkich moich funkcjonariuszy, a teraz jeszcze pomoże FBI. Będziemy wdzięczni za każdą pomoc.

Nie było to szczerze, pomyślał Savich, ale zawsze był to jakiś początek. Przynajmniej szeryf się starał.

- Zamierzamy wybrać się jutro rano z wami do Jaskini Winkela. - Zwrócił się do Ruth: - Mamy coś zabrać ze sobą? - Nie - odpowiedział Dix, potrząsając głową. - Ja przywiozę latarki i kilofy na wszelki wypadek. Mamy ich kilka na posterunku.

Savich skinął głową, po czym dalej mówił do Ruth:

- Pewnie nie dostałaś pozwolenia od Park Service *[* Park Service - agencja federalna Stanów Zjednoczonych zarządzająca wszystkimi krajowymi parkami narodowymi (przyp. tłum.)] na wejście w piątek do jaskini?

- Mam dobre wiadomości, Jaskinia Winkela jest na prywatnym terenie. Pan Weaver, właściciel, i ja już zawarliśmy umowę. Ma tam nawet bramę z kłódką, ale otworzyłam ją wytrychem. Tak właśnie zrobiłby Indiana Jones, prawda?

Sherlock wzniosła oczy do nieba.

- Przynajmniej nie musimy się martwić o pozwolenie.

- Założę się, że to nie byłby żaden problem - powiedział Savich. - Nie zdziwiłbym się, gdyby pan Maitland grywał w golfa z jakąś szyczą z Park Service. - Popatrzył na Ruth i pomyślał, jak blisko otarła się o śmierć - Nie spuszczę cię z oczu w tej jaskini, Ruth.

To wydało się sprawiać jej przyjemność.

- Przy okazji, szeryfie, pan Maitland ma czterech synów. Dix się przeżegnał.

- Och, kurczę - powiedziała nagle Ruth. - Muszę unieważnić wszystkie karty kredytowe. Zostawiłam plecak i portfel w samochodzie.

Rozdział 11

Jaskinia Winkela

Poniedziałek rano

- No dobrze - powiedziała Ruth - tam nie ma elektrycznego światła ani wytyczonych ścieżek, jak w jaskiniach Park Service. Przy paskach macie zapasowe latarki, ale na razie wystarczą te na głowach.

Przez chwilę jaskinia była wystarczająco wysoka, by szli wyprostowani. Ruth poprowadziła ich za pierwszy zakręt, w dół wyszczerbionych skał i zatrzymała się na chwilę w kompletnej ciemności, rozświetlanej tylko błyskiem latarek. W jaskini panowała absolutna cisza, jedynym odgłosem był szmer ich oddechów.

- Zwróćcie uwagę na te formacje skalne - powiedziała Ruth, wskazując na rząd spektakularnych draperii, po czym skierowała światło latarki na wielki stalagmit. - Nie dotykajcie niczego i spróbujcie nie uderzyć głową w stalagmity. Są bardzo delikatne. Trzymajcie się blisko mnie.

W Jaskini Winkela nie musieli mieć specjalnego obuwia, więc włożyli traperki, ale i tak każdy pośliznął się parę razy.

- Zaraz po lewej stronie będzie spadek na jakieś dziesięć stóp, więc trzymajcie się ścieżki. Na mapie było to bardzo wyraźnie zaznaczone, więc może któryś z nich spadł. Widzicie tę płytę wapienną, która wygląda jak komoda? - Wszystkie latarki skierowały się w prawo. - To punkt orientacyjny, zaznaczyli go na mapie. Jestem pewna, że idziemy w dobrym kierunku. No dobrze, wszyscy oprócz Sherlock będą musieli zaraz się schylić i zboczmy trochę w lewo. Przez chwilę będzie trochę wąsko, ale potem tunel się rozszerzy.

- Tu jest tak ciemno - wyszeptała Sherlock, a jej głos odbił się echem od ścian. - Jakbyśmy byli jedynymi ludźmi na świecie. - Bo w tym świecie jesteśmy - powiedział Dix. - Nigdy nie przepadałem za jaskiniami.

- Dzięki Bogu Jaskinia Winkela nie jest taka straszna, przynajmniej to miejsce, gdzie idziemy. Tak, jak powiedziałam, nawet nie zamoczyć sobie stóp. Pan Weaver mówił, że gdzieś w dolnym przejściu jest strumień. Powiedział, że słyszał go, ale nigdy nie widział. Nie chciałabym się tam zgubić. - Jej śmiech odbił się echem pod szerokim sklepieniem. - Jeśli chcecie naprawdę się przestraszyć, pokażę wam egzemplarz „Amerykańskich Wypadków Jaskiniowych”: ludzie wpadają do dołów, zaplątują się w liny, umierają na hipotermię, czołgając się w błotnistej wodzie, nawet toną. Skoro już was wystraszyłam, mogę wam powiedzieć, że chodzenie po jaskiniach nie jest niebezpieczne, jeśli wiecie, co robicie. Najgorsze, co może się przydarzyć, to zadrapania, siniaki i zwichnięcia.

- Pewnie, pewnie - zakpił Dix. - Pokazałaś, jak ostrożna jesteś w nieznannej jaskini. To dopiero było niebezpieczne.

- Kurczę, kurczę, kurczę - wymamrotała Ruth. - No dobrze, mamy przed sobą jakieś dwadzieścia stóp, zanim wpełzniemy w tunel na prawo, całkiem blisko miejsca, w którym wtedy skończyłam.

Dix zaklął.

- Co jest? - spytał ostro Savich, oświetlając go latarką.

- Potknąłem się o kamień. Słabo sobie radzę w ciemności.

- Sufit się zniża, musicie się schylić. - Mężczyźni zgięli się niemal w pół. - Jeszcze jakieś dziesięć stóp i znowu się podniesie tak, że będziemy mogli się wyprostować. - Ale po pięciu krokach Ruth stanęła jak wryta. - A to co?

Skupili się wszyscy wokół niej i skierowali latarki przed siebie. Małe przejście było zablokowane stertą gruzu, kawałkami wapienia, dolomitu i skał.

- To efekt wybuchu - powiedziała powoli Ruth. - Spójrzcie, jak daleko poleciały niektóre z tych skał.

Dix przedarł się do sterty i spróbował popchnąć ją dłońmi.

Wyciągnął kilka kamieni, ukląkł i naparł ramieniem.

- Wydaje się solidna, chyba nie przejdziemy tędy bez ciężkiego sprzętu. - Spróbowali ponownie razem z Savichem. - Masz rację, nie da się ruszyć - przyznał Savich. Przez kilka chwil wpatrywali się tępo w przeszkodę.

- Chyba komuś naprawdę zależy, żebyś tam nie weszła, Ruth - powiedział Dix. - Musieli wysadzić to w nocy, kiedy w okolicy nikogo nie było.

Dix popatrzył na towarzyszy i pomyślał, że wyglądają jak z filmu klasy B, wpatrując się w wielką stertę skał, z maskami gazowymi przyczepionymi do pasków.

- Wiecie, chyba mam lepszy pomysł niż ściąganie tu buldożerów, co i tak byłoby niemożliwe. Mój teść, Chappy Holcombe, dorastał tutaj i mówił mi, że zna jaskinie w tej okolicy. Może wie o jakimś innym wejściu niż to, którym przyszliśmy.

- Masz rację, nie da się tu sprowadzić ciężkiego sprzętu - zgodził się Savich.

- Proponuję, żebyśmy porozmawiali z teściem Dix'a - odezwała się Sherlock. - Byłoby nam dużo łatwiej, gdyby znał inne wejście do jaskini.

- Uważam, że to świetny pomysł - poparła ją Ruth. - Chodźmy do niego. Och, i po drodze musimy kupić keczup. Rafe powiedział, że wczoraj zjedliśmy cały do potrawki.

- Rafe lubi jajecznicę z keczupem - powiedział Dix - i dzisiaj rano musiał się bez niego obejść. Tak, chodźmy. Myślę, że wyjście stąd choć na chwilę dobrze nam zrobi.

- No to chodźmy, zanim dostanę permanentnego garba - westchnął Savich.

Catherine Coulter

Tara

Prawie godzinę później, po drugiej stronie Maestro Dix przejechał swoim range roverem przez ogromną żelazną bramę ozdobioną imponującym napisem „Tara”. Przez ćwierć mili jechali po zwirowej drodze obramowanej kamiennym murem i wysadzanej dębami i klonami, pod którymi piętrzyły się zaspasne śnieżne. Jechali powoli, aż ich oczom ukazał się ogromny dom. Przypominał rezydencje na plantacjach na Południu, wielka, biała budowla z doryckimi kolumnami na froncie.

- Niezła chata - powiedziała Ruth. - Ile lat ma Tara?

Dix skręcił na okrągły podjazd wystarczająco duży, by pomieścić dwadzieścia samochodów.

- Chappy zbudował go w latach pięćdziesiątych dla swojej narzeczonej, miss Angeli Hastings Brinkman z Brinkmanów z Nowego Orleanu. Kazał architektowi skopiować Tarę z „Przeminęło z

wiatrem”.

- Najwidoczniej ma pieniądze - odezwała się Sherlock.

- Jak do nich doszedł, szeryfie?

- Kiedy spotkałem go po raz pierwszy, powiedział mi, że liczył się bankowości na kolanach ojca

- odparł Dix, gdy wchodzili po szerokich schodach. - Jest właścicielem prywatnego banku, Holcombe First Independent, ma w okolicy dwanaście oddziałów. On i jego żona, Angela, mieli dwójkę dzieci, moją żonę, Christie i syna Anthony'ego. Tony i jego żona, Cynthia, mieszkają tu z Chappym. Angela umarła, kiedy Christie miała dziesięć lat, nie pamiętam na jaką chorobę.

- Czy Chappy prowadzi jeszcze jakieś inne interesy? - spytała Sherlock.

Gliny, pomyślał Dix, zawsze muszą wszystko wiedzieć.

Uśmiechnął się na widok jej wyrazistej twarzy otoczonej burzą rudych loków.

- Ma agencje pośrednictwa nieruchomości w Wirginii, Waszyngtonie i Maryland.

Dix nacisnął dzwonek i czekali około pół minuty, zanim uchyliło się ogromne skrzydło dębowych drzwi.

- Cześć, Chappy. Gdzie jest Bertram? - spytał Dix.

- Cholerny lokaj dostał jakiejś infekcji żołądka, rzygał jak kot po świeżych śliwkach, więc posłałem go do siostry lekarki do Belleville. A kim są ci ludzie, Dix? Och, czy ty jesteś tą młodą damą, którą Brewster znalazł w lesie? Całe miasto o tobie mówi. - Gdy Ruth skinęła potakująco, położył ręce na biodrach i potrząsnął głową. - I jeszcze ten dziki pościg w nocy w sobotę, z Dixem i jego ludźmi wiszącymi z okien radiowozu jak Brudny Harry. Ludzie o niczym innym nie mówią. Stałeś się gwiazdą, Dix. Jak się z tym czujesz?

- Chappy - powiedział szeryf uprzejmie - pozwól, że przedstawię ci agenta specjalnego FBI Ruth Warnecki.

- Tak, słyszałem, panno Warnecki. Ale numer, poznać kobietę-agentkę FBI.

Ruth wyciągnęła dłoń do starszego mężczyzny stojącego w drzwiach.

- Niezły numer to dobre określenie - powiedziała, potrząsając jego dłonią.

- Chappy Holcombe do usług. Co myślisz o moich wnukach?

- Cóż, mam na sobie koszulkę, dzinsy i bluzę Roba i skarpetki Rafe'a. Muszę przyznać, że w tym momencie mojego życia nie mogłabym się bez nich obejść.

Chappy ukazał w uśmiechu piękne białe zęby.

- Wiesz, agencie, wyglądasz zupełnie jak moja młodsza siostra Lizzie. Smutna historia, zmarła na białaczkę w wieku piętnastu lat. - Popatrzył na Savicha i Sherlock. - A wy kim jesteście?

Po prezentacji Chappy cofnął się o krok i zaprosił ich gestem do ogromnego holu wyłożonego dwunastocalowymi, czarno-białymi płytami marmuru, które lśniły w mdłym zimowym świetle. Ponieważ przez pięć minut stali w otwartych drzwiach, w domu było chłodno. Patrzyli, jak gospodarz zamyka ciężkie drzwi.

- Trzech agentów FBI w moim domu naraz - powiedział prowadząc ich do zaskakująco przytulnego salonu, wypełnionego zdjęciami rodzinnymi. Niektóre pochodziły nawet z początku wieku. - Co jakiś czas odwiedzają nas ludzie Dix'a, ale pierwszy raz goszczę takich funkcjonariuszy.

- Gdzie są wszyscy? - spytał Dix.

- Bóg jeden wie, gdzie jest Cynthia, pewnie w nowym centrum handlowym, a Tony jest w banku.

- Pan jest na emeryturze, panie Holcombe? - odezwał się Savich.

- Nie, nie zamierzam odchodzić na emeryturę, dopóki nie zacznę się ślinić na najważniejszych

klientów. Większość pracy mogę wykonywać w domu. Ach, pani Gross. Przynieś, kochana, jakieś ciastka i coś do picia, dobrze? Siadajcie i powiedzcie mi, o co chodzi.

Rozdział 12

Tara

Poniedziałek po południu

- Co chcecie wiedzieć o Jaskini Winkela, Dix?

- Christie mówiła mi, że spenetrowałaś wszystkie jaskinie w okolicy. Powiedziała, że najbardziej lubisz Jaskinię Winkela i znasz ją jak własną kieszeń, więc pewnie wiesz, czy ma jakieś inne wejścia, poza głównym, może łączy się z innymi jaskiniami.

Ruth pochyliła się na pięknym krześle w stylu Ludwika XV i ścisnęła owinięte serwetką ciastko, żeby żadne okruszki nie spadły na zielone satynowe obicie.

- To dla nas bardzo ważne, sir - dodała.

Chappy popatrzył na nich wszystkich po kolei i odstawił filiżankę z kawą na mały stolik, bardzo stary i piękny antyk, jak zauważyła Sherlock.

- Może i są - powiedział. - W okolicy jest z tuzin małych jaskiń i kilka większych, ale ja nigdy nie znalazłem żadnego przejścia do Jaskini Winkela. Oczywiście te jaskinie w wapieniu i dolomicie są bardzo kręte i niektóre z nich mogą łączyć się ze sobą tunelami, o których nikt nie słyszał. Pewnie nie chcecie mi powiedzieć, po co wam taka wiedza. Dlaczego, u diabła, chcecie dostać się do Jaskini Winkela tylnym wejściem, skoro główne jest w idealnym stanie?

W tej chwili Ruth zdała sobie sprawę, że prawdopodobnie nikt przez sto pięćdziesiąt lat nie wiedział o przejściu, które odkryła. Usłyszała, jak Dix mówi tym swoim spokojnym, wyważonym głosem:

Wolałbym na razie zachować to dla siebie, Chappy, jeśli pozwolisz.

Chappy skubał przez chwilę dolną wargę, bezmyślnie wziął do ręki ciastko i zapatrzył się na nie.

- Nie widzę powodu, dla którego nie miałbym wam pomóc odezwał się po chwili. - Mogę pokazać wam wejścia do niektórych jaskiń. Dix, nie rozlej kawy na moją śliczną sofę. Żartowałem. Ale i tak nic z tego nie rozumiem. Po co chcecie dostać się do tych jaskiń?

- Usiłujemy dowiedzieć się, co przydarzyło się tam Ruth wyjaśnił Savich. - Ona dostała się w jakiś sposób do tych jaskiń z Jaskini Winkela.

- Dlatego przypuszczamy, że może być jakieś tylne wyjście dodała Ruth.

- Może i tak. Pamiętam, że kiedy byłem chłopcem, natrafiłem w tamtej okolicy na wejście do dużej jaskini. Tyle że to była ślepa pieczara. Ale nie pamiętam, czy dokładnie ją obejrzałem, ostatni raz byłem tam ponad czterdzieści lat temu. Wejście, o którym myślę, jest niedaleko wzgórza Lone Tree, na stromym stoku wąwozu. - Zamilkł i pociągnął się za ucho. - Będę musiał wam pokazać, bo śnieg wszystko zasłonił.

Dix spojrział na Savicha, który wzruszył ramionami i skinął głową.

Dziesięć minut później cała piątka wsiadła do range rovera Dix'a i upchnęła się w środku razem

ze sprzętem do wspinaczki i czterema latarniami Chappy'ego.

- Latarnia i latarka, nic więcej nie jest wam potrzebne.

Nigdy nie lubiłem tych światełek na głowę - powiedział Chappy do nikogo w szczególności. - To słodkie autko - mówił dalej, poklepując deskę rozdzielczą. - Christie uwielbiała ten samochód, mówiła, że to akurat Angolom się udało. To edycja westminsterska, tamtego roku tylko trzysta takich poszło na eksport. Lubiała tę miękką, czarną skórę, mówiła, że uwielbiała rozpędzać go do sto pięćdziesiątki tylko po to, żeby patrzeć, jak czerwienieje ci twarz, Dix, a palce robią się białe od zaciskania pięści.

Chappy zobaczył, jak twarz Dix'a się zachmurzyła, widział ten wyraz już od ponad roku. Ale to i tak było lepsze niż czarna depresja, która przedtem malowała się w jego oczach.

Dix nie odpowiedział. Obaj wpatrywali się w milczeniu w drogę i Ruth zastanawiała się, gdzie była Christie. Jeśli odeszła, to dlaczego nie zabrała swojego ukochanego samochodu?

Po kilku minutach Dix odezwał się, wycierając dłonią w rękawiczkę wilgoć z przedniej szyby.

- Jak tam z tyłu? Macie dosyć miejsca? Savich roześmiał się.

- Próbowałem namówić Sherlock, żeby usiadła mi na kolanach, ale nic z tego. Tak, mamy mnóstwo miejsca.

- Dillon, dasz mi poprowadzić swoje porsche, jak odzyskam prawo jazdy? - spytała Ruth.

- Myślisz, że powierzyłbym swoje porsche komuś, kto jeszcze do wczoraj nie wiedział, jak się nazywa? W życiu!

- Twoja amnezja nie ma z tym nic wspólnego - wtrąciła Sherlock. - Nikomu nie pozwala prowadzić tego samochodu.

Chappy odwrócił się na siedzeniu pasażera.

- Porsche?

- Tak, sir, 911 Classic, czerwony, prawie tak stary jak ja.

- Jesteś wielkim facetem, mieścisz się do takiego autka?

- Bez kłopotu - odpowiedziała Sherlock. - Muszę odganiać kobiety kijem.

- Raczej mężczyzn - poprawił ją Savich. - W kapturach. Dix skręcił z Raintree Road w prawo w jednopasmową ulicę, całą pokrytą śniegiem i koleinami.

- Nikt tu nie odśnieżał - powiedział Dix. - Śnieg wygląda na głęboki, ale chyba przejedziemy. Rover jeszcze nigdy mnie nie zawiódł.

Poruszali się powoli, bo śnieg w niektórych miejscach zakrywał prawie całe koła, ale jechali. Minęli kilka starych, drewnianych domów, stojących z dala od drogi, otoczonych drzewami i zaspami śniegu.

- To dom Walta McGuffeya - powiedział Dix bardziej do siebie niż do kogokolwiek innego. - Wygląda na to, że już od dłuższego czasu nie wychodził z domu. Zadzwoń do Emory'ego, niech sprawdzi, czy z Guffem wszystko w porządku. - Wyjął komórkę i zadzwonił na posterunek.

Kiedy przestał rozmawiać, Ruth zauważyła, jak cicho było w lesie. Jasne, południowe słońce odbijało się od białych wzgórz i topiło śnieg na nagich gałęziach dębów.

Droga kończyła się polaną jakieś pięćdziesiąt stóp przed nimi.

- Chyba nie powinniśmy jechać dalej w tym śniegu - zauważył Dix.

- Nawet nie próbuj, jesteśmy dostatecznie blisko - powiedział Chappy. - Przejdziemy się. Ruth, czujesz się na siłach? - Tak jest, sir. Mały cios w głowę nie mógłby mnie powstrzymać.

- Weź łopatę, Dix - polecił Chappy.

Śnieg był tak głęboki, że mieli go pełno w butach już po piętnastu krokach. Usłyszeli szelest wśród drzew na lewo i zobaczyli zająca, który popatrzył na nich, po czym pokicał z powrotem do lasu w śniegu po szyję.

- On chyba nie jest z bandy tych złych - zauważył Dix.

- Rozglądajcie się dokoła, tu nigdy nie jest tak pięknie jak zimą.

- Tak, tak, jesteś świetny w reklamowaniu Maestro, mieszczechu - zakpił Chappy.

Dix przewrócił oczami.

- Już nie, Chappy. Mówię ci, kiedy w zeszłym roku pojechałem do rodziny w Nowym Jorku, myślałem, że wylądowałem na innej planecie.

Ruth pochyliła się, żeby zawiązać sznurówkę.

Daleko jeszcze, panie Holcombe?

- Mów do mnie Chappy, agencie specjalny.

Ruth roześmiała się.

- W takim razie mów do mnie Ruth.

- Postaram się, Ruth, ale to brzmi tak, jakbyś wyszła prosto ze Starego Testamentu. - Chappy zatrzymał się na chwilę i rozejrzał wokół siebie. - Myślę, że to tam, jakieś trzydzieści jardów przed nami - powiedział, wskazując ręką. - Widzicie wzgórze Lone Tree i tamten samotny dąb na górze? Stoi na warcie dłużej, niż ja chodzę po tej ziemi. Śnieg naprawdę wszystko zmienia - śnieg i upływ lat.

Ruszyli dalej w stronę samotnego dębu. Szli przez śnieg niemal gęsiego z jasnym słońcem nad głowami i nie było im zimno, tylko stopy przemokły na wylot.

- Rob ma mnóstwo wełnianych skarpetek, które może nam pożyczyć - powiedziała Ruth do Sherlock. - A Dix Dillonowi.

Chappy zatrzymał się i uniósł dłoń. Stali jakieś dziesięć stóp od wąwozu, głębokiego na co najmniej dwadzieścia, a szerokiego na trzydzieści stóp. Ściany wąwozu były porośnięte karłowatymi drzewami i krzakami jeżyn ciężkimi od śniegu. Wzgórze Lone Tree wznosiło się po lewej stronie, sylwetka przysypanego śniegiem dębu odcinała się wyraźnie na tle kobaltowego nieba.

- Wygląda zupełnie jak choinka na Gwiazdkę - zauważyła Ruth. - Założę się, że to ulubione miejsce do zdjęć.

- Tak, ale głównie z daleka. Niewielu ludzi przychodzi aż tutaj - powiedział Chappy, otrzepując śnieg z ramion. - Moja żona uwielbiała malować to drzewo Q każdej porze roku. Widać je z bardzo daleka. - Wskazał na drugi kraniec wąwozu. - Wejście do jaskini jest tam, przy tej starej sośnie. To drzewo wyglądało na martwe, już kiedy byłem chłopcem, i wciąż wygląda, jakby się miało zaraz przewrócić.

Gdy pokonali wąwóz i wspięli się na jakieś sześć stóp, Chappy stanął.

- Wejście musi być tutaj, pod tymi zaroślami.

Krzaki dały się usunąć łatwo, zbyt łatwo i Dix odrzucił łopatą śnieg. Kiedy uderzył w litą skałę, popatrzył na Chappy'ego.

- Jesteś pewien? Nie wygląda na to, żeby tu było jakieś wejście. Może powinienem spróbować trochę na prawo lub na lewo?

Chappy potrząsnął głową.

- Nie, dokładnie tu, Dix, przy tym pokręconym krzaku. Nie mam jeszcze sklerozy.

- Poczekajcie chwilę - powiedział Savich. Kucnął i odgarnął resztkę ziemi i śniegu. - Chappy ma

rację, to tutaj. Te krzaki dały się wyrwać zaskakująco łatwo, nie sądzisz, Dix? Wygląda na to, że ktoś tu upchnął kupę kamieni, żeby ukryć wejście.

- I dobrze mu to wyszło - uznała Sherlock. - W ogóle go nie widać, dopiero jak odgarnie się ziemię i przyjrzy naprawdę uważnie. Mogłaś tędy wyjść, Ruth. Wygląda na to, że ktoś próbował ukryć oba wejścia do jaskini.

- Dix, myślisz, że mógłbyś wyłuskać łopata te kamienie?

- spytała Ruth.

- Spróbuję. - Wcisnął łopatę pod naj niższy kamień i wbił ją w ziemię. Wymagało to sporego wysiłku, ale po pięciu minutach Sherlock wyciągnęła ostatni kamień. Łapali oddech, wpatrując się w wejście do jaskini, wysokie na jakieś cztery, a szerokie na trzy stopy. Patrzyli prosto w ciemność.

- Poczekaj chwilę, Dix - powiedział Chappy, przepychając się do przodu. - Pozwól, że ja pierwszy tam zajrzę. - Pochylił się nad wejściem. - Tak, teraz pamiętam. Na prawo jest lekki spadek. Musicie trzymać się prawej strony, bo dwie stopy po lewej jest niemal pionowa ściana. Kiedy byłem nastolatkiem i miałem więcej szczęścia niż rozumu, próbowałem spuścić się po niej w dół. Po dwudziestu stopach byłem śmiertelnie przerażony, bo nie wiadomo skąd wyleciały stada nietoperzy i otoczyły mnie, lecąc do wejścia. Pamiętam, że przejście po prawej stronie prowadziło do wielkiej pieczary. Nie przypominam sobie żadnego połączenia z Jaskinią Winkela, ale może są jakieś małe przejścia. Ja pójdę pierwszy. Wy trzymajcie się blisko mnie, pojedynczo. Pamiętam, że tunel dosyć szybko się rozszerza.

Dix położył dłoń na ramieniu teścia.

- Tam wciąż może się unosić jakiś gaz, Chappy, nie chcę, żebyś padł zemdlony u moich stóp. Pomyśl o swojej reputacji. Wolałbym pójść pierwszy. Będę ostrożny i będę trzymał się prawej strony.

- Nie cierpię, kiedy taki zarozumiały smarkacz bawi się w szeryfa.

Dix roześmiał się.

- Płacą mi za to, żeby cię znokautować, staruszk, jeśli w ten sposób będę mógł zapewnić ci bezpieczeństwo. - Dix uniósł latarkę i poświecił w głąb jaskini. Tunel opadał w dół, ale sufit biegł na równym poziomie tak, że sklepienie szybko stawało się bardzo wysokie. Przejście wydawało się wąskie, ale nie na tyle, żeby nie mógł się precyzyjnie. Wsunął się w szczelinę, zrobił pięć kroków w prawo i zawołał:

- Jak na razie wszystko w porządku.

Reszta podążyła za nim, Savich na końcu. Dix zatrzymał się w miejscu, gdzie przejście zrobiło się na tyle szerokie, że mogli wszyscy stanąć razem. Oświetlili latarkami niewielką przestrzeń dokoła siebie i zobaczyli, że szli wzdłuż występu z wapienia.

- To trochę podnosi ciśnienie - powiedziała Ruth. Podeszła do krawędzi i zaświeciła latarką do góry. Zobaczyła błyszczące stalaktyty zwieszające się z sufitu około dwudziestu stóp nad nimi. Nie mogła dostrzec dna jaskini.

- Wapień jest brudny. Spójrzcie, tu są jakieś wyłobienia. Ciekawe skąd.

- Powietrze jest świeże i czyste - powiedział Savich - co oznacza, że kamienie i ziemia nie tarasowały długo wejścia. Skoro ktoś zadał sobie tyle trudu, żeby ukryć wejście, to musi być miejsce, którego szukamy.

Powoli posuwali się wzdłuż uskoku.

- Pamiętasz, jak duża jest pieczara, do której prowadzi to przejście? - zwróciła się Ruth do

Chappy'ego.

- Dostyc spora, szeroka na czterdzieci, dluga na jakies piecdziesiat stop. Na koncu jest taka wapienna nisza o dziwnym ksztalcie, przez co pieczara wydaje sie jeszcze wieksza.

- Nie znalazles nic w tej wnecie?

Chappy poslal jej ostre spojrzenie.

- Jako dziecko bylem przekonany, ze sa tam indiańskie relikwie, ale nigdy zadnych nie znalazlem.

- Pociagnal Dix'a za rekaw. - Teraz musisz skrecic troche w prawo. Tunel opada dostyc stromo prosto do pieczary.

Kiedy wszyscy znalezli sie na dole, Chappy spytal: - Czy to w tej pieczarze bylaś, Ruth?

- Jeszcze nie wiem, Chappy. Nie pamietam zbyt wiele.

- Rozejrzyjmy sie, moze cos znajdziemy - zaproponowal Savich.

Dix ruszyl w glab jaskini, a jego latarka rzucala chwiejne cienie na sciany przed nimi.

Rozdział 13

Jaskinia przypominała ogromną kryptę, z sufitu zwieszały się jak żyrandole setki stalaktytów o przedziwnych kształtach. Wiele z nich było połamanych, a potrzaskane kawałki zaścielały podłogę.

- Jaka szkoda - powiedziała Ruth. - Ludzie to zrobili. Czuję się dziwnie, bo kiedy odwróciła promień latarki od odbijających światło stalaktytów, jaskinia wydała się ciemna, zbyt ciemna i cicha, jej głos rozbrzmiewał głucho w martwym powietrzu. Zdała sobie sprawę, że się boi.

- Wszystko w porządku, Ruth? - spytała Sherlock.

- Tak, oczywiście - odparła trochę zbyt dziarsko. - Popatrzcie na ten kamień. Wygląda jak trumna.

- Dzięki za to porównanie - powiedział Chappy. - Od razu mi cieplej. Ale jest piękny. Szkoda, że niektórzy ludzie nie potrafią uszanować piękna.

To dziwne, pomyślała Ruth, ale musiała zmuszać się do każdego kroku, bała się dowiedzieć, co jej się tu przydarzyło - o ile to była ta pieczara. Ale musiała być, skoro ktoś zadał sobie tyle trudu, zasłaniając wejście.

- Jest większa, niż sądziłeś, Chappy - odezwał się Dix, idąc w głąb jaskini. - Ruth, myślisz, że ten łuk mógł być po prawej stronie? Chcesz sprawdzić?

Nie, nie miała ochoty w ogóle się ruszyć. Czowała się tak, jakby została pochowana żywcem, powietrze się kończyło, a ona była bliska uduszenia. Chciała wybiec z pełnej tajemnic, ciemnej komnaty i wydostać się na zewnątrz, na światło dzienne. Zmusiła się, by nie oddychać zbyt głęboko. Stała bardzo cicho otoczona krzyżującymi się promieniami latarek i powoli wdychała powietrze, najwolniej, jak umiała. Poczowała ucisk w gardle i zadrżała. Było zimno, zimniej, niż powinno być w jaskini.

Znowu wzięła głęboki oddech. Boże, potrafi to zrobić. Zachowuje się jak idiotka. Zmusiła się do podejścia do prawej ściany jaskini. Na pewno znajdzie tam łuk i wreszcie będzie miała pewność, że to jest miejsce, w którym... co? Wciąż miała ciemną dziurę w pamięci, tak czarną jak pieczara, w której stała. Oświetliła latarką ścianę, ale nie dostrzegła żadnego przejścia. Pamiętała, że wtedy szła przed siebie, zrobiła stanowczo zbyt wiele kroków, które prowadziły donikąd. Prawdopodobnie chodziła w kółko. Znowu potrząsnęła głową. Pamiętała, że w pewnym momencie się zatrzymała, ale dlaczego?

Potknęła się, upadła na dłonie i kolana i poczuła na ręku ułkanie czegoś ostrego. Musiała nadziać się na jakiś ostry kamień. Obejrzała dłoń i potrząsnęła nią. Nie było tak źle, nie przecięła rękawiczki. Podłogę wydawało się wyjątkowo gładkie, ale przed nią, na skraju kręgu światła leżał mały, okrągły przedmiot. Podpełzła bliżej, żeby lepiej go obejrzeć.

To był jej kompas.

Przed oczami stanęło jej wspomnienie jak żywe. Jej kompas.

Rzuciła go przed siebie pod wpływem... czego? Złości? Frustracji? Wyrzuciła go, bo ją

oszukiwał, pokazywał nieprawdopodobny kierunek. Wyrzuciła go, bo się przestraszyła.

- Znalazłam mój kompas - zawołała nieswoim głosem.

- Pamiętam, że go upuściłam. To ta jaskinia.

W ułamku sekundy wszyscy byli przy niej. Dix wziął ją za rękę i pomógł wstać. Wziął od niej kompas, położył płasko na swojej dłoni i przyjrzał mu się uważnie.

- Wygląda na to, że działa.

- Wtedy nie działał. - Potrząsnęła głową. - Jestem tego pewna. Nie upuściłam go, tylko odrzuciłam od siebie najdalej jak mogłam.

Dix wsunął kompas do kieszeni kurtki. Usłyszał urywany oddech Ruth i poklepał ją po ramieniu.

- Posłuchaj mnie, wszystko już jest dobrze. Cokolwiek cię tu spotkało, przeżyłaś. I to już więcej się nie powtórzy.

Chciała przytulić się do niego, pozwolić mu, by obronił ją przed czającym się w jaskini potworem, tak tylko na sekundę, ale wiedziała, że nie powinna. Powstrzymała się całą siłą woli, ale Dix wyczuł, że Ruth jest bliska załamania, i przytulił ją na chwilę do siebie.

- Savich, może ty i Sherlock poszukacie tego łuku - zaproponował.

Chappy stanął obok nich i popatrzył na Ruth.

- Jakiego łuku? Może ktoś mi powie, o co tu chodzi?

- Później, Chappy - odpowiedział Dix.

- Jest!

- Pójdziemy go obejrzyć?

Ruth skinęła głową przytuloną do jego ramienia.

- Tak, już mi lepiej. Głupie, naprawdę, tak się rozklejać.

- Nawet taka twarda laska jak ty może czasem dostać w kość.

Patrzyli, jak Savich i Sherlock ostrożnie czołgają się przez łukowate przejście, otoczone poszarpanym wapieniem. Po chwili Savich zawołał:

- Ładunek wybuchowy umieścili jakieś sześć stóp w głąb przejścia. Niezły tu bałagan.

- Czuję jaśmin - powiedziała nagle Ruth. - Zapach jest bardzo słaby, ale go czuję. Wtedy w piątek też tu był.

- Rozumiem, że powietrze jest świeże - odezwał się Savich - ale jaśmin? Jak perfumy?

Ruth skinęła głową.

- Ale to nie ma sensu, prawda? Ja nie używałam żadnych perfum. Co to może być?

- Tak, ja też coś poczułem - przyznał Chappy. - Jakiś słodki zapach. Nie wiedziałem, że to jaśmin.

- Chappy, czy mógłbyś pokazać mi tę niszę? - poprosiła Ruth.

Podprowadził ją do najodleglejszej ściany komnaty.

- Dzięki, Chappy. Dasz mi chwilę?

Ruth powoli przesunęła promieniem latarki po chropowatej, głęboko pobrużdżonej przez płynącą od tysięcy lat wodę w ścianie. Wyglądała tak, jakby nikt nie ruszał jej od wieków. Wiedziała, że złoto zostało ukryte właśnie tutaj, jej mapa mówiła wyraźnie: „pod wnęką”, ale teraz nic tu nie było. Kto znalazł sztabki i jak dawno temu? Miała ochotę się rozpłakać. Była taka podekscytowana, miała taką nadzieję i wszystko na nic.

- Masz rację, Chappy, nic tu nie ma.

Odwróciła się i ruszyła wzdłuż tylnej ściany jaskini, z dala od pozostałych. Znowu poczuła

zapach jaśminu, tym razem silniejszy, ale w powietrzu unosiła się jeszcze jakaś woń, nieprzyjemna i drażniąca nozdrza. Szła dalej, pochylając się, gdy sufit zaczął się obniżać.

Zapach stawał się coraz bardziej intensywny.

Usłyszała cichy dźwięk, przypominający miękki szum skrzydeł nietoperzy. Może wtedy otoczyły ją nietoperze, przewróciła się i uderzyła w głowę? Podniosła wzrok i oświetliła latarką sufit. Nic, tylko poblask koronkowego wapienia.

Zrobiła kolejny krok do przodu i potknęła się o coś. Upadła na kolana i wyciągnęła ręce, żeby zamortyzować upadek. Jej palce natrafiły na coś dziwnie miękkiego i zimnego.

Głęboko w duszy wiedziała, czego dotknęła. Wrzasnęła i rzuciła się do tyłu, a latarka na głowie rzucała wokół szalone cienie.

U słyszała, że pozostali ją wołają i biegną do niej. Zmusiła się, żeby spojrzeć w dół i popatrzyła prosto w zielonkawą, nabrzmiałą twarz młodej kobiety.

Ruth, co się stało? Co znalazłaś?

Podniosła wzrok na Dix'a.

- Ona nie żyje, Dix. To od niej czuć jaśminowe perfumy. I ten mdlący zapach też.

Dix opadł na kolana obok Ruth.

- Savich, Sherlock, potrzebuję więcej światła. Chappy, zostań z tyłu, słyszysz? Nie waż się zrobić nawet kroku w tym kierunku. Ja ją znam - powiedział, przyglądając się twarzy zmarłej. - Nie pamiętam jej nazwiska, ale widywałem ją w mieście. - Dotknął opuszkami palców jej szyi, policzków i dłoni, ciasno splecionych na piersi. Brakowało tylko lilii, pomyślał. Na pewno nie trafiła tu sama, przypadkiem. Zesztywnienie pośmiertne już minęło. - Zmarła niedawno, jakieś trzy, cztery dni temu.

- Czułam jej perfumy, kiedy byłam tu w piątek.

- Czas wydaje się zgadzać. Procesy gnilne są tu spowolnione, bo jest chłodno i sucho. Do tego bardzo niskie temperatury na zewnątrz, ale rozkład już się zaczął. Widzicie to małe odbarwienie na jej piersi? Wygląda na to, że została pchnięta nożem, ale żadnego nie widzę. A wy?

- Ten zapach - powiedziała Ruth. - Nie jaśmin, ten drugi, jest odrażający.

- To prawda - przyznał Dix. - Przypomina jakieś lekarstwo.

- Nie widzę żadnego noża - powiedział Savich - ale pewnie morderca mógł go gdzieś tu ukryć.

Ludzie z medycyny sądowej będą mieli sporo roboty z przeszukaniem tej ogromnej jaskini.

Ruth popatrzyła na twarz młodej kobiety skąpaną w świetle latarek.

- Została upozowana. Popatrzcie, jak ma ręce skrzyżowane na piersi, wyprostowane nogi i wygładzoną sukienkę.

Dix wstał powoli.

- To musiał być jakiś wariat. Zabił ją, upozował i zamknął w tym grobowcu. Nie mógł wiedzieć, że do jaskini prowadzi jeszcze jedno wejście. Historia jak z opowiadania Poego.

Sherlock sprawdziła kieszenie denatki i delikatnie zbadła ziemię pod ciałem.

- Nie widzę torebki. Dwie puste kieszenie, żadnych dokumentów.

Ruth popatrzyła w stronę łukowatego przejścia na drugim końcu jaskini.

- Myślicie, że zabił ją tutaj?

- Nie wiem - odpowiedział Dix. - I nie chcę zgadywać. Dobrze, że nie natknęłaś się na nią, kiedy byłaś tu sama.

Ruth drżała, było jej tak zimno, że bolało ją całe ciało.

Potarła dłońmi ramiona. Nie mogła oderwać wzroku od biednej kobiety.

- Mogłam się na nią natknąć i może przez to wpadłam w szok. Wciąż nie pamiętam.

Dix podał jej kompas.

- Potrzyмай go przez chwilę, Ruth.

Nie chciała, ale wzięła go i położyła na otwartej dłoni.

- Właśnie tak - powiedział Dillon. - Po prostu go trzymaj. Masz go od dawna, często go używałaś. Pamiętasz, co robiłaś ostatnim razem, gdy miałaś go w ręku?

Upuściła kompas.

- Byłam... przerażona. Coś zmierzało w moim kierunku, czołgało się po podłożu. Biegłam, musiałam przed tym uciec. Krzyczałam.

Savich schwycił ją mocno za rękę.

- Dobrze, Ruth, na razie wystarczy. - Skinął głową w stronę Sherlock, która przytuliła Ruth do siebie. Dix podniósł kompas i wsunął go do kieszeni kurtki.

- Wracajmy na powierzchnię - powiedziała Sherlock. - Musimy zadzwonić po pomoc.

- Dix, mówiłeś, że brat twojego teścia, doktor Gordon Holcombe, jest dyrektorem Stanislausa? - spytał Savich.

- Tak. Jeśli nie będziemy mogli jej zidentyfikować, on nam pomoże.

O trzeciej po południu ciało Erin Bushnell, dwudziestodwuletniej, bardzo utalentowanej skrzypaczki z Sioux Falls w Iowa, zostało zapakowane do worka i odwiezione do kostnicy szpitala hrabstwa Loudon. Gdy patrzyli, jak biała furgonetka powoli rusza przez ubity śnieg, Dix powiedział:

- Lekarz sądowy, Burt Himple, jest świetny, Savich. Chyba przeszedł jakieś szkolenia w Quantico. Po spotkaniu z tobą i Sherlock będzie naprawdę uważał, żeby niczego nie zepsuć.

Savich odprowadził wzrokiem furgonetkę.

- Podaliśmy mu numer telefonu doktora Conrada w Quantico, jeśli miałby jakieś wątpliwości.

- Myślę, że masz rację - powiedział Dix do Ruth. - Erin Bushnell pewnie leżała już tam martwa, gdy pierwszy raz weszłaś do jaskini. - Przerwał i popatrzył na swojego człowieka, Lee Hickeya, młodego policjanta, który kilka miesięcy temu dał Erin Bushnell mandat za przekroczenie prędkości, i teraz od razu ją zidentyfikował.

- Chciałem się z nią umówić, ale powiedziała, że kogoś ma - powiedział Lee i zwymiotował.

- Morderca pewnie właśnie ją tam położył - uznał Savich - upozował według jakichś swoich chorych fantazji i usłyszał twoje kroki, Ruth. Wydaje mi się, że mógł podać ci jakiś narkotyk albo gaz, tak że stałaś się bezbronna.

Kiedy ludzie koron era zabrali zamknięte w zielonym worku ciało, Chappy, który siedział w range roverze, podszedł do nich i patrzył na tuzin ludzi uwijający się przy wejściu do jaskini. - To chyba najdziwniejszy dzień w moim życiu.

- Nie należy do zwyczajnych - przyznał Dix.

- Nie rozumiem tylko, dlaczego Ruth żyje.

- Gdyby Dix nie znalazł Ruth w lesie - odpowiedział Savich - przeszukiwalibyśmy tę jaskinię tak długo, aż nie ostałby się ani jeden nietoperz, którego skrzydła nie zostałyby zbadane w poszukiwaniu śladów. Może zabójca nie chciał zostawiać jej tutaj, wiedział, że skoro jest agentką FBI, rozpoczną się poszukiwania na ogromną skalę, a Jaskinia Winkela będzie w ich centrum.

- Halo, ludzie, to ja, Ruth. Jestem tutaj i żyję.

- I bardzo się z tego cieszymy, Ruth - powiedział Dix.

- Jedziecie teraz spotkać się z tym dupkiem Twisterem, prawda? - spytał Chappy.

- Tak. Musimy się też dowiedzieć, gdzie ona mieszkała.

Przykro mi, Chappy, ale nie możesz z nami jechać. Może sfinalizujesz wykupienie Banku Ameryki?

Chappy potrząsnął głową.

- Znam Twistera, Dix, znam go do najdrobniejszych molekuł. Nie możesz wierzyć w ani jedno jego słowo. Ja mógłbym wam powiedzieć, czy kłamie, próbując ochronić tę swoją cenną szkołę. Widziałem wszystkie jego sztuczki, odkąd skończył dziesięć lat.

- Chappy, może powiesz naszym agentom FBI, co tak naprawdę myślisz o wujku Gordonie?

- Że jest śliską, pokreconą małą łasicą.

- Dlaczego pana brat miałby coś ukrywać, sir? - spytała Sherlock. - Spotykamy się z nim jako pierwszym tylko dlatego, że jest szyczą w szkole i może nas skierować do jej przyjaciół i nauczycieli.

Chappy otworzył usta, potem je zamknął i westchnął głęboko.

- Nie mogę wykupić Banku Ameryki. Próbowałem kilka miesięcy temu, ale schwycili w szpony wszystkie akcje, ich dyrektor zarządzający to prawdziwy rekin... To był żart. Cholera, co za dzień. No dobrze, idę, ale macie mnie informować na bieżąco. Obiecujesz, Dix?

Szeryf skinął głową.

- Obiecuję. Posterunkowy Moran odwiezie cię do domu. I, Chappy, nie dzwoń do wujka Gordona, dobrze?

Około czterech mil na wschód od Maestro. Na północy ciągnęły się góry, a po ich stokach pięły się gęste lasy pełne dębów, klonów i sosen. Bliżej wystawały niewielkie, pokryte krzakami jeżyn, pagórki które na wschodzie przechodziły w zasypaną śniegiem płaską dolinę.

W późnym popołudniowym świetle kampus wyglądał jak cenny kamień, budynki z czerwonej cegły skupione wokół kwadratowego dziedzińca i otoczone drzewami, których grube gałęzie pokrywał śnieg. Wszystkie chodniki były starannie odśnieżone. Dźwięki Koncertu Brandenburskiego Bacha dobiegały z głównego audytorium imienia Van Cliburna, nazwanego tak po słynnym pianiście, który złożył hojną dotację dla szkoły piętnaście lat temu. Wszyscy zatrzymali się i chłonęli wyjątkową atmosferę tego miejsca.

- Dochodzi czwarta - zauważyła Sherlock. - Mam nadzieję, że doktor Holcombe jest jeszcze w pracy.

- Powinien być - powiedział Dix. - Jest bardzo dobrym muzykiem, gra na pianinie i flecie. Prowadzi tę szkołę od dziesięciu lat, wcześniej dawał koncerty, głównie w Europie i przez kilka lat mieszkał w Paryżu. Jego córka, doktor Marian Gillespie, też tutaj uczy.

- Także jest muzykiem? - spytał Savich. Dix skinął głową.

- Gra na altówce, ale Christie mówiła mi, że nie ma nawet w połowie takiego talentu jak ojciec ani nie potrafi sobie tak radzić z ludźmi i administracją. Jest stara hipiską. Jak ją poznacie, sami zobaczycie, o czym mówię.

Gdy szli szerokim chodnikiem do Blankenship Hall, gdzie mieściła się administracja, Ruth spytała Dixą:

- Czym zajmuje się mąż Marian?

- Wyjechał stąd, zanim my sprowadziliśmy się z Nowego Jorku, więc nigdy go nie poznałem. - Dodał w ramach wyjaśnienia na rzecz Sherlock i Savicha: - Przez cztery lata pracowałem w

wydziale zabójstw w Nowym Jorku. Kiedy sprowadziliśmy się tutaj, po części dzięki ojcu Christie zostałem szeryfem Maestros. Chłopcy i ja rzadko widzimy Marian, może raz na kilka miesięcy na jakiejś kolacji w Tarze. Rob i Rafe nazywają to wieczorami cyrkowymi.

- Rodziny bywają takie zabawne - powiedziała Ruth. - Czy twoi chłopcy odziedziczyli choć trochę jego talentu?

- Rob gra na perkusji w zespole, który założył jego kumpel z klasy, a Rafe pogrywa na pianinie, ale za każdym razem, gdy mówię coś o posłaniu go na lekcje, odmawia. Zobaczymy.

Dix podprowadził ich do pięknego, półokrągłego biurka recepcyjnego, zza którego przyglądały się im ciekawie dwie kobiety. Dix skinął im głową.

- Mavis, chciałbym zobaczyć się z wujem - powiedział.

- Jest u siebie, szeryfie Noble - odpowiedziała Mavis, przyglądając się Savichowi - ale mówił, że chciałby dzisiaj wcześniej wyjść. Chyba Peter Pepper go dopadł.

Mary Parton wzniosła oczy do nieba.

- Jeśli jest u niego Peter, to na pewno będzie wdzięczny za ratunek. A kim są ci ludzie, szeryfie? Chwila, pani jest tą kobietą, którą szeryf znalazł koło swojego domu, prawda?

Ruth uśmiechnęła się szeroko i skinęła głową. - Tak, agent specjalny Ruth Warnecki.

- Aha. - Mary skinęła głową. - Pracuje pani w firmie ochroniarskiej? W Richmond?

- Niezupełnie. Jestem agentką FBI.

- Och, rety, wielkie nieba, jakie to podniecające! Czy taka śliczna dziewczyna nosi broń i kamizelkę kuloodporną? To pewnie tajemnica, prawda? No dobrze, szeryfie, idźcie prosto do biura.

Dix podziękował Mavis i Mary i poprowadził ich długim korytarzem wyłożonym miękkim dywanem.

- Chyba już wszystko o tobie wiedzą, łącznie z tym znamieniem pod lewym kolaniem.

Ruth uniosła brwi.

- Chyba myślisz o tym pod prawym kolaniem.

Wszyscy przyglądali się ścianom pokrytym wielkimi zdjęciami z autografami sławnych muzyków, śpiewaków i dyrygentów. - Niezła galeria - powiedziała Ruth. - Wielkie nieba, czy to Pavarotti? Tak, to on. Popatrzcie na ten podpis. Skromny to on nie jest.

Sherlock przyjrzała się uważnie fotografii.

- Wygląda na to, że zdjęcie zostało zrobione latem, jakieś piętnaście lat temu, tutaj, w Stanislaus, z grupką podekscytowanych nauczycieli i studentów. Hm, nie sądzę, żeby Pavarotti musiał być skromny. Wiecie, że jest uznawany za jedyne żyjącego tenora, który naprawdę opanował całą skalę głosu tenorowego?

- Skąd wiesz, jaka jest skala tenora? - zdziwiła się Ruth.

- Sherlock miała uczyć się w Juillard i zostać pianistką - wyjaśnił Savich.

- Nie wiedziałam. Chciałabym posłuchać, jak grasz.

Sherlock skinęła głową.

- To było bardzo dawno temu, Ruth, ale z radością zagram dla ciebie. Przepraszam, Dix, mieliśmy iść do biura doktora Holcombe'a?

- Jest na samym końcu korytarza. Musimy przejść przez zasięki Helen Rafferty, jego osobiściej piły-sekretarki. Strzeże go lepiej niż ochroniarze prezydenta.

Pani Rafferty pukała długopisem w stertę dokumentów ułożoną równo na środku biurka i wpatrywała się w zamknięte drzwi biura doktora Holcombe'a. Dix odchrząknął.

- Helen?

- Szeryf Noble! I goście. Cóż, proszę, siadajcie.

- Helen, czy mogłabyś nam dać adres Erin Bushnell?

- Po co? Rozumiem, to tajemnica. Poczekać chwilę, mam tu adresy wszystkich studentów. Mam nadzieję, że nie wpakowała się w kłopoty i nie rozrabiła po alkoholu. Ach, tak, tu jest. - Zapisała adres i wręczyła Dixowi.

- I chcielibyśmy zobaczyć się z Gordonem.

- Och, doktor Holcombe ma spotkanie ze studentem... ale wiecie co, myślę, że ma go już serdecznie dosyć. Pora, żeby Peter skończył na dzisiaj. - Wstała, pomaszerowała na ośmiocentymetrowych obcasach do pięknych mahoniowych drzwi i mocno zapukała. Nie czekając na odpowiedź, otworzyła drzwi i powiedziała głośno:

- Przepraszam, że przeszkadzam, ale szeryf chce się z panem widzieć, doktorze Holcombe. Powiedział, że to bardzo pilne.

Łagodny męski głos odparł:

- Dziękuję, Helen, już idę.

- Mam tu trójkę agentów FBI, Gordon - powiedział Dix nad ramieniem Helen.

- Jedna minutka - zawołał doktor Holcombe.

Helen wyszła z jego biura i odwróciła się do gości, kładąc rękę na sercu.

- Och, jesteście agentami FBI? Naprawdę? U nas, w Stanislausie? Och, tak, a pani jest ta kobieta, którą Dix znalazł pod drzwiami, prawda?

- Tak, proszę pani - odpowiedziała Ruth.

- Nie przejmuj się, że ludzie się na ciebie gapią, kochana, tego bandaża prawie nie widać pod tak gęstymi włosami. Naprawdę jesteście agentami FBI? Wszyscy?

- Chciałaby pani zobaczyć nasze dokumenty? - spytała Sherlock.

- Tak naprawdę nie mam do tego żadnego prawa, ale nigdy nie widziałam identyfikatorów FBI.

- My to nazywamy „odznaki” - powiedziała Sherlock i podała jej swoją.

Helen przyglądała się jej przez kilka chwil.

- Och, czyż to nie jest fantastyczne? Ach, czy moglibyście aresztować tego młodego człowieka, który wyjdzie wkrótce z biura doktora Holcombe'a?

- Oczywiście - powiedział Savich. - Mamy wyprowadzić go w kajdankach i trochę poturbować?

- Byłoby świetnie. - Helen nasłuchiwała przez chwilę, po czym odsunęła się, gdy z biura wyszedł chudy młodzieniec o ascetycznej twarzy i zgarbionych ramionach. Doktor Holcombe wyszedł za nim, mówiąc:

- Nie ma żadnej dyskryminacji ze względu na nazwisko, Peter. Musisz przestać myśleć, że jeśli dyrygentowi nie spodoba się twoje imię, to cię nie zatrudni. Dix, zaraz do was przyjdę.

Peter nie wydawał się zainteresowany i mówił dalej podniesionym głosem:

- Doktorze Holcombe, nie może pan tego zlekceważyć.

Dwie odmowy! Przyniosłem je panu, żeby sam pan zobaczył. Oczywiście odmowy są uprzejme, ale obaj mnie nie chcą. Obaj! Dobrze pan wie, że to przez moje nieszczęsne nazwisko. Podaję imię i nazwisko i wszyscy turlają się ze śmiechu, zwłaszcza dyrygenci i ci smarkacze z orkiestry. Musi pan czytać między wierszami. Nikt nie chce skrzypka, który się nazywa Peter Pepper. Może pan sobie wyobrazić, ilu dyrygentów mnie odrzuci, jak zrobię dyplom?

- Pewnie pomyślą, że twoja rodzina zrobiła fortunę na tych napojach *[* Pepper - producent

popularnego w Stanach napoju Dr Pepper (przyp. tłum.)] - powiedziała Helen. - To już jakiś początek, prawda?

- Wystarczy, Helen, proszę. - Doktor Holcombe nie mógł powstrzymać parsknięcia. - Peter, to nie ma nic wspólnego z twoim nazwiskiem, po prostu ktoś grał lepiej od ciebie, nic więcej. Przeczytałem oba listy bardzo uważnie i niczego nie znalazłem „między wierszami”.

- A może zmienisz imię? - zaproponowała Ruth. Peter Pepper popatrzył na nią.

- Nie mogę. Matka by mnie zabiła i wydziedziczyła, a wtedy nie mógłbym pozwolić sobie na czesne.

- No to na następnym przesłuchaniu użyj innego imienia i wszyscy będą szczęśliwi. Jak masz na drugie?

- Princeton. Moja mama chodziła tam do college'u.

- Hm. No dobrze, to może zamień je miejscami. Nazywałbyś się Pepper Princeton. To brzmi intrygująco.

Peter, alias Pepper Princeton, zamyślił się głęboko, po czym zaczął wolno kiwać głową, nie spuszczać wzroku z Ruth.

- Nikt nigdy mi nie powiedział, że to moje nazwisko stanowi problem, ale ja wiedziałem. Pepper Princeton. To zupełnie co innego, nikt nie będzie się śmiał. Dzień dobry, nazywam się Princeton, doktor Princeton. To ma w sobie coś, zupełnie, jakbym był kimś sławnym. Hej, mogę zaprosić cię na kolację dziś wieczór?

Ruth poklepała go po ramieniu.

- Już się umówiłam, ale dziękuję. I powodzenia.

Doktor Gordon Holcombe patrzył, jak młody człowiek odchodzi korytarzem, sprężystym krokiem, z wyprostowanymi ramionami.

- To było wspaniałe - powiedział do Ruth. - Gdybym tylko na to wpadł pół roku temu... Ale lepiej, że ta propozycja wyszła od ciebie. Czy ja mógłbym cię zaprosić na kolację?

Dix skierował wszystkich do biura wuja.

- A co ze mną? - zawołała za nimi Helen Rafferty. - Mnie nikt nie zaprosi na kolację?

Rozdział 14

Dix zawsze uważał, że biuro Gordona mówi wszystko o jego właścicielu. Każda wolna powierzchnia była usłana nutami, o ściany stały oparte instrumenty, a z kąta wystawał niewielki czarny Steinway także zasypany papierami. Ruth zauważyła z uśmiechem, że biurko służyło tylko i wyłącznie za stojak dla komputera i drukarki i jeszcze większej ilości nut. W pokoju stało sześć krzeseł, pewnie, żeby doktor Holcombe mógł grywać ze swoimi uczniami. Na jednym z krzeseł leżał francuski róg, inne były usłane recenzjami z gazet i nutami.

Gabinet był przytulny, uznawała Ruth i pokazywał, co było najważniejsze dla dyrektora jako człowieka, a nie szefa administracji Szkoły Muzycznej Stanislaus. Uśmiechnęła się do doktora Holcombe'a i powiedziała:

- Może zjem z panem kolację. Lubi pan włoską kuchnię? Dix zmarszczył brwi.
- Nic z tego, Ruth. Obiecałem chłopcom, że zrobię nam wszystkim hot dogi, fasolkę po bretońsku i placki kukurydziane. Oczekują cię.

Doktor Holcombe zaczął coś mówić, ale Dix mu przerwał.

- Musimy poważnie porozmawiać, Gordon.
- Dlaczego? Chodzi o Chappy'ego, Dix? Co ten stary idiota znowu wymyślił? Wiedziałaś, że Cynthia przysłała do mnie w zeszłym tygodniu, bo bała się, że Chappy wyrzuci Tony'ego z banku? Chłopak powinien zabrać swoich klientów i wynieść się stamtąd, dużo lepiej by na tym wyszedł. Czy Chappy oskarżył o coś mnie albo szkołę i przysłał was tutaj, żebyście mnie aresztowali? Wiesz, Dix, że on zawsze mnie nienawidził. To wszystko przez zazdrość, chce, żebym umarł albo wylądował w więzieniu, wtedy nigdy więcej mój widok nie przypominałby mu, że jedyne, czego w życiu dokonał, to zarobił pieniądze.

Dix był jedyną osobą, której nie zaskoczył ten potok jadu płynący ze starannie wykrojonych ust utalentowanego i dystygowanego doktora Holcombe'a. Szeryf uśmiechnął się i potrząsnął głową.

- Nie, nie wszystko, co robi Chappy, jest skierowane przeciwko tobie, Gordon.

Doktor Holcombe oparł się o biurko, skrzyżował ramiona i popatrzył na nich.

- No dobrze, Dix, powiedz mi, o co chodzi. Przede wszystkim może przedstawiś mi tych ludzi?

Dix dokonał prezentacji, a brew doktora Holcombe'a unosiła się za każdym razem, gdy padała nazwa FBI. Ucisnął wszystkim dłonie, zatrzymując dłużej dłoń Ruth.

- Teraz rozumiem, że jesteś tą kobietą, którą Dix znalazł w piątek wieczór, śpiącą w swoim range roverze, niemal zamarznąłą, ale ci dwaj agenci FBI? Razem prowadzicie dochodzenie? Jak ja mogę wam pomóc?

- Jak dobrze znałaś Erin Bushnell?

Doktor Halcombe wyglądał na zaskoczonego.

- Erin Bushnell... bardzo utalentowana, gra na skrzypcach z wyjątkową pasją i emfazą.

Pracowałem z nią nad kontrolą i spontanicznością, chociaż to dziwnie brzmi. Ale to właśnie robi prawdziwy artysta, kiedy go słuchasz, wydaje się, że muzyka wypływa z niego, jakby nigdy wcześniej nie grał dla nikogo innego, to jego dar, błogosławieństwo. Powinniście byli posłuchać Erin, jak grała Sonatę na Jedne Skrzypce Bartoka. Jest absolutnie fantastyczna. Poczulibyście się, jakbyście byli pierwszymi ludźmi

Co jeszcze o niej wiem? Jest na czwartym roku, robi licencjat w maju. Myślę, że chce zostać na studiach magisterskich. Co się stało, Dix? Czy Erin coś zrobiła? Wiem, że nie bierze narkotyków, może trochę marihuany, mamy z tym mały problem w kampusie, ale nigdy nic mocniejszego. I lubi prowadzić tę swoją małą miatę naprawdę szybko. Och, chyba nie miała wypadku, prawda?

- Nie chodzi o narkotyki, Gordon, ani o wypadek samochodowy. Przykro mi, że muszę ci to powiedzieć, ale Erin Bushnell nie żyje. Znaleźliśmy jej ciało w Jaskini Winkela. Jak na razie nie znamy przyczyny śmierci, ale wygląda na to, że została zamordowana i pochowana w jaskini. Wyjścia były zasłonięte, morderca pewnie miał nadzieję, że nikt jej nie znajdzie.

Gordon wyglądał tak, jakby miał zaraz zemdleć, jego arystokratyczna twarz była tak biała jak kłykcie palców, którymi schwycił brzeg biurka. Poruszał ustami, ale jedyne, co powiedział, to:

- Nie, to niemożliwe. Nie, Dix, nie Erin. Była bardzo utalentowana, taka młoda i obiecująca. Musicie się mylić. Nie, to nie może być prawda. Jesteście pewni, że to ona?

Dix położył dłoń na ramieniu wuja.

- Bardzo mi przykro, Gordon, ale jesteśmy pewni. Uważamy, że została zabita krótko przed tym, jak Ruth weszła do jaskini w piątek. Pewnie morderca wciągnął ją tam przed przybyciem Ruth.

- Erin w Jaskini Winkela? A co, na Boga, ona miałaby tam robić? Miałem zamiar zadzwonić do niej w ten weekend w sprawie koncertu, który miała zagrać przed dyplomem, ale zająłem się pisaniem tej sonaty, nad którą pracuję, i zapomniałem. Och, biedne dziecko.

- Wszyscy bardzo źle to znosimy, doktorze Holcombe - powiedziała Ruth. - Ale potrzebujemy pomocy. Ktoś ją zabił. Musi pan nam o niej opowiedzieć, o jej przyjaciółach, nauczycielach, chłopakach, zwyczajach, wszystko, co może nam pomóc. Musimy się dowiedzieć, gdzie była w piątek.

Ruth widziała, że on nie był jeszcze gotów, żeby o tym myśleć. Nie mogła go winić. Gwałtowna śmierć zawsze była szokiem dla ludzi, którzy znali ofiarę.

Gordon zakrył dłonią oczy.

- Bardzo trudno jest mi to zrozumieć. Studentka, moja studentka, zamordowana. takie rzeczy nie zdarzają się w Stanislausie. Och, Boże. Jaki to będzie miało wpływ na szkołę, na fundusze? Chyba nie myślicie, że zamordował ją inny student? Wychowujemy tu muzyków, nie morderców. - Opuścił głowę, próbując wziąć się w garść. Kiedy uniósł twarz, nadal był blady, ale głos już mu nie drżał. - Erin uczyła się z Glorią Brichoux Stanford, starszą kobietą, wielce utalentowaną, o języku ostrym jak brzytwa. Dwanaście razy występowała w Carnegie Hall, wydała wiele płyt, grała z różnymi orkiestrami na całym świecie. Zналиście ją z Christie w Nowym Jorku, Dix.

- Christie i córka Glorii chodziły razem do szkoły w Carnegie Mellon. Gloria zaczęła pracę tu, w Stanislausie, jakieś pół roku po tym, jak się tu sprowadziliśmy, co było miłą niespodzianką. Jej córka też się tu przeprowadziła. Erin była jej studentką?

- Od początku jesienno-semesteru grała z Glorią co najmniej dwie godziny dziennie. Powiedziałbym, że żaden nauczyciel nie znał Erin lepiej niż Gloria. Może będzie umiała wam powiedzieć... nie wiem, ale chyba powinna wiedzieć o chłopakach Erin, ludziach, których nie lubiła,

czym się martwiła. - Przerwał i stał w ciszy oparty o biurko, wpatrując się w eleganckie włoskie buty. - Erin była taka młoda, miała dwadzieścia jeden, dwadzieścia dwa lata? Rozmawiałaś z jej rodzicami, Dix?

- Tak, to było bardzo trudne. Nie znali nikogo, kto nie lubił ich córki, nie mówiąc już o morderstwie. Nie wiedzieli o żadnych kłopotach z chłopakiem. Przyjadą, żeby zabrać ją do lowa.

Helen dała nam adres Erin. Nie wiesz, czy miała współlokatorów? Czy mieszkała sama?

Gordon wzruszył ramionami. - Nie mam pojęcia.

- Nieważne. Dziękuję, Gordonie, za pomoc. Bardzo mi przykro. Jestem pewien, że będziesz teraz miał mnóstwo roboty, zwłaszcza jak media się o tym dowiedzą.

- O tak, media zadbają, żeby nas wszystkich za to ukrzyżować. Będę musiał chronić przed nimi studentów. No cóż, poradzimy sobie z tym, nie mamy innego wyjścia. - Nie był już Gordonem, tylko doktorem Holcombe. - Proszę, dajcie mi znać, jeśli się czegokolwiek dowiecie. Sam zadzwonię do rodziców Erin. Urządzimy koncert ku czci jej pamięci.

Kiedy wyszli, Helen milczała, a w oczach błyszczały jej łzy. - To po prostu niemożliwe. Erin, martwa. Tak strasznie mi przykro. Była piękną młodą kobietą, zawsze była dla mnie miła. Parę razy spotkałam ją na wydziałowym przyjęciu, pamiętam, że niedużo piła i wydawała się raczej nieśmiała, ale przyjacielska. To tragedia, szeryfie, naprawdę.

Ruth poklepała ją lekko po ramieniu. - Dziękujemy za pomoc.

- Erin nie miała współlokatorów. Mieszkała sama. - Podała Dixowi kartkę.

Wychodząc, patrzyli, jak wchodzi do gabinetu doktora Holcombe'a i rozmawiają przez chwilę przyciszonymi głosami. Powietrze na zewnątrz wydało się im ciężkie i zimne.

- Co jest na tej kartce, którą dała ci Helen? - spytał Dix Savich, gdy wsiadali do range rovera."

- Numer telefonu i adres Glorii Brichoux Stanford. Jutro złożymy jej wizytę. Teraz pojedziemy do mieszkania Erin Bushnell, może coś tam znajdziemy.

- Najlepiej podarte i podpisane listy miłosne - powiedziała Ruth.

- Mnie wystarczą jakieś wyraźne odciski palców - odrzekł Dix. Kilka minut później skręcił w Upper Canyon Road. Domy były stare, niektóre wiktoriańskie, pomalowane na jasne kolory. Na trawnikach rosły sędziwe, przysypane śniegiem dęby.

- Mieszka na drugim piętrze. Tam.

Dom był duży, na każdym z trzech pięter mieściło się jedno mieszkanie. Na drzwiach na drugim piętrze nie było numeru.

Zadzwoił do drzwi, ale nie było żadnej odpowiedzi. Zapukał, odczekał chwilę i zapukał jeszcze raz. Krzyknął swoje nazwisko. Wciąż żadnej odpowiedzi. Nacisnął klamkę i drzwi się otworzyły.

- Zaufanie do bliźniego gra na naszą korzyść - rzucił przez ramię.

- Nie mogę uwierzyć, że nie zamknęła drzwi - powiedziała Ruth. - Frontowe drzwi to jedno, ale to jest proszenie się o kłopoty.

- Może morderca ją tu przyprowadził i to on nie zamknął drzwi - odezwała się Sherlock.

Weszli do dużego, wysokiego salonu, połączonego z jadalnią i kuchnią długim blatem kuchennym.

Mimo że nie zapalali światła, w pokoju było jasno, a rozjaśniały go jeszcze kolorowe poduszki i pastelowe ściany pokryte wielkimi plakatami, głównie z Bradem Pittem.

- No dobrze - powiedział Dix. - Rozdzielmy się i szybko przejrzyjmy mieszkanie. Moi ludzie przyjadą, żeby zebrać odciski palców, jak tylko skończą w jaskini.

Wiedzieli, co mieli robić, i dziesięć minut później znowu zebrali, się w salonie.

- Powinna była pójść na zakupy - powiedziała Ruth. - W lodówce jest torebka marchewek i karton odłuszczonego mleka. Nie miałam ochoty go wachać. W szufladach zwykły bałagan, żadnych notatek ani zapisków.

Salon, sypialnia i łazienka wyglądały niemal, jakby nikt tu nie mieszkał.

Ale nie pokój muzyczny Erin Bushnell. Był mały, w oknach wisiały zaciągnięte żaluzje, ale widać było od razu, że to tutaj młoda kobieta spędzała większość czasu. Wszędzie leżały sterty równo poukładanych nut z partiami na skrzypce i orkiestrę. Na krześle leżał otwarty futerał ze skrzypcami w środku. Sherlock wyjęła je i obejrzała.

- Zrobione przez Harta i Synów w Londynie w dziewiętnastym wieku. Rzadko się takie widuje. Są przepiękne.

Przejrzała nuty, ale nie zobaczyła w nich nic niezwykłego. Nie było żadnego notesu z adresami ani pamiętnika, żadnej luźnej kartki z notatkami czy godzinami spotkań. Erin miała małego laptopa, którego Dix wziął ze sobą.

- Poproszę naszego rezydenta, Weeniego*[* Weenie (ang.) - parówka (przyp. tłum.)], żeby go sprawdził. - Zobaczył uniesioną brew Ruth i uśmiechnął się. - Naprawdę ma na imię Allen, ale wszyscy nazywają go Weenie. To mu się nawet podoba.

Ruth zamknęła za nimi drzwi mieszkania Erin.

- Jedyne osobiste akcenty w tym mieszkaniu były skrzypce i nuty.

- Chyba będziemy musieli poszukać gdzie indziej odpowiedzi na pytanie, dlaczego umarła - powiedział Dix, a ruszając spod starego domu, dodał: - No dobrze, na dzisiaj musimy skończyć. Chłopcy będą się zastanawiali, gdzie was ukryłem. Poza tym nie lubię, jak zbyt długo są sami w domu po szkole. Byli cali podnieceni, że znowu przyjadą do nas agenci FBI.

- Pewnie teraz rządzą w szkole - powiedziała Ruth. - Może nawet obiecali przyjaciołom, że d4iś wieczór wyciągną z nas wszystkie tajemnice.

Dix zatrąbił na samochód, który skręcał przed nimi. - Uważaj, żeby Brewster znowu cię nie obsiusał.

- Teraz już wiem, że muszę uważać. Gdyby znowu to zrobił, nie mogłabym pójść na kolację z żadnym z moich adoratorów. I pewnie Rob już nigdy więcej nie pożyczylby mi ubrań.

Komórka Dix'a zadzwoniła, gdy szeryf usiłował przejechać przez wielką kupę śniegu usypaną na środku Stumptree Lane. Na czubku zasy py ktoś zatknął kulę śnieżną z marchewką w miejscu nosa.

- Założę się, że Rob i Rafer maczali w tym palce. - Odebrał telefon. - Szeryf Noble, słucham.

Słuchał przez chwilę, po czym zatrzymał range rovera na poboczu.

- Powiedz mi, że żartujesz. Proszę. - Słuchał jeszcze przez chwilę, a następnie rozłączył się, i wsunął telefon do kieszeni.

Dzwonił lekarz sądowy, doktor Himple. Powiedział, że Erin Bushnell miała w krwioobiegu narkotyki, który udało mu się zidentyfikować. Sądzi, że to substancja chemiczna o nazwie BZ, który zapewne ją sparaliżował. Wtedy morderca wbił jej w klatkę piersiową cienkie ostrze lub igłę. - Wziął głęboki oddech. - Ale to, co zrobił po tym, jak ją zabił, to najbardziej pokręcona rzecz, o jakiej słyszałem.

Ruth pochyliła się i dotknęła jego ramienia.

- Co, Dix, co on takiego zrobił?

- Zabalsamował ją.

Rozdział 15

Savich posypał solą kolbę kukurydzy, wgryzł się w nią i westchnął z zadowoleniem.

- Rob, bardzo nam się podobał ten bałwan, którego zrobiliście na środku Stumptree Lane. I jeszcze ta marchewka. Niejeden samochód musiałby stanąć. Twój ojciec rozjechał go range roverem i pewnie zjadłby marchewkę, gdyby nie była zmarznięta.

Chłopcy wymienili spojrzenia, a Rob odchrząknął.

- To nie tylko my, tam było mnóstwo dzieciaków ze szkoły - powiedział, zerkając na ojca. - Więc nie możesz winić tylko nas. Skończyliśmy szkołę o trzeciej i nie mieliśmy ochoty na sanki. Śnieg na Breaker's Hill jest już do niczego.

- Chcecie jeszcze po hotdogu? - spytał Dix, a obaj chłopcy skinęli głowami, uśmiechając się z ulgą.

- Nie jesteś zły, tato? - upewnił się ostrożnie Rob. - Nie dasz nam szlabanu?

- Ziemia do taty - powiedział Rafe, pstrykając palcami.

- Słucham? Och, przepraszam, pamiętam, że kiedyś w Queens zrobiliśmy to samo i policjant zabrał nas na posterunek, żeby napędzić nam stracha. Tata sprzął mi tyłek. Wiecie, chłopcy, jeszcze nie jesteście na to za duzi.

- Jesteśmy, tato - zaprotestował Rob. - Poza tym ty zawsze tak mówisz i nigdy tego nie robisz. - Wyszczerył zęby w uśmiechu. - Jeśli naprawdę chcesz dać nam nauczkę, to może zamknij nas na noc w więzieniu? To byłaby odpowiednia kara, prawda?

Dix wznosił oczy do góry.

- Mieliście szczęście, że ja pierwszy natknąłem się na waszą śnieżną barykadę i ją rozjechałem.

- Mieliśmy dzisiaj klasówkę z „Otella”, tato - powiedział Rafe. - Chyba nieźle mi poszło. Myślę, że odpowiedziałem dobrze na wszystkie pytania.

- To świetnie - pochwalił go Dix. - Mówiłem ci, że odziedziczyłeś umysł po matce.

- No, tak, a gdybym dostał co najmniej czwórkę z minusem, lo czy mógłbym przyjąć tę pracę w sklepie żelaznym pana Fultona?

Zadzwoniła komórka Dix'a i poszedł ją odebrać, a kiedy wrócił, wycelował palec w Rafe'a.

- Żadnej pracy, dopóki nie będziesz miał co najmniej czwórki z biologii i angielskiego, tak jak się umawialiśmy. Nie czwórki mniej, tylko pełnej, solidnej czwórki. Za trzy tygodnie koniec semestru, więc masz jasno określony cel. I żadnych jęków. Sherlock i Savich mają syna młodszego od was i nie musimy im pokazywać, co ich czeka.

- Nie jesteśmy tacy źli, agencie Savich - zapewnił Rob. - Tata tylko tak udaje.

Rafe posłał bratu ostre spojrzenie, po czym nachylił się ze wzrokiem wbitym w twarz ojca.

- Słyszeliśmy, że znaleźliście zamordowaną studentkę w Jaskini Winkela. Wszyscy o tym mówią, najpierw ci dwaj faceci, którzy próbowali zabić Ruth, a teraz ta dziewczyna. Co się dzieje, tato?

- Tak, znaleźliśmy ciało w Jaskini Winkela. To nie był przyjemny widok.

- Dobrze, że masz agentów specjalnych FBI do pomocy - powiedział Rob.

- To prawda - odparł Dix oschle. - Doskonale.

- Czy pan ciągle widuje trupy, agencie Savich? - spytał Rob.

- Nie, nie ciągle. Tak naprawdę większość czasu spędzam, pracując na komputerze, nazywa się MAX. Przez te wszystkie lata wytropiliśmy całkiem sporo bandytów.

- Za to my - odezwała się Sherlock - agent Warnecki i ja mamy nosy jak psy myśliwskie. Pokazują nam trop, a my trafiamy do przestępców jak po sznurku.

- Tato, to trochę przerażające - powiedział Rafe. - Co się stało tej dziewczynie?

Niektórych sekretów nie wolno mi zdradzać, chłopcy. Nie chcę, żeby media poznały wszystkie szczegóły.

- Ale...

Dix potrząsnął głową.

- Mam parę pytań do Ruth w sprawie poszukiwaczy skarbów. Czy mają jakieś kluby, biuletyny czy coś w tym stylu?

Skinęła głową, bardziej w stronę chłopców niż szeryfa.

- Tak, mają to wszystko. Słyszeliście kiedyś o skarbie zakopanym na farmie Snow Hill, milę na południe od New Baltimore, tu, w Virginii?

Chłopcy, którzy jeszcze przed chwilą leżeli rozparci na krzesłach, teraz usiedli prosto i wpatrzyli się w Ruth. Rafe oparł brodę na rękę.

- Srebrne monety - ciągnęła. - I złote, wycenione na jakieś sześćdziesiąt tysięcy dolarów.

- Kto go zakopał? - spytał Rafe. - Ty go znalazłaś?

- Szkocki pirat, William Kirk, zakopał go w latach siedemdziesiątych osiemnastego wieku. Ale kiedy zmarł, po skarbie nie było ani śladu i wdowa po nim sprzedała farmę pułkownikowi Williamowi Edmondsowi, którego potomkowie wciąż są właścicielami Snow Hill. Ludzie szukali przez te wszystkie lata, ale nikt nie natrafił na żaden ślad oprócz kilku osiemnastowiecznych monet.

- Ja bym znalazł cały - powiedział Rafe - a nie tylko jedną czy dwie głupie monety.

Rob uderzył brata w ramię.

- Nie ma żadnego skarbu, głupku. To legenda, inaczej ktoś już dawno by go wykopał.

- Ale o to właśnie chodzi w poszukiwaniu skarbów - powiedziała Ruth, zniżając głos. - Czasami zastanawiasz się, skąd się wzięło całe to gadanie. Dwa wieki temu stary facet w tawernie wymyślił tę historię, żeby dostać za darmo kufel piwa? A czasem się zastanawiasz, czy to nie magia. I kiedy zaczynasz tak myśleć, jesteś gotowy. Jedziesz do hrabstwa Fauquier, czytasz testament Williama Kirka, który wciąż tam jest, i dowiadujesz się, że zostawił żonie nie tylko wielką posiadłość, ale i mnóstwo gotówki. Gdzie ona jest?

- Jego żona nie wiedziała, że mąż był piratem? - zdziwił się Rafe. - Wszyscy wiedzą, że piraci ukrywają złoto, jak kapitan Kidd na Long Island. Nie powinna była sprzedawać farmy, głupia była.

Ruth uśmiechnęła się.

- Może. A może tak jak Rob nie wierzyła w żaden skarb. A może wierzyła, tylko nie mogła go znaleźć.

- Znacie Ruth dopiero trzy dni - odezwał się Dix - ale chyba już widzicie, że dobry poszukiwacz skarbów musi mieć jedno: wiarę. Musi być wiecznym optymistą i być przygotowanym na liczne rozczarowania.

Ruth popatrzyła na niego, wygodnie usadowionego na krześle, z palcami splecionymi na płaskim brzuchu i podwiniętymi do łokcia rękawami.

Zacząła coś mówić, ale głos odmówił jej posłuszeństwa i musiała odchrząknąć.

- Mniej więcej o to chodzi - przyznała.

- Myślisz, że złoto wciąż tam jest, Ruth? - chciał wiedzieć Rob.

Skinęła głową.

- O, tak, na pewno. Myślę, że zostało ukryte w skórzanych woreczkach, z których kilka pękło i monety się wysypały. Ale skarb wciąż tam jest i czeka.

Dix wstał.

- No to pora na ciasto marchewkowe z delikatesów Millie.

Weźcie po kawałku, chłopcy, a potem do lekcji. Mamy sporo pracy.

Rob zatrzymał się na pierwszym stopniu schodów wystarczająco długo, żeby powiedzieć Ruth, że Billy McClelland naprawił okno w jego sypialni.

- Żadnych więcej przeciągów - obiecał.

Kiedy chłopcy nie mogli ich już słyszeć, czworo dorosłych przeszło z kubkami kawy i herbaty do salonu. W domu było ciepło i cicho, słyhać było tylko pochrapywanie Brewstera ułożonego na kolanach Ruth.

- A zatem, Dix - zaczął Savich - mówiłeś, że kiedy Ruth została przyjęta do szpitala w Loudon, lekarz zrobił jej badania toksykologiczne. Masz już wyniki?

Dix skinął głową.

Właśnie dzwonił. Zbadał resztki próbek twojej krwi, Ruth. Miałaś w krwioobiegu ten sam narkotyk, co Erin Bushnell: BZ.

- Wiem tylko, że tak nazywał się gaz, którego używali w Wietnamie, żeby upośledzić system nerwowy - powiedziała Sherlock. - Czy lekarz powiedział coś więcej, szeryfie?

Dix uśmiechnął się.

- Zanim ugotowała się kukurydza, wrzuciłem tę nazwę w Google i wydrukowałem kilka artykułów, będziesz je mogła później przejrzeć. Oficjalnie ta substancja nazywa się quinuclidinyl benzilate, ale z oczywistych powodów ogólnie jest znana jako BZ. To przejrzysty i bezzapachowy gaz, zwykle w aerozolu, wynaleziony na potrzeby wojska w latach sześćdziesiątych. Działa dosyć szybko, powoduje wzrost ciśnienia, zaburzenia widzenia, upośledza koordynację. Należy do tak zwanych psychochemikali, upośledza jednocześnie percepcję i umysł, powoduje halucynacje, dezorientację, zaburza pamięć aż do bezwładu.

Jednak BZ nie okazało się przydatne na wojnie, bo jego efektów nie dało się przewidzieć, były różne - od paniki do agresji, która powodowała, że żołnierze ruszali do ataku, nie zważając na własne bezpieczeństwo.

Rosjanie używali gazu podobnego do BZ w latach osiemdziesiątych przeciwko afgańskim guerrillas i wyobraźcie sobie, że możliwe, iż wpuścili ten gaz do teatru w czasie tego kryzysu z zakładnikami w Moskwie, i to w dużym stężeniu, bo zmarły, setki ludzi.

- Ale Erin jeszcze żyła, kiedy została dźgnięta - zauważyła Sherlock.

- Tak, ale w jej krwioobiegu było mnóstwo tej substancji, dużo więcej niż w twoim, Ruth. Z tego, co nam powiedziałaś, jak przerażona byłaś w tej pieczarze i co sobie wyobrażałaś, aż hoję się myśleć, przez co przeszła Erin Bushnell.

Ruth przeciągle wypuściła powietrze.

- Więc chyba nie zwariowałam. Ale skąd można zdobyć taki gaz?

Dix wzruszył ramionami.

- Lekarz sądowy powiedział, że takie chemikalia można zdobyć od kompanii farmaceutycznych albo przez Internet. Najwidoczniej ma jakieś legalne zastosowanie w badaniach. Jest dosyć rzadko spotykany, ale raczej nie mamy co liczyć, że dzięki źródłu BZ zidentyfikujemy naszego mordercę.

Savich skinął głową.

- Skoro ty dostałaś mniejszą dawkę, Ruth, to pewnie wchłonęłaś resztkę gazu, która została po Erin. Może wrócił, żeby obejrzeć swoje dzieło, i zobaczył ciebie, przerażoną, może nieprzytomną. Uderzył cię w głowę albo znalazł cię już ranną i wyniósł stamtąd.

- Ale dlaczego po prostu mnie nie zabił i nie zostawił z Erin? - Bo to był jej grobowiec, Ruth, nie twój - powiedział wolno Savich. - Tylko jej.

- To by było naprawdę chore, Dillon.

- Tak, to prawda.

Sherlock pochyliła się do przodu, balansując filiżanką na kolanie.

- Myślisz, że ten pomysł z grobowcem ma coś wspólnego z balsamowaniem?

- Doktor Himple powiedział, że on nie do końca ją zabalsamował. Powiedział, że to najdziwniejsza rzecz, jaką widział w życiu. Spróbuję wam to wyjaśnić. - Dix wyjął z kieszeni koszuli kartkę i studiował ją przez chwilę. - No więc, kiedy w domu pogrzebowym balsamują ciało, robią małe nacięcia na tętnicy szyjnej i na żyłę szyjnej, wsuwają rurkę do tętnicy i wpompowują płyn balsamujący, a przez żyłę szyjną wypompowują krew. Potrzeba jakichś trzech galonów płynu balsamującego, żeby kompletnie odkazić i zakonserwować ciało. Wotwory ciała wlewają też inny płyn, mieszankę aldehydu mrówkowego, metanolu, etanolu i innych rozpuszczalników.

Ale nasz morderca nie dokończył zadania. Zrobił małe nacięcia na tętnicy i żyłę szyjnej, wpompował galon płynu balsamującego, upuścił trochę krwi i skończył.

- Więc albo nie zna dokładnie procedury - powiedziała powoli Sherlock, wpatrując się w kominek - albo odprawił rytuał, który wystarczył mu do osiągnięcia satysfakcji.

Savich skinął głową.

- Tak i upozował ją. Pewnie potraktował to jako element ceremonii i odprawił z powagą, a nawet z czcią. Może chciał, żeby ciało było w dobrym stanie, zanim je gdzieś pochowa.

- Nie podoba mi się to - mruknął Dix. - Rytuał? Przypuszczałem, że facet mógł to zrobić już przedtem, ale miałem nadzieję, że będziecie mieli inne zdanie.

- Nie wiemy na pewno, Dix, ale wszystko na to wskazuje - powiedziała Ruth. - Czy doktor Himple powiedział ci, czy nacięcia zostały zaszyte?

- Nie, chyba nie. Ale wspomniał, że na ranie w piersi nie było krwi, została wytarta do czysta.

- Następny element rytuału - uznała Ruth. - Dobrze się przyłożył. Dix, czy w Maestro są jakieś domy pogrzebowe?

- Oczywiście. Tommy Oppenheimer jest dyrektorem domu pogrzebowego Pola Spokoju na Broadmoor Street. Jest mężem mojej policjantki, Penny. Porządny facet, trochę nerwowy i nadopiekuńczy wobec Penny, ale w porządku. Spytał go, czy ktoś dowiadywał się czegoś o balsamowaniu albo czy nie słyszał, że ktoś z branży nie ma albo nie zwolnił ostatnio jakiegoś dziwnego pracownika.

- Na twoim miejscu poleciłabym doktorowi Himple, żeby zagroził swoim pracownikom poważnymi konsekwencjami, jeśli którykolwiek z nich szepnie o balsamowaniu - poradziła Sherlock.

Dix potrząsnął głową.

- Niewiarygodne, że ten świr naprawdę ją zabalsamował. Jej rodzice nigdy nie mogą się o tym dowiedzieć.

- Powinieneś sam porozmawiać z technikami, Dix - powiedziała Sherlock. - To powinno uciszyć ich na dłużej, zwłaszcza jeśli zaznaczysz, jak ta wiadomość podziałałaby na jej rodziców. Dillon, poszukamy w MAX-ie wiadomości o balsamowaniu i sprawdzimy, czy już gdzieś pojawił się taki modus operandi.

Dix wyprostował plecy i skrzyżował nogi w kostkach.

- Kiedy wyjeżdżałem z Nowego Jorku, myślałem, że zostawiłem cały ten obłąd za sobą. Chyba się myliłem. Gdyby Ruth nie poszła do Jaskini Winkela akurat tamtego dnia, Erin Bushnell po prostu zniknęłaby na zawsze. Nikt nie miałby pojęcia, co się z nią stało: czy wyjechała, nie mówiąc nikomu ani słowa, a może uciekła z jakimś facetem, którego nikt nigdy nie widział czy... czy ktoś ją porwał? - Zamilkł, wbił wzrok w podłogę, a dłonie zacisnął w pięści. Ruth zobaczyła, że był bardzo blady. Coś tu było nie tak. I nagle wiedziała.

- Dix, co się stało z twoją żoną, Christie?

Dix nie odpowiadał przez bardzo długi czas, nie poruszył się ani nie podniósł wzroku.

- Moja żona... Christie... zniknęła prawie trzy lata temu.

- I nie wiesz, co się z nią stało?

Potrząsnął głową.

. - Po prostu pewnego dnia zniknęła, jak Erin Bushnell, gdybyś ty się nie pojawiła. Przeprowadziliśmy drobiazgowo śledztwo, zrobiliśmy wszystko, co w ludzkiej mocy, ja nawet wynająłem prywatnego detektywa z Chicago, ale nikt nigdy nie odkrył żadnego śladu, żadnej poszlaki, nic. Przez prawie trzy lata.

Popatrzył na Savicha i Sherlock.

- Od chwili, w której Ruth znalazła Erin Bushnell, zadaję sobie pytanie, czy to właśnie spotkało Christie.

Savich odchrząknął i zerknął na żonę.

- Nie potrafię sobie wyobrazić życia w takiej niepewności, z bólem niewiedzy. Tobie i chłopcom musiało być naprawdę ciężko. Ale świetnie sobie z nimi poradziłeś. I powiem ci prawdę: myślałbym tak sarno jak ty, gdyby chodziło o Sherlock. Ale tak naprawdę myślę, że to wielce nieprawdopodobne, żeby zniknięcie Christie miało cokolwiek wspólnego z morderstwem Erin Bushnell.

Ruth poczuła palące ją w gardło łzy, przełknęła i uśmiechnęła się do szeryfa.

- Dix, czy już ci mówiłam, jak bardzo się cieszę, że porzucili mnie w twoim lesie? Inaczej nigdy nie poznałabym twoich chłopców i nie miałabym okazji, żeby wybielić wasze bokserki.

Roześmiał się cicho i Ruth pomyślała, że dobrze to słyszeć.

Pomagając Sherlock włożyć kurtkę, Savich powiedział:

- Mamy do czynienia z bardzo nie zrównoważonym indywiduum, ale jednocześnie na tyle normalnym, żeby posłać za tobą tych dwóch mężczyzn. Wszyscy musimy być bardzo ostrożni, a zwłaszcza ty, Ruth. Już raz usiłował cię zabić i może spróbować jeszcze raz.

- Ale jaki miałby mieć teraz powód? - spytała Ruth. - Znaleźliśmy jaskinię, w niej Erin, a ja powiedziałam wam wszystko, co wiem. Dlaczego miałby zadzierać z agentką FBI?

Savich ma rację - przyznał Dix - a ty, Ruth, myślisz logicznie. Obawiam się, że nie możemy

powiedzieć tego samego o kimś, kto wpompował w ciało Erin płyn do balsamowania. Tak naprawdę w ogóle nie możemy być pewni jego następnego kroku.

- To pocieszające - uznała Ruth.

- Savich, jakie są szanse, że specjaliści od profili FBI się tym zajmą? - spytał Dix.

- Rano zadzwonię do Steve'a.

Po wyjściu Savich i Sherlock Dix odprowadził Ruth do sypialni Roba. Zatrzymał się przed zamkniętymi drzwiami pokoju Rafe'a i nasłuchiwał.

- Jest za cicho - mruknął. - Zwykle słyszę chrapanie przynajmniej jednego.

Ruth położyła mu lekko dłoń na ramieniu.

- Jest mi bardzo, bardzo przykro z powodu Christine. Uważasz, że nie żyje, prawda?

Skinął głową.

- Wiem, że nie żyje. Christie nigdy nie zostawiłaby mnie i chłopców. Nie z własnej woli. Ktoś ją porwał i zabił. Tyle że ja nie wiem kto.

Ruth nie miała nic do powiedzenia, więc po prostu przytuliła się do niego i długo trzymała w objęciach. W końcu się odsunęła, z dłonią wciąż na jego ramieniu.

- Myślisz, że to niebezpieczne, żebym dzisiaj tutaj spała? Usłyszał w jej głosie nutkę lęku i potrząsnął głową.

- Myślę, że wyszłabyś cało z największej bójki w barze, agencie specjalny. Ale nie zamierzam więcej ryzykować bezpieczeństwa twojego i chłopców. Moi ludzie będą nas pilnować i sprawdzać dom co godzinę, więc niczym się nie martw.

Skinęła głową.

- Jutro muszę zabrać trochę ubrań, Dix. Rob potrzebuje swoich rzeczy.

- Nie ma sprawy - powiedział i odwrócił się. Stał jednak na chwilę i popatrzył na nią.

- Wszystko w porządku, Ruth?

- Pewnie, nic mi nie jest. Wszystko w porządku, Dix?

Nic nie powiedział, tylko skinął głową.

Kiedy leżał już w łóżku i słuchał znajomych odgłosów nocy, zastanawiał się, co się stało z tym małym spokojnym miasteczkiem. I myślał o Christie. Nigdy wcześniej nie mówił o niej tak jak dziś wieczorem, ale w jakiś sposób poczuł się lepiej, bardziej otwarty na życie, ból nieco osłabł. Wciąż na biurku w pracy miał zdjęcie Christine, ona z chłopcami, zrobione na miesiąc przed jej zniknięciem. Patrzył na nie każdego dnia i każdego dnia zastanawiał się, co się z nią stało.

Rozdział 16

Maestro, Wirginia

Wtorek rano

Była dziesiąta trzydzieści we wtorek rano, kiedy wszyscy czworo spotkali się na późne śniadanie w restauracji Maurie na Main Street. Savich napił się herbaty i odstawił filiżankę.

- MAX wyszukał przypadki pchnięcia nożem i użycia gazu, nawet balsamowania, przez gromadę psychopatów, o której nie chcielibyście słuchać, tyle tylko że nigdy wszystko naraz.

- Nie wydajesz się zaskoczony - powiedział Dix, smarując tost masłem.

Savich potrząsnął głową.

- Przekonałem się, że mordercy mają nieograniczoną wyobraźnię

Ruth odłożyła widelec i oparła brodę na splecionych dłoniach.

- To chodzi. Własny sposób, by być wyjątkowym, niepowtarzalnym.

- Zgadzasz się z tobą, Ruth - powiedział Savich. - Zwykle morderca, żeby uznać mord za sukces, musi postępować dokładnie według określonego scenariusza. Nie pragnie, żeby jego dzieło zostało odkryte, nie o to mu chodzi. Sam proces to jest dla niego ważne.

- Jeszcze herbaty, agencie specjalny?

Savich uśmiechnął się do kelnerki Glenny.

- Tak, poproszę.

Kiedy odeszła, rzucając mu spojrzenia przez ramię, Savich spytał Dixą:

- Spotkałeś się dzisiaj rano z technikami w kostnicy?

- Tak. Zagroziłem im wszystkimi konsekwencjami, jakie przysły mi do głowy. - Wzruszył ramionami. - Zgodzili się, ale kto wie? Żaden z moich ludzi nic o tym nie wie. Tylko nas czworo, doktor Himple i trzech techników. Skontaktowałem się też z doktorem Crockerem ze szpitala Loudon. - Zadzwoiła komórka Dixy. Wyjął ją z kieszeni i powiedział: - Słucham, szeryf Noble.

Gdy słuchał, twarz najpierw mu pojaśniała, a potem zachmurzyła się, dłoń leżącą na stole zacisnął w pięść. Wyglądał na wściekłego.

- Czy to twój pomysł na przekazywanie dobrej i złej wiadomości, Emory? - Słuchał przez dłuższą chwilę, trójka agentów wyczuła, że policjant po drugiej stronie linii usiłuje uspokoić swojego szefa. Kiedy skończył rozmowę, wyglądał, jakby był gotowy dać komuś w twarz.

- I? - spytała Ruth.

- Moi ludzie znaleźli twój samochód w szopie za domem Walta McGuffey. Pamiętacie ten dom, który mijaliśmy po drodze do Lone Tree Hill? Kiedy zauważyłem, że śnieg wygląda tak, jakby od dawna nikt stamtąd nie wychodził i zadzwoniłem do moich ludzi, żeby to sprawdzili? - Przerwał, a na jego twarzy odmalował się wyraz tak bezsilnej złości, że Ruth położyła mu rękę na ramieniu.

- Co się stało, Dix? Co to za złe wieści?

- Pojechali tam dopiero dzisiaj rano. Walt nie żyje, prawdopodobnie od piątku. Zamordowany, zapewne przez tego samego potwora, który zabił Erin i próbował zabić ciebie. Ukrył twoją beerkę w szopie.

- W jaki sposób zginął McGuffey, szeryfie?

Dix wziął się w garść.

- Ktoś wbił mu w serce jego własny nóż kuchenny.

- Walt nie należał do rytuału - odezwała się Sherlock. - To była konieczność, nic więcej. Może staruszek zobaczył coś, czego nie powinien.

Dix skinął głową.

- Może bardzo szybko musiał ukryć samochód Ruth i pozbył się Walta, bo mu przeszkadzał. Może w samochodzie coś znajdziemy.

Dix położył dwudziestkę obok pieniędzy Savicha i pomógł Ruth włożyć starą skórzaną kurtkę Roba.

- Bardzo mi przykro, Dix - powiedziała. - Długo znałeś tego Walta McGuffeya?

Skinął głową.

- Odkąd tylko tu zamieszkałem. Walt miał osiemdziesiąt siedem lat i ciągle o tym opowiadał, mieszkał tutaj całe swoje życie. Chappy mówił mi, że kiedyś był najlepszym stolarzem w tym stanie. Jego żona, Martha, zmarła w latach siedemdziesiątych, chyba na raka. Christie zapraszała go na obiad w Święto Dziękczynienia i... sam go zapraszałem przez ostatnie dwa lata.

Ponieważ restauracja Maurie znajdowała się naprzeciwko biura szeryfa, Dix poszedł prosto na posterunek, gotowy rozszarpać Emory' ego za to, że tak długo czekał z wysłaniem ludzi do domu McGuffeya.

Za biurkiem recepcji siedziała Penny Oppenheimer z szerokim bandażem na głowie. Dix był zaskoczony, widząc ją w pracy, przez kilka dni miała odpoczywać.

Zanim zdążył się odezwać, Penny powiedziała:

- Szeryfie, Emory nie posłał nikogo wcześniej do domu starego McGuffeya, bo wszyscy pracowaliśmy po godzinach, pilnując twojego domu i badając te trzy zgony, które już mieliśmy, nie mówiąc o zerwanych liniach wysokiego napięcia. Poza tym Emory odbierał setki telefonów z pytaniami, co się dzieje, nie wspominając o prasie i trzech pijanych nastoletnich kierowcach.

- Prasie?

- Tak; sir. Milton domagał się nowin co pięć minut, powiedział, że społeczeństwo ma prawo wiedzieć i że musi napisać o wszystkim w środowym wydaniu.

Dix parsknął.

- Milton Bean jest właścicielem i dziennikarzem „Maestro Daily Telegraph”. Ma siedemdziesiąt cztery lata i bez przerwy kaszle od cygar. Nie miał dobrej strony tytułowej od piętnastu lat. - Przysięga, że będzie ją miał, jak tylko nasze biuro zgodzi się współpracować...

- Dziwię się, że nie przyjechała jeszcze prawdziwa prasa. Wtedy naprawdę będziecie mieli pełne ręce roboty. Gdzie jest Emory?

- Chyba w toalecie - odpowiedziała Penny. - Do tego wszystkiego mówił coś jeszcze o bieguncie. Jemu jest naprawdę przykro, szeryfie, bardzo to przeżywa.

- Tak, zaraz sprawię, że poczuje się jeszcze gorzej. Ruth uśmiechnęła się.

- Ale ty, Penny, świetnie sobie poradziłaś, przekazując te wiadomości szeryfowi. Wszyscy wiedzieli, że nie wścieknie się na biedną funkcjonariuszkę, która ma bandaż na głowie, bo

ryzykowała dla niego swoje życie. Masz bardzo mądry personel, Dix.

- Jak twoja głowa, Penny? - spytał Dix. - Może powinnaś była zostać w domu. Czy to Emory posadził cię tutaj, żebyś nie skopał mu tyłka?

Penny potrząsnęła głową.

- Uwierz mi, wolę być tutaj. W domu Tommy każe mi leżeć na kanapie i oglądać telewizję. Nie mogłam już tego znieść. Zajmuję się tylko recepcją, odbieram telefony i udzielam informacji. Słuchaj, wszyscy jesteśmy tym bardzo zmartwieni. Walt był świetnym facetem.

- To prawda - mruknął Dix i ruszył do swojego biura.

- Niezły dodatek, ten wielki bandaż - powiedziała Sherlock do Penny, mijając jej biurko. - Żaden mężczyzna nie mógłby z tobą dyskutować, nawet by o tym nie pomyślał.

- Dziękuję. Musiałam coś zrobić, żeby szeryf nie sflekował Emory'ego. Wydaje się, że on nie ma nic przeciwko waszej obecności. Rozumiem, że nie próbujecie wziąć go pod swój wielki federalny but.

- Czasem tylko lekko przydepniemy mu palce - powiedziała Sherlock i skinęła głową w stronę dużego pomieszczenia za plecami Penny, gdzie szóstka policjantów bardzo się starała udawać zajętych, a tak naprawdę wpatrywała się w trójkę intruzów. Zwłaszcza w Ruth, ubraną w dżinsy Roba, flanelową koszulę i starą skórzaną kurtkę.

Poszli za Dillonem do biura szeryfa. - Ładne biuro - chwaliła Sherlock.

Ruth była zaskoczona. Cała ściana pokryta była fotografiami krajobrazów Wirginii, od starego miasta w Aleksandrii aż po rozległe padoki stadnin. Wisiała tam czarno-biała fotografia skąpanych we mgle gór i kolorowe zdjęcia niewiarygodnie zielonych dolin w środku lata, zarośniętych wielkimi sosnami, klonami i dębami. Fotografie miały czarne ramy, tak samo jak stojące na biurku zdjęcie kobiety i dwóch chłopców. To musiała być Christie, pomyślała Ruth. Zobaczyła, że Dix na nią patrzy i uśmiechnęła się.

- Jest piękna, Dix.

- Dziękuję. - Wsunął do kieszeni jakieś papiery, które wyjął z szuflady biurka. - No dobrze, jedźmy do Walta.

Piętnaście minut później, po rozmowie Dix'a z czterema policjantami, którzy odgradzili posiadłość McGuffeya od ciekawskich, weszli do domu z lat czterdziestych, który wyglądał, jakby nie był remontowany od chwili powstania. Tylko meble były przepiękne, bo Walt zachował swoje najlepsze dzieła: sofę, stół, sześć krzeseł i kilka mniejszych stolików. Uroku pomieszczeniu nie dodawał okropny dywan z lat siedemdziesiątych w kolorze spalonego oranżu. Na miejscu był już doktor Himple z ekipą techników z Louden, wszyscy wyglądali na zmęczonych. Doktor Himple wstał, przeciągając się i skinął wchodzącym głową.

- Bardzo mi przykro, Dix. Jeśli to cię jakoś pocieszy, Walt miał lekką śmierć. Cios nożem zabił go natychmiast, pewnie ledwo go poczuł. Nie ma żadnych śladów walki, zapewne nawet nie widział noża. Ale to tylko wstępna diagnoza. Zrobię autopsję jak najszybciej i dam ci znać.

- A zatem pan McGuffey znał mordercę - uznał Savich - i sam wpuścił go do domu.

Doktor Himple skinął głową.

- Tak sądzę.

- Pan McGuffey pewnie zaprosił go do kuchni, powiedzmy, na filiżankę kawy - powiedziała Sherlock. - Morderca wiedział, że musi zabić starszego pana, pewnie rozglądał się za narzędziem zbrodni, zobaczył kuchenny nóż na blacie i go użył.

Doktor Himple przeniósł wzrok z Sherlock na Savicha i pokiwał głową.

- Tak właśnie mogło być.

- Zbierzcie wszystkie odciski palców - polecił Dix Marvinowi Wilkesowi, szefowi techników. - Zwłaszcza w kuchni.

Ukląkł obok staruszka, który przypominał stertę szmat owiniętą wokół starych kości. Położył dłoń na jego ramieniu i zamknął oczy. Wyobraził sobie Walta, jak uśmiechał się do niego, ukazując sześć ostatnich zębów i pytał, czy te jego łobuziaki przyprawiły go już o siwe włosy. Teraz na twarzy staruszka malował się wyraz zaskoczenia, nie było widać na niej bólu, tylko zdziwienie.

Dix poczuł łzy napływające mu do oczu i przełknął ślinę.

Wstał szybko i powiedział do doktora Himple:

- Traktujcie go dobrze, Burt, był wspaniałym człowiekiem.

Moi chłopcy bardzo to przeżyją.

- Zajmę się nim, szeryfie.

- Nie miał żadnej rodziny, więc sam zatroszczę się o pogrzeb.

Przeszukali dom Walta, ale nie znaleźli nic ciekawego oprócz starego drewnianego pudełka ze zrobionymi w latach czterdziestych zdjęciami gospodarza, jego żony i małego chłopca. - To jego syn?

- spytał Savich.

Dix potrząsnął głową.

- Nie wiem. Jeśli tak, to musiał umrzeć, jak był bardzo mały, ho Wal t nigdy nie wspominał o żadnych dzieciach. - Wsunął pudełko pod pachę. - Myślę, że chciałby być z tym pochowany.

W starej szopie za domem znaleźli samochód Ruth, nietknięty i czysty, bo morderca ukrył go tam, zanim rozpętała się śnieżycą. Jej portfel leżał na przednim siedzeniu, torba podróżna na podłodze po stronie pasażera. Kluczyki tkwiły w stacyjce.

- Będziesz go musiała jeszcze tu zostawić, Ruth - powiedział Dix. - Technicy muszą go obejrzeć.

- Oczywiście, nie ma problemu.

- Chłopcy pewnie nie dadzą ci spokoju, zanim ich nie przewieziesz - dodał zmęczonym głosem. - No dobrze, jedźmy na spotkanie ze słynną skrzypaczką.

Gloria Brichoux Stanford mieszkała na Elk Horn Road, niecałe ćwierć mili od kampusu w jednopiętrowym domu w stylu rancza, otoczonym z trzech stron lasem. Z tyłu, połączony z kuchnią był garaż na trzy samochody. Posiadłość była prześliczna, Dix powiedział im, że kiedyś należała do księgowego Chappy'ego, który pracował w Maestro First Independent. Odziedziczył ją po ciotce. Kiedy zmarł, spadkobiercy sprzedali posiadłość Glorii, gdy ta postanowiła porzucić światowe życie i przyjąć posadę w Stanislausie.

- Jaka ona jest, Dix? - spytała Ruth, gdy szli starannie odśnieżonym podjazdem.

- Mówiłem wam, że razem z córką sprowadziła się tu pół roku po nas. Jej córka jest prawniczką w Maestro, zajmuje się głównie testamentami, powiernictwem i planowaniem przestrzennym. Christie mówiła, że Ginger zawsze dziękowała Bogu, że nie ma odrobiny talentu muzycznego.

- Dlaczego? - zdziwiła się Sherlock.

- Ginger miała wrażenie, że jej życie to pasmo wstrząsów, matka w ciągłych rozjazdach, na koncertach, a ona sama w domu. Kiedy Gloria nie wyjeżdżała na tournee, to albo była w depresji z wyczerpania, albo szalała w niej adrenalina przed następnym występem. Ojciec Ginger odszedł, kiedy miała dziesięć lat. Ona mówi, że jedyne, co jej potrzeba do szczęścia, to pisanie testamentów w ciszy i spokoju.

Drzwi otworzyły się i stanęła w nich pulchna starsza pani, która wyglądała na gosposię. Zaprowadziła ich do salonu i poprosiła grzecznie, żeby usiedli. Rozmawiali przyciszonymi głosami, patrząc na ogród przed domem, kiedy do salonu weszła Gloria Brichoux Stanford. Miała na sobie stary, porozciągany dres, tenisów ki, opaskę na włosach i wycierała twarz ręcznikiem.

- Widzę, że Phyllis przyjęła was jak trzeba - powiedziała niskim głosem. Rzuciła ręcznik na podłogę i podeszła do gości z wyciągniętą dłonią.

Pocałowała Dixę w policzek, a on dokonał prezentacji.

- Witam was wszystkich. Przyszliście w sprawie mojej biednej Erin. Gordon dzwonił do mnie zaraz po waszym wyjściu. Biegałam jak szalona na bieżni, próbując o tym nie myśleć. - Przycisnęła dłoń do ust, jakby chciała powstrzymać szloch.

- Wybaczcie mi. Była dla mnie jak córka. Miała taki talent, nadawała muzyce tyle życia i pasji, chociaż, co zawsze uważałam za dziwne, jej życie było wręcz nudne. Wszystko z siebie dawała muzyce. Znała wielu mężczyzn, ale rzadko chadzała na randki i nie, nie była z nikim związana. Wiedziałabym, gdyby była.

Mam nadzieję, Dix, że nie masz nic przeciwko temu, ale zadzwoniłam do Ginger. Będzie tu wkrótce, jak tylko skończy pisanie jednego z tych swoich bardzo ważnych testamentów.

W zniosła oczy do nieba, podeszła do kominka i przesunęła palcami po stojących na nim figurkach. - Gordon powiedział, że poprosicie mnie, abym opowiedziała wam wszystko, co o niej wiem. Cóż, tak, jak powiedziałam, nie wspominała o żadnym mężczyźnie w swoim życiu. Nie miała dla nich czasu, każdą wolną chwilę poświęcała muzyce. Kiedy grała Schumanna albo Edwarda Griega, mogłam zamknąć oczy i czułam się, jakby grał Yehudi Menuhin albo ja sama. Była naprawdę dobra.

Gloria przerwała, ściągnęła opaskę z głowy i przesunęła palcami po spoconych, siwawych włosach. Nie miała żadnego makijażu albo spłynął jej w czasie treningu. Zawsze dużo ćwiczyła, dbała o siebie, pomyślał Dix. Miała duże, kształtne ciało i piękną cerę. Bardzo się zmieniła, jeszcze kilka lat temu była chuda i tak spięta, że w każdej chwili mogła trzasnąć jak pęknięta struna skrzypiec.

- Erin zawsze chciała studiować w Stanislausie, nigdy w Juillardzie - powiedziała, nie patrząc na nikogo w szczególności. - Nienawidziła Nowego Jorku, uważała, że jest brudny, zbyt duży, głośny i nie lubiła ludzi, którzy tam mieszkają. - Westchnęła. - Jej idolem był Arcangelo Corelli, chociaż oczywiście nigdy go nie słyszała, bo żył w siedemnastym wieku. Przeczytała opis jego gry u jakiegoś poety i marzyła, żeby grać tak jak on.

Odwróciła się nagle, a w jej oczach zabłyśły łzy.

- Gordon jest załamany. Ja też. Erin po dyplomie byłaby jedną z najlepszych skrzypaczek, które ukończyły Stanislausa. Z czasem zostałaby pierwszą skrzypaczką w jednej z najlepszych orkiestr świata. Nie rozumiem, dlaczego ktoś miałby odebrać jej życie i zgasić taki talent.

- Ile miała lat, kiedy zaczęła uczyć się grać na skrzypcach, pani Stanford? - spytała Ruth.

- Myślę, że trzy, w tym wieku zwykle się zaczyna, jeśli rodzice są inteligentni i czujni.

- Czy była blisko z rodziną? Z rodzeństwem? - chciała wiedzieć Sherlock.

- Była jedynaczką. Przed waszym przyjściem dzwoniłi do mnie jej rodzice. Matka płakała tak bardzo, że ledwo mogłam ją zrozumieć. Biedna kobieta.

- A może ktoś był o nią zazdrosny? Nienawidził jej za to, że tak dobrze grała? Widział w niej konkurentkę, którą trzeba wyeliminować?

Popatrzyła na Savicha, który zadał to pytanie łagodnym głosem, ale wyglądał na twardego, kompetentnego i niebezpiecznego mężczyznę. Dostrzegła obrączkę na jego palcu i poczuła ukłucie rozczarowania.

- Przepraszam, agencie Savich, o co pan pytał?

- O zazdrość. Czy ktoś mógłby zrobić to z zazdrości?

- Postawmy sprawę jasno. W szkołach takich jak Juillard czy Stanislaus uczą się wyłącznie wyjątkowo utalentowani młodzi ludzie i każdy student konkuruje z pozostałymi. Skrzypkowie nie mają wielkiego wyboru poza sceną, chyba że ktoś chce uczyć w jakiejś szkole w Los Angeles. To okrutne, czasami łamie im serca, i może obudzić w człowieku najgorsze instynkty. Ale muzycy uczą się koncentrować na sobie i swojej pracy, a nie na sobie nawzajem.

Nie potrafię sobie wyobrazić, żeby którykolwiek z tuzina studentów w klasie skrzypiec uznał Erin za aż takie zagrożenie dla swojej przyszłości, żeby ją zabić. Nigdy o czymś takim nie słyszałam. Jakże to dziwne, że umarła w jaskini. Wiecie, że kiedyś poszła do jaskini niedaleko swojego domu w Iowa, żeby posłuchać, jak jej skrzypce brzmią głęboko pod ziemią?

Dix spytał o profesorów Erin, czy któryś z nich mieszka w Maestro. Poprosił ją, żeby zadzwoniła, jeśli cokolwiek sobie przypomni i opowiedział jej o synach, jak saneczkują na pobliskim wzgórzu i o modelu DNA Rafe'a. Kiedy wychodzili dziesięć minut później, Gloria uśmiechała się.

Sherlock stanęła na palcach i szepnęła Savichowi do ucha:

- Przez chwilę myślałam, że się na ciebie rzuci.

Zrobił zaskoczoną minę i potrząsnął głową.

- Jesteś taki niewinny. - Sherlock ścisnęła go za ramię i dostrzegła błysk w jego oku. - Dillon, będę musiała cię ukarać za to, że mnie tak nabrałeś.

- Od jak dawna są małżeństwem? - spytał Dix Ruth, otwierając przed nią drzwi samochodu.

- Od zawsze - powiedziała Ruth, a Dick wpatrywał się w Savicha i Sherlock nieodgadnionym wzrokiem.

Rozdział 17

O szóstej, gdy wszyscy zasiedli w kuchni Dixy nad pieczenią, piure ziemniaczanym, fasolką szparagową i plackiem z kremem z delikatesów Millie, zadzwonił telefon Savicha.

Przeprosił wszystkich, podszedł do drzwi i spojrzał na ekran telefonu. Prywatny.

- Słucham, Savich - powiedział.

- Halo, chłopczyku, już dawno się nie odzywałem, co?

- Starczy głos Mosesa Grace brzmiał radośnie i tak wyraźnie, jakby stał tuż obok Savicha.

Agent szybko podszedł do stojącego na blacie otwartego laptopa i nacisnął „enter”.

Savich czekał na kolejny telefon od Mosesa Grace i oto zadzwonił po czterech dniach, od kiedy usłyszał jego głos po raz pierwszy. Przeszedł do holu, nie chciał, żeby ktokolwiek podsłuchał ich rozmowę.

- Zastrzegłeś numer, Moses. To słodkie. Za ten telefon też kogoś zabiłeś?

W uchu rozbrzmiał mu nieprzyjemny śmiech zakończony atakiem mokrego kaszlu.

- Hej, chłopcze, ty jesteś gliną, to ty powinieneś umieć znaleźć igłę w stogu siana. Ale wiesz co?

Nie mógłbyś mnie znaleźć, nawet jeśli podjechałbym i pomachał ci w twarz. Chcesz podpowiedź? - Tak, chcę.

- Może ci dam. Jak tam ta twoja śliczna żonka?

Savich poczuł przyływ wściekłości.

- Jest daleko poza twoim zasięgiem.

- Naprawdę w to wierzysz? Myślałem, żeby wziąć tę twoją żonkę, rzucić ją z jakiegoś milutkiego, ostrego klifu i patrzeć, jak toczy się w dół i rozbija się na kawałki, patrzeć, jak leży martwa na dnie. Ty też będziesz mógł patrzeć, chłopcze.

Savich nienawidził tego, brzydził się do głębi swojego jestestwa. Ale słowa nie mogły zabijać, a on musiał sprawić, żeby Moses Grace mówił jak najdłużej.

- Nie czujesz się chyba za dobrze, Moses. Pewnie nie ma już lakich leków, które mogłyby ci pomóc, co?

- Ja? Niedobrze? Mam tylko mały papierosowy kaszelek, nic więcej. Jak na chorego człowieka całkiem dobrze poradziłem sobie z wami, superagentami, w Arlington. A może pójdę wysadzić kwatery FBI?

- Pewnie, dlaczego nie? A może jeszcze raz spróbujesz zapolować na mnie, ty szatański skurczybyku?

Starzec milczał przez chwilę.

- Ja? Szatański? Może. Może mój papa oblał twarz mamy płynem do czyszczenia rur, kiedy naskoczyła na niego o jeden raz za dużo. Zawsze miała niewyparzoną buzię, ta moja mama. Tata rąbnął ją w głowę tyle razy, że mózg jej się zlasował, ale i tak na niego zrzędziła. A nawet jeżeli

jestem szatanem, to co z tego? Dobry Bóg może opiekować się swoimi, a ja zajmę się swoimi. Nie cieszysz się, że dzwonię, agencie specjalny Savich? Agent specjalny, podoba mi się to, brzmi zupełnie tak, jakbyście wszyscy byli warci choćby splunięcia. Cztery długie dni, a żaden z was nawet nie zbliżył się ani do mnie, ani do Claudii. Ona pęka ze śmiechu za każdym razem, gdy mijamy glinę, czasem nawet wystawia do nich palec. Taki gest od mojej słodkiej laleczki zawsze szokuje gliny, nie mogą uwierzyć, że ktoś tak młody i słodki może być tak wulgarny. Może przegina lam, gdzie nie powinna. Może nie jest najmądrzejszym dzieckiem na świecie, ale jest moja.

Czego chcesz?

- Powiedziałem ci - odrzekł Moses, przeciągając samogłoski. - Chciałem zobaczyć jak się masz i poprosić cię o przy sługę. Chcę, żebyś zadzwonił do panny Lilly z Bonhornie Cluh i powiedział jej, że wczorajsze przyjęcie ku czci Pinky'ego było cudowne. Moses Grace i Claudia nie byli zeszłego wieczoru w klubie, gdzie czekało na nich sześciu agentów w cywilu i kamery, ale siedzieli na zewnątrz i patrzyli, kto wchodził.

Twój szef, Maitland, wyglądał bardzo elegancko w tym ciemnym garniturze i żółtym krawacie we wzorki.

- Dobra, powiedz mi, w co był ubrany James Quinlan.

- Ciemny garnitur, czerwony krawat w niebieskie trójkąty, całkiem poważna mina jak na gościa z saksofonem. Podobało mi się, jak grał. Byłem zaskoczony, mnóstwo gości szlochało. To było wzruszające, bardzo wzruszające.

Savich wziął głęboki oddech. Rozmawiali już przez kilka minut, może wystarczająco długo, ale nie był pewny. Najlepiej, żeby mówił jeszcze, żeby się upewnić.

- Powiedz mi, Moses, dlaczego wybrałeś akurat mnie? Co takiego ja ci zrobiłem?

Moses milczał przez chwilę.

- A więc myślisz, że to coś osobistego, chłopcze? Cóż, prawda jest taka, że masz rację. Mam w sobie więcej nienawiści do ciebie niż sam Lucyfer.

- Dlaczego?

- Skrzywdziłeś ją, chłopcze, skrzywdziłeś ją tak bardzo, że krzyczała. - Przerwał. Savich słyszał, że oddech starca stał się szybszy.

- Kogo, Moses?

- Może ci powiem, zanim umrzesz, chłopcze. Wiesz, że moja Claudia wciąż ma na ciebie ochotę?

No dobrze. Moses nie zamierzał mu powiedzieć. Postanowił potrząsnąć nim trochę. Może to będzie najlepszy sposób, żeby się nie rozłączył.

- Myślisz, że zgodziłbym się uprawiać seks z tą krowiooką, zwariowaną nastoletnią dziwką? - spytał rozbawionym, pełnym pogardy głosem. - Założę się, że Claudia jest już tak wygłodzona, że aż się ślini, zwłaszcza że jest z tobą. - Roześmiał się złośliwie i okrutnie. - Kopnąłbym tę szaloną sukę w głowę, zanim pozwoliłbym jej zbliżyć się do siebie. Kim ona jest, staruszk, twoją wnuczką? Czy jakąś żalosną, zaćpaną nastolatką, którą zgarnąłeś?

Zaskoczył Mosesa, który milczał jak grób. Savich odczekał, aż w końcu usłyszał charkot, jakby Moses Grace miał zacząć kaszleć. Był tak brutalny, jak tylko mógł - czyżby ta dziewczyna była kochanką Mosesa?

Wtedy starzec wybuchnął śmiechem, od którego Savich dostał gęsiej skórki.

- Musiało ci być naprawdę trudno, chłopczyku, używać takich słów. Ale uwierz mi, zmienisz zdanie, kiedy Claudia się za ciebie weźmie. Widziałem już, jak mój pączuszek dogadza kobiecie,

powiedziałem jej, że co za dużo, to niezdrowo, i kazałem wyłupić babie oczy i wykopać z samochodu.

Tak, powiedz mi więcej, ty stary wariacie, tak.

- Tak, pewnie, ty stary łgarzu! A świstak siedzi i zawija je w te sreberka.

Podniósł wzrok i zobaczył stojącą parę kroków od niego Sherlock.

- Musi być ci ciężko, Moses - powiedział dobitnie. - Wiesz, że jesteś zbyt niedołężny i zbyt chory, żeby zerznąć własną żonę.

Poczuł, jak ogarnia go zimna furia. Moses Grace zarechotał, wydając obrzydliwy, soczysty dźwięk.

- Nie podobają mi się takie słowa w twoich ustach, jakoś do ciebie nie pasują. Wiesz, Claudia ma swoje fantazje na twój temat, a ja mam swoje. Zobaczmy, co powiesz, jak będę patrzył, jak uchodzi z ciebie życie. Wygram i ty dobrze o tym wiesz. Do zobaczenia wkrótce, Savich.

Zapadła cisza. Moses Grace się rozłączył.

Sherlock podeszła do niego i przytuliła się do jego ramienia. - Nigdy nie słyszałam, żebyś tak mówił.

- Starego Mosesa też to zaskoczyło - odpowiedział i zobaczył, że Dix idzie w ich stronę.

Savich skinął mu głową i wybrał numer centrum komunikacyjne w Budynku Hoovera.

- Mówi Savich. Namierzyliście komórkę Mosesa Grace? Usłyszał, jak mężczyzna krzyczy do kogoś:

- Muszę mieć natychmiast tę lokalizację! - A potem w słuchawce rozległ się zdyszany głos: - Jest w promieniu dwóch mil na zachód od Dulles, jedźcie w stronę Leesburga. Wysłaliśmy tam lokalną policję i agentów. Poruszał się i niestety był na tyle mądry, żeby wyłączyć telefon, więc straciliśmy sygnał. Długo go przytrzymałeś, Savich, ale on nam tego nie ułatwił. Skorzystał z innego operatora niż ty, więc musieliśmy go szukać przez Automatyczny System Identyfikacyjny, a to zajęło nam chwilę. Będziemy cię informować na bieżąco.

Savich wyłączył telefon i odwrócił się do Sherlock i Dix: - Moses jedzie w stronę Leesburga. Gliny i agenci już są w drodze, ale wydaje mi się, że nic z tego nie będzie.

- Szkoda, że nie zatrzymali się na noc w jakimś miłym, ciepłym moteliku - westchnęła Sherlock.

- Jak ci się udało ich stąd namierzyć, Savich? - spytał Dix.

- Przez MAX-a. Zaprogramowałem go tak, że gdyby Moses

Grace jeszcze kiedyś zadzwonił, komputer automatycznie wysłałby wiadomość do centrum komunikacyjnego w Waszyngtonie. MAX nagrał też rozmowę przez przekaźnik, który mam w telefonie.

- Odkąd uchwalono Patriot Act*[* Patriot Act - prawo amerykańskie ustanowione 26 września 2001 r. po zamachu na WTC, wg którego wolno przetrzymywać bez sądu przez nieokreślony czas obywateli nieamerykańskich, którzy zostaną uznani za zagrożenie dla bezpieczeństwa narodowego (przyp. tłum.)] możemy nagrywać wszystkie telefony od podejrzanych, nie tylko z konkretnych numerów telefonu. Więc nic im nie pomoże, jeśli wyrzucą jeden telefon i zadzwonią z drugiego. Dokądkolwiek Moses pojedzie, z jakiegokolwiek telefonu zadzwoni, my go namierzemy. Zastrzegł numer, co nas trochę spowolniło. Gdybyśmy od razu go znali, zlokalizowalibyśmy go w jakieś piętnaście sekund.

- Myślisz, że policja i agenci go złapią? - spytał Dix.

- abyśmy mieli tyle szczęścia - odparł Savich i westchnął.

- W czasie rozmowy prowadził samochód i pewnie potem jechał dalej. - Zwrócił się do Sherlock. - Wiesz, że opowiadał, jak to byli wczoraj razem z Claudią w Bonhomie Club, na przyjęciu ku pamięci Pinky'ego? Jedno jest pewne, niemożliwe, żeby weszli do środka. Musieli ukryć się na zewnątrz i patrzyli, kto wchodził do klubu.

Przez chwilę stali w milczeniu, aż pierwszy odezwał się Savich.

- Udało mi się skłonić go do mówienia i chyba nawet nie zdawał sobie sprawy, że dał mi pewien trop. Musimy znaleźć kobietę, która prawdopodobnie została porwana i porzucona przy drodze, najpewniej z ranami oczu. Zadzwoń do pana Maitlanda, przekażę mu nowiny. Moses wciąż charczał, nie mógł tego ukryć. Idźcie do kuchni i zachowujcie się normalnie. Przyjdę za kilka minut.

Sherlock skinęła głową.

- Kiedy wrócimy do motelu, poszukamy przez MAX-a tej kobiety. - Uniosła się na palcach i pocałowała męża w usta. - Nie zwlekaj zbyt długo, tam są dwaj nastoletni chłopcy. Trudno powiedzieć, ile pieczeni jeszcze zostało.

- Jeszcze jedna sprawa, Sherlock. Moses powiedział, że skrzywdziłem kobietę, na której mu zależało, i dlatego mnie nienawidzi.

Motel Buda Bailey

Wtorek wieczór

Savich odebrał telefon z wiadomością, że patrole blokujące drogi nie widziały nikogo podobnego do Mosesa Grace i Cia u dii. Komórka należała do kobiety, której ukradziono torebkę. Miał ochotę kogoś skopać.

Zamiast tego zasiadł do MAX-a. Kiedy piętnaście minut później Sherlock wyszła z łazienki, Savich powiedział:

- Nazywa się Elsa Bender, czterdzieści pięć lat, rozwiedziona od ponad roku, dorosłe dzieci. Około dwóch miesięcy temu została porwana prosto z parkingu przed lokalnym supermarketem, był tylko jeden świadek. Powiedział, że usłyszał kobiecy krzyk, i zobaczył brudną, białą furgonetkę, która wypadła z piskiem opon na ulicę. Następnego ranka Elbę znalazł jakiś rolnik jadący traktorem po wiejskiej drodze trzy mile od jej domu w Westcott, w zachodniej Pensylwanii. Była naga, nieprzytomna z bólu i nie miała oczu. Dzięki Bogu było dosyć ciepło, bo inaczej by umarła. I tak ledwie przeżyła, w takim była szoku.

Teraz mieszka w Filadelfii z byłym mężem, który najwidoczniej stanął na wysokości zadania. Myślę, że powinniśmy ją odwiedzić, Sherlock. Dzwoniłem do szefa policji w Westcott, udało mi się go przekonać, że jestem prawdziwy, i poprosiłem, żeby przeczytał mi jej opis porywaczy. Powiedział, że nic takiego nie mają, kobieta nic nie pamięta, od chwili, w której wjechała na parking aż do momentu, gdy obudziła się w szpitalu. Nie wiedział, czy mówiła prawdę czy była przerażona, ale nie mógł już więcej jej przesłuchiwać, bo były mąż zabrał ją ze szpitala i wywiózł poza ich jurysdykcję z powrotem do Filadelfii. Policja z Filadelfii wie o tym, ale jak na razie, tak powiedział ich szef, nic nie mają. Ostatni raz rozmawiali z nią cztery tygodnie temu.

Sherlock była podekscytowana.

- Cudownie, że ten stary wariat opowiedział ci o niej. Jutro możemy tam jechać.

Skinął głową, wstał i przeciągnął się.

- Hej, marynarzu, zatańczysz?

Roześmiał się, przyciągnął ją do siebie i mocno przytulił.

- Możemy wrócić do Maestro jutro wieczorem - wyszeptał jej do ucha. - I może zatańczymy jeszcze raz.

- A jeśli Moses i Claudia...

- Nie martw się, jeśli coś zrobią, poradzimy sobie z tym. Byłbym zaskoczony, gdyby nic nie zrobili. Stary Moses zadzwonił do mnie, żeby pogadać i musi mieć o czym. Z nim nie leśt dobrze, Sherlock. Myślę, że to mogą być jego ostatnie podrygi.

Rozdział 18

Mestro, Wirginia

Środa rano

- Poczekaj chwilkę, Ruth - powiedział Dix, gdy stali oboje przy range rozerze czekając, aż Tony Holcombe przejdzie przez Main Street. Szedł wpatrzony w Dix'a, nie zwracając uwagi na błoto pod stopami. Stary ford rairlane niemal wjechał na parkometr, próbując ominąć Tony'ego.

Ruth patrzyła na pięknie ubranego mężczyznę. Był wysoki i wysportowany, mógł mieć czterdzieści kilka lat. Wyglądał jak model, a jego gęste, jasnobrązowe włosy lśniły w porannym słońcu.

- Hej, Tony! - zawołał Dix. - Co słychać?

Tony Holcombe zatrzymał się kilka centymetrów przed Dixem. - Słyszałem o Erin, tata powiedział mi, co się stało. Nie mogę wprost w to uwierzyć, Dix. Erin była taka słodka, nigdy nikogo nie skrzywdziła, chciała jedynie grać na skrzypcach, nic na świecie nie liczyło się dla niej poza muzyką.

Ruth obeszła range rovera i skinęła głową mężczyźnie w wartym tysiąc dolarów czarnym skórzanym płaszczu i miękkich, skórzanych rękawiczkach.

Tony Holcombe zwrócił na nią wielkie, ciemne oczy.

- Ty jesteś tą kobietą, którą Brewster znalazł w szopie Dix'a, prawda? Wciąż u niego mieszkasz? Zastanawiałem się, jakby to wyglądało, gdyby moja siostra...

- Wystarczy, Tony.

- Przepraszam. Dix, domyślasz się, kto zabił Erin?

- Wejdz na chwilę do mojego biura, zagrzejemy się trochę.

Tony miał ciało Holcombe'ów: długie kości, żadnego zbędnego tłuszczu, silnie zarysowaną szczękę. Ciemne oczy stanowiły ostry kontrast z jasnymi włosami. Wyglądał zupełnie jak Chappy, jego ojciec, ale nie miał takiej gracji, starszy mężczyzna mimo swego wieku był gibki jak tancerz. Tony chodził niezgrabnie, poruszał rękami w innym rytmie niż nogami, co było wyjątkowo urocze.

Dix wymienił uwagi z szóstką ludzi, zanim otworzył drzwi swojego biura i wprowadził gości do środka.

- Pora na część oficjalną. Ruth, to mój szwagier Tony Holcombe, syn Chappy'ego. Prowadzi lokalny bank Holcombe'ów. Tony, poznaj Ruth Warnecki z FBI.

Uścisnęli sobie dłonie. Tony miał przyjemny mocny uścisk i zadbane paznokcie, piękne oczy spojrzały prosto w twarz Ruth. Zastanawiała się, czy oczy jego siostry też miały taką barwę, na fotografii na biurku Dix'a nie było tego widać.

- Proszę, mów mi Tony. Co cię jeszcze trzyma w Maestro?

- Muszę się dowiedzieć, kto próbował mnie zabić. Wydaje się, że to ta sama osoba, która zamordowała Erin Bushnell.

Twarz mu się zachmurzyła.

- Nie mogę uwierzyć, że ona nie żyje. Tata mi o tym powiedział i moja żona, Cynthia. Jest bardzo zmartwiona, bo ona i Erin były dla siebie jak siostry.

To dziwne, pomyślał Dix. Z tego, co wiedział, Cynthia Holcombe nigdy nie lubiła przedstawicielek własnej płci, zaczynając od matki i dwóch sióstr, których nazywała starą suką i dwoma wyjąłymi szczeniakami. Nie lubiła też Christie, uważając ją za wojującą pravicową wieśniaczkę. Christie wieśniaczką! - wciąż to pamiętał. Nie zamierzał nawet zastanawiać się, co Cynthia myślała o nim. Były z Erin Bushnell jak siostry?

- Jak się miewa Cynthia? - spytał Dix, podając szwagrowi kubek czarnej kawy z dwiema kostkami cukru.

- Tak jak powiedziałem, jest przygnębiona. Chciała, żebym dowiedział się, co robicie, co wiecie. Słyszałem, że znaleźliście ją w Jaskini Winkela. Macie jakiś pomysł, kto mógł to zrobić? - Tak, Tony, znaleźliśmy ją w Jaskini Winkela, morderca tam ją zostawił. W jaki sposób Cynthia poznała Erin Bushnell?

- Spotkały się w zeszłym roku na koncercie w Stanislausie, ale to teraz nieważne. Dix, gdybyś nie poszedł do Jaskini Winkela, gdyby mój ojciec nie pokazał ci tylnego wyjścia, nikt nigdy nie dowiedziałby się o jej śmierci.

- To prawda.

- Po prostu by zniknęła, tak jak Christie.

Twarz Dix'a była nieprzenikniona. Skinął głową.

Tony zwrócił się do Ruth, która sączyła kawę. Dodała hojnie śmietanki, bo zdała sobie sprawę, że jeśli tego nie zrobi, kawa zetnie jej krew.

- Słyszałem, że szukałaś jakiegoś skarbu i odnalazłaś komnatę, o której nikt wcześniej nie wiedział.

- Tak było - przyznała Ruth. A więc strzępy informacji rozeszły się po okolicy, co nie było takie złe, oczywiście w granicach rozsądku.

Chappy przekazał Tony'emu kilka faktów, pomyślał Dix, ale, dzięki Bogu, nie wszystkie. Chappy nigdy nie potrafił trzymać buzi na kłódkę, chyba że chodziło o pieniądze. Widział, że Ruth ocenia Tony'ego jak policjant podejrzanego. Patrzył, jak odgarnia włosy za ucho, robiła to co chwilę, bo za kilka sekund włosy opadły znowu. Gęste, ciemne, lekko kręcone włosy.

- Tata poprosił mnie, żebym zaprosił was na lunch. Powiedział, że nie będziecie mogli przyjść na kolację, bo wieczorem wracają tamci agenci.

- Skąd twój ojciec o tym wie? - spytała Ruth. Bez zastanowienia łyknęła kawy i wzdrygnęła się.

- Rozmawiał rano z Raferem, spotkali się w drodze do szkoły. Chłopak powiedział mu, że agent Savich i agent Sherlock polecą specjalnym helikopterem do Filadelfii w sprawie śledztwa. Nie wiedział jakiego, ale mówił, że wrócą na kolację.

Dix chrząknął. Będzie musiał pomówić z synami. Zastanawiał się, czy którykolwiek z nich w ogóle znał słowo „dyskrecja”.

- Dlaczego tak nagle wyjechali do Filadelfii?

- To sprawa FBI, Tony - powiedziała Ruth. - Bardzo chętnie zjem lunch z twoim tatą. Czy ty też będziesz z żoną? Mogłaby mi opowiedzieć o Erin Bushnell i ich siostrzanych uczuciach.

Oczy Tony'ego Holcombe'a pociemniały, podejrzewał sarkazm, ale gdy nic takiego nie usłyszał, skinął głową i odstawił kubek na biurko Dixy.

- Muszę wracać do pracy. - Wsunął na dłonie niewiarygodnie miękkie rękawiczki ze skóry.

- Jak tam sprawy w banku, Tony?

Tony Holcombe wzruszył ramionami, otwierając drzwi.

- Wszystko idzie dobrze, ale znasz tatę, on nigdy tego nie przyzna, mówi, że odkąd ja zostałem dyrektorem, bank schodzi na psy.

Słyszeli, jak witał się z policjantami w drodze do wyjścia. - Wydaje się całkiem sympatyczny - odezwała się Ruth.

- Nie chciałabym być na jego miejscu.

- Tony zawsze znajdował się w cieniu Chappy'ego. Gdybym był na jego miejscu, już dawno wyjechałbym z tego stanu i uciekł tak daleko od Chappy'ego, jak to tylko możliwe. Chciałbym teraz pojechać do Ginger Stanford, córki Glorii, i dowiedzieć się, co ona ma do powiedzenia o Erin Bushnell. Jak na razie Erin jest ukochaną, utalentowaną przyjaciółką mojej szwagierki Cynthii, a uwierz mi, to przerażające i niewiarygodne.

Ginger Stanford była właścicielką czteropiętrowego domu z czerwonej cegły, wciśniętego między pasmanterię a pizzerię. W czasie krótkiego spaceru wszyscy chcieli pomówić z szeryfem i przyjrzeć się Ruth, jak gdyby agentka miała trzecią rękę albo drugą głowę. Dix był cierpliwy, ale powściągliwy, trzymanie języka za zębami wychodziło mu dużo lepiej niż jego chłopcom.

Sekretarzem Ginger był staruszek zgarbiony za wielkim mahoniowym biurkiem. Na środku stała drewniana tabliczka z napisem „Henry O.”.

- Szeryfie - zaskrzeczał staruszek, skinął Ruth i wbił wzrok w monitor. - Mam tu prawdziwą zagadkę. Pięć słów, a każde z nich zawiera trzy inne słowa.

- Przyszliśmy zobaczyć się z Ginger, Henry. Zadzwoń, proszę, do niej.

- Pracuje nad testamentem starego pana Zrzędy.

- Nigdy nie słyszałam o takim nazwisku - powiedziała Ruth.

Henry O. powoli wstał. Miał na sobie wykrochmaloną białą koszulę i odprasowane czarne spodnie, podciągnięte niemal do piersi.

- Tylko ja go tak nazywam. Mówię o Amosie McQueenie, on jest jeszcze starszy ode mnie. Nie mogę uwierzyć, że wciąż oddycha. Powinien był się zawinąć w siedemdziesiątym pierwszym, kiedy przejechała go żniwiarka, ale wyszedł z tego. - Henry podreptał do zamkniętych drzwi i zapukał. Ruth dostrzegła, że na małych, wąskich stopach miał nowe buty od Ferragamo.

- Proszę.

Henry uchylił drzwi i wsunął przez nie głowę.

- Panno Ginger, przyszły gliny, ale są całkiem mili, więc ja bym współpracował.

Ruth stanęła jak wryta na widok Ginger Stanford. Bez dwóch zdań była przepiękną kobietą, o wysokich, ostro zarysowanych kościach policzkowych, naturalne blond włosy miała spięte w kok. Kiedy wstała, Ruth pomyślała, że musiała mieć co najmniej metr osiemdziesiąt wzrostu i nogi tak długie, że wyglądały, jakby kończyły się pod uszami. Obeszła biurko i obdarzyła Dixy pięknym, szerokim uśmiechem, wyciągając dłoń. Uwagi Ruth nie umknął wyraz jej oczu. Ginger bardzo lubiła szeryfa.

Wymienili uprzejmości. Dix przedstawił jej Ruth i Ginger obrzuciła agentkę szybkim, taksującym spojrzeniem, znanym każdej kobiecie, która przeczuwa w drugiej rywalce.

- Jestem agentką FBI, panno Stanford.

- Tak, słyszałam. Nie widzę żadnej rany na głowie.

Ruth automatycznie dotknęła małego plastra ukrytego pod włosami.

- Już prawie się zagoiła - powiedziała. Dix potrząsnął głową.

- W tym mieście wszyscy wszystko wiedzą.

- To prawda. - Ginger wskazała zadbaną dłońią sofę. - Słyszałam, że Brewster znalazł panią za stertą drewna obok domu Dix.

Ruth zastanawiała się, w ilu jeszcze miejscach mógł znaleźć ją Brewster.

Ginger usiadła z powrotem za biurkiem, splótła dłonie i powiedziała z namysłem:

- Moja matka bardzo przeżywa śmierć Erin, Dix. Była tak zmartwiona, że wczoraj zostałam u niej na noc. Nie mogła przestać płakać. Proszę, powiedz mi, że wiesz, kto jest za to odpowiedzialny. I jeszcze Walt McGuffey. Co tu się dzieje, Dix?

Wzruszył ramionami.

- Chciałbym, żebyś opowiedziała nam o Erin Bushnell. Ginger odchyliła się na oparcie fotela, zamknęła na chwilę oczy, po czym je otworzyła i mrugnęła powiekami kilka razy, a na usta wypłynął jej leniwy uśmiech. Ruth zastanawiała się, jakie wrażenie takie gierki robiły na sędziach. Pewnie doprowadzały facetów do szaleństwa.

- Poza tym, że leciała na doktora Holcombe'a, to była całkiem bystra - powiedziała w końcu.

- Co?!

- Wiem, wiem, jest wystarczający stary, żeby być jej ojcem, ale tak to bywa. Ciągłe kręciła się wokół niego, proponowała, że coś dla niego zrobi: zmieni strunę w skrzypcach, nastroi klawikord, wypoleruje róg, cokolwiek. Chodziła na wszystkie zajęcia, które prowadził, parę razy była nawet u niego w domu, tak mi mówiła mama.

- Twoja matka nic nam o tym nie wspomniała.

- Pewnie, że nie. Ona to zbywała, mówiła, że to zauroczenie, nic więcej i w ogóle się tym nie przejmowała. Postrzegala doktora Holcombe'a jako bezpiecznego kochanka, który rozumiał swoją rolę i którego Erin bez problemu zostawi za sobą, gdy ruszy w drogę do sławy. Próbowałam jej wytłumaczyć, że Erin świata poza nim nie widzi, że położyłaby się przed jego autem, żeby zwrócić na siebie uwagę, ale mama nie chciała słuchać. Zawsze potrząsała głową i mówiła, że Erin podbije cały świat i nic jej nie powstrzyma. - Ginger przerwała i popatrzyła na jedną z afrykańskich masek wiszących na przeciwległej ścianie. - Ale powstrzymało.

- Jesteś pewna, że nie mylisz się co do głębi uczuć Erin wobec doktora Holcombe'a?

- Ja? Oczywiście, że się nie mylę, jestem prawnikiem. Ruth roześmiała się, nie mogła się powstrzymać.

- To było dobre - powiedziała.

Ginger skinęła z gracją głową, ale w jej spojrzeniu nie było nic przyjacielskiego.

- Kiedy pani wraca do Waszyngtonu, agentko Warnecki?

- Jeśli uda mi się ją tu zatrzymać, to zostanie, dopóki nie złapiemy mordercy - odpowiedział Dix.

Ginger nie spodobała się ta odpowiedź. Odgarnęła włosy i założyła nogę na nogę.

- Słyszałam, że znaleźliście Erin w Jaskini Winkela. Podobno pani też tam była, agentko Warnecki. Myśli pani, że Erin zabili ci dwaj mężczyźni, którzy do pani strzelali?

- Może tak, może nie.

- Bardzo policyjna odpowiedź, agentko.

Ruth uśmiechnęła się i skinęła głową.

- Dziękuję, jestem w tym bardzo dobra.

- Co jeszcze powinniśmy wiedzieć o Erin, Ginger? - spytał Dix.

- Cudownie grała na skrzypcach. Była niewiarygodna, ale to na pewno już wiecie. - Posłała Dixowi To Spojrzenie, ale on nic nie zauważył, tylko wpatrywał się ze zmarszczonymi brwiami w swoje buty.

- Czy spotykała się z chłopcami w swoim wieku? Z kolegami z klasy?

- O ile ja wiem, to z nikim, a wierzcie mi, ja, dzięki mamie, wiem wszystko o Erin. Kiedy zaczęła interesować się mężczyznami, na horyzoncie pojawił się doktor Holcombe.

Ruth pochyliła się na krześle.

- Czy doktor Holcombe odwzajemniał jej uczucie?

- Nie wiem, musicie spytać smoka Gordona, Helen Rafferty. Ona wie absolutnie wszystko. Plotka głosi, że ona i doktor Holcombe mieli gorący romans jakieś pięć lat temu i to on zerwał. Najwidoczniej ma dobrą gadkę, bo namówił ją, żeby nadal była jego osobistą sekretarką, co według mnie jest bardzo egoistyczne i oznacza, że facet ma poczucie własnej godności jak komar. Ona będzie wiedziała dokładnie, jakimi uczuciami obdarzał Erin.

Wyszli dziesięć minut później, żeby zdążyć do domu Chappy'ego na lunch.

- Robi się coraz dziwniej i dziwniej - powiedziała Ruth zapinając pas. - Co myślisz o Erin Bushnell, lat dwadzieścia dwa, w siódmach nieodwzajemnionej miłości do brata Chappy'ego, mężczyzny prawie dwa razy starszego od niej?

- Musimy się dowiedzieć, czy była nieodwzajemniona.

- Może miał słabość do utalentowanych kobiet, czuł się jak Svengali*[* Svengali - fikcyjny hipnotyzer z powieści Daphne du Maurier, potoczne określenie osoby, która w złych zamiarach usiłuje skłonić drugą do zrobienia czegoś (przyp. tłum.)]. Chociaż nie, to się nie sprawdza. Jest jeszcze Helen Rafferty, sekretarka.

- Helen Rafferty pięknie gra na pianinie.

- Hm. Ciekawa jestem, co doktor Holcombe powie nam o tym wszystkim.

- To będzie interesujące. Chappy powiedział mi, że nazywa brata Twister między innymi dlatego, że potrafi się zawsze ze wszystkiego wywinąć.

Ruth wyjrzała przez okno na połąć nieskazitelnie białego śniegu. Na horyzoncie przeleciały dwa jastrzębie, ich skrzydła wydawały się ogromne na tle błękitnego nieba. Kiedy zniknęły jej z oczu, powiedziała:

- Jeśli dobrze rozumiem, Erin Bushnell była nie tylko doskonałą studentką w Szkole Muzycznej Stanislaus, ale też kochała się w dyrektorze i serdecznie przyjaźniła z żoną jego bratanka.

Rozdział 19

Chappy Holcombe siedział u szczytu wypolerowanego na wysoki połysk stołu chippendale.

- No i jak myślisz, Cynthio, Twister sypiał z twoją przyjaciółką Erin?

Cynthia Holcombe przeżuła kawałek bułki, przełknęła i popatrzyła na teścia, jakby powiedział nieprzyzwoity dowcip.

- Nie sędzę - powiedziała tylko i jakby w obronie wzięła następną bułkę.

Chappy machnął w jej stronę widelcem.

- Tak naprawdę ja też nie. Cynthio, przysięgam, że to na ciebie stary Twister ma ochotę, wzięwszy pod uwagę te wszystkie pożądliwe spojrzenia, które ci rzuca.

- Tato, proszę - powiedział Tony, ale w jego głosie więcej było rezygnacji niż złości czy zakłopotania.

- Dobrze, dobrze. Pani Goss, gdzie jest nasz lunch?

- Pański jest tutaj. - Pani Goss miała około pięćdziesiątki i natura obdarzyła ją pięknymi, czarnymi włosami które nosiła luźno rozpuszczone jak cyganka. Długa, jasnożółta spódnica falowała wokół jej kostek, do tego włożyła bluzkę w rustykalnym stylu z głębokim dekoltem. Pochyliła się, żeby postawić po prawej stronie Chappy' ego półmisek z sałatką z krewetek, niemal dotykając biustem jego twarzy.

- Wygląda świetnie - powiedział Chappy. - Sałatka też.

- Proszę się kontrolować - poradziła pani Goss i odpłynęła do kuchni.

- Czeka cię prawdziwa uczta - zwrócił się Chappy do Ruth.

- Pani Goss robi najlepszą sałatkę z krewetek w Wirginii i dobrze o tym wie.

- Może i tak - powiedziała Cynthia - ale powinna nosić fartuch na tych hipisowskich ciuszkach.

- Ona jest Cyganką, a nie hipiską - odparł Chappy, posyłając jej poirytowane spojrzenie. - Nie przyciska piersi do twojej twarzy, Cynthio, tylko do mojej. Inaczej w ogóle nie oglądałbym żadnych biustów. Zostaw ją w spokoju.

Pani Goss, niewzruszona, skończyła podawać do stołu i wyszła, wielkie koła w jej uszach błyszczały w słońcu.

- Cynthio, opowiedz mi o Erin Bushnell - poprosił Dix.

- Tony powiedział, że byliście dla siebie jak siostry.

- Tony ma nieaktualne wiadomości - odparła spokojnie.

- Erin i ja bardzo się lubiliśmy, dopóki nie zaczęła podrywać mojego męża. Jej śmierć to dla mnie okropny szok, możecie się domyślać, w końcu kiedyś byliśmy dosyć blisko. Noszę po niej żałobę.

- A zatem Tony o tym nie wiedział? - spytał Dix. - Widział twój smutek i sądził, że byliście z Erin tak blisko jak przedtem? - Erin nigdy mnie nie podrywała, Cynthio, nigdy - zapewnił Tony.

- Widziałam, jak w zeszły wtorek na koktajluju Glorii Stanford wyciągnęła cię na oglądanie księżycy. Było zimno, ale żadnemu z was to nie przeszkadzało.

Tony nabił krewetkę na widelec, wpatrywał się w nią.

- Nawet tego nie pamiętam. Dziwię się, że w ogóle zauważyłaś, taka byłaś zajęta flirtowaniem z wujem Gordonem.

Chappy odłożył widelec na talerz, odchylił się na krześle i śmiał tak długo, aż wszyscy umilkli i przestali jeść.

- Wyglądasz na ciężko zaszokowaną, agencie Warnecki. Oni we dwoje zawsze odstawiają taki cyrk.

Dix uniósł brew.

- Dodać ciebie, Chappy, do kompletu i robi się całe zoo.

- Nie, ja jestem łagodny jak twój mały Brewster.

- Brewster uważa się za dobermana.

- Dowiedzieliście się już, kto wynajął tych ludzi, którzy próbowali zabić agentkę Warnecki w sobotę wieczór? - spytał Tony, po czym zapadła cisza. Ruth słyszała, jak pani Goss nuci w kuchni.

Chappy pierwszy przerwał milczenie.

- Dix pewnie nie chce o tym mówić, Tony. Tak naprawdę może wcale nie udać się ich zidentyfikować. Słyszałem, że ciała były całe spalone, prawda, Dix?

Szeryf wzruszył ramionami.

- Zobaczymy. Technicy FBI badają w laboratorium to, co wstało z odcisków palców. Usiłujemy się dowiedzieć, skąd ci mężczyźni mogli przyjechać. Może wkrótce dowiemy się czegoś więcej.

- Ale na razie nie macie żadnych tropów? - naciskał Chappy.

- Och, jakoś sobie radzimy - odpowiedział Dix gładko, odchylając się na krześle i splatając palce na brzuchu.

- Dix, słyszałem, że znaleźliście biednego starego Walta zamordowanego w jego własnym domu - powiedział nagle Chappy. - Jeszcze jeden taki szok, a mnie pochowacie w następnej kolejności. Kto chciałby go zabić? Och, rozumiem, pewnie ktoś pomyślał, że Walt zobaczył coś, czego nie powinien był, bo mieszka blisko wejścia do Jaskini Winkela.

- To możliwe - przyznał Dix. - Walt był cudownym człowiekiem i Christie bardzo go kochała. Był załamany, kiedy zniknęła. - Nie wspomniał o samochodzie Ruth w stodole, tylko zwrócił się do Cynthii: - Byłem zaskoczony, że ty i Erin Bushnell byłyście tak blisko. Nigdy nie widziałem, żebyś przyjaźniła się z jakąkolwiek kobietą w mieście.

- Dorastałam z trzema kobietami, Dix, i wszystkie były sukami pierwszej klasy, dlatego nie dziw się, że nigdy nie zadałam sobie trudu. Wydawało mi się, że Erin była inna, ale okazało się, że nie. Tak, robiła całe to przedstawienie z uczuciem do wuja Gordona, ale tylko po to, żeby odwrócić moją uwagę od prawdziwego celu, jakim był mój mąż. Dlatego spędzała ze mną tyle czasu tutaj, w Tarze. Chciała spotykać się z tobą, Tony.

- A może - powiedział Chappy z przebiegłym uśmiechem - obie leciałyście na starego Twistera?

- To nie jest śmieszne, Chappy. On jest prawie tak stary jak ty - powiedziała Cynthia. - Kiedy wreszcie dorośniesz?

- Myślisz, że Ginger myliła się, mówiąc, że Erin kochała doktora Holcombe'a? - spytał szybko Dix.

Cynthia wzruszyła szczupłymi ramionami okrytymi elegancką bordową bluzką od St. John.

- Ginger powiedziałyby wszystko, żeby cię uszczęśliwić, prawda, Dix? Wszyscy oprócz ciebie wiedzą, że z radością wskoczyłyby ci do łóżka. Ale jej matka, Gloria Stanford, to zupełnie inna historia.

Cynthia rzuciła tę bombę i skupiła całą uwagę na sałatce z krewetek.

- Gloria i Twister sypiają ze sobą? Nie, może kiedyś, dawno temu, ale teraz ona jest już dla niego za stara - powiedział Chappy. - Prawda jest taka, że Twister lubi młódki. Nawet Cynthia jest już za stara jak na jego gust. Lepiej przyjmij do wiadomości, że koniec się zbliża, Cynthio.

- A zatem Erin Bushnell była w odpowiednim wieku dla niego? - spytała Ruth.

- Dwadzieścia kilka lat? Tak, w idealnym, ale co ja mogę wiedzieć, agentko Ruth? Co ja mogę wiedzieć? Twister i ja nie mogliśmy się dogadać, jeszcze zanim ty przyszedłaś na świat. Chyba jesteśmy do siebie zbyt podobni i dlatego tak działamy sobie na nerwy. Najwyższa pora, żebyście sami go spytali i popatrzyli, jak się wije. - Uśmiechnął się złowieszczo.

Pani Goss sprzątnęła ze stołu, przyniosła wielki sernik i ostentacyjnie postawiła go na środku stołu, po czym wręczyła nóż gospodarzowi. Gdy Chappy kroił ciasto, Ruth powiedziała:

- Bardzo podoba mi się twój dom, Chappy. Dlaczego nazwałeś go „Tara”?

- Bo kiedy przyprowadziłem tu mamę Tony’ ego i Christie, powiedziałem jej, że już nigdy nie będzie głodna.

- Moja matka miała fundusz powierniczy wielkości budżetu stanu Rhode Island - zauważył Tony. Chappy roześmiał się.

- Ale to ładna historia. Podoba mi się ta nazwa, porusza we mnie jakąś głęboko ukrytą strunę. Architektura jest prawie identyczna, chociaż my mamy, oczywiście, mnóstwo pięknych łazienek.

Pół godziny później Dix wyjechał na długi podjazd.

- Przecież już mamy odciski palców tych dwóch mężczyzn, teraz bada je IAFIS - powiedziała Ruth. - Po co ta opowiadka o laboratorium FBI?

Dix chrząknął i włożył ciemne lotnicze okulary. - Wpuściłeś kota między gołębie, tak?

- Kto wie, co może z tego wyniknąć? Ci troje zawsze, powtarzam, zawsze, odstawiają przed gośćmi takie przedstawienie. Zaczynasz jakiś temat, a oni go ciągną dalej. Pewnie trudno ci w to uwierzyć, ale dzisiaj byli dosyć nudni, śmierć Erin Bushnell trochę ich przygnębiła. Walta zresztą też.

Ruth skinęła głową.

- Zgadzam się, że wszyscy darzyli Erin silnymi uczuciami, ale nie bardzo wiem, kto jakimi.

- Ci goście są dobrzy. Lata praktyki.

- Widywałam już dysfunkcyjne rodziny, sama pewnie z takiej pochodzę, ale ta trójka była nie do pobicia.

Dix roześmiał się.

- Trzeba było spytać Chappy’ ego o niego i Erin, wtedy zobaczyłybyś ich miny.

- Przykro mi, że muszę zadać ci to pytanie, ale czy sądzisz, że ktoś z twojej rodziny był zamieszany w morderstwo Erin?

Milczał, skręcając w Mount Olive Road.

- Kiedy Christie zniknęła, brałem pod uwagę każdą ewentualność, łącznie z tym, że był w to zamieszany ktoś z rodziny. Po tych wszystkich latach musieliby naprawdę się postarać, żeby mnie zaskoczyć, ale nie widzę żadnego z nich w roli mordercy. I tak, już nieraz się myliłem.

Parę minut później stanęli przed biurkiem Helen Rafferty.

Dix zdjął okulary przeciwsłoneczne i uśmiechnął się do Helen, która wyglądała na

zdeenerwowaną.

- Muszę z tobą pomówić, Helen - powiedział, nachylając się nad nią. - Za pięć minut w świetlicy?

- Ja... cóż, rozumiem, że to nie może czekać, szeryfie?

- Raczej nie. To bardzo ważne.

W świetlicy dla personelu siedziały dwie osoby pochylone nad zielonym blatem stołu, z paczką czipsów między nimi. Dix pokazał odznakę i poprosił ich o wyjście.

Ruth usiadła obok Helen i przyglądała jej się przez kilka chwil, próbując ocenić jej nastrój, po czym powiedziała swoim głosem od przesłuchań, łagodnym i zachęcającym:

- Proszę nam opowiedzieć o doktorze Holcombe i Erin Bushnell, pani Rafferty.

Helen przeniosła spojrzenie z Ruth na Dix'a, który stał oparty o ścianę, z ramionami skrzyżowanymi na piersi, i wybuchnęła łzami.

Rozdział 20

Filadelfia

Środa

Savich i Sherlock siedzieli na przeciwko Elsy Bender w nowoczesnym salonie Jona Bendera na Linderman Lane. Mimo, że w pokoju było bardzo ciepło, kobieta przykryła nogi kaszmirowym pledem, a na zgarbione ramiona narzuciła gruby, wełniany sweter. Brązowe włosy miała związane w niski węzeł na karku. Co chwila nerwowo składała i rozkładała leżące na kolanach dłonie. Savich zauważył, że nie nosiła obrączki. Salon był jasno oświetlony, ale Elsa Bender wydawała się siedzieć w głębokim cieniu.

Na oczach nie miała już bandażu tylko ciemne okulary. Była zbyt chuda i chorobliwie blada, jakby w ogóle nie wychodziła na zewnątrz. Jednak zauważyli, że uśmiecha się do byłego męża, który stał obok z ręką na jej ramieniu. W dokumentach wyczytali, że John Bender był odnoszącym sukcesy sprzedawcą nieruchomości, który dwa lata wcześniej zamienił żonę na młodszego model, dokładniej mówiąc, na własną sekretarkę, ale nigdy się z nią nie ożenił. A teraz był tutaj, wielki mężczyzna, krępy, o silnie zarysowanej szczęce, a niewidoma była żona znów mieszkała w jego domu.

Savich przedstawił siebie i Sherlock i powiedział bez zbędnych wstępów:

- Stary człowiek i ta młoda dziewczyna, którzy chwalili się przede mną, że panią porwali... Nazywają się Moses Grace i Claudia. Nie znamy jeszcze nazwiska dziewczyny ani nie wiemy, co łączy ją ze starcem, ale to ci sami ludzie, którzy pochowali mojego przyjaciela Pinky'ego Womacka w starym grobie na cmentarzu w Arlington.

Pan Bender przeniósł wzrok z Savicha na Sherlock, najwyraźniej zastanawiając się, czy ma powód do zdenerwowania. Skinął powoli głową.

- Słyszeliśmy o tym. Nie mieliśmy pojęcia, dopóki pan nie zadzwonił dziś rano... Cóż, przynajmniej macie imiona. Domyślam się, że rozmawialiście już z lokalną policją?

- Tak, rozmawialiśmy. Przyszliśmy tutaj, bo potrzebujemy pani pomocy, pani Bender. Tylko pani może nam ich opisać. - Elsa wciąż nic nie pamięta, więc nie będzie mogła wam pomóc - odpowiedział za żonę pan Bender.

Savich usiadł na podnóżku u stóp Elsy. Ujął w swe wielkie ręce jej lewą dłoń i poczuł, jak chłodną miała skórę. Zamknęła się w sobie, pomyślał, a to nie było dobre rozwiązanie.

- Dziękuję, że zgodziła się pani spotkać z nami tak szybko.

Czy mogę mówić pani po imieniu? - Gdy skinęła lekko głową, mówił dalej: - Wiem, że ci ludzie bardzo cię skrzywdzili, Elso. Nie musimy o tym mówić. Wiem, że chcesz, żeby ci łajdacy zostali złapani i ukarani za to, co ci zrobili. Innym ludziom też wyrządzili wiele krzywd. Ty miałaś szczęście: przeżyłaś. Musisz nam pomóc, żeby inni też mogli przeżyć.

- Nie nazwałabym tego życiem - powiedziała gorzko Elsa, a Savich ścisnął jej dłoń.

- Aja tak. Jest jeszcze coś, Elso. Ludzie, którzy cię skrzywdzili, wyzywają do mnie, chcą „mnie zabić. Grozili też mojej żonie i małemu synkowi. Bez twojej pomocy nie uda mi się ich ochronić.

Elsa zadrżała.

- To było dla mnie niewyobrażalnie bolesne przeżycie, agencie Savich. Nie wiem, czy kiedykolwiek będę w stanie myśleć o tym, co się stało. Nie chcę znowu stanąć twarzą w twarz z tymi potworami.

- Ona nie może jeszcze raz przez to przechodzić, agencie Savich. - Pan Bender wyglądał, jakby był gotów wyrzucić Savicha za drzwi. - Już dosyć wycierpiała. Przykro nam, że pan i pańska rodzina jesteście w niebezpieczeństwie, ale Elsa nie może panu pomóc. Chcielibyśmy, żebyście już wyszli.

Savich nie odrywał wzroku od Elsy.

- Lekarze pewnie powiedzieli ci, żebyś nie starała się blokować tego, co zaczniesz sobie przypominać. Pamiętanie, mówienie o tym zmniejszy twój ból. Opowiedz nam o tym, Elso, mów o tym i zamknij ten rozdział, pozostaw go w przeszłości, do której należy. Przeżyłaś. Nigdy o tym nie zapominaj.

Ku zaskoczeniu Savicha Elsa zareagowała.

- Jon należał do przeszłości - powiedziała. - A jednak jest teraz ze mną. Czy to nie dziwne?

Savich zobaczył, jak Bender drgnął, mówiąc:

- I nigdzie się nie wybieram - ale nie miał pojęcia, czy Elsa zrozumiała słowa męża.

- My też mamy dzieci, agencie Savich, Jon i ja. Ale nie mogę mówić o tym, co mi zrobili, po prostu nie mogę.

- Nie musisz, Elso, chociaż jestem pewien, że to by ci pomogło.

- Tak naprawdę pamiętałam prawie wszystko. - Usłyszała, jak jej mąż łapie szybko powietrze, ale nie zamilkła. - Ta dziewczyna, Claudia, nazywała go korniszonkiem. On był obmierzłym staruchem, zanosił się kaszlem. W tej brudnej ciężarówce związała mi ręce na plecach i powiedziała, że on chciał zobaczyć ją z kobietą i że wybrali mnie, bo jestem do niej podobna, mogłabym być jej mamą i czy to nie super? Wtedy on jej kazał, żeby udawała, że robi to z własną matką. Staruch związał mi oczy, a dziewczyna... - Zaczęła cicho płakać. Przełknęła głośno i wyszeptała: - Najdziwniejsze jest to, że oczy zaczęły mnie boleć dopiero później, na ostrym dyżurze.

- Byłaś w szoku, to dobrze.

- Chyba tak. - Uniosła lekko okulary, tylko na tyle, by otrzeć kąciuki oczu białą chusteczką z monogramem. - Już tak mnie nie boli, kiedy płaczę.

- Opowiedz im o tym rolniku, Elso - zachęcił ją mąż.

- Ten farmer, który mnie znalazł, codziennie odwiedzał mnie w szpitalu i przynosił róże. Siadał przy moim łóżku i opowiadał, jak uprawia jęczmień i owies. Wtedy przyszedł Jon i trzy dni później przywiózł mnie tutaj, do naszego starego domu. Tyle że nie mogę zobaczyć, co w nim pozmieniał.

- Spytaj go, Elso. Po prostu go spytaj.

Jon Bender wyglądał, jakby miał wybuchnąć płaczem.

- Nic nie zmieniłem, Elso.

- Dobrze. - Po raz pierwszy uśmiechnęła się lekko. - Nie cierpię wymyślnych ozdób. Cieszę się, że zostawiłaś wszystko tak, jak było. - Przez kilka następnych minut odpowiadała na pytania Savicha i próbowała opisać Moseśa i Claudię najlepiej, jak potrafiła. Zgodziła się na spotkanie z rysownikiem portretów pamięciowych. Powiedziała, że Claudia rzeczywiście wyglądała jak jej

córka.

- Jon, daj im zdjęcie Annie, jak rzuca piłką plażową. Pamiętasz, wysłałam ci odbitkę. Podobieństwo jest naprawdę uderzające.

Kiedy pan Bender wyszedł, poprosiła:

- Opowiedz mi coś więcej o swoim synku, agencie Savich.

- Nazywa się Sean i jest jak pistolet. - Savich wciąż trzymał jej dłoń w swoich i opowiadał o przyjęciu z okazji trzecich urodzin Seana, na którym jego siostra, Lily, ganiała w ogromnych butach clowna dwudziestkę maluchów. Mówił, jak Sean uwielbia wskakiwać na niego każdego wieczoru, gdy wraca z pracy. Elsa, słuchając, uśmiechała się, jej oddech stał się lżejszy.

- Próbowałam przekonać Elbę, żeby dała mi drugą szansę, agencie Savich - powiedział Jon Bender, wracając do salonu.

Dłoń pod palcami Savicha zeszywniała na chwilę.

- Obiecywałam jej tysiące razy, że już nigdy więcej nie zachowam się jak skończony duppek.

I wtedy, cud nad cudami, Elsa Bender roześmiała się.

- Może i nie - powiedziała. - Dzieciaki myślą, że nie jesteś dupkiem, ale kto wie?

Sherlock przyjrzała się uważnie twarzy Jona Bendera, popatrzyła mu w oczy i przeniosła wzrok na Elbę.

- Wiesz co, Elso? Myślę, że twój mąż już wie, co jest najważniejsze w życiu.

Dziesięć minut później Savich uściskała dłonie Elsy i pomógł jej wstać, pozwalając, by koc opadł na podłogę. Kobieta była roztrzęsiona.

- Wszystko będzie dobrze, Elso - powiedział. - Jon cię opatuli i zabierze na spacer, może nawet zrobi wam gorącą czekoladę po powrocie. To przywróci ci rumieniec na policzki.

Dochodziła dziewiąta, gdy Savich zapukał do drzwi szeryfa Noble. U słyszeli gruby szczek Brewstera i tupot stóp, a po chwili w drzwiach stanęli Rob i Rafe, przepychając się nawzajem.

- Dobry wieczór, agencie specjalny Savich. Dobry wieczór, agencie specjalny Sherlock. Zastrzeliliście dzisiaj kogoś?

- Och, tak - odpowiedziała Sherlock. - nurzaliśmy się w kałużach krwi, już myślałam, że nigdy tego nie zmyję.

- Serio, opowiedzcie nam o wszystkim! Nie tylko same nudziarstwa jak tata, ale o wszystkim!

Savich uśmiechnął się po raz pierwszy, odkąd kilka godzin wcześniej wyjechali z Waszyngtonu. Szybko uściskał obu chłopców, chłonąc ich podekscytowanie i chłopięce umiłowanie makabry. Czy za dziesięć lat Sean będzie mu zadawał takie same pytania?

- Czekaliśmy na was z kolacją, ale tata powiedział, że zje własne buty, jeśli ktoś go nie nakarmi - powiedział Rob. - Jedliśmy bouillabasse, pani McCutcheon nam przyniosła, bo wie, że tata je lubi. Było w porządku, jeśli ktoś lubi rybę.

- Dillon, chodźcie do salonu - zawołała Ruth i stanęła w drzwiach, Dix za jej plecami. - Mamy pyszny podwieczorek, Millie z delikatesów sama upiekła placuszki, specjalnie dla federalnych, a Dixowi i mnie przydarzyło się dzisiaj coś na prawdę niezwykłego, ale o tym później. Chłopcy, zaproszcie gości i jedzmy.

- Jak wam minął dzień? - spytał Dix, rozdając placuszki. Sherlock uśmiechnęła się, biorąc filiżankę herbaty od Ruth. - Popołudnie było cudowne. Ulepiliśmy z Seanem bałwana, wliśmy w małego hektolitry gorącej czekolady i słuchaliśmy bez ustanku o nowym szczeniaku babci. - Przewróciła oczami. - Mam przeczucie, że w naszym domu też wkrótce rozlegnie się szczekanie.

- Psy są świetne - powiedział Dix, poklepując Brewstera. - Ten maluch w nocy grzeje mi szyję.

Prawie godzinę i cztery placuszki później Rob i Rafe poszli wreszcie do łóżek z głowami pełnymi przerażających i kom pletnie nieprawdziwych historii o piekle, które przeszli Savich i Sherlock w Filadelfii. Dix odczekał jeszcze kilka minut, ale w sypialni na górze zrobiło się zupełnie cicho, po czym skinął głową.

- No dobrze, mamy ich z głowy. Opowiedzcie nam, co naprawdę wydarzyło się w Filadelfii. Czy ta biedna kobieta potrafiła cokolwiek powiedzieć o Mosesie Grace i Claudii?

- Tak - odpowiedział Savich. - Nazywa się Elsa Bender i wyjdzie z tego. To znaczy myślę, że ma przed sobą całkiem nie złą przyszłość. - Popatrzył na Dix'a i Ruth, którzy siedzieli na sofie na przeciwko niego i Sherlock, Brewster spał między nimi. Wyjął z kieszeni fotografię. - To jest córka Benderów, Annie. Na tym zdjęciu ma siedemnaście lat: wysoka, szczupła, prawie białe włosy i wielkie, błękitne oczy. Elsa Bender mówi, że jest bardzo podobna do Claudii.

Ruth przyjrzała się fotografii.

- Wygląda jak cheerleaderka, której największym problemem jest decyzja, z kim pójść na randkę po meczu w sobotę wieczór. Rozesłałeś już to zdjęcie po całym Beltway, prawda, Dilon?

- Oczywiście.

- Elsa powiedziała, że Moses Grace jest tak stary, jak wydawało się nam po głosie, ma co najmniej siedemdziesiąt lat odezwała się Sherlock. - Twarz ma pomarszczoną od słońca, to sugeruje, że mógł spędzić większość życia na farmie, platformie wiertniczej czy pracując jako więzień - do wyboru, do koloru. Elsa powiedziała, że jest szczupły i żyłasty, ale nie wygląda zdrowo, jest jakiś szary. Mówiła, że głos Claudii w jednej chwili był słodki, a w drugiej piskliwy, ze środkowozachodnim akcentem. Co do Mosesa to sami słyszeliśmy jego przeciągłą wymowę i fatalną gramatykę. Elsa mówiła też, że ciągle kaszlał i pluł, a to było dwa miesiące temu. Teraz jego głos brzmi o wiele gorzej.

Dix pochylił się do przodu, biorąc Brewstera na rękę.

- Mieliście owocny dzień...

- Ale chyba nie aż tak ekscytujący jak my - przerwała mu Ruth, nie mogąc już dłużej ukryć podniecenia. - Spodoba się wam to. Zacznę od wizyty u Ginger Stanford, a potem opowiem wam o lunchu z Chappym i jego małym teatrzykiem.

- A na koniec - dodał Dix - nasz piece de resistance: Helen Rafferty.

Rozdział 21

- I kiedy dojechaliśmy do Stanislausa, zabraliśmy Helen Rafferty do świetlicy dla pracowników. Ruth nie dała jej ani chwili na pozbieranie myśli, tylko od razu, prosto z mostu, spytała o doktora Holcombe'a i Erin Bushnell.

Ruth gładko podjęła opowieść, jakby od dawna pracowali razem w jednym zespole.

- Zaczęła płakać i uspokoiła się, dopiero jak jej przypomniałam, jakie to teraz ważne, gdy Erin nie żyje.

- Wytarła oczy i spytała, czy napijemy się kawy - ciągnął Dix. - Powiedziałem, że tak, bo chciałem dać jej chwilę, żeby się wzięła w garść.

- Przeprosiła Dix'a, bo wiedziała, że doktor Holcombe jest jego wujem, ale przemyślała to i musiała to z siebie wyrzucić. Przyznała, że ona i doktor Holcombe - inaczej go nie nazywa - przez jakieś trzy miesiące pięć lat temu byli kochankami. Powiedziała, że to było latem, kiedy w szkole zostało niewielu uczniów. On zerwał, powiedział jej, że bycie z nią go wyczerpuje. To wam się spodoba: powiedział, że bycie z nią przypomina związek ze starożytnym błogosławieństwem, które straciło swą moc, a teraz go dusi i on już dłużej nie może z nią być. Powiedziała nam, że tak naprawdę doktor Holcombe miał pewną słabość, o której ona wiedziała jeszcze przed romansem. Przez te wszystkie lata sypiał z utalentowanymi studentkami i nie miał zamiaru przestać. Spytała go o to wprost, a on odpowiedział, że jego dusza potrzebuje takiego pokarmu, ich niewinnej miłości do muzyki i życia, bez tego nie może tworzyć, nie może komponować i w ogóle nie może żyć. Uśmiechnęła się lekko i przyznała, że wie, jak to brzmi, ale on w to wierzył.

Jednak Helen nie uważa go za starego rozpustnika, tylko za wspaniałego człowieka z nieszkodliwą słabością. Więc pogodziła się z sytuacją. Pewnie nie miała innego wyjścia, bo wciąż go kocha i podziwia. Powiedziała, że Erin Bushnell była tylko jeszcze jedną utalentowaną młodą studentką, która służyła duchowym potrzebom doktora Holcombe'a. To oczywiście jej słowa.

Dix pochylił się do przodu i oparł dłonie na kolanach.

- Potem zmarszczyła brwi i powiedziała, że może się myli, może doktor Holcombe czuł coś więcej do Erin niż do innych. To było dziwne, tak słuchać, jak ona opowiada o jego romansach, jakby to była najnormalniejsza rzecz na świecie, skoro inspirują jego muzykę. Wszystko mu przebaczyła.

- Powiedziała, że doktor Holcombe ma niewiarygodną energię - kontynuowała Ruth - przez ostatnich kilka miesięcy skomponował parę wspaniałych utworów. Ale teraz jest załamany, przypomina własny cień i ona bardzo się o niego martwi. Wspomniałam, że nie wydawał się taki załamany, kiedy powiedzieliśmy mu o zamordowaniu Erin, a ona odrzekła, że on nigdy nie chciałby obciążać innych swoim bólem. - Ruth parsknęła.

- Zdobyliście nazwiska pozostałych dziewcząt, które „służyły” doktorowi Holcombe'owi? -

spytała Sherlock.

- Uff... - Dix wyjął notes i przekartkował go. - W czasie, gdy Helen dla niego pracowała, czyli przez czternaście lat i cztery miesiące, według niej miał romanse z ośmioma studentkami, poza nią samą, zarówno przed, jak i po dyplomie. Musiały mieć nie więcej niż dwadzieścia trzy, cztery lata. Helen podała mi kilka nazwisk, żadnej z tych kobiet nie ma już w Stanislausie i obiecała, że sprawdzi pozostałe.

- Wyobraźcie sobie - dziwiła się głośno Ruth - mężczyzna w wieku mojego ojca uważa, że jestem zbyt stara, żeby się ze mną przespać. Helen powiedziała, że kiedy doktor Holcombe „zwalniał” studentkę, one zostawały w szkole aż do dyplomu. Wyda wały się zadowolone z takiego obrotu spraw, traktowały to chyba jako część procesu edukacji. Kto wie, może nawet sprawiało im radość, że dzięki nim wielki człowiek znowu przez chwilę błyszczał?

- Wydaje się, że doktor Holcombe potrafi dokonać doskonałego wyboru i ma wyjątkowy instynkt samozachowawczy. Na pewno pomagało mu to, że jako dyrektor szkoły miał też ogromny wpływ na ich karierę. Jestem zaskoczona, że nikt więcej w szkole nie wiedział o skłonności doktora Holcombla, wtedy krążyłyby plotki, groziłaby mu zawiść ze strony studentek, które nie zostały wybrane, może nawet oburzenie kolegów uznających jego zachowanie za niewłaściwe.

- Helen powiedziała, że według niej nie wiedział nikt poza tymi dziewczętami - wyjaśniła Ruth. - Sama nigdy nie słyszała żadnych plotek.

Savich potrząsnął głową.

- Trudno w to uwierzyć. Zwykle jeśli więcej niż dwoje ludzi wie o czymś nielegalnym, zwłaszcza o czymś tak pikantnym jak to, prędzej czy później wszyscy dowiadują się o każdym najbardziej wstydlwym szczególe.

- Helen powiedziała nam, że sama pomagała mu chronić jego prywatność - rzekła Ruth. - Czytaj: pomogła mu trzymać brudy w tajemnicy.

- On mieszka sam - dodał Dix. - I wiem, że od wielu lat ma domek za miastem. Tam mógł z nimi jeździć. I jeszcze coś: gdyby Chappy o tym wiedział, wiedziałby też każdy w promieniu stu mil. A Chappy tak by to opowiedział, że jego brat nic miałby szans na zostanie w szkole. Może wiedzieli niektórzy studenci czy profesorowie, ale na pewno nikt spoza Stanislausa.

- Musi mieć doskonałą gadkę - uznała Sherlock. - Mam nadzieję, że pozostałym dziewczynom nic się nie stało.

- My też się nad tym zastanawialiśmy - zgodził się Dix. Dwie już namierzyliśmy, wszystko u nich w porządku. Gdy Ivlko dostaniemy resztę adresów, zlokalizujemy pozostałe.

- Prosiliśmy Helen, żeby nikomu nie mówiła o naszej rozmowie, zwłaszcza doktorowi Holcombe'owi - wtrąciła Ruth. - Zapytaliśmy o jego rozkład zajęć w piątek i kiedy po raz ostatni widziała Erin. Wtedy oczy o mało nie wyszły jej z orbit, zdała sobie sprawę, że możemy podejrzewać go o zabicie Erin Bushnell. Zaczęła się jąkać, powtarzać raz po raz, że on nie miał takich skłonności. Kochany doktor Holcombe nie uderzyłby mocniej w klawisz pianina, nigdy nikogo by nie skrzywdził, a już na pewno nie studentkę Stanislausa. Helen była tego pewna, powiedziała nam to wszystko tylko dlatego, że nie chciała kłamać przed policją, a poza tym według niej będzie lepiej dla doktora Holcombe'a, jak to od razu wyjdzie na jaw. Wiedziała, że nic nam nie powiedział, kiedy rozmawialiśmy z nim w poniedziałek, i uznała, że nawet o tym nie pomyślał, był zbyt rozbity. Potem zaczęła pochwalną przemowę, jak to cudowni studenci doktora Holcombe'a koncertują na całym świecie, obdarzając słuchaczy pięknem i dobrem, wręcz inspirując pokój na

świecie.

- Czy ona jest szalona? - zdumiała się Sherlock.

- Myślę, że jest kompletnie ślepa, jeśli chodzi o wuja Gordona. Powiedziała, że od kiedy dowiedział się o Erin, nie je, przestał komponować i grać na instrumentach, milczy, nie potrafi poradzić sobie z pracą ani stawić czoła światu. Tak bardzo jest jej go żal. Co do tego, co robił w piątek, Helen twierdzi, że przez cały dzień miał spotkania ze studentami i w ogóle nie opuszczał kampusu. A potem spojrzała na nas triumfalnie, bo dała mu alibi. Ale czy ona mówi prawdę? - Dix wzruszył ramionami.

- A co powiedział doktor Holcombe, kiedy spytaliście go o to, gdzie był? - chciała wiedzieć Sherlock.

- Nie rozmawialiśmy z nim dzisiaj - odparł Dix. - Helen przekonała go, żeby poszedł na próbę. Porozmawiamy z nim i jeszcze raz z Helen jutro rano. - Dix odwrócił się do Ruth i spytał nagle: - Jak ty się czujesz? Nie boli cię głowa?

Zamrugła powiekami zaskoczona, a potem uśmiechnęła się.

- Lekko mnie boli za lewym uchem, ale to nic poważnego, Dix.

- Przyniosę ci aspirynę. Lepiej, żebyś wzięła coś teraz zanim ból stanie się dotkliwy. - I wyszedł z salonu.

Zadzwoił telefon, ale tylko raz. Dix musiał od razu podnieść słuchawkę. Savich popatrzył na Ruth i uniósł brew.

Ku jego zaskoczeniu agentka specjalna Ruth Warnecki, twarda, zrównoważona i ostra jak brzytwa, zarumieniła się.

Życie czasami bywało zaskakujące, pomyślała Sherlock i wstała.

- Jest późno i oboje jesteśmy padnięci. Rano wcześniej zaczniemy.

Dix wrócił do salonu, podał Ruth dwie aspiryny i szklankę wody i stał nad nią, kiedy brała leki, po czym zwrócił się do Savich i Sherlock.

- Musicie to usłyszeć, zanim pójdziecie. Przed chwilą dzwonił detektyw Morales z posterunku w Richmond. Powiedział mi, że dwa znane zbiry nie pojawiły się tam, gdzie powinni byli ani do nikogo się nie odezwali. Jeden z nich, Jackie Slater, jest poszukiwany za kradzież samochodu, a drugi, Tommy Dempsey, ma dziewczynę, która nęka policję od niedzieli rano, twierdząc, że jej chłopak zaginął i że ktoś musiał mu coś zrobić.

Detektyw Morales słyszał, co tu się stało w sobotę, o skradzionej tacomie, która wybuchła, i dwóch zabitych mężczyzn i zastanawiał się, czy to nie oni. Moi ludzie przefaksowali mu rysopisy i zdjęcie sygnetu, który miał na palcu jeden z mężczyzn, i dziewczyna go poznała. To był Tommy Dempsey.

Slater wyszedł z więzienia stanowego Red Onion cztery miesiące temu i prawdopodobnie próbował wrócić do interesów. Dempsey był poszukiwany, podejrzewają, że był zaplątany w jakieś lokalne włamania, ale nie mają pewności.

- Za co Slater siedział? - spytała Ruth.

Napaść na policjanta i utrudnianie aresztowania pod zarzutem kradzieży samochodu. Dziesięć lat temu został aresztowany za zabójstwo podczas napadu, ale z braku dowodów musieli wycofać oskarżenie. Dlatego detektyw Morales pomyślał, że Slater byłby w stanie zaplanować coś takiego i wciągnął w to Dempseya. Obaj byli agresywni i niespokojni. Poprosiłem go, żeby spróbował się dowiedzieć, dla kogo ostatnio pracowali.

Kiedy powiedziałem mu, że próbowali zabić agenta FBI, o mało nie spadł z krzesła. Odpowiedział: „nigdy nie myślałem, że ci dwaj są aż tak głupi”.

Ruth zatarła ręce.

- Hura dla detektywa Moralesa. Muszę mu wysłać kartkę na Gwiazdkę.

- Nasze biuro może zapewnić detektywowi Moralesowi każdą pomoc, jakiej potrzebuje - obiecał Savich. - Mogą popytać w więzieniu, porozmawiać z dziewczyną Dempseya, wytropić jego współników.

- Jestem pewien, że będzie wdzięczny. Nie będziemy musieli sami jechać do Richmond.

- O której mamy przyjść rano?

- Chłopcy wcześniej wychodzą, więc śniadanie będzie przed świtem. Jesteście zaproszeni.

- Świetny dowcip, Dix - mruknęła Ruth. - Przyjdźcie po ósmej, zrobię jajecznicę.

- Och, zapomniałem, Dix - powiedziała Sherlock. - Mówiłeś, że doktor Holcombe ma córkę.

- Tak, nazywa się Marian Gillespie, mieszka w małym domku przy Meadow Lake, uczy w Stanislausie muzyki i klarnetu. Christie zawsze ją lubiła, mówiła, że żyje według własnych zasad. Tak, masz rację, jutro z nią porozmawiamy.

- Czy kiedykolwiek zauważyłeś jakieś konflikty między ojcem a córką, Dix? - spytał z namysłem Savich.

- Nie. Nic takiego nie pamiętam.

Telefon Dixy zadzwonił parę minut przed pół do siódmej we czwartek rano. Podskoczył na łóżku, obawiając się złych wieści.

I były złe. Helen Rafferty została znaleziona martwa przez jej brata i partnera od joggingu, Dave'a Rafferty'ego.

Rozdział 22

Wolf Ridge Road

Mestro, Wirginia

Czwartek wcześniej rano

Dix nie mógł przestać mamrotać pod nosem. Czuł się jak idiota, że naraził Helen Rafferty na niebezpieczeństwo.

Czy zginęła, bo ktoś wiedział, że z nimi rozmawiała, albo obawiał się tego, co wiedziała?

Przyjechali pięć minut po Savichu i Sherlock i zastali doktora Himple i ekipę techników w sypialni, gdzie brat znalazł Helen.

Dix i Ruth zamienili parę słów z doktorem Himple i dołączyli do Savicha i Sherlock, którzy rozmawiali w kuchni z Dave'em Raffertym. Brat Helen dobiegał pięćdziesiątki, miał szczupłą budowę biegacza i przerzedzone jasnobrązowe włosy. Jeszcze się nie golił i twarz pokrywał mu lekki zarost. Był cały roztrzęsiony.

Savich chciał pomóc mu wziąć się w garść, więc spytał: - Panie Rafferty, gdzie pan pracuje?

- Co? Och, uczę matematyki w Liceum im. Johna T. Tuckera w Mount Bluff. To jakieś dwanaście mil od Maestro.

- Co pan robił tutaj tak wcześniej?

Dave Rafferty wskazał na swój dres i adidasy.

- Helen i ja biegamy trzy razy w tygodniu. Kiedy zadzwoniłem o szóstej, nie otworzyła. Nie przejąłem się tym, no wiecie, może była zmęczona i zasnęła. Och, Jezu, zawołałem, żeby zwlokła tyłek z łóżka, dalej, czas leci, ale ona nie mogła mnie usłyszeć, nie mogła mówić. To zabije mamę. Ona i Helen były ze sobą tak blisko.

Przełknął łyk czarnej kawy i wziął głęboki oddech. Sherlock położyła dłoń na jego ramieniu, a Dave uniósł głowę.

- Wiecie, kiedy zobaczyłem ją w łóżku, wciąż myślałem, że śpi. „Hej, leniuchu” - zawołałem - „dosyć tego spania. Dalej, ruszaj tyłek”. Ale ona się nie ruszyła. Leżała na plecach, przykryta do pasa. Miała na sobie tę niebieską flanelową koszulę. Oczy miała otwarte i patrzyła wprost na mnie. Próbowałem ją obudzić, ale oczywiście nie mogłem, a ona cały czas wpatrywała się we mnie. Wtedy zobaczyłem ślady na jej szyi. To szaleństwo. Ona nigdy nikogo nie skrzywdziła. - Zadrżał, opuścił głowę na splecione ramiona i zaszlochał. - Ona nie żyje, do cholery, moja siostra nie żyje.

Sherlock bez wahania otoczyła go ramionami i przytuliła.

- Tak mi przykro, panie Rafferty. Dowiemy się, kto to zrobił. - Savich wiedział, że ona się tym zajmie i on, Dix i Ruth wyszli z kuchni.

Szeryf znowu mamrotał pod nosem:

- Jestem skończonym idiotą. To moja wina, niczyja inna, tylko moja.

- Nikt z nas nie zdawał sobie sprawy, że Helen Rafferty jest w niebezpieczeństwie - powiedział uspokajająco Savich. - Poprosiłeś ją, żeby z nikim o tym nie rozmawiała. Myślisz, że ktoś podsłuchał waszą rozmowę w świetlicy?

- Muszę powiedzieć to głośno: Helen mogła zadzwonić do Gordona i przekazać mu, co nam powiedziała.

- I czego nie powiedziała - dodał Savich. - To bardzo prawdopodobne. Bez wątplenia obie kobiety, Erin i Helen, były bardzo blisko z doktorem Holcombe'em. Powiedziałbym, że to stawia go na pierwszym miejscu naszej listy podejrzanych.

- Jeśli nie przyjdzie dzisiaj do pracy, będziemy musieli go znaleźć i zabrać na posterunek - powiedział Dix. - Teraz nic możemy podważyć alibi, które Helen dała mu na piątek.

Zobaczył, że Sherlock rozmawia z doktorem Himple. Skinęła głową, uściśliła mu dłoń i podeszła do nich.

- Lekarz mówi, że została uduszona. Nie ma śladów walki, bo zabójca prawdopodobnie podkradł się do niej, kiedy spała, zarzucił pętlę na szyję i szybko zacisnął. Założę się, że dzwoniła do doktora Holcombe'a, Dix. Z miłości czy lojalności?

Savich skinął głową.

- Mówiliśmy o tym samym. Musimy prześledzić jej ruchy wczoraj, po waszym wyjściu. Dix, przydziel do tego kilku dobrych ludzi.

- Kiedy widzieliśmy się z nią wczoraj, wuja Gordona nie było w szkole, tak, jak ci mówiłem. Był w Gainsborough Hall, wielkim audytorium koncertowym, i słuchał utworów, które mają zostać zagrane na koncercie w przyszłym miesiącu. Ustalimy, z kim jeszcze się spotkał, zanim opuścił kampus. Sprawdzimy billingi, może dzwoniła do niego do audytorium.

- Może Helen dzwoniła do kogoś innego - powiedziała Ruth. - Może nie pamiętała wszystkich nazwisk, a wiedziała, że ktoś jeszcze je zna, albo dzwoniła do którejś z tych kobiet.

Dix wyjął komórkę, zadzwonił do biura i powiedział do dyspozytorki:

- Amalee, wezwij Penny, Emory'ego i Clausa. Za dwadzieścia minut spotkamy się w moim biurze. - Słuchał przez chwilę, po czym zamknął telefon i schował go do kieszeni. - Amalee już wiedziała. - Potrząsnął głową. - No pewnie, że wiedziała. - Wsunął czubek buta pod róg dywanu i zaklął pod nosem.

Przeszukali mały dom Helen Rafferty od piwnicy aż po dach.

Nie mieli dużo pracy, bo, jak powiedział jej brat, parę lat temu Helen postanowiła uprościć swoje życie i ograniczyła ilość posiadanych przedmiotów do minimum. Ale uwielbiała zdjęcia. Były wszędzie, na każdej powierzchni. Głównie fotografie rodzinne. W szufladzie z bielizną znaleźli małe pudełko obwiązane wstążką, a w nim liściki sprzed pięciu lat, które pisał do niej doktor Holcombe. Żadne namiętne czy romantyczne listy, ale notki w stylu: „Kolacja dzisiaj u ciebie?” czy „Spotkajmy się w moim domu o szóstej”.

Ruth pomyślała, że to bardzo smutne.

Puste biurko Helen Rafferty w Stanislausie było nieskazitelne, ani jednej luźnej kartki na blacie, ani pyłku kurzu na monitorze. Ponieważ doktor Holcombe jeszcze nie przyszedł, powoli przejrzeliby wszystkie szuflady jej biurka, ale nie znaleźli nic ciekawego. Wkrótce wszyscy w kampusie dowiedzą się, co się stało, będą przestraszeni i zdezorientowani - najpierw Erin Bushnell, teraz osobista asystentka dyrektora. Niedługo wszyscy będą przerażeni, pomyślał Dix.

Odpałał silnik range rovera, gdy zadzwoniła jego komórka.

Odebrał i po chwili się rozłączył.

- To był Chappy. Powiedział, że Twister jest w Tarze, pije kawę, je placuszki pani Goss i jest do niczego. Twister powiedział mu, że Helen została uduszona, i teraz płacze jak bóbr. Chappy był zdegustowany.

Nie było słońca, po stalowoszarym niebie płynęły ciemne, śniegowe chmury i wydawało się, że jest tak zimno jak na równinach Południowej Dakoty, które Dix odwiedził kilka lat temu z Christie i chłopcami.

Dix trzymał się bocznych dróg i jechał dużo szybciej, niż pozwalały przepisy. Zobaczył, że Ruth obejmuje się ramionami, i podkreślił ogrzewanie.

- Śnieg - rzucił w przestrzeń. - Pewnie będzie padał po południu.

Dwanaście minut później wjechali w długi podjazd Tary.

- Ciekaw jestem, gdzie są moje patrole drogowe - powiedział Dix. - Przez całą drogę przekraczałem dozwoloną prędkość. - Jesteś szeryfem - odparła Ruth. - Mieli cię zatrzymać? Nie sądzę. Kiedy ostatni raz któryś z twoich ludzi zatrzymał cię za przekroczenie prędkości?

- Święta racja. Zatrzymał samochód:

- Wolałbym nie pytać wuja o romans z Erin i innymi dziewczynami przy Chappym. Pewnie skończyłby ze śmiechu, powiedziałaby, że uważał Twistera za impotentę czy coś w tym stylu, i gadałby o tym do końca świata. Naprawdę nie możemy go tu przesłuchiwać.

- To twój wuj i twoje śledztwo, Dix - odpowiedział Savich.

- Zrobimy, jak zechcesz.

Drzwi znowu otworzył Chappy ubrany w jasnobłękitny kaszmirowy sweter i czarne wełniane spodnie.

- Bertram ciągle jest chory? - spytał Dix.

- Tak, jego siostra powiedziała, że narzeka za każdym razem, gdy wstaje z łóżka. Niezbyt wdzięczny pacjent z tego naszego Bertrama. Dobrze, że wreszcie przyjechałeś, Dix. Wiem, że Twister zabił Helen. Chodź i zakuj w kajdanki tego żalostnego dupka, zabierz go stąd, bo robi mi się niedobrze na jego widok. Widzę, że wciąż cięgasz ze sobą federalnych. - Cofnął się o krok i zaprosił ich gestem do środka.

Gordon Holcombe stał przy kominku z filiżanką kawy w dłoni. W ciemnoszarym garniturze, białej koszuli i idealnie zawiązanym niebieskim krawacie wyglądał jak wycięty z żurnala. Wydawał się smutny, ale spokojny, co Ruth uznała za dziwne. Czy naprawdę było mu przykro z powodu śmierci Helen? Czy czuł ulgę?

Gordon nie odezwał się ani słowem, gdy weszli do salonu, tylko stał i patrzył na nich.

- Gordonie - powiedział Dix - bardzo mi przykro z powodu Helen.

- Dlaczego mówisz mu, że ci przykro? - wrzasnął Chappy, machając pięścią w stronę brata. - Ten płaczliwy psychopata pewnie ją zabił. No, dalej! Spytaj go!

- Czy zabił pan Helen Rafferty, doktorze Holcombe? - spytała Ruth.

Gordon westchnął i odstawił filiżankę na półkę nad kominkiem.

- Nie, agencie Warnecki, oczywiście, że nie. Bardzo lubiłem Helen. Znałem ją, od kiedy zacząłem pracę w Stanislausie. Była wyjątkową kobietą. Nie wiem, kto ją zabił. - Zrobił złośliwą minę. - Dlaczego nie zapytacie Chappy'ego, skoro już tu jesteście? To on jest tu czarnym charakterem. Jak myślicie, dlaczego jest taki bogaty? Doszedł do tego po trupach. Spytajcie go!

- Ha! To było kiepskie, Twister, naprawdę kiepskie. Po co miałbym zabijać twoją byłą

kochankę? Sam Bóg wie, że to ty miałaś motyw, nie ja. No, dlaczego to zrobiłeś?

- Skąd wiesz, że ona nie żyje, Gordon? - spytał Dix.

- Dzwoniłem do Helen, bo chciałem zapytać ją o parę szczegółów dotyczących koncertu ku czci Erin Bushnell. Odezwała się automatyczna sekretarka i pomyślałem, że to dziwne, bo wszyscy wiedzą, że Helen zawsze siada przy biurku punkt siódma trzydzieści, więc zadzwoniłem do recepcji w Blankenship i poprosiłem o połączenie z nią. Mary powiedziała, że jeszcze jej nie widziała. Kiedy zatelefonowałem do domu, odebrał jej brat. Biedak płakał. Powiedział mi, że nie żyje, że wstała zamordowana, a wy dopiero co wyszliście.

Byłem załamany i osłupiały. Nie wiedziałem, co robić, więc przyjechałem tutaj. - Posłał bratu mordercze spojrzenie. - Chyba jestem idiotą. Żadnego współczucia od tego Charlesa Mansona, zimnokrwistej starej pijawki.

Savich postanowił to przerwać.

- Kiedy ostatni raz widział pan Helen, doktorze Holcombe?

- Wczoraj po południu, ale tylko przez chwilę, po powrocie z Gainsborough Hall. Byłem zły, bo musieli zastąpić Erin inną studentką, z zupełnie innej ligi. Zwykle Helen zostawała dłużej, ale wczoraj wyszła, prawie się do mnie nie odzywając. Oczywiście pomyślałem, że martwi się zabójstwem Erin.

Pamiętam, że patrzyłem, jak idzie do swojej toyoty, i pomyślałem, że trochę przybrała na wadze. Patrzyłem, jak wsiadła i odjechała. - Głos mu się załamał. - Wtedy widziałem ją po nt' ostatni.

Chappy chrząknął ironicznie.

- To było bardzo wzruszające, Twister. Zaraz się popłaczę. Na szczęście pani Goss stanęła w drzwiach, niosąc wielką srebrną tacę.

Sherlock zapatrzyła się w piękny, srebrny serwis, tak wypolerowany, że widziała w nim własne odbicie. Gdy pani Gos wyszła, zwróciła się do Chappy'ego, który siedział rozparty na krześle i wyglądał na w pełni usatysfakcjonowanego.

- Dlaczego powiedział pan, że pański brat płacze, panie Holcombe? Nie widziałam ani jednej łzy.

Chappy tylko wzruszył ramionami.

- Bo ronił, zanim przyszliście, krokodyle łzy. Twister w całym swoim beznadziejnym życiu nie płakał za niczym, chyba że byłoby to coś, czego pragnął, a czego nie mógł mieć.

- Cóż, nie pragnąłem śmierci Helen - powiedział Gordon nienaturalnie spokojnym głosem. - I dobrze o tym wiesz, Chappy. Próbujesz narobić mi kłopotów i nic w tym nowego, ale to nie jest żart, ty mały sadysto. Helen nie żyje, Erin nie żyje. Nawet Walt nir żyje. Ktoś próbował zabić agentkę specjalną Warnecki. Nie rozumiesz, ty stary durniu, wszystko trafił szlag! - Stopniowo podnosił głos aż do krzyku. Chappy wyszczerzył zęby w uśmiechu.

- Panie Holcombe, gdzie pan był w piątek po południu? - spytała Ruth.

- Co? O co tu chodzi? Erin... Myślicie, że z jej morderstwem też mam coś wspólnego? Wielki Boże, to nie może dziać się naprawdę..

- Co pan robił w piątek po południu? - powtórzył Savich. Gordon machnął ręką.

- Nie wiem. Nie pamiętam... poczekajcie, poczekajcie. Całe popołudnie doradzałem zidiociałym studentom. Doprowadzali mnie do pasji. - Zwrócił się do Dixy: - Nikogo nie zabiłem! Ty jesteś cholernym szeryfem! Kto będzie następny? Co robisz, żeby złapać tego potwora? Powiem ci, to ktoś, kto mnie nienawidzi, kto chce zniszczyć mnie i Stanislausa.

- Czy Helen dzwoniła do pana wczoraj wieczorem, doktorze Holcombe? - spytała Ruth.

- Helen? Do mnie? Nie, a dlaczego miałyby dzwonić? Tak naprawdę to ja zastanawiałem się, czy do niej nie zatelefonować, ale tego nie zrobiłem. Tym bardziej żałuję.

- Dlaczego chciał pan do niej dzwonić?

Gordon wzruszył ramionami.

- Byłem przygnębiony. Chyba chciałem, żeby poprawiła mi humor, ale nie zadzwoniłem. Nie pamiętam dlaczego.

Dix odczekał chwilę, a potem spytał:

- Znasz Jackie Slatera, Gordon?

- Jackie Slater? Nie. A dlaczego miałbym znać? Kto to jest?

- A Tommy'ego Dempseya?

- Nie, do cholery. Nie znam tych ludzi. Dlaczego mnie o to pytasz?

- To prawdopodobnie oni próbowali zabić agentkę specjalną Warnecki w sobotę wieczór.

- Poczekaj. Dempsey... to nazwisko wydaje się znajome...

- Jack Dempsey był znanym bokserem, ty ignorancie.

- Zamknij się, Chappy! Dlaczego zadajesz mi te idiotyczne pytania? Na litość boską, Dix, idź i zabierz się do swojej roboty! - Proszę nam powiedzieć, gdzie pan był zeszłej nocy, doktorze Holcombe - zażądał Savich głosem ostrym jak brzytwa i równie srogą miną.

Gordon zamarł na dźwięk jego tonu. Popatrzył na Savicha i zbladł jeszcze bardziej.

- Chcecie, żebym dał wam... alibi? Ja? To niedorzeczne, ja... ja... bardzo dobrze, przepraszam, po prostu... Dobrze, rozumiem, że to standardowa procedura, a ja znałem ją bardzo dobrze. Zjadłem kolację w domu córki, Marian Gillsepie, byliśmy sami. Zostałem gdzieś do dziewiątej, grałem na pianinie, a ona próbowała odegrać utwór na klarnet, który wczoraj dostała od George' a Wootena, muzyka z Indiany. Skończyła, zanim wyrwałem sobie paznokcie. To było niewyobrażalnie okropne. - Marian gra jak anioł - wtrącił się Chappy. - A Twister jest pieprzonym perfekcjonistą. Nikt nie robi nic na tyle dobrze, żeby go usatysfakcjonować.

- Muzyka była okropna, głupcze, nie gra Marian. Wooten uważa, że każdy dysonans oznacza geniusz, wiecie, jak ci nowocześni artyści, którzy rozsmarowują na płótnie co popadnie. Zanim mnie oskarżysz o perfekcjonizm, Chappy, spójrz, jak ty traktujesz Tony'ego, który tak dobrze prowadzi twój bank.

- Co robił pan potem? - przerwała mu Sherlock, ostentacyjnie ignorując Chappy'ego i patrząc uważnie na Gordona.

- Co potem robiłem? Nic. Pojechałem do domu, to zwykle robią ludzie, którzy chcą iść spać. Jada do domu. Tak, jak powiedziałem, byłem przygnębiony i zły, bo jakiś maniak zamordował Erin. Cały czas o niej myślałem. Naprawdę do mnie dotarło, że już nigdy więcej jej nie zobaczę i nigdy nie usłyszę, jak gra.

Głos Savicha stał się jeszcze ostrzejszy.

- Proszę nam powiedzieć, o której godzinie wrócił pan do domu i co pan robił.

- Dobrze, dobrze. Wróciłem około w pół do dziesiątej. Przejrzałem pocztę, bo wcześniej nie miałem na to czasu. Obejrzałem wiadomości w telewizji, wypilem szkocką, poszedłem do łóżka. Próbowałem nie myśleć o Erin. Nie mogłem zasnąć, więc pooglądałem jeszcze trochę telewizję, ale nie mogłem pozbyć się myśli o Erin. A teraz Helen też nie żyje.

- Czy ktoś może to potwierdzić, Gordonie? - spytał Dix.

- Nie, mieszkam sam, jak dobrze wiecie. Pomoc domowa znika przed piątą po południu.

Zapadła cisza, którą przerwała Ruth, przenosząc wzrok z jednego brata na drugiego.

- Jesteście bardzo do siebie podobni. Wybaczcie mi, ale jestem tu nowa i nigdy nie widziałam, żeby bracia traktowali się w taki sposób jak wy. Dlaczego oskarżasz brata o morderstwo, Chappy? Możesz mi to wytłumaczyć?

Chappy roześmiał się, kładąc ręce na brzuchu.

- No, dalej, agentko Ruth, popatrz na tego pompatycznego, afektowanego profesorka! Możesz mnie winić? Ten żaloszny kłamca w życiu nie zrobił nic przyzwoitego poza grą na skrzypcach. - Czknął, zakrył dłonią usta i czknął znowu.

- Proszę nie zwracać uwagi na tego zazdrosnego pawiana, agentko - odezwał się Gordon. - Po śmierci naszych rodziców postanowił, że zostanie moim tatą, ale nigdy mu się to nie udało, nie mogłem się doczekać, żeby się od niego uwolnić. Jedyne, co udało mu się w życiu, to zrobić fortunę.

- Kiwnął głową w stronę brata. - Mam zamiar pochować cię w trumnie wypełnionej banknotami jednodolarowymi, Chappy, niech dotrzymują ci towarzystwa.

- Zamień je na tysiąc dolarowe, to może coś z tego będzie, ty tani łajdaku - powiedział Chappy, kopiąc nogą w stronę brata.

Ruth odchrząknęła.

- A mimo wszystko przyjechał pan tutaj, doktorze Holcombe, kiedy nie wiedział pan, co ze sobą zrobić.

- Prawda jest taka, że mimo iż przez całe życie muszę znosić tego nadętego osła, lubię jego kawę.

- Zasalutował do brata filiżanką.

Rozdział 23

Marian Gillespie nie otworzyła drzwi, stanął w nich młody mężczyzna. Miał białe stopy, ubrany był w dżinsy i szarą koszulkę z napisem „Stanislaus”.

- Tak? Kim jesteście?

Dix uśmiechnął się i postąpił krok do przodu, wpychając chłopaka z powrotem do domu.

- Jestem szeryf Noble. A ty kim jesteś?

- Hej...

- Kim jesteś?

- Sam Moraga.

- To dom profesor Marian Gillespie. Co ty tu robisz?

- Marian daje mi prywatne lekcje - odpowiedział chłopak i ziewnął szeroko.

- Z jakiego przedmiotu?

- Gram między innymi na klarnecie. Wczoraj wieczorem przyszedłem późno, bo doktor Holcombe, jej ojciec, był tutaj i nie mogła się go pozbyć przed dziewiątą.

- Widziałeś, jak doktor Holcombe wyjeżdżał?

- Tak, widziałem. Jeździ srebrnym mercedesem, myśli, że jest lepszy od nas, wieśniaków.

- Gdzie jest doktor Gillespie? - spytał Dix.

- Wyszła niedawno, powiedziała, że musi napisać maila do tego kompozytora, który przesłał jej jakiś utwór na klarnet. Mówiła, że był świetny. Jest w swoim biurze w szkole.

- Musisz być jedyną istotą ludzką w okolicy, która nie wie, w się stało. Wczoraj w nocy zamordowano Helen Rafferty.

Sam Moraga omal się nie przewrócił. Dix złapał chłopaka za ramię.

- Rozumiem, że ją znałeś.

- Och, człowieku, pewnie, że znałem panią Rafferty. Człowieku, wszyscy giną, nie mogę w to uwierzyć. Ona była miła, nikogo by nie skrzywdziła, zawsze świetnie sobie radziła z tatą Marian... Zamordowana? Była jak matka dla Marian, dla wszystkich studentów. Kto ją zabił?

- Pracujemy nad tym - powiedział Dix. - Rozumiem, że ty i doktor Gillespie sypiacie ze sobą?

Sam Moraga skinął głową.

- Helen nie żyje. Nie mogę tego zrozumieć. To potworne.

Najpierw Erin, teraz Helen. Co się dzieje, szeryfie? - Chodźmy do salonu.

Rozmawiali z Samem Moragą przez następne pół godziny.

Był zdenerwowany obecnością agentów FBI, jąkał się, odpowiadając na ich pytania. Sherlock pomyślała, że pewnie ma marihuanę w domu. Zostawili go siedzącego przy stole w kuchni, w pięknych dłoniach ścisnął kubek zimnej kawy.

Dix i Ruth poszli przodem do samochodu, Savich i Sherlock konferowali z tyłu.

- Sam był przerażony waszą obecnością i pewnie myślał, że wzięliście mnie dla żartu - powiedział Dix.

- Dix, wiesz tak samo dobrze jak ja, że Sam nie ma z tym nic wspólnego. Ktokolwiek to robi, jest bystry i jak na razie gra jak prawdziwy profesjonalista.

- Jedźmy do doktor Gillespie - zawołał do Savicha i Sherlock, po czym uśmiechnął się do Ruth. - Chcesz pójść na łyżwy, jak to wszystko się skończy? Staw Honeyluck jest zamrożony już dwa tygodnie.

- Na łyżwy? Pewnie, z wielką chęcią. Nie jeździłam na łyżwach od lat, ale kiedyś byłam w tym nie zła.

Znaleźli Marie Gillespie w bufecie na drugim piętrze Elan kenship Hall. Była sama w wyłożonej pluszem i ciemną boazerią sali, stała przy oknie, popijając kawę z kubka i wpatrując się w pokryte śniegiem wzgórze. Ruth bez trudu odgadła, że ma do czynienia z córką doktora Gordona i bratanicą Chappy'ego. Była wysoka, szczupła, ubrana w pięknie skrojony niebieski kostium i wysokie kozaki. Miała gęste, jasne włosy i ciemne oczy jak Tony.

- Marian - powiedział Dix, stając w drzwiach.

Poderwała głowę, na czoło opadł jej kosmyk długich włosów.

- Dix! Wielkie nieba, przyszedłeś w sprawie Helen, prawda?

Och, Boże, co się dzieje? - Odstawiła kubek na stół, podbiegła do niego i zarzuciła mu ramiona na szyję. - Nie mogę w to uwierzyć, nikt nie mógłby chcieć skrzywdzić Helen. Była dla mnie niemal jak matka, zawsze taka słodka, wysłuchiwała wszystkich moich kłopotów. Pisała do mnie, kiedy byłam w Juilliard, wiedziałaś o tym?

- Tak, Christie mi mówiła, jak byliście sobie bliskie.

Musimy porozmawiać, Marian. - Dix przedstawił jej agentów FBI.

Poprosiła ich gestem, by usiedli.

- Słyszałam o tych ludziach, którzy usiłowali panią zabić, agentko Warnecki. Potem była biedna Erin i biedny stary Walt McGuffey. Teraz Helen. Kto za tym stoi, Dix? Kto morduje naszych przyjaciół, niszczy to wszystko, na co tak ciężko pracowaliśmy?

- Niedługo się dowiemy, Marian, ale potrzebujemy twojej pomocy.

- Rozmawialiśmy z Samem Moragą w pani domu - powiedział Savich.

Nie wyglądała na zakłopotaną, nawet na zainteresowaną, wrzuciła tylko ramionami.

- Cóż, Sam to wspaniały chłopak, który ma przed sobą świetlaną przyszłość, jeśli skupi się na tym, co dla niego ważne. Zobaczymy. Szybko się uczy, to muszę mu przyznać. I jest pilny.

Nikt nie zamierzał wytknąć jej dwuznaczności tej wypowiedzi i Savich zastanowił się, czy Marian wie o romansach ojca ze studentkami. Czy ona robiła mu to na złość?

- Bardzo nam przykro, profesor Gillespie - powiedział Savich. - Rozmawialiśmy też z pani ojcem. Był w Tarze, razem z Chappym.

- A zatem mój ojciec wiedział i nie zadał sobie trudu, żeby do mnie zadzwonić. Nie jestem zaskoczona, że był u wuja Chappy'ego. Założę się, że się kłócili, prawda?

- Wygląda na to, że jest to ich jedyny sposób komunikacji - odpowiedziała Sherlock.

Marian znowu wrzuciła ramionami.

- Zawsze tak było. Już nie zwracam uwagi na ich przedstawienia. Czasami zdarza im się wrzeszczeć, ale rzadko.

- Profesor Gillespie - powiedział Savich - wiedziała pani, że pani ojciec i Helen Rafferty byli

kiedyś kochankami?

- Tak, powiedziała mi. To nie była wielka tajemnica. Myślałam, że wiedziałeś, Dix. Jestem pewna, że Christie wiedziała. Chyba nie sądzisz, że tata miał z tym coś wspólnego?

Dix patrzył na nią w milczeniu. Marian uderzyła dłonią w stół.

- Słuchaj, to szaleństwo. Tata potrzebował Helen, prawdopodobnie bardziej niż kogokolwiek innego na świecie. Nie kochał jej, ale potrzebował. Kiedyś, gdy grałam na klarncie, akompaniowała mi na pianinie. Nie próbowała mnie zagłuszyć jak niektórzy pianiści, tylko...

Dix poklepał ją po ręce.

- Wiem, że to trudne, ale spróbuj trzymać się tematu, dobrze? Proszę, opowiedz mi wszystko, co wiesz.

- Dobrze, dobrze. Tata i Helen. Kiedy tata z nią zerwał, Helen zupełnie się załamała. Byłam na niego naprawdę wściekła. Powiedziałam mu, że ona jest już dla mnie jak matka, więc dlaczego nie ogłosił tego publicznie? Powiedziałam mu, że jest okrutny i samolubny. - Wzięła głęboki oddech, żeby się uspokoić. - I wiecie, co on zrobił? Roześmiał się, naprawdę się roześmiał. Odrzekł, że zmęczył się nią jako kochanką, że była utalentowana w administracji, nie w łóżku. Kiedy go spytałam, o co mu chodzi, skoro sam nie jest już takim młodym kogutem, wyszedł z pokoju. Później, jak już przeprosiłam - tak, wiem, wciąż próbuję sprawić przyjemność tatusiowi - powiedział mi, że była zbyt namolna i przeciętna, takiego określenia użył.

Próbowałam pomóc Helen przez to przejść, naprawdę, ale wiecie co? Za każdym razem, gdy mówiłam jej, co myślę o jego zachowaniu, ona go broniła. Możecie w to uwierzyć? Broniła go!

Nikt nic nie powiedział. Marian wzięła głęboki oddech.

- Na jakieś pół roku zrezygnowała z pracy, ale nikomu w Stanislausie nie powiedziała dlaczego. Pomyślałam: dobrze, Helen jest gotowa pójść dalej, zostawić mojego ojca za sobą, ale wiecie, co się stało? Przekonał ją, żeby wróciła do biura. Ja urwałabym mu jaja, ale Helen tylko pochyliła głowę, pozwoliła, żeby ją podeptał, i wróciła do pracy.

Marian potrząsnęła głową i wypila łyk herbaty.

- Powiedziała mi, że wciąż go kocha i podziwia, że jego geniusz jest wart każdego poświęcenia i że jej potrzebuje. Wyobrażacie sobie? - Przesunęła wzrokiem po słuchaczach. - A wiecie, co w tym wszystkim jest najsmutniejsze? Ja mam trzydzieści osiem lat i wciąż mi zależy, żeby mnie zauważył, żeby mówił mi, że mnie podziwia i jaka jestem utalentowana, czyż to nie żalosne?

Ruth wyglądała na zmieszaną.

- Trudno to zrozumieć. Dlaczego, skoro ma pani takie zdanie o swoim ojcu, wciąż chce pani dla niego pracować, mieszkać w tym samym miasteczku?

Profesor Maria Gillespie nie wyglądała na urażoną. Uśmiechnęła się szeroko.

- Mówiłam pani, agentko Warnecki, jestem żalosna. W ramach rekompensaty mam tu stadko miłych, młodych mężczyzn. - Co się stało z pani matką, pani profesor? - spytała Sherlock, kierując rozmowę na właściwe tory - Proszę, mówcie mi Marian. Sherlock skinęła głową.

- Moja matka? Och, tata rozwiódł się z nią, kiedy byłam mała. Ona wyjechała i nigdy więcej jej nie widziałam. Od tamtej pory byłam sama z tatą.

- Wiesz, gdzie mieszka? - spytał Dix.

- Nie mam pojęcia. Może wuj Chappy wie, ale nie liczyłabym na to, że powie prawdę. Pamiętam tylko, że on nie lubił mojej matki. Pewnie mój ojciec też nie, skoro się z nią rozwiódł. - Widziałaś, że twój ojciec sypiał z Erin Bushnell? - spytał nagle Savich.

N a twarzy Marian odmalował się szok i przestrah. Albo była doskonałą aktorką, albo naprawdę nic nie wiedziała.

- To głupie kłamstwo. - Zerwała się na równe nogi, opierając dłonie na stole. - Dlaczego mówisz coś takiego? To niedorzeczne. Sypiał z Helen, ale ona była prawie w jego wieku. Ze studentką? Erin Bushnell? Absurd.

- To prawda, Marian - powiedział Savich. - Ginger Stanford wiedziała o tym, Helen Rafferty też.

- Helen wam to powiedziała? Jesteś pewien, Dix? Na litość boską, Erin była dużo młodsza ode mnie. W wieku Sama. Nie, nie mogę w to uwierzyć, po prostu nie mogę.

- Będziesz musiała - mruknął Dix. - Helen wszystko nam powiedziała. Dziwi mnie tylko, że wiedziałaś o romansie ojca Helen Rafferty, a nic nie wiedziałaś o Erin Bushnell. Marian powoli potrząsnęła głową.

- Nie miałam pojęcia. Z drugiej strony nie sądzę, żeby ojciec wiedział o Samie. Ale na Boga, on jest moim ojcem!

- Sam Moraga był załamany morderstwem Helen, bardziej niż oczekiwałbym po studencie, który dowiedział się o śmierci pracownika administracyjnego. Dlaczego? - spytał Dix.

Wzruszyła ramionami.

- Może też traktował ją jak matkę. Nie wiem. Nigdy o nią nie rozmawialiśmy. To Helen przedstawiła mi Sama. Chodził na moje zajęcia z teorii muzyki, ale nigdy nie zwracałam na niego uwagi. A potem, na jednym z tych ciągnących się w nit skończoność przyjęć integracyjnych dla wykładowców i studentów, Helen nas sobie przedstawiła.

- Czy ktoś wie o Samie? Potrząsnęła głową.

- Jesteśmy dyskretni. - Dokończyła herbatę. - Gdybyście nie zastali Sama w moim domu sądzilibyście, tak, jak wszyscy, że żyję w celibacie. Przed Samem miałam jeszcze dwóch kochanków, obaj już wyfrunęli w świat. W zeszłym roku ojciec nazwał mnie zasuszoną cnotką. Pamiętam, że poprzedniej nocy spałam niecałe dwie godziny, więc tylko się roześmiałam. Nie rozumiał, dlaczego tak mnie to bawi, ale go nie oświeciłam. - Jej głos nabrał gorzkich nut. - Może powinnam była mu powiedzieć, wygląda na to, że moglibyśmy porównywać notatki. Niezła z nas para, co?

Dix dostrzegł łzy w jej oczach i poczekał, aż się uspokoi, Znal ją, odkąd pobrali się z Christie, a jednak... Potrząsnął głową. Kto tak naprawdę znał drugą osobę?

Marian popatrzyła na nich, krzywiąc się na widok ich profesjonalnie obojętnych twarzy.

- Czy były inne? Poza Erin Bushnell?

- Musisz o tym pomówić z ojcem, Marian - powiedział Dix.

- Jedziemy teraz do niego. Jeśli coś ci się przypomni, od razu do mnie zadzwoń. Mam ten sam numer komórki.

- Czy po mieście grasuje jakiś seryjny morderca, Dix?

- Sądzimy, że ten, kto zamordował Erin, próbował też zabić

Ruth i to otworzyło puszkę Pandory.

- Ale dlaczego Helen? Czy to ma dla ciebie jakiś sens? - Wciąż próbujemy połączyć fakty.

Marian podeszła do okna, odwróciła się i popatrzyła na nich. - Muszę teraz znieść tyle bólu. Domyślam się, że będę też musiała wspierać Sama. Jak on mógł ją kochać tak samo jak ja? zastanawiam się nad tym, Dix. Myślisz, że mojemu ojcu w ogóle na niej zależało?

- Tak, Marian. Myślę, że tak.

Rozdział 24

Dix zadzwonił do policjanta, który miał śledzić Gordona Holcombe'a.

- Gdzie on jest, B.B.?

- To przedziwne, szeryfie. Kiedy doktor Holcombe opuścił Tarę, myślałem, że jedzie do Stanislausa, ale po drodze zmienił zdanie. Pojechał prosto do baru Coon Hollow. Siedzi tam już prawie od dwóch godzin. Powiedziałaś mi, żebym się nie ukrywał i nie robiłem tego. Wie, że go śledzę, ale wcale się nie przejął. W tej chwili parkuję między sosnami po drugiej stronie ulicy.

Dix kazał mu zostać na posterunku, powiedział, że niedługo przyjadą, i rozłączył się.

- Gordon nazywa ten bar swoim sanktuarium. To relikwiarz sprzed drugiej wojny światowej, cały w skórze i drewnie, przyciemniane szyby i żwir na podjeździe.

Coon Hollow był oddalony niecałą milę od Maestro.

- Wygląda wspaniale - powiedziała Sherlock, podziwiając starodawny urok baru. - I ma paru wiernych klientów - dodała, wskazując na cztery samochody na podjeździe.

W środku nie było śladu słońca. Pachniało piwem, słonymi preclami i papierosami. Na najdalszej ścianie, nad drzwiami toalety, błyszczał jeden neon z reklamą Bud Light. Gordon Holcombe siedział przy barze, głowę miał opuszczoną, ramiona zgarbione. Przy kontuarze siedziało może sześciu innych mężczyzn, jedni rozmawiali przyciszonymi głosami, inni siedzieli w milczeniu jak Gordon.

Doktor Holcombe podniósł głowę, gdy drzwi otworzyły się i do środka wpadły promienie słońca. Ruth zauważyła, że nie wyglądała na zainteresowanego czymkolwiek poza drinkiem, który kołysał w dłoni.

- Gordonie - powiedział Dix.

Gordon spojrział na niego przelotnie, po czym znowu opuścił wzrok.

- Ponieważ wszyscy jesteście glinami, nie sądzę, żebyście wiedzieli, co to jest. - Podniósł szklankę i zakręcił szkocką. - To Macallan, szkocka whisky, osiemnastoletnia. Uważa się ją I.a rolls-royce' a wśród whisky. Ojciec naszego barmana zamawia ją specjalnie dla mnie. Ostatnia butelka jest już niemal pusta, więc nie mogę was poczęstować. Dix, jeśli dowiesz się, kto zamordował Helen, kupię ci butelkę Macallan na gwiazdkę. Ktoś ma ochotę na piwo?

- Nie, Gordonie.

- To może mi powiesz, Dix, dlaczego B.B. mnie śledzi? Siedzi w radiowozie po drugiej stronie ulicy. Boisz się, że ucieknę, skoro jestem taki cholernie winny?

- Powiedz nam, co powiedziała ci Helen, kiedy dzwoniła do ciebie wczoraj wieczorem - rozkazał Dix.

- Helen często do mnie dzwoniła.

- Wczorajszy telefon, Gordon, czy mam zdobyć nakaz na przejrzenie billingów?

Ruth wydawało się, że Gordon drgnął, ale potem znowu wbił wzrok w szklankę i zakręcił whisky.

- No dobrze, dzwoniła do mnie. Nie powiedziałem wam przy Chappym, bo pękłby ze śmiechu, obiecałby, że odwiedzi mnie w więzieniu. Pewnie sam by się zgłosił, żeby zrobić mi śmiertelny zastrzyk.

- Gordon, telefon Helen.

Nagle wydał się stary i jakby mniejszy. Westchnął tak głęboko, że aż zaczął kaszleć.

- To była krótka rozmowa, Dix, nic więcej. Wielkie nieba, nie mogę uwierzyć, że jej nie ma. Tam grasuje jakiś maniak, jakiś szaleniec, który mnie nienawidzi, nienawidzi Stanislausa i chce wszystko zniszczyć.

- Jakie to dziwne, doktorze Holcombe - odezwała się Ruth.

- Pan wierzy, że w tym wszystkim chodzi tylko o pana, o nikogo innego. Nie sądzi pan, że to dosyć wąski punkt widzenia? Przecież siedzi pan tutaj, popija swoją whisky i jest pan żywy, podczas gdy Erin Bushnell, Walt McGuffey i Helen Rafferty nie żyją.

Przez chwilę doktor Holcombe wydawał się zmieszany.

- Oczywiście, że to mnie gryzie. Nie chciałem... Jesteście pewni, że nie chcecie nic do picia?

- Nie, dziękujemy, doktorze Holcombe - odpowiedział Savich. - Może usiądziemy tam, w kącie?

Po obu stronach sali stało sześć starodawnych przepierzeń.

Winyłowe siedzenia były śliskie i zimne. Ruth wpuściła doktora Holcombe' a pierwszego i usiadła obok, odcinając mu drogę, ale on tego nie zauważył.

- Wkrótce zaczniesz padać śnieg - powiedział do szklanki.

- Zastanawiam się, czy jak wyjdę stąd po tej całej whisky, to będę w stanie wrócić do szkoły.

Wiesz, Dix, że są tam media. Wkrótce zaczną dzwonić nasi fundatorzy, będą chcieli ze mną rozmawiać. Co ja im powiem? Że ich dyrektor jest mordercą? Nie mogę sobie nawet wyobrazić, że Helen nie ma, nie mówiąc już o tym, że została zamordowana. - Uniósł pełen bólu wzrok na Dix'a. - Ona zawsze przy mnie była, mój anioł stróż. Gdy wyszedłem z Tary, miałem jechać do swojego biura, ale nie mogłem znieść tej myśli. Rozumiecie, Helen tam nie było. Musicie mi uwierzyć, ja jej nie zabiłem. - Oparł czoło o blat stołu.

Savich poszedł do baru i zamówił trzy kawy i herbatę.

- Jeśli to prawda, Gordonie, lepiej zacznij mnie przekonywać. Opowiedz nam o telefonie Helen.

- Najpierw chcę kolejnego drinka.

Gdy Savich wrócił do stolika, usłyszał, jak Dix mówi:

- Już wystarczy, Gordonie. Musisz z tym skończyć. Agent Savich przyniósł ci kawę.

Savich podał mu filiżankę, a Gordon wpatrzył się w nią i wzruszył ramionami. Uniósł szklankę i ją przechylił, ale była pusta.

- Porozmawiaj ze mną, Gordonie. I nawet nie próbuj kłamać albo sprawię Chappy'emu prawdziwą radość.

- No dobrze. Helen szeptała przez telefon, to było absurdalne, naprawdę, taka konspiracja. Powiedziała mi, że się o mnie martwi i że muszę być ostrożny. Powiedziała, że ty, agentka Warnecki, i pozostała dwójka węszyliście i wypytywaliście ją o nasz romans.

Nikt się nie odezwał. Czekali. Gordon łyknął kawy nieświadomy tego, co robi.

W końcu odezwała się Ruth:

- To miły, spokojny bar, doktorze Holcombe. Rozumiem, dlaczego uważa go pan za sanktuarium,

miejsce, gdzie może być pan sobą, z dala od studentów i współpracowników. Zawsze przychodzi pan tutaj sam?

- Oczywiście, zawsze sam.

- Co jeszcze powiedziała ci Helen - spytał Dix - poza tym, żebyś był ostrożny i że weszliśmy?

- Mówiła, że powiedzieliście jej, że wiecie o moim romansie z Erin i innymi studentkami, że już podała wam kilka nazwisk, ale wy chcieliście wszystkie. Powiedziała, że nie miała wyjścia, musiała wam pomóc. Zaczęła płakać, błagała mnie o wybaczenie.

Jedynym dźwiękiem był szelest dłoni doktora Holcombe' a na pustej szklance.

- To bardzo dobry motyw, Gordonie - powiedział Dix.

- Twoja ekskochanka puściła farbę, rozpętała skandal, przez który możesz stracić swoje prestiżowe stanowisko i przez który rodzice zaczęliby zabierać swoje dzieci ze Stanislausa. W tej chwili mógłbym cię aresztować.

Gordon niemal przewrócił szklanę, ale zdążył ją złapać.

Oddychał szybko i ciężko.

- Nie zrobiłem tego, Dix, przysięgam ci. Nie mógłbym zabić Helen, w pewien sposób ją kochałem.

- W jaki sposób, sir? - spytała Ruth.

- Była moją kotwicą. Znała ludzi, rozumiała ich w sposób, w jaki ja nigdy nie potrafiłem. Pocieszała mnie i radziła. Nigdy nie zapomnę, jak byłem zainteresowany tą studentką z klasy skrzypiec i Helen powiedziała mi, że ona jest niezrównowazona, że będzie robiła mi sceny i pewnie mnie skrzywdzi, więc trzymałem się od niej z daleka. Kilka miesięcy później oskarżyła jednego chłopaka z miasta o gwałt.

- Pamiętam to - powiedział Dix. - Kenny'ego Polarda, ale on miał niepodważalne alibi. Wydaje się, że Helen pomagała ci w uwodzeniu studentek.

Potrząsnął gwałtownie głową, wyraźnie roztrzęsiony.

- Kiedy zdałeś sobie sprawę, że powiedziała nam o tobie, zabiłeś ją z zemsty, prawda? Nie mogłeś znieść, żeby świat dowiedział się, jakim jesteś lubieżnym starym głupcem. - Głos Savicha był tak ostry, tak brutalny, że Gordon zamarł jak jeleń w świetle reflektorów. Savich pochylił się do przodu, schwycił Gordona za nadgarstki i ścisnął. - Powiesz mi prawdę, ty perwersyjny staruchu. Dlaczego zabiłeś Erin Bushnell? Czy tylko ona cię przejrzała? Zagroziła, że powie światu, kim jesteś, że chce zobaczyć, jak upokorzony uciekasz z kampusu, odarty z władzy i prestiżu?

Nagle mężczyzna, który jeszcze przed chwilą chwiał się nad drinkiem, załamany i błagający, zniknął. Na jego miejscu siedział doktor Holcombe, dyrektor Stanislausa, z całą swą godnością, z patrycjuszowską twarzą ułożoną w arogancki grymas.

- Powiem wam prawdę o Erin. Pierwszy raz byłem z nią w Halloween, kiedy zjawiała się w moim domu przebrana za Titanię ze „Snu nocy letniej”. Później tej samej nocy nazwała mnie Oberonem.

Twarz Ruth się nie zmieniła, ale Dix był przekonany, że widział, jak drgnęła.

- Erin była najbardziej utalentowaną młodą skrzypaczką, jaką słyszałem. Gloria Stanford była przekonana, że pewnego dnia podbije świat. Miała fenomenalną technikę, jej gra mogła doprowadzić cię do łez. Te trzy sonaty, które Brahms skomponował dla Josepha Joachima - była nieprześcigniona. Jej towarzystwo było dla mnie jak błogosławieństwo, rozkoszowałem się nim. Ale nie zabiłem jej, nie miałem powodu. Tak, jak nie zabiłem Helen Rafferty. Kochałem je obydwie, każdą na inny sposób.

Cokolwiek myślicie o mojej etyce i zachowaniu, to nie jest wasza sprawa, dopóki nie popełnię przestępstwa, a nie popełniłem. Dix, ty jesteś szeryfem Maestro. Wszyscy mówią, jakie lo dla nas szczęście. Udowodnij to. Dla nas wszystkich znajdź Il:go, kto zamordował dwie mieszkanki naszego miasta w ciągu tygodnia.

- Zapomniałeś o Walcie McGuffey'u, uroczym staruszką, który nigdy nie skrzywdził żywej duszy.

- Słyszałem o nim. Śmierć tego staruszka też chcecie zrzucić na moje barki? Prawie wcale go nie znałem, nic dla mnie nie liczył. Po co miałbym go zabijać?

- Mieszkał przy drodze do wzgórza Lone Tree, niedaleko drugiego wejścia do Jaskini Winkela. W jego szopie ktoś ukrył samochód Ruth i dlatego go zamordował.

- Nie wiem nic o żadnym samochodzie! Nie widziałem Walta od miesiąca.

- Kiedy ostatni raz widziałeś Erin żywą? - spytał Dix.

- We czwartek wieczorem, w szkole. Bez przerwy ćwiczyła przed zbliżającym się koncertem i ustaliliśmy, że nie spotkamy się w weekend.

- Ale widziałeś ją także w piątek, prawda, Gordon? Zabrałeś ją do Jaskini Winkela i zamordowałeś.

Gordon wyglądał tak, jakby miał zaraz zemdleć. Zbladł, a źrenice zaczęły mu uciekać pod powieki. Ruth podstawiała mu pod nos filiżankę kawy.

- Proszę się napić.

Gordon zaczął bełkotać, machał rękami jak pijany dyrygent.

- Nie zrobiłem tego, naprawdę, Nigdy nie mógłbym zrobić niczego takiego. Nie zrobiłem...

Dix oparł dłonie o siedzenie i pochylił się w stronę wuja.

- Powiem ci, co dla nas zrobisz, Gordonie. Dasz nam pisemne zezwolenie na przeszukanie domu, biura i domku za miastem. Jeśli będziesz współpracował, zrobimy to dyskretnie, jako część śledztwa. Jeśli nie, zdobędziemy nakaz rewizji, rozwiesi my na wszystkich drzewach w kampusie plakaty z listą kobiet, z którymi sypiałeś, i wezwiemy każdą z nich do Stanislausa na rozmowę z nami i zarządem.

Zdajesz już sobie sprawę, że twojego romansu z Erin nie da się zachować w tajemnicy, ale jeśli sam się przyznasz, to może pozwolą ci zachować stanowisko albo pomogą znaleźć inne. Pomyśl o tym.

I opowiesz nam wszystko o pozostałych romansach: nazwiska studentek i jak możemy je znaleźć. Jeśli będziemy musieli, wyrócimy kartoteki Stanislausa do góry nogami, żeby je znaleźć. Nie zmuszaj nas do tego, Gordonie.

Ruth wyjęła długopis i mały notes.

- No dobrze, jestem gotowa, doktorze Holcombe. Opowiedz, nam o swoich utalentowanych lolitach.

- To nie było tak! W waszej wersji one wychodzą na nastolatki, a nie były nimi! Wszystkie były dojrzałymi muzykami i wszystkie je kochałem, w ich czasie.

- W ich czasie - powtórzył Savich, nie spuszczać wzroku z twarzy Gordona. - Która wytrzymała najdłużej?

Gordon zamarł.

- Nie chcę o tym mówić. Dix, każ im przestać. Nic nie zrobiłem.

- Ruth trzyma długopis i notes, Gordonie. Podaj jej nazwiska. Kto był przed Erin Bushnell?

Zapadła pełna napięcia cisza. Gordon wziął głęboki oddech i zwrócił się do Ruth:

- Przed Erin była Lucy Hendler, pianistka, cudowna rozpiętość palców, niewiarygodna technika i pasja, idealne wyczucie.

Lista zalet, z których żadna nie opisywała Lucy jako kobiety, jako indywidualności.

- Jakie daty?

- Jak to „daty”?

- Doktorze Holcombe, romans z Lucy nie mógł być tak dawno temu - powiedziała Ruth.

- Na recitalu w lutym zeszłego roku odegrała fenomenalnie Scarlattiego. Dostała owację na stojąco, a to nie jest łatwe przy publiczności złożonej z zawodowych muzyków. Później mi powiedziała, że tak naprawdę nie cierpi Scarlattiego, bo jest przestarzały i nudny, zbyt przewidywalny. Uznałem, że to zabawne i słodkie, taki brak kontekstu historycznego. Jak ktokolwiek może lekceważyć Domenica Scarlattiego, na miłość boską? A ona miała tylko dwadzieścia jeden lat. Co ona wiedziała?

- Więc rzucił ją pan, bo nie była miłośniczką Scarlattiego?

- Nie, oczywiście, że nie. Nasz związek stał się głębszy. Pamiętam, że pokłóciliśmy się trochę przed jej dyplomem. Był pierwszy maja i mieliśmy na kampusie ozdobny słupek. Pomyślałem, że byłoby wspaniale, gdyby wokół słupa usiadł chór i śpiewał irlandzkie pieśni ludowe, a inni studenci mogliby tańczyć ubrani w kostiumy wieśniaków. Wyśmiała mnie. Możecie to sobie wyobrazić?

- Gdzie jest Lucy Hendler, doktorze Holcombe?

- Skończyła szkołę w czerwcu. Przyjęto ją na nasze studia podyplomowe, ale nie została.

- Niech zgadnę, zmieniła zdanie po święcie majowym.

- Nie, jestem pewien, że to nie miało nic wspólnego z jej decyzją o opuszczeniu Stanislausa.

Miała przyjaciółkę w Nowym Jorku, pojechała ją odwiedzić i postanowiła zostać. Ostatnio słyszałem, że została przyjęta do Juilliard.

Ruth skinęła głową.

- Czy czuje się pan odpowiedzialny za to, że Stanislaus stracił utalentowaną studentkę?

Dix nic nie mówił. Ruth radziła sobie jak profesjonalistka, podpuszczała Gordona tak, że mówił rzeczy, których Dix nigdy by z niego nie wydobył.

Wrócili do tematu i Gordon opowiedział im o Lindsey Farland, studentce sprzed około dwóch i pół roku, sopranistce o niewiarygodnej skali, którą poznał, gdy śpiewała partię Cio-Cio-San, zdradzonej młodej kobiety w „Madame Butterfly”. Nie nadawała się do tej roli, bo była czarna, ale gdy usłyszał jej głos i jak wzięła wysokie C w „Un Bel di”, zakochał się bez pamięci.

- To jedna z moich ulubionych arii - powiedziała Ruth i wszyscy przy stoliku wiedzieli, że mówi prawdę. - Gdzie jest teraz Lindsey?

- Nie wiem. Skończyła szkołę dwa lata temu. Nie kontaktowała się ze mną.

- Znajdziemy ją bez trudu.

Ruth wyciągnęła z niego sześć nazwisk, ale o kobietach pamiętał niewiele. Daty też pamiętał słabo.

- Nic więcej nie pamiętam. Chwila, chwila, była jeszcze jedna. Nazywała się Kirkland. Miała niezwykle imię, coś jak Anoka. A potem była... Nie, to nieważne. Słuchajcie, muszę przejrzeć kartoteki w szkole, sprawdzić, jak dokładnie brzmiało jej imię.

To Sherlock go przycisnęła...

- Proszę nam powiedzieć, kogo pan pominął, doktorze Holcombe. Dlaczego nie chce nam pan o niej opowiedzieć? Kim ona jest?

Dix potrząsnął głową.

- Wiem, dlaczego nie chce nam powiedzieć. Ona jest stąd, prawda? Jest z Maestro.

- Nie, nie było nikogo więcej. Rozumiem, Dix, że będziesz dzwonił do tych wszystkich dam, żeby potwierdzić moje słowa. Czy mogę pierwszy się z nimi skontaktować i je uprzedzić?

- Jeszcze nie, Gordonie. Powiem ci, kiedy uznam, że nadszedł odpowiedni czas na telefony.

Teraz chcę, żebyś tu został i pomyślał o kobiecie, której nazwiska nie chcesz nam powiedzieć. Oczywiście jest stąd. Czy jest mężatką? Przysięgałeś jej zachowanie tajemnicy? Chcę usłyszeć jej nazwisko, Gordon. Masz czas do jutra rana albo sam po ciebie przyjdę.

- Nie ma żadnej innej cholernej kobiety!

- Podasz jej nazwisko albo cię aresztuję - powiedział Dix spokojnie.

- Na litość boską, jak możesz tak mówić, Dix, jestem wujem Christie!

Szeryf powoli wstał.

- Może dlatego popełnię ten błąd, nie aresztuję cię od razu i nie zabiorę twojej wygarniturowanej osoby do mojego miłego, ciepłego aresztu. Na razie B.B. będzie miał na ciebie oko. Mam nadzieję, że mnie nie zawiedziesz.

Rozdział 25

Motel Buda Bailey

Maestro, Wirginia

Czwartek, późne popołudnie

- Muszę wziąć prysznic i się ogolić, zanim pojedziemy do Dixy - powiedział Savich, ale nie ruszył się z miejsca.

Pogłaskał Sherlock po szyi, rozkoszując się dotykiem jej włosów na twarzy.

- Możesz iść pierwszy. - Ugryzła go lekko w ramię, pocałowała i wciągnęła głęboko jego zapach.

- Chyba jeszcze z tobą nie skończyłam.

- Chyba?

Piętnaście minut później Sherlock rozciągała się na podłodze, zastanawiając się, czy Gordon Holcombe powiedział im wszystko.

Uśmiechnęła się, gdy usłyszała jak Dillon śpiewa pod prysznicem „Baby, the Rain Must Fall” swoim pięknym barytonem. Już miała do niego dołączyć gdy zadzwoniła jego komórka. Sherlock odebrała telefon.

- Halo?

Żadnej odpowiedzi, tylko urywany oddech.

- Kto tam?

- Och, kurczę, co za niespodzianka. Mój szczęśliwy dzień.

- Kobieta - nie, dziewczyna, młody, wysoki głos.

- Claudia? Czy to Claudia Grace?

- Trafiałś w dziesiątkę, dziewczyno. Tak naprawdę chciałam rozmawiać z twoim starym, no wiesz, rozgrzać go moim seksownym głosem, ale zajmę się nim później. Fajnie będzie pogadać z tobą. Super imię, Claudia Grace, nie sądzisz? Może powinnam wyjść za Mosesa i zacząć je nosić. On jest słodziutki, nie można temu zaprzeczyć, ale problem polega na tym, że prawie wcale mu nie staję, nawet kiedy chodzę dla niego nago po domu. Dałam mu trochę Viagry, ale nawet to nie pomogło. Więc się znudził i gdzieś wyszedł, a ja wzięłam jego telefon, żeby do was zadzwonić. Pomyślałam: „A dlaczego tylko on ma mieć z tego radochę?”

Sherlock usłyszała w tle jakieś głosy. Więc tym razem nie byli w samochodzie.

- Gdzie jesteś, Claudio?

U słyszała, że Savich zakręcił wodę. Podeszła do drzwi łazienki, otworzyła je i zobaczyła, jak Dillon wychodzi spod prysznica. Zmarszczył brwi, gdy zobaczył ją z telefonem przy uchu.

- Claudia - powiedziała bezgłośnie.

Niemal na nią skoczył, wyciągając rękę po telefon, ale Sherlock potrząsnęła głową, mówiąc bezgłośnie:

- Jeszcze nie.

Minął, ją kapiąc wodą, podszedł do MAX-a, nacisnął kilka klawiszy i wsunął w ucho słuchawkę bezprzewodowego telefonu.

- Gdzie jestem? Pytanie brzmi, gdzie wy jesteście. Moses mówi, że ukrywacie się przed nami. Chowacie się?

- Nie, Claudio, nigdy w życiu.

- Słuchaj, słoneczko, jak Moses może dać wam to, na co zasłużyliście, jeśli nie możemy was znaleźć? Jest tam twój facet? Moglibyśmy się spotkać, jeśli jesteście gdzieś blisko.

- Pewnie, mój facet jest tuż obok mnie.

- No to dobrze, bo Moses chce mieć go blisko. Czy Moses mówił wam, co dla was planuje?

Naprawdę mnie to nie interesuje, Claudio. A tak przy okazji, gdzie jesteście? Pod jakimś wielkim kamieniem, gdzie mogliście razem wpelznąć?

- Nic z tego, głupia suko. Jesteśmy w pięknym, wielkim Hiltonie, w apartamencie. Jest taki wielki, że można grać w nim w piłkę. Przez mnie będziesz wrzeszczeć tymi swoimi usteczkami. Powiedziałem twojemu ślicznemu mężowi, że każę ci patrzeć, jak pieprzę go do nieprzytomności. A potem on będzie mógł się przyglądać temu, co zrobię tobie, ale on nie będzie już kontaktował. Każdy mężczyzna, z którym skończę, uśmiecha się, jakby mózg mu się roztopił.

- Muszę ci powiedzieć, Claudio, że jestem zaskoczona twoim doświadczeniem z mężczyznami w tak młodym wieku. Nil' powinnaś siedzieć w szkole i uczyć się czytać? Ile masz lat? Piętnaście?

- Umiem czytać, ty suko i mam osiemnaście.

- Ta, pewnie. Z tego, co słyszę, to nie masz nawet piętnastu. Założę się, że twoja mama urodziła cię, jak była bardzo młoda, i skończyłaś na ulicy, to tam Moses Grace cię znalazł. I oto jesteś, mała dziewczynka, która udaje dorosłą, przywiązana do tego okropnego starucha.

- Zamknij się! Nie będziesz taka mądra, kiedy Moses cię dopadnie!

- No dobrze, skoro nie znalazł cię na ulicy, to jak sil,; poznaliście, Claudio? Pojechał za tobą do domu i wykończył twoją mamę?

- Nie mam piętnastu lat, a moja mama miała ponad czterdzieści, kiedy umarła, słyszysz mnie? Była mądra, była nauczycielką, ale jakieś wytatuowane sul9nsyny z gangu zgwałcili ją i pobili, bo nie chciała rżnąć się z ich wodzem. Umarła.

- Naprawdę mi przykro z powodu twojej mamy, Claudio. Powiedziałaś, że była nauczycielką?

- Tak, uczyła matematyki i była bardzo mądra. Było mi przykro, kiedy umarła, naprawdę. Przecież mogła mnie spuścić! w kiblu, ale nie zrobiła tego. Słyszysz mnie, suko?

- Oczywiście, że cię słyszę, przecież krzyczysz. Straciłaś kontrolę nad sobą, jak dziecko w napadzie złości. Dlaczego miałaby cię spuścić? Gdzie był twój tata?

- Mama sypiała z tym dupkiem, który ją zostawił. Nie miałam żadnego tatusia.

- Gdzie ty się nauczyłaś tak mówić? Od mamy czy od tego zaślinionego starucha, z którym teraz jesteś?

- Moja mama nie przeklinała!

- Co zrobiłaś po jej śmierci?

- Wyjechałam. Nie zamierzałam czekać, aż zabiorą mnie te szajbusy z opieki społecznej. I to ja wybrałam Mosesa, nie on mnie. Stał nad tym starym, brudnym łachem, miał krew na rękach, starych spodniach wojskowych i tych czarnych butach, które nosi, i śmiał się jak szalony. Zapytałam go, dlaczego pobił tak tego włóczęgę, a on powiedział, że gość nie chciał podzielić się swoim żarciem.

Pomyślałam, że przydałaby mi się ochrona kogoś takiego, więc zaproponowałam mu trochę mojego burbona. Pamiętam tylko, że rano obudziliśmy się w pokoju motelowym.

- Co robiłaś w Atlancie, Claudio? Uciekałaś przed wyrokiem?

- Nie, to nie było w Atlancie, ale co ciebie to obchodzi? Skrzywdzę cię, damulko, naprawdę mocno za to, że obraziłaś mnie i moją mamę.

Sherlock roześmiała się.

- Na pewno, Claudio. Zachowujesz się jak te łobuzy z placu zabaw, które potrafią tylko gadać. Dlaczego mi nie powiesz, gdzie jesteście, żebyśmy mogli wszyscy się spotkać i porozmawiać, zanim Moses cię zabije albo wylądujesz w więzieniu, gdzie posiedzisz, aż osiwiejesz?

- Następnym razem jak się spotkamy, wyrwę ci język.

- To dopiero pogrożka godna dorosłego. Jesteś młoda, masz jeszcze szansę, Claudio. Zostań tam, a skończysz jako zaćpana dziwka. Przez całe to chłanie będziesz wyglądała za kilka lat tak staro jak Moses. Tego właśnie chcesz?

- Powiem ci, czego chcę, suko. Każe Mosesowi najpierw zająć się tobą, pozwolę, żeby zrobił wszystko, na co ma ochotę, specjalnie dla mnie. A ja będę się przyglądać.

Sherlock usłyszała męski głos i jakiś hałas.

- Co ty robisz, Claudio? Z kim rozmawiasz?

- Nie bij mnie, Moses!

Rozległ się trzask i Claudia się rozłączyła. Savich patrzył, jak Sherlock zamyka telefon.

- Zadzwoń do Budynku Hoovera, sprawdzę, czy zlokalizowali te kreatury.

- W tle słyszałam hałasy, czyjeś głosy. Może byli w restauracji.

Savich skinął głową. Parę sekund później rozmawiał ze specjalistą od komunikacji.

- Tym razem poszło nam dużo lepiej, Savich. Użyli karty typu pre-paid, ale udało nam się ich namierzyć jakieś dwadzieścia sekund przed końcem rozmowy. Dostaliśmy solidny, trwały sygnał z telefonu wyposażonego w GPS, więc zlokalizowaliśmy ich z dokładnością do dziesięciu metrów. Są w restauracji Denny'ego na Atherton Street w Miltown, w Maryland. Policjanci powinni tam być lada chwila.

Savich odłożył słuchawkę.

- Gliny już tam jadą. Miałaś rację, są w restauracji, u Denny'ego. Wkrótce będziemy wiedzieli, czy zdążyli. Wyglądało na to, że Moses nie wiedział, że ona dzwoni z jego telefonu. Mogę się założyć, że ruszyli prosto do wyjścia. - Savich westchnął.

Sherlock posłała mu przeciągłe spojrzenie.

- Nie powiedziałaś mi, że Claudia ma zamiar pieprzyć cię jak szalona.

- Ona jest umyślowo chora, a najgorsze, że jest taka młoda. Dlaczego miałbym ci powtarzać coś tak wstrząsającego?

- Claudia wstrząsająca? Żal mi jej, jest taka młoda. Powinieneś był mi powiedzieć.

- Żal ci jej? Ona i Moses wyłupili Elsie Blender oczy, Sherlock. Pomogła ułożyć ciało Pinky'ego na tym szkielecie na cmentarzu w Arlington. Jest psychopatką. Myśl o tym że mogłaby być blisko ciebie, śmiertelnie mnie przeraża. Nie było powodu, żebym opowiadał ci o jej chorych fantazjach. Nie powinnaś była z nią rozmawiać, Sherlock. To było nieprofesjonalne.

- Nieprofesjonalna? Ja? A to dopiero! Wytłumacz mi, co masz na myśli, Dillon.

- Przede wszystkim odebrałaś mój telefon, chociaż wiedziałaś, że to może być Moses. Ten telefon to nasz jedyny łącznik i powinnaś była najpierw mnie spytać, a przynajmniej oddać mi aparat, kiedy

wyszedłem spod prysznica.

- Wyobraź sobie, że jestem agentem federalnym, który pracuje z tobą nad tą sprawą. Powinieneś traktować mnie jak partnera, jak kogoś, kogo szanujesz jako kolegę. W dobry dzień może nawet wszystko powyższe.

- Daruj sobie ten sarkazm. Oczywiście, że jesteśmy partnerami. Cóż, tak naprawdę ja jestem twoim szefem i twoim mężem.

Zawsze gdy Sherlock się złościła, jej twarz robiła się równie czerwona jak włosy. Czując, jak ciepło rozprzestrzenia się od szyi, ta nieszczęsna czerwona plama, która rozgrzewała jej skórę, i to zdenerwowało ją jeszcze bardziej, bo wiedziała, że on to widzi.

- Och, chcesz chronić swoją bezbronną, małą żonkę? Potulne maleństwo, które powinno zasłaniać swoje słodkie uszka przed lubieżnymi groźbami, rzucanymi przez zwariowaną nastolatkę?

- Przestań, Sherlock, i posłuchaj mnie. Jesteś moją żoną i chroniłbym cię nawet za cenę własnego życia.

- A ty jesteś moim mężem, kretynie, i chroniłabym cię własnym życiem. Ale co to ma z tym wspólnego?

- Doprowadziłaś ją do furii, sprowokowałaś, obiecała, że cię dopadnie. Jak mogłaś to zrobić? Nie mogę uwierzyć, że mogłaś dopuścić do czegoś takiego, nawet nie pytając mnie o zdanie.

- Och, rozumiem. Powinnam była powiedzieć: „Przepraszam cię, Claudio, muszę spytać męża, zanim będziemy mogli porozmawiać”. To doprowadza mnie do pasji! - Uderzyła go mocno w nagą pierś, mamrocząc pod nosem: - Stara zasada odmiennych reguł. To, co mówisz, doprowadza mnie do białej gorączki, Dillon. Przestań zachowywać się jak pieprzony macho.

- Cóż, skoro jestem pieprzonym macho, to będziesz musiała się do tego przyzwyczaić. - Posłał jej wściekłe spojrzenie i poszedł do łazienki.

- Tylko dlatego, że jestem dobrym gliną - wrzasnęła przez drzwi - udało mi się wyciągnąć z niej coś o jej matce i jak spotkała się z Mosesem. Sam słyszałeś, szefie. I rozmawiałabym z nią dłużej, gdyby Moses nie zabrał jej telefonu.

Savich wyszedł z łazienki owinięty w pasie ręcznikiem, stanął przed Sherlock i skrzyżował ramiona na piersi. Zrobił to, bo wiedział, że w tej pozycji wygląda na twardego i groźnego.

- Nigdy nie powiedziałem, że nie jesteś dobrym gliną, ale teraz przesadziłaś. To był fatalny pomysł. Mówię ci to jako szef, więc przyjmij moje słowa do wiadomości. Ubierzmy się i weźmy do pracy.

Machnęła dłońmi.

- Kurczę, myślisz, że potrafię to znieść i nie zemdleć? Może powinnam najpierw napić się wody, włożyć głowę między kolana albo zadzwonić do Dixy, żebyście wy dwaj, muskularni twardziele, mogli pójść na dwór i porąbać trochę drewna, zanim zdecydujecie, co robić.

Savich przeczesał palcami mokre włosy.

- To niedorzeczne, Sherlock, przestań albo spiorę ci tyłek. Stała w bojowej pozycji i machnęła w jego stronę pięściami. - Lepiej ze mną nie zadzieraj, twardzielu. Spróbuj, a rozłożę cię na łopatki.

Miała na sobie gruby, za duży szlafrok, którym owinęła się prawie podwójnie, bose stopy, a jej włosy wiły się dziko wokół głowy. Twarz miała czerwoną z gniewu i była gotowa do walki. Jak do tego doszło? Savich roześmiał się, otoczył ją w tali ramionami, zarzucił sobie na ramię i cisnął na łóżko. Opadł na nią, złączył jej ręce nad głową i przytrzymał.

- Przestań na mnie krzyczeć - powiedział z ustami tuż przy jej nosie. - Wiem, że groźby na ciebie

nie działają, więc nie będę sobie strzepił języka. Może mi powiesz, gdzie według ciebie powinniśmy zacząć z tymi wszystkimi informacjami, które zdobyłaś?

To było okropne, że nie mogła pofolgować złości, ale potrafiła rozpoznać gałązkę oliwną - właściwie tylko patyczek - i w końcu praca to praca. Postanowiła zachować złość na później.

- Zejdź ze mnie, ty pawianie, nie mogę oddychać.

Savich przeturlał się na bok, ale wciąż trzymał na mej jedną nogę.

- No dobrze. Domyślam się, że to wszystko, o czym opowiadała mi Claudia, musiało się wydarzyć w ciągu ostatnich dwóch lat. Mamy parę szczegółów dotyczących jej matki, które powinny pomóc nam w śledztwie. Może Claudia to jej prawdziwe imię. Musisz usiąść do MAX-a. A teraz pozwól mi wstać, zanim naprawdę się wkurzę i zrobię ci krzywdę.

Pochylił się i pocałował ją, wciąż złą i sfrustrowaną, i podniósł z łóżka. Zamyślony patrzył na nią przez dłuższą chwilę, po czym poszedł do łazienki i zamknął drzwi.

Usłyszał, jak Sherlock śmieje się i woła;

- Dillon, może powinieneś zadzwonić do dyrektora Muellera, powiedzieć mu o tym, czego dowiedziałam się od Claudii.

Savich stanął przed lustrem z maszynką do golenia w dłoni.

Wyraźnie słyszał każde jej słowo, głos Sherlock potrafił być bardzo ostry, jeśli tego chciała. Ale mimo śmiechu wciąż była na niego wściekła, pewnie tak zła jak on na nią. Westchnął i namydlął twarz.

Nie był w najlepszej formie, dwa razy się zaciął.

Dziesięć minut później odebrał telefon z wiadomością, że Mose i Claudia opuścili restaurację.

Zadzwonił do Jimmy'ego Maitlanda, żeby zdać mu raport, a potem do Dixy z przeprosinami, że nie zdążą na kolację, bo mają mnóstwo pracy.

Rozdział 26

Dom szeryfa Noble Maestro, Wirginia Czwartek wieczór

Rafe przegryzał się przez kolbę kukurydzy bez chwili wytchnienia. Rob, który nie chciał okazać się gorszy, otworzył usta jeszcze szerzej, aż udało mu się ugryźć cztery rzędy ziaren naraz. Przez chwilę Ruth myślała, że chłopak się zadławi. Poklepała go po plecach i podała szklanekę wody, po czym podniosła kciuk w wyrazie uznania, gdy oparł się na krzesło i uśmiechnął z triumfem do brata.

- Żaden z was nawet nie zaczerpnął powietrza - powiedziała. - To niesamowite. Następnym razem znajdę naprawdę wielkie kolby i sprawdzimy wasze możliwości.

Dix przeniósł wzrok z synów na Ruth. Chłopcy zachowywali się przy niej normalnie, nie marudzili tak jak zwykle, gdy sądzili, że jakaś kobieta usiłuje zająć miejsce ich matki.

Znała ich dopiero od piątku, to niewiarygodne, jak dobrze czuli się w jej towarzystwie.

- Wiecie, chyba nigdy nie ogryzłem kolby kukurydzy w mniej niż sześć sekund - powiedział, odchylając się na krzesło.

- My zrobiliśmy to szybciej, prawda, Ruth? Ruth roześmiała się.

- Nie liczyłam wam czasu, ale założę się, że tak. Mój starszy brat i ja zawsze ścigaliśmy się, kto będzie najszybszy i najbardziej obrzydliwy. Doprowadzaliśmy rodziców do szału.

- Dziadek Chappy zawsze się śmieje, kiedy robimy obrzydliwe rzeczy, jak na przykład wkładamy przeżutą zieloną fasolko między przednie zęby i odciągamy wargę. Wujek Tony robi się cały sztywny, a ciocia Cynthia wygląda tak, jakby chciała zamknąć nas w szafie.

- A wujek Gordon? - Ruth usłyszała pytanie, zanim sarna sobie zdała sprawę, że je zadała.

- Wujek Gordon? Hm... - Rob popatrzył na Rafe'a, po czym powiedział:

- Tak naprawdę nigdy nie zachowujemy się obrzydliwie przy wujku Gordonie. Wiesz, on zawsze wygląda tak idealnie. - Wasz dziadek Chappy też.

- To nie to samo - powiedział Rafe, potrząsając głową.

- A jak są razem, to są tak zajęci kłóceniem się ze sobą, że równie dobrze nas mogłoby tam nie być.

- Co wy nie powiecie - wymamrotała Ruth.

- A ty, Ruth? Co naprawdę obrzydliwego robiliście z bratem?

- Moim ulubionym numerem było wypijanie naraz całej coli podczas jazdy na łyżwach. Potem zatrzymujesz się nagle przed którymś ze swoich przyjaciół i bekasz mu prosto w twarz, naprawdę głośno.

Chłopcy roześmieli się. Dix wiedział, że jego synowie cały czas starają się być dzielni, próbują zachowywać się naturalnie, podczas gdy wokół nich rozpętało się piekło: troje ludzi zamordowanych w ciągu niecałego tygodnia, a ich ojciec jest odpowiedzialny za znalezienie mordercy.

Rob pierwszy przestał się śmiać i popatrzył na fasolkę na swoim talerzu.

Cóż, nie możemy ignorować rzeczywistości w nieskończoność, pomyślał Dix.

- Dzięki za wyczerpujący opis, Ruth - powiedział wesoło.

- Jak pójdziemy na łyżwy, napoje będą surowo wzbronione.

- Ale chłopcy wyglądali na zamyślonych.

- Kiedyś widziałem, jak wuj Tony drapie się w pachę - zaczął Rafe - a kiedy graliśmy w baseball, stanął na środku boiska i podrapał się w...

- Nie przy Ruth - przerwał bratu Rob.

- Masz rację, Rob, zbyt wiele informacji naraz - powiedziała i wzniosła w jego kierunku toast szklanką z mrożoną herbatą.

Dix nałożył synom kolejną porcję zielonej fasolki. - Jedzcie i nie rozgniatajcie jej o zęby.

Rafe posłał ojcu nerwowe spojrzenie i wyrzucił z siebie szybciej, niż Brewster machał ogonem:

- Byłem u pana Fultona, żeby zobaczyć, co będzie z moją pracą, no wiesz, jak już wystawią oceny.

- W sklepie żelaznym, tak? - upewniła się Ruth. Rafe skinął głową.

- Pan Fulton powiedział, że minęło dopiero sześć dni i w jego sklepie nic się nie zmieniło i spytał, kiedy będę znał swoje stopnie z angielskiego i biologii.

Brewster próbował wspiąć się na kolana Ruth. Pochyliła się, żeby go pogłaskać i dała mu kawałek parówki, ale psiak nie był głodny, tylko miał ochotę na pieszczoty. Rozcierał parówkę na jej stopie, aż musiała unieść nogi. Chłopcy śmiali się, dopóki nie wzięła psa na ręce i nie przytuliła do siebie.

- Co ty kombinujesz, rozsmarowując parówkę po mojej nodze, aż wszyscy się ze mnie śmieją? Myślałam, że jesteś moim bohaterem.

- Ale bohater - powiedział Rob, dokładając sobie sałatki ziemniaczanej. - Brewster był tak mały, jak był szczeniakiem, że baliśmy się, żeby go nie zgnieść, jak spał z nami w nocy.

Dix roześmiał się, patrząc na psiaka.

- Wykazał się wystarczającym męstwem, żeby znaleźć Ruth. Sam parę razy go przygniotłem i przeżył. No dobrze, Rafe, co powiedział pan Fulton?

Rafe przełknął kęs hotdoga.

- Kazał mi napisać gżegżółka. To nie było fair, tato.

- Chociaż spróbowałaś? - spytała Ruth.

- Tak, spróbowałem. Pomyliłem drugie „ż”. To nie było fai I - powtórzył.

- Rozumiem, że pan Fulton cię nie zatrudnił? - upewnił się Dix.

- Powiedział mi, żebym przyniósł dzienniczek z ocenami.

Wtedy będzie chciał jeszcze raz porozmawiać z tobą.

- Stup Fulton lubi niespodzianki - wyjaśnił Dix Ruth.

- Ach, spytał mnie, co robisz w sprawie tego całego bałaganu, tato. Powiedziałem mu, że ty i trójka agentów FBI pracujecie nad tym naprawdę ciężko, ale on tylko odchrząknął. - Wbił wzrok w talerz. Kiedy się odezwał, jego głos był cichy jak pisk myszy. - I jeszcze dzieciaki w szkole. Mówią, że nie jesteś taki dobry, jak się wszystkim wydawało, skoro ciągle kogoś w mieście mordują.

- No cóż - powiedział Dix. - Nie masz siniaków, więc rozumiem, że nie wdałeś się w żadną bójkę. - Było blisko - mruknął Rafe.

- Rozumiem. Ale udało ci się załagodzić konflikt?

- Pewnie, tato, oczywiście - odpowiedział za brata Rob.

Ruth zauważyła, że Rob ma poobijane kostki. To nie była M, tak poważna bójka, skoro skóra nie była zdarta i Ruth uśmiechnęła się szeroko.

- W holu widziałam rękawicę do baseballu. Kto jest Barrym Bondsem?[* Barry Bonds - amerykański gracz w baseball (przyp. tłum.).].

- Ja - odpowiedział Rob szybko. - Tata ci nie mówił, że będę grał w drużynie reprezentacyjnej w liceum?

- Przepraszam, Rob, ale miałem zamiar powiedzieć. - Rob w ogóle się tym nie przejął, pomyślał Dix, gdy chłopiec z zapalem opowiadał dalej:

- Rzecz polega na tym, Ruth, że jestem dopiero w drugiej klasie. Billy Caruthers jest w ostatniej i cholernie się wkurzył, że trener wybrał mnie.

Dix posłał synowi ostre spojrzenie, a Rob odchrząknął.

- Ach, tato, wszyscy tak mówią. No dobrze, Billy Caruthers jest dupkiem...

- Rob, pamiętasz, jak kiedyś twoja mama wyszorowała ci buzię mydłem? - przerwał mu Dix. - Naprawdę ostrym, którym można było ścierać skórę z dłoni?

Rob wbił wzrok w talerz.

- Pamiętam. Wypaliło mi wszystkie włosy w nosie.

- Teraz zasłużyłeś na dwa takie zabiegi - powiedział Rafe, stukając brata w ramię.

- Ty też - odparł Rob i uniósł pięść w stronę Rafe'a.

- Chłopcy - powiedział Dix cicho i obaj natychmiast przestali. - Dobrze. Rob, skończ to, o czym mówiłeś.

- No dobrze, on był tak wściekły, że wyglądał jakby miał pęknąć.

- Za następnego Dereka Lowe [* Amerykański gracz w baseball (przyp. tłum.).]! - Ruth uniosła szklankę.

- Proszę, proszę! - Dix wypił resztę herbaty. - Jesteście gotowi na pudding ziemniaczany?

- Pudding? - Ruth aż podskoczyła. - Kiedy miałeś czas, żeby go zrobić, Dix?

Rafe parsknął.

- Nie, tato go nie zrobił, tylko pani Denver, nauczycielka fizyki. Lata za tatą od początku roku szkolnego. Naprawdę dobrze gotuje, więc Rob i ja nie mamy nic przeciwko, poza tym, że... - Wystarczy, Rafe.

Chłopiec skulił się na krześle.

- Tato, złapiesz tych morderców, prawda? - spytał Rob.

- A jak myślisz?

- Powiedziałem chłopakom, że do wtorku ich zamkniesz - odparł bez wahania.

- To dopiero motywacja - uznał Dix, rzucając ponure spojrzenie Ruth, która pochyliła się i oparła łokcie na stole.

- Zgadza się z tobą, Rob. Miałaś rację, mówiąc o wtorku.

Ale obaj z Rafe'em powinniście wiedzieć, że to nie jest takie proste.

- Sam myślę o poniedziałku - powiedział Dix i skrzyżował ramiona na piersi.

Ruth zobaczyła, że chłopcy za chwilę pękną z dumy.

- Kurczę! - zawołał Rob. - Tato, nie jesteśmy dziećmi. Możesz z nami rozmawiać o wszystkim, naprawdę. Wszyscy w szkole mówią o tym, że pani Rafferty została zamordowana w łóżku i że znalazłeś studentkę pochowaną w Jaskini Winkela. - Przerwał na chwilę i odchrząknął, ale głos mu drżał. - I o panu McGuffey. Och, rany, to było straszne.

Głos Dixy też drżał.

- Walt był wspaniałym człowiekiem. Bardzo go lubiłem.

- Mama zawsze lubiła pana McGuffey'a - powiedział Rafe wciąż niezbyt pewnie. - W ostatnie Święto Dziękczynienia powiedział, że indyk był tak dobry jak mamy, ale nadzienie mu nie smakowało. Wy tłumaczyłem mu, że nie mogłeś znaleźć przepisu mamy.

- Dam ci przepis, Dix - zaproponowała Ruth, wiedząc, że poruszają się po bardzo cienkim lodzie. Chłopcy wydawali się podekscytowani i przerażeni i bardzo się starali tego nie okazać. - Mąka kukurydziana z orzechami i żurawiną.

- Lubię orzechy - powiedział Rafe...: Ale w nadzieniu lubię też dużo kielbasy.

Ruth cała pojaśniała, gdy Rob zdecydował:

- Może spróbujemy zrobić według twojego przepisu, Ruth.

Dzwonek u drzwi Dixy zadzwonił długo po tym, jak chłopcy poszli spać.

- Straciliście zawody w obrzydliwym jedzeniu kukurydzy - powiedział Dix na powitanie.

- Zabiorę wasze płaszcze. - Ruth pomogła zdjąć Sherlock skórzaną kurtkę i cofnęła się o krok. -

Co się stało?

- Przepraszamy - odezwał się Savich. - Mieliśmy dużo pracy, nic więcej.

Poszli za Dixem do salonu. Ruth otworzyła usta, ale Savich uniósł dłoń.

- Nie, Ruth, z Seanem wszystko w porządku, rozmawialiśmy z nim dzisiaj. Już postanowił, że chce Yorka, który będzie nazywał się Astro.

Sherlock wciąż była trochę spięta, ale próbowała to ukryć, posyłając Ruth i Dixowi szeroki uśmiech.

- Zeszłego lata rozmawialiśmy o położeniu w ogrodzie Astrotorfu pod maleńkie pole golfowe. Chyba Seanowi spodobało się to słowo.

Ale to nie miało nic wspólnego z Astrotorfem ani niczym innym, pomyślała Ruth, spoglądając na gości. Przeniosła wzrok z jednej obojętnej twarzy na drugą, dostrzegła napięcie w oczach Dillona i rumieniec na twarzy Sherlock, co oznaczało, że miała ochotę kogoś pobić - Dillona?

Dillon i Sherlock byli opoką zawodowego życia Ruth. Była dozwonnie wdzięczna Dillonowi za to, że półtora roku temu wciągnął ją do wydziału kryminalnego. Miał intuicję, był urodzonym przywódcą, honorowym i twardym jak skała. Sherlock była zabawna, bystra i skupiona, miała doskonałą intuicję i można było na nią liczyć w każdej sytuacji. Uznawała tylko jeden sposób działania - pełną parą do przodu. Ruth nigdy wcześniej nie widziała ich w takim stanie.

I nagle zrozumiała.

- Nie wierzę w to - powiedziała powoli. - Pokłóciliście się, prawda? Nawet gdybym powiedziała wszystkim w wydziale, kazaliby mi poddać się testowi na wykrywaczu kłamstw, któremu i tak nikt by nie uwierzył, bo wszyscy wiedzą, że potrafię oszukać wykrywacz nawet przez sen. - Podniosła wzrok ku sufitowi. - Jestem gotowa odejść, Panie, bo widziałam już wszystko na tym świecie. - Pogroziła Sherlock palcem. - Co zrobiłaś, Sherlock, prowadziłaś święte Porsche?

- Bardzo śmieszne, Ruth. Wiesz, że za każdym razem, gdy prowadzę ten samochód, dostaję mandat za przekroczenie prędkości.

- Nic się nie stało - powiedział Savich trochę zbyt głośno.

- A teraz, jeśli nie macie nic przeciwko temu, chciałbym porozmawiać na poważne tematy.

Sherlock skinęła głową.

- Układ jest taki. Musimy wyjechać jutro rano do Quantico, bo...

- Zanim do tego dojdziemy - przerwał jej Savich - musimy wam powiedzieć, że MAX znalazł informacje na temat Mosesa Grace i Claudii. Ona ma na nazwisko Smoleett, z akcentem na ostatnią sylabę.

Ruth pochyliła się do przodu, momentalnie poważna. - To angielskie nazwisko, prawda?

Savich skinął głową.

- Jej matka była Angielką. Nazywała się Paulina Smollett. Przyjechała do Stanów w wieku dwudziestu jeden lat, pracowała jako nauczycielka matematyki w Cleveland i nigdy nie wyszła za mąż, przynajmniej nie w tym kraju. Z policyjnych raportów wynika, że miała dosyć burzliwe życie osobiste, ale to nigdy nie kolidowało z jej pracą. Sama wychowywała córkę, Claudię.

- Co się z nią stało? - spytała Ruth.

- Została zgwałcona i zamordowana przez jakiś gang.

Dix pochylił się do przodu z dłońmi opartymi na kolanach.

- Raporty policyjne? Jak udało się wam to powiązać, Savich?

- Kiedy dzwoniłem, mówiłem wam, że mamy jeszcze sporo pracy, a to oznaczało, że musieliśmy sprawdzić parę informacji, które Claudia podała Sherlock.

- Chyba nie chcesz powiedzieć... Naprawdę rozmawiałaś z Claudią, Sherlock? - spytał z niedowierzaniem Dix.

Sherlock uniosła podbródek, w jej oczach zabłyśły ogniki.

- Tak, i to przez dłuższą chwilę. Zadzwoiła na komórkę Dillona, kiedy on brał prysznic. - Popatrzyła na męża zwężonymi oczami, jakby prowokując go, żeby skomentował jej zachowanie.

- Rzeczywiście rozmawiała - przyznał gładko. - Po śmierci matki Claudia uciekła z domu. Mieliśmy wystarczająco dużo danych, żeby MAX wyszukał sześć spraw o podobnym profilu i w ten sposób natrafiliśmy na Paulinę Smollett. Wszystko pasuje.

Claudia sama ma kartotekę, porównaliśmy jej zdjęcie z fotografią Annie Bender, którą dała nam jej matka, Elsa. Obie dziewczyny są podobne jak dwie krople wody.

- Claudia Smollett miała dziewięć lat, kiedy zaczęła podkradać papierosy i alkohol z lokalnego sklepu - kontynuowała Sherlock. - Dwukrotnie wyrzucono ją ze szkoły, raz gdy przypaliła chłopca papierosem, a drugi raz gdy złamała koleżance rękę. Poza tym zwykłe szkolne występki: rzuciła książką w jedną nauczycielkę, zwymyślała inną, groziła jej matce. Była złym dzieckiem, które prawdopodobnie nigdy nie wyrosłoby na uczciwego człowieka, nawet gdyby jej matka nie umarła.

Spotkała Mosesa Grace kilka chwil po tym, jak zamordował bezdomnego. Upili się borbonem w motelu, a reszta to już historia. Claudia wymówiła słowo „burbon” z południowym akcentem i wydawało mi się, że spotkała Mosesa gdzieś na Południu. - Przerwała. - Ona nie ma osiemnastu lat, trzy tygodnie temu skończyła szesnaście.

Dix przeczesał palcami włosy.

- Jest mniej więcej w wieku Roba.

Savich skinął głową, bawiąc się jedną z poduszek leżących na sofie.

- To dziecko, zwariowane, nieposkromione dziecko - mruknął Savich. - Wygląda na to, że moja żona miała rację co do zamordowanego bezdomnego. Znaleźliśmy raport o śmiertelnym pobiciu mężczyzny na ulicy około ośmiu miesięcy temu w Birmingham w Alabamie. Policja nigdy nie znalazła napastnika, ale inny bezdomny zeznał, że widział jakiegoś starucha ubranego w zakrwawione bojówki, więc stawiam na Mosesa.

- Claudia mi powiedziała, że Moses nosi bojówki i glany - wyjaśniła Sherlock. -

Poinformowaliśmy policję w Birmingham, przekazaliśmy im, co wiemy. Niestety nie mogli się nam niczym zrewanżować.

- Namierzyliście telefon, Dillon? Wiecie, gdzie byli? - dopytywała się Ruth.

- Mam dobrą i złą wiadomość - odparł Savich. - Claudia dzwoniła z telefonu na kartę pre-paid, który Moses kupił rano za gotówkę. Aktywował numer z publicznego telefonu na parkingu, więc nie mieliśmy zarejestrowanego właściciela, ale sygnał był głośny i wyraźny. Dzwonili z konkretnego miejsca i udało nam się ich zlokalizować co do metra.

- Gdzie byli? - spytał Dix.

- W restauracji Denny' ego na rogu Ósmej Alei i Pfeiffer

Street w Miltown w stanie Maryland. Mimo że lokalne gliny dojechały tam w mniej niż pięć minut, Mosesa i Claudii już nie było. Najwidoczniej Moses zostawił Claudię samą ze swoją komórką. Kiedy wrócił, ona wciąż ze mną rozmawiała. Słyszałam jego głos, był wściekły, że telefonowała, co oznacza, że wie, że możemy go namierzyć. Zniknęli stamtąd w mgnieniu oka. - Sherlock westchnęła. - Gdyby tylko siedział chwilę dłużej w toalecie, moglibyśmy teraz jeść z nimi kolację.

- A gdzie w tym wszystkim są dobre wieści? - zdziwiła się Ruth.

- Dobra wiadomość jest taka, że mamy dokładne opisy obojga, łącznie z czarnymi, starymi glanami Mosesa, a Claudia też nie starała się wtopić w tłum. Miała na sobie dżinsy biodrówki, obcisłą różową bluzeczkę i kurtkę ze sztucznego futra. Zrobili spore wrażenie na kelnerce, która powiedziała, że Claudia była ładna, ale zbyt mocno umalowana, a staruszek wyglądał, jakby spędził sto lat w palącym słońcu.

Ale najlepsze informacje pochodzą od kelnera, który palił na zewnątrz papierosa, gdy Claudia i Moses wychodzili z restauracji. On na nią wrzeszczał, machał jej telefonem przed nosem, po czym wepchnął do furgonetki.

Kelner obserwował Claudię, dopóki samochód nie zniknął mu z oczu. Pomachała do niego przez okno po stronie pasażera. Prawie wcale nie pamięta furgonetki, wydaje mu się, że to był ford, bardzo brudny, ale skoncentrował się na Claudii. Założę się o następną pensję, że jeszcze sporo z niego wyciągniemy.

- Nasz kelner jest umówiony na jutro rano na seans hipnozy z doktorem Hicksem w Quantico i my też musimy tam być - powiedział Savich. - Nie jestem pewien, czy uda nam się wrócić jutro wieczorem, zależy, co się pojawi. Moses nie jest głupi. Pewnie domyślił się, że ich zlokalizowaliśmy nawet przez telefon na kartę.

- Co oznacza, że wie, że rozmawialiśmy z ludźmi z restauracji, którzy ich widzieli - dokończyła Sherlock. - Teraz przez chwilę mogą się ukrywać. I tak do rana każdy wóz patrolowy w okolicy będzie miał zdjęcie Claudii.

Ruth zaklaskała w dłonie.

- Dillon nie mówił nam o tym wszystkim, kiedy dzwonił wcześniej. To fantastyczne, Sherlock. Jak tak dalej pójdzie, to sama rozwiążesz całą sprawę.

- Claudia chciała rozmawiać z Dillonem, Ruth - powiedziała Sherlock. - Tak naprawdę to chce uprawiać z nim seks. Dillon był zły, bo uważa, że jestem zbyt delikatna, żeby słuchać plugastw Claudii.

Obie kobiety popatrzyły na Savicha.

- Chodzi o coś więcej, Ruth, i Sherlock dobrze o tym wie.

- Aha - powiedział Dix, rozparł się na sofie i skrzyżował ramiona na piersi.

- Aha co? - spytał Savich, nie spuszczać wzroku z żony.

- Więc może wszystko sprowadza się do faktu, że chcesz ją chronić?

Sherlock popatrzyła na niego.

- Przed zwariowanym dzieckiem po drugiej stronie linii telefonicznej? Dillon nie ma prawa...

- Pewnie czułbym to samo, gdyby Ruth była moją żoną”

- wszedł jej w słowo Dix. - Taka już jest natura bestii, obie powinnyście o tym wiedzieć.

Instykt.

Sherlock aż pokraśniała ze złości i Dix cieszył się, że Savich siedzi między nimi.

- Kobiety mają taki sam instykt, panie macho. Dix odchrząknął.

- Cóż, cieszę się, że ustaliliśmy to bez rozlewu krwi. Popatrzcie tylko, która godzina! Ale późno!

Tylko Ruth się roześmiała. Zapadła cisza, którą znowu przerwała Ruth, opowiadając o popołudniu spędzonym z Gordonem Holcombe'em.

- Przeszukaliśmy centymetr po centymetrze jego biuro, dom i domek na wsi. Trzeba przyznać, że był skory do współpracy. Rozmawialiśmy nawet przez telefon z jego trzema byłymi kochankami, wszystkie są zdrowe i całe, a w czasie morderstw były poza Maestro.

- Jutro jeszcze raz porozmawiam z Gordonem. - Dix zmarszczył brwi i popatrzył na swoje dłonie.

- Nie mogę pogodzić się z faktem, że dwie ofiary były jego kochankami. Może i opowiedział nam wszystko o studentkach, ale Helen nie była jedną z nich, prawda?

Rozdział 27

Quantico

Piątek rano

O dziesiątej doktor Emmanuel Hicks wszedł do małego biura Savicha w Quantico i pociągnął nosem.

- Pepperoni. - Popatrzył na młodego Murzyna wyciągniętego na krzesło obok Savicha. - Z bufetu?

Chłopak kiwnął głową.

- Podwójna pepperoni.

- Ach, moja ulubiona, czasem nawet na śniadanie. Nazywam się doktor Hicks i jestem niegroźny.

- Uścisnął dłoń chłopaka. - To będzie bardzo łatwe, Dewayne, nie poczujesz żadnego dyskomfortu, jak zapewne już ci powiedział agent Savich. Pomożemy ci tylko przypomnieć sobie wszystkie szczegóły, które już są zapisane na twoim twardym dysku. - Doktor Hicks popukał się palcami w głowę.

- Super - odpowiedział Dewayne.

Dziesięć minut później Savich przysunął swoje krzesło bliżej Dewayna i położył lekko dłoń na ramieniu chłopaka.

- Chciałbym, żebyś pomyślał teraz o pierwszej chwili, w której zobaczyłeś wczoraj w restauracji tego starszego mężczyznę i młodą dziewczynę, Dewayne. Widzisz ich?

Dewayne skinął głową.

- Dobrze. Powiedz mi, co widzisz. Ona zdejmuje te wielkie okulary przeciwsłoneczne i rozgląda się dokoła. Jest niezła... ładna, naprawdę ładna i dobili o tym wie. Flirtuje ze Wszystkimi.

- A co ze staruszką?

- Siedzi rozparty w boksie, z ramionami skrzyżowanymi napiersi i się szczyrzy. W ogóle nie robi nic innego. Jest naprawdę stary, całą twarz ma poraną bliznami i zmarszczkami. Wygląda tak staro, że myślę, że może ona jest jego praprawnuczką. Ona przegląda menu, nie śpieszy się. On nawet nie otwiera karty, tylko zamawia hamburgera.

- Melinda ich obsługiwała?

- Tak. Kiedy przyszła do kuchni przekazać zamówienie, powiedziała nam, że powinniśmy ją obejrzeć, ale już i tak wszystkie chłopaki to zrobili. Ona wie, że wszyscy kelnerzy o niej mówią. Człowieku, na zewnątrz jest prawie mróz, a onll ma na sobie tę maleńką bluzeczkę i pępek na wierzchu.

- Ma kolczyk w pępku?

- Tak, małe, srebrne kółeczko. I kurde, jej brzusek jest naprawdę słodki, trochę pulchny, ale słodki.

- Czy podszedłeś na tyle blisko, żeby usłyszeć, o czym mówią?

Cisza, a potem powolnie skinięcie głową.

- Tak. Idę z jedzeniem dla tej pary, która siedzi dwa stoły dalej, ale zwalniam, bo ona do mnie mruga, naprawdę puszcza do mnie oko, uśmiecha się szeroko i potrząsa włosami. W prawym uchu ma Cztery złote kolczyki.

- Słyszałeś, Co mówili, zanim ona cię zauważyła i mrugnęła? Dewayne pokiwał głową.

- Coś o jakimś rudzielcu, ten stary mówił. On wygląda na wariata. Te bojówki, te głupie glany, całe zdarte i obłocone, jakby wracał prosto z pola bitwy. Nie wiedziałem, o kim mówią, ale chciałem posłuchać jej głosu, więc zwoleń. Ona mówi Coś w stylu: „Myślę, że następny przystanek powinniśmy zrobić w banku, Moses. Co o tym sądzisz?”. A staruch uśmiecha się jeszcze szerzej i potrząsa głową „Nie wydaje mi się, pączuszk”. Niemal ryknąłem śmiechem, gdy ten stary sęp tak nazwał li,; małolatę. Wtedy tamci ludzie zaczęli domagać się swojego hlrcia i musiałem iść. Nie, poczekajcie chwilę, słyszałem jeszcze coś. Staruch powiedział coś takiego: „On pewnie wystawił się jak kozioł ofiarny i czeka na mój telefon”.

Savich odczekał chwilę, ale chłopak milczał.

- Doskonale, Dewayne. No dobrze, teraz wychodzisz na zewnątrz na papierosa. Palisz i widzisz, jak ta ładna dziewczyna wychodzi z restauracji, prawda?

Dewayne zabrzęczał monetami, które miał w kieszeni.

- Tak, wychodzi.

- Powiedz mi dokładnie, co widzisz.

- Włożyła z powrotem tę puchatą kurtkę, ale ona nie zakrywa jej pośladków. Człowieku, ma piękny tyłek, naprawdę świetny i kręci nim po całym parkingu. Wie, że na nią patrzę, nawet uśmiecha się do mnie, ale tak naprawdę nie poświęca mi wiele uwagi, bo rozmawia przez komórkę. Staruch wybiega z restauracji, wściekły, może dlatego, że ona telefonuje. Zaczyna na nią wrzeszczeć. Przez chwilę myślę, że ją uderzy, a ona mówi coś w stylu „Nie rób mi krzywdy”. On ciągle krzyczy, zabiera jej telefon i wpycha ją do furgonetki.

- Spójrz na samochód, Dewayne. Widzisz go? - Gdy chłopak skinął głową, Savich ciągnął dalej:

- Chcę, żebyś przyjrzał się teraz furgonetce, nie dziewczynie. Powiedz mi, co widzisz.

- Człowieku, to trudne.

Savich czekał.

- Wciąż patrzę na nią, mam nadzieję, że staruch jej nie uderzy. Ona wkłada te swoje wielkie okulary przeciwsłoneczne, odwraca się do mnie i posyła mi pocałunek. Ale tupet! No dobrze, furgonetka. To stary ford aerostar, biały, bardzo brudny, aż zastanawiam się, co za flejtuch doprowadziłby swój samochód do takiego stanu. To jedna z tych furgonetek przewozowych, z oknami tylko z jednej strony. Ma bagażnik na dachu i rozsuwane drzwi z boku.

- Czy widzisz coś jeszcze z boku furgonetki poza brudem? Dewayne zmarszczył brwi i zagrzechał monetami.

- Nie śpiesz się, Dewayne, popatrz uważnie - poradził Savich.

Dewayne Malloy podrapał się po uchu, zaczął wybijać stopą o podłogę jakiś rytm, nie przestając bawić się monetami. Niesamowita koordynacja, pomyślał Savich.

- Tak, agencie Savich, tam jest jakiś rysunek, chyba kosiarka do trawy. Tak, to kosiarka.

Doktor Hicks myślał przez chwilę, że Savich skoczy na równe nogi i klaśnie w dłonie z radości, ale zamiast tego agent spytał ostrożnie:

- Kosiarka... Taka jak na furgonetce ogrodnika?

- Tak, chyba tak. Pod rysunkiem jest jakiś napis, ale strasznie brudny. Nie mogę go odczytać. Masz świetny wzrok, Dewayne. Patrz dalej, nie myśl o niczym innym poza tymi literami. Jakiego są koloru?

- Czarne.
- Słowa?
- Tak chyba są jakieś słowa.
- Napisane równo pod kosiarką?
- Nie, ukośne, jakby miały się wyróżniać. Litery są grube, z takimi zawijasami.
- Świetnie, Dewayne. Masz doskonały wzrok, zauważasz każdy szczegół. No dobrze, popatrz na pierwsze słowo, widzisz je?

Dewayne potrząsnął głową.

- Człowieku, przepraszam, ale nie mogę odczytać słów. Savich poklepał chłopaka po ramieniu.
- W porządku, Dewayne. Patrz na furgonetkę. Powiedz mi, czy widzisz jeszcze coś niezwykłego.
- Nic więcej, tylko brud.
- No dobrze, facet wyjeżdża z parkingu. Widzisz tablice rejestracyjne?
- Staruszek pali gumę, czuję smród. Nie mam czasu spojrzeć na tablice, nawet gdyby przyszło mi to do głowy. Też są bardzo brudne, tak, jak cały samochód. Poczekajcie chwilę. Białe. Tablice rejestracyjne są białe.

Savich wypytywał Dewayna jeszcze przez kilka minut, aż w końcu doktor Hicks położył dłoń na ramieniu agenta.

- Jego twardy dysk jest już pusty, Savich.

Savich skinął głową, a doktor Hicks powiedział Dewaynowi, jak cudownie będzie się za chwilę czuł, i wybudził chłopaka.

Na pożegnanie uścisnął mu dłoń i zdradził, że w bufecie mają też przepyszną pizzę z kiełbasą.

- Niebywale nam pomogłeś, Dewayne - dodał Savich.
- Dziękuję ci. Czy chciałbyś, żeby podziękował ci sam dyrektor FBI?
- Super. - Dewayne Malloy uśmiechnął się szeroko. - Kiedy mogę go poznać?
- Już do niego dzwonię. A potem chciałbym, żebyś się spotkał z naszym rysownikiem.

Dwie godziny później Savich, Sherlock i jeszcze czwórka agentów siedzieli wokół stołu w sali konferencyjnej.

- Tydzień temu Moses i Claudia zostawili skradzioną furgonetkę przed Motelem Hootera jako przynętę, żebyśmy myśleli, że siedzą zamknięci w pokoju. Próbowali pozabijać policjantów.
- Przede wszystkim, Dillon, próbowali zabić ciebie - przypomniała Sherlock.
- I ciebie też - powiedział Dane Carver - parę godzin później na cmentarzu w Arlington.
- Ale to mnie się poszczęściło - odezwała się Connie Ashley. Wyglądała dobrze, pomyślała Sherlock z ulgą, nawet z ręką na temblaku.

- Chodzi mi o to, że prawdopodobnie od tamtej pory jeżdżą aerostarem i zapewne ukryli go wtedy gdzieś w pobliżu motelu. Wiemy teraz z opisu Dewayna, że samochód ma tablice rejestracyjne spoza stanu. Mogli gdzieś wyjechać, żeby go kupić” lub ukraść parę dni przed porwaniem Pinky’ego.

- Dewayne powiedział, że tablice były białe, prawda? - upewnił się Ollie, a gdy Savich skinął głową, mówił dalej: - Stawiam na Ohio. Jest najbliżej.

- Sprawdź to, Ollie, dobrze? - poprosił Savich. - Nie sądzę żeby jechali po furgonetkę gdzieś

dalej. Dewayne powiedział też, że na boku był rysunek kosiarki i jakiś napis, jak na samochodzie ogrodnika.

- Musieli ją ukraść - uznał Dane. - Mam nadzieję, że nic zostawili za sobą więcej trupów.

- Znamy kolor i markę samochodu - powiedziała Sherlock - który ma na boku ogromny rysunek kosiarki, co oznacza, że równie dobrze mógłby mieć napis „aresztuj mnie”. To i starzec, który w ogóle nie zmienia ubrania w parze z seksowną nastolatką... Czy aż tak trudno ich znaleźć?

- Wiecie, co mnie zadziwia? - Ollie wskazał na błyszczące zdjęcie forda aerostar, które Savich przyczepił na tablicy. - Moses nawet nie zadał sobie trudu, żeby zamalować tę kosiarkę czy napis.

- Goście z behawioralnego mają teorię na ten temat - powiedział Dane Carver. - Według nich Moses Grace jest przekonany, że nikt nie może go tknąć i dlatego uważa, że może robić, co mu się żywnie podoba. Steve powiedział, że Moses Grace nie zamierza wyjść z tego żywy. Z nagrań wnioskuje, że on jest bardzo chory, może nawet umierający.

Savich wzruszył ramionami.

- Mam nadzieję, że nie domyśli się, że zidentyfikowaliśmy Claudię i marny jej zdjęcie.

- Może przesadzam, ale wydaje mi się, że Moses nie umie czytać - powiedział Ollie. - Kelnerka powiedziała, że zamówił hamburgera, nie spojrzał nawet na kartę.

- Dobra myśl, Ollie - pochwalił Savich - jednak w motelu skonstruował całkiem profesjonalną bombę. Tym razem Claudia niemal go wrobiła, ale nie sądzę, żeby był aż takim ignorantem.

- Oprócz zdjęcia Claudii mamy też szkice narysowane na podstawie zeznań Dewayna Malloya - powiedziała Sherlock.

Kiedy przefaksowaliśmy je do restauracji, wszystkie trzy kelnerki natychmiast ich rozpoznały, więc to na pewno byli oni.

Agenci znowu popatrzyli na rysunki.

- On wygląda jak stary, zimny jastrząb - uznała Connie Ashley. - Jakby w ogóle nie miał duszy. Pytanie brzmi, kim jest Moses Grace? Gdzie był przez ostatnich pięćdziesiąt lat? Wiemy już, że nigdy nie istniał człowiek o takim imieniu i nazwisku, nigdy nie wystawiono takiego prawa jazdy, więc to musi być pseudonim. Co my o nim wiemy?

- Masz rację - przyznał Ollie. - Ktoś tak stary jak Moses Grace musi mieć kartotekę, więc dlaczego nie możemy nic znaleźć.

- Co znowu nasuwa pytanie o jego motyw, Savich - powiedział Dane. - Chce cię zabić w zemście za kobietę, którą podobno skrzywdziłeś. Musiała być z nim związana, może jakaś krewna. Jak na razie przejrzelismy sześćdziesiąt dwie sprawy, które prowadziłeś lub byłeś choć marginalnie zaangażowany. Mnóstwo ludzi zostało rannych, w tym również kobiety, ale ani śladu osoby powiązanej z Mosesem.

- I jeszcze jedno pytanie - dodała Sherlock. - Czy był ktoś jeszcze, zanim spotkał Claudię?

- Musiał być - odpowiedział Dane.

- Spójrzcie na nią - powiedział Ollie. - Te oczy, zimne i puste jak czarna tablica w szkole.

Savich rozdał odbitki fotografii Annie Bender, którą dostał od jej matki.

- Porównajcie to zdjęcie z naszym szkicem Claudii.

Wiem, że Elsa Bender powiedziała wam, że Claudia jest podobna do jej córki, ale ja tego nie widzę - odezwał się Ollie - W ogólnym zarysie tak, ale nic więcej.

- To dlatego, że fotografia Annie Bender ukazuje żywą osobę, która czuje, myśli i kocha. Ta dziewczyna... - Dane Carver wzruszył ramionami.

- Może wreszcie dopisze nam szczęście i gliny wypatrzą aerostara - powiedział Savich. - Dzwoniłem do detektywa Bena Ravena z Waszyngtonu, mają nie zgarniać sami Moses i Claudii. - Zamilkł na chwilę. - Nie wiem, co jeszcze możemy zrobić poza przeglądaniem dalej moich starych spraw. Jesteś pewny, że w nich tkwi odpowiedź. Poczekajmy kilka dni i jeśli nie znajdziemy furgonetki do niedzieli rano, pan Maitland zwoła konferencję prasową i przekaże mediom szkice pamięciowe Mosesa i Claudii.

- Dobrze by było, gdyby jeszcze raz zadzwonił na twoją komórkę - powiedział Ollie. - Czyż to nie byłby dar niebios, gdyby wszystko skończyło się w ten sposób?

Agent John Boroughts roześmiał się.

- Musielibyśmy mieć sporo szczęścia. Nic, co ważne, nic przychodzi łatwo, czy nie to mi powiedziałaś, kiedy dołączyłem do oddziału, Savich?

W szyscy zawtórowali mu śmiechem i poczuli się trochę lepiej. Spotkanie dobiegło końca. Gdy Savich chował dokumenty do teczki, Ollie spytał go:

- Co powiedział Dwayne MaUoy o spotkaniu z dyrektorem Muellerem?

- Powiedział, że jak na staruszka facet jest super. Był taki podekscytowany faktem, że pomógł nam rozwiązać zagadkę kryminalną, że spytał, czy sam też mógłby zostać agentem FBI. Poradziłem mu, żeby spróbował.

Sherlock stała w drzwiach sali konferencyjnej z innymi agentami, nie spuszczać wzroku z męża.

- Słuchajcie, bez względu na to, co myśli Dillon, sama potrafię się o siebie zatroszczyć. To jego ścigają. Proszę, nie pozwólcie mu działać samemu. Musimy zapewnić mu bezpieczeństwo.

- Wystarczy, Sherlock - powiedział Savich bardzo cicho.

Pozostali agenci spojrzeli na niego, skinęli głową Sherlock i zostawili ich samych.

Sherlock wiedziała, że to dla niej sprawa życia i śmierci.

I opatrzyła mężowi prosto w oczy.

- Powiedziałam im prawdę, nic więcej. Zamierzam też pomówić o tym z Maitlandem. Myślę, że zbliżamy się do końca, Dillon. Sądzę, że oboje powinniśmy zostać w Waszyngtonie, razem ze wszystkimi naszymi ludźmi. Mam przeczucie, że Moses i Claudia wkrótce uderzą, i to wprost przeciwko tobie. Chcę, żebyśmy byli wtedy tutaj, w pełni przygotowani.

To dziwne, jak bardzo ich przeczucia się pokrywały. Savich ścisnął ją za ramię.

- Nie musisz rozmawiać o tym z Maitlandem. Uważam dokładnie tak samo.

Odsunęła się od niego, ruszyła szerokim korytarzem i rzuciła przez ramię:

- Jedźmy po Seana. Przed spotkaniem rozmawiałam z Graciellą, chce wrócić do domu.

- Dobrze. Zadzwonię do Ruth, powiem jej, co tu się dzieje. Jesteśmy oddaleni tylko dwie godziny od Maestro, jeśli coś się stanie.

- A helikopterem jeszcze mniej.

Podbiegł do nich Dane Carver z komórką w dłoni.

- Ciekawe nowiny. Policja znalazła porzuconą białą furgonetkę z rysunkiem kosiarki i napisem „Usługi Ogrodnicze Austina” przed magazynem na Webster Street. Wygląda na to, że Moses Grace nie tylko ją porzucił, ale jeszcze podpalił.

Savich westchnął.

- Zapewne domyślił się, że namierzaliśmy telefon Claudii i mamy opis samochodu. Nie ma na co czekać, oni mogą w tej chwili wyjeżdżać z miasta.

- Ale ty w to nie wierzysz - powiedział Dane.

Sherlock milczała przez dłuższą chwilę, kręcąc włosy na palcu, co robiła zawsze, gdy intensywnie myślała.

- Nie, Moses nigdzie nie wyjedzie, dopóki ty żyjesz. Savich skinął głową.

- Więc lepiej się przygotujmy.

Rozdział 28

Maestro, Virginia

Piątek rano

O dziesiątej Dix zadzwonił do biura Gordona w Stanislausie.

- ... nie rozumiem, dlaczego miałbym ci to powiedzieć, Dix. Ona nie jest naszą studentką. Nie wiem, po co miałbym ją w to mieszać. Słuchaj, to nie było nic takiego, krótki flirt, nic ważnego dla nas obojga.

- Jeśli nie odpowiesz na moje pytanie, Gordonie, mogę przygotować ci miłą, ciepłą celę w moim areście. Czy kobieta, którą pominąłeś, to Cynthia, żona Tony'ego?

- Cynthia - powiedział Gordon i Dix przysięgłby, że usłyszał w jego głosie nutę obrzydzenia.

- Twoje szczęście - mruknął Dix. - To jakaś ulga. Powiedz mi, Gordonie. - Gdy cisza się przedłużała, szeryf dodał: - Myślę, że wyprowadzenie cię w kajdankach byłoby niezłą rozrywką dla twoich profesorów i studentów...

- Nie, Dix! Nie możesz tego zrobić. Ja tylko próbuję chronić reputację tej kobiety, nic więcej. Naprawdę myślisz, że mógłbym przespać się z Cynthią?

- Reputację kobiety? Nie dziewczyny? Czyżby miała nawet odrobinę siwizny we włosach?

- Nie, jest piękna i podała by mnie do sądu... Dix potrząsnął głową.

- A ja myślałem, że Ginger będzie miała na tyle dobrego smaku, żeby nie sypiać z mężczyzną w wieku własnego ojca. Nigdy nic nie wiadomo. Przynajmniej to nie była Cynthia. No i co, nie było tak trudno się przyznać, prawda?

Gordon w końcu skapitulował. Powiedział Dixowi, że sypiał z Ginger Stanford dwa lata temu i, jeśli to go tak ciekawi, to z jej matką też, ale romans z obiema przetrwał tylko kilka miesięcy.

Kiedy przerwał dla zaczerpnięcia oddechu, Dix spytał: - Kto zerwał?

- Nie rozstaliśmy się w przyjaźni. Ginger powiedziała, że spodziewała się po mnie więcej, bo słyszała, że jestem doświadczony, a nie dałem jej tego, czego oczekiwała. Kazała mi pójść na zajęcia z edukacji seksualnej. Wyobrażasz sobie? Edukacja seksualna! Ja!

- A Gloria Stanford? Czy ona też miała wygórowane oczekiwania? Jaka matka, taka córka?

Pełna napięcia cisza.

- Wiesz, Dix, ona jest niezwykle utalentowana, ale prawda jest taka, że nigdy tak naprawdę nie pociągaliśmy siebie nawzajem. Nigdy mnie nie krytykowała jak ta suka, jej córka.

Dix, zanim się rozłączył, ostrzegł Gordona:

Nawet nie myśl o telefonie do Ginger. Jeśli zadzwonisz, nie dam ci do celi drugiego koca.

- Szeryfie, co wy tu robicie? - Henry O. zerwał się na równe nogi, gdy tylko Dix i Ruth weszli do biura. - Och, rozumiem. Nie wiecie nic więcej niż ostatnio, jak tu byliście, co?

Dobrze, pomyślał Dix, Gordon nie dzwonił. Henry O. wyglądał schludnie w wykrochmalonej,

białej koszuli i doskonale uszytych szarych, wełnianych spodniach.

- Właściwie, Henry, przyszliśmy aresztować pannę Stanford - powiedziała Ruth. Pomachała do staruszka i dalej szła przed siebie, szeryf tuż za nią.

- Zwariowaliście? Nie można aresztować prawnika! Dostaniecie grzywnę, aż wam kapcie spadną. Poczekajcie, poczekajcie! Och, rety, panno Ginger, oni mnie staranowali!

- Aż trudno uwierzyć - powiedziała Ginger Stanford, wstając powoli i upuszczając piękne czarne pióro na biurko.

- W porządku, Henry. Nie założą mi zaraz kajdanek, prawda, Dix?

Dix delikatnie wypchnął Henry'ego z pokoju i zamknął drzwi.

- Dzień dobry, Ginger. Pora, żebyś opowiedziała nam o twoim krótkim, nudnym romansie z Gordonem Holcombe'em.

Ginger roześmiała się.

- Och, siadajcie. Wyciągnęliście to z niego, tak? Tak, spałam z Gordonem i był to kolosalny błąd. Czysta strata czasu. Naprawdę myślałam, że będzie dobry, nie potrafię zliczyć, ile razy posyłał mi to uwodzicielskie, głodne spojrzenie, ale okazało się, że jest jedynie niezdatnym staruszką. Parę razy dałam mu szansę, a potem pożegnałam. Koniec pieśni. Chyba nie sądzicie, że miałam coś wspólnego z tymi potwornymi morderstwami?

- Czy powiedziała pani o tym swojej matce? - spytała Ruth.

- Tak, powiedziałam. Ona się tylko roześmiała, odrzekła, że sama spała z nim kilka razy i przyznała mi rację. Powiedziała mi, że mężczyźni w pewnym wieku nie lubią eksperymentować, są szczęśliwi, jeśli wszystko pójdzie gładko. Mówiła, że już dawno przestała patrzeć przez różowe okulary i że jest bardzo niewielu mężczyzn, którzy wiedzą, o co chodzi, a jeśli nawet wiedzą, nic ich to nie obchodzi i liczą na udawany orgazm, żeby poczuć się zwolnionym od obowiązku. Powiedziała, że jedyne, co dostała od Gordona, to cenne wskazówki dotyczące interpretacji Sonaty na Jedne Skrzypce Bartóka. - Ginger roześmiała się.

- Dlaczego mówi pani o matce „Gloria”?

- Słucham? Och, Gloria. Wiecie, jej prawie wcale nie było w domu, kiedy dorastałam, wciąż podróżowała. Mój tata odszedł, kiedy miałam dziesięć lat, nie chciał żyć jak słomiany wdowiec, nie mógł już dłużej tego znieść. Wychowały mnie dwie niańki, do których wciąż mówię „mamo”. Ona zawsze była „Glorią”. Nie zrozumcie mnie źle, kocham ją i podziwiam, mimo wszystko jest moją matką. W końcu jestem tutaj, prawda?

- Dlaczego przeprowadziła się pani do Maestro razem z nią? Co się stało? Pół roku po tym, jak Christie i Dix tu zamieszkali?

Ginger przechyliła głowę, patrząc na Ruth, nalala trochę wody do kryształowej szklanki i wypila łyk.

- Christie i ja chodziłyśmy razem do szkoły. Byłyśmy bardzo zżyte.

- Ale miałaś doskonałą praktykę w Nowym Jorku, prawda? - spytał Dix.

- Jesteś jak buldog, Dix. No dobrze, w Nowym Jorku byłam z pewnym mężczyzną, to nie wypaliło. Tak, był żonaty, a ja byłam na tyle głupia, żeby mu uwierzyć, kiedy przysięgał, że jego małżeństwo jest skończone. Zrobił ze mnie kompletną idiotkę. Myślałam, że gdy wyprowadzę się daleko, poczuję się lepiej - i tak jest. Mogę spytać, dlaczego Gordon powiedział wam o mnie i o mojej matce? Dlaczego was to interesuje?

- Byłaś zła, że sypiał z twoją matką?

- Wielkie nieba, nie! Słuchaj, Dix, Gloria nie spotykała się z wieloma mężczyznami, odkąd odszedł mój ojciec. Gordon ma talent i potrafi być naprawdę czarujący. Nie miałam powodu, żeby mieć coś przeciwko temu. To mogłoby nawet wyjść jej na dobre, gdyby on był inny. Pewnie dał nogę, bo nie płaszczyła się przed nim tak, jak oczekiwał, bo niby dlaczego miałyby to robić? Nie ma dwudziestu dwóch lat i nie jest głupia jak but. Jest bardziej utalentowana, sławna i dużo bogatsza, niż on będzie kiedykolwiek.

- Nie sądzi pani, że Gordon zerwał, bo uważał, że pani matka jest dla niego za stara? - zasugerowała Ruth.

- Hm, nigdy o tym nie myślałam. Co za pomysł, Gordon miałby z nią zerwać, bo była za stara? On wam tak powiedział? Przyganiał kocioł garnkowi.

Dix i Ruth wyszli z jej biura dziesięć minut później.

- Zapomnieliśmy kajdanek - wyjaśnił Dix Henry'emu O. - Miej oko na pannę Stanford, dobrze, Henry? Upewnij się, że nie będzie próbowała zwać.

Henry O. wyprostował się za biurkiem.

- Musiałbyś mi więcej zapłacić, żebym został twoim funkcjonariuszem, szeryfie.

Rozdział 29

Maestro, Wirginia

Piątek po południu

Dix i Ruth usłyszeli głos Cynthii Holcombe dobre piętnaście stóp od drzwi Tary. Dix przyłożył palec do ust, zszedł z brukowanej ścieżki i podszedł przez pokryty śniegiem trawnik do ściany domu.

- Jediną osobą, na którą Cynthia wrzeszczy, jest Chappy. Założę się, że są w bibliotece. Zobaczmy, czy mam rację.

Na ołowianym niebie nie było śladu słońca, nad górami zbierały się ciężkie śniegowe chmury. Okno biblioteki było uchylone i głos Cynthii Holcombe dochodził do nich głośno i wyraźnie.

- Ty okropny, stary kutwo, ze mną jest wszystko w porządku i Tony nigdy się ze mną nie rozwiedzie! Od roku próbujemy dać ci wnuka! Przestań rozmawiać o tym z moją matką, ona o niczym nie wie. I jeszcze jedno, nie sypiam z innymi mężczyznami. Ile razy mam ci to powtarzać?

- Wie wystarczająco dużo, żeby powiedzieć mi, że nie lubisz dzieci. Co do mojego biednego syna, to jest bliski obłądu, powiedział, że go okłamujesz, bierzesz po kryjomu pigułkę i opowiadasz, jak bardzo chcesz zajść w ciążę.

- Nie biorę żadnej cholernej pigułki! Dlaczego wciąż wymyślasz takie bzdury? Jesteś aż tak znudzony? Może zajmiesz się swoim życiem? Albo przynajmniej idź pluć swoim jadem na kogoś innego.

- Twoja matka twierdziła, że nie mogę wierzyć w ani jedno twoje słowo, ona...

Usłyszeli brzęk roztrzaskującej się o ścianę szklanki, a potem śmiech Chappy'ego. Cynthia ledwo mogła złapać oddech, gdy wrzasnęła:

- Każdy, kto słucha mojej matki, zasługuje na to, co go spotyka, rozumiesz? Chcesz usłyszeć prawdę, staruchu? Zaczynam się zastanawiać, czy chcę mieć dziecko z twoim synem mięczakiem! Dziwię się, że on w ogóle może chodzić skoro nie ma kręgosłupa.' Pozwala, żebyś go rozstawiał po kątach, aż mam ochotę krzyczeć.

- O kurczę - powiedziała Ruth.

- Nie spodziewałem się tego - przyznał Dix. - Lepiej wejdźmy, zanim rozwali Chappy'emu wazon na głowie. Wtedy musiałbym ją aresztować, a ta perspektywa naprawdę mnie przeraża.

Ruth uśmiechnęła się szeroko do Cynthii, gdy ta otworzyła drzwi.

- Co do... Dix, cześć, Wejdźcie. Och, ty. Ciągłe tu jesteś? Wybacz, ale nie pamiętam twojego imienia. Też jesteś jakąś policjantką, prawda?

- Tak, coś w tym rodzaju - powiedziała Ruth spokojnie.

- Agentka Ruth Warnecki. Dwa dni temu jadłyśmy razem lunch. Mówią, że najpierw traci się pamięć.

- Tak, też o tym słyszałam. Ale dlaczego miałabym chcieć cię pamiętać?

- Punkt dla ciebie.

- Ruth i ja słyszeliśmy twoją kłótnię z Chappym. Powinniście byli zamknąć okno w bibliotece.

Cynthia wzruszyła ramionami, wydawała się w ogóle nie przejmować sytuacją.

Dix ruszył prosto na nią, a ona odsunęła się w ostatniej chwili.

Skierował się w stronę biblioteki, Ruth u jego boku. Cynthia niechętnie podreptała za nimi.

Dziwna to była biblioteka, pomyślała Ruth, rozglądając się dokoła po pokoju pełnym setek płyt CD pogrupowanych według rodzajów muzyki i opatrzonych tabliczkami: „jazz”, „blues” i trzy lub cztery nazwiska kompozytorów muzyki klasycznej. Jedynymi książkami były wielkie albumy, które zwykle wyklada się na stoliki do kawy. Dix wskazał Ruth sofę w kolorze burgundu, a sam zajął stuletnie krzesło wykładane jasnozielonym brokatem. Cynthia usiadła na przeciwko z taką miną, jakby wołała siedzieć w fotelu dentystycznym. Chappy' ego nie było w pokoju.

- Ty i Chappy przygotowaliście nowy materiał. Nigdy wcześniej nie słyszałem, żebyście obrażali Tony'ego. Przykro mi, że do tego doszło, Cynthia.

- Ty nie jesteś jego żoną, Dix. Nie widzisz, jak się kuli, kiedy tylko Chappy zmarszczy brew. Nie potrafi sobie wyobrazić, że mógłby stracić stanowisko w banku, tak jakby to w ogóle było możliwe.

- Czym rzuciłaś w Chappy'ego?

- Jakaś głupią niebieską miską, którą ktoś mu przysłał z Chin.

- To była bardzo cenna miska z okresu Kangxi dynastii Qing wykonana około 1690 roku - powiedział Chappy, wchodząc do pokoju lekkim krokiem jak naj szczęśliwszy człowiek pod słońcem. - Stukła trzystuletnie dzieło sztuki, które kosztowało mnie więcej, niż wyniosłby jej rozwód z Tonym.

- Spodziewam się, że powtórzysz mi to, co powiedziałam - odezwała się Cynthia z wyrazem złości, frustracji i czegoś jeszcze, czego Dix nie potrafił nazwać, na twarzy. Przypomniła sobie misę, jaka była piękna. Na miejscu Chappy'ego dostałby szału.

- Miska była ubezpieczona? - spytał.

- Pewnie, ale komu zależy na pieniądzach?

Cynthia zerwała się na równe nogi, wymachując pięściami.

- Tylko to cię interesuje, Chappy, pieniądze i kontrola nad wszystkimi dokoła. Nie udawaj męczennika i ofiary. - Zwróciła się do Dix. - On chce, żebym zniknęła z życia Tony'ego i wyjechała jak naj dalej stąd.

Dix wzruszył ramionami.

- Więc dlaczego nie wyjedziecie razem z Tonym? Masz inne możliwości, Cynthia. Naprawdę chcesz wychowywać dziecko tutaj, w Tarze?

Cynthia wzruszyła ramionami.

- Nie, oczywiście, że nie, ale to, czego ja chcę, ma znaczenia. Tony nie wyjedzie.

- Nie, mój syn nigdzie nie pojedzie - twierdził Chappy, po czym zwrócił się do Dix i Ruth: - Jeśli ta harpia nie da mu dziecka, to może jechać gdzie pieprz rośnie, a po drodze jeszcze zerznąć Gordona, jeśli ma ochotę.

- Nie sądzę, żeby Gordon miał na to czas - zauważyła Ruth.

- Ostatnio jest dosyć zajęty.

- Twister nigdy nie był tak zajęty żeby nie mieć czasu na seks. - Chappy wbił wzrok w swoje paznokcie. - Wiecie, że Gordon może wam powiedzieć, jakich perfum używa każda kobieta, taki ma nos? Zawsze mnie zadziwiał. - Potrząsnął głową. - Tony wybiera się na ten memoriał w Stanislausie,

powiedział, że nie wyglądałoby dobrze, gdyby lokalni bankierzy nie złożyli wyrazów szacunku.

- My też idziemy - powiedział Dix.

- Cóż, ja nie. Po co miałbym iść? Założę się, że Twister tam będzie, z jakąś słodką lalczką u boku, która będzie ścisła go za rękę, jak się rozplacze. Zawsze mnie wkurzało, że on potrafi płakać na zawołanie.

- Trzeba mieć choć trochę serca, żeby płakać, Chappy - powiedziała Cynthia głosem aż kapiącym od jadu.

Chappy zignorował synową i zwrócił się do Dixy:

- Zamkniesz Twistera w więzieniu?

- Zobaczymy.

- Gdybym myślał, że mówisz serio, załatwiłbym mu prawnika. - Chappy zatarł ręce. - Wtedy Twister nie miałby nic przeciwko temu, że ma w rodzinie kogoś z pełną kieszenią, prawda? Jak myślisz, Dix? Znalazłbym mu jakiegoś szykownego obrońcę. Może tego małego Shreka z Bostonu? Hm, powiedz Twisterowi, że się tym zajmę. - Wyszedł z pokoju, pogwizdując, ale w drzwiach obrócił się i pomachał do Ruth. - Znajdę nową wazę, tym razem może japońską. Hej, agentko Ruth, słyszałem, jak Twister zapraszał cię na kolację. Pójdiesz?

- Zależy, do jakiej restauracji mnie zaprosi - odpowiedziała gładko.

- Włóż spodnie - poradził Chappy. - To będzie twoja najlepsza obrona. - Wyszedł, deptając po skorupach miski i nawet na nie nie patrząc.

- On jest nienormalny - powiedziała Cynthia. - Naprawdę, Dix, ten stary głupiec jest szalony. Wyobraź sobie, twierdzi, że biorę pigułkę, podczas gdy Tony i ja staramy się o dziecko. Oskarża mnie, że sypiam z Gordonem. Czy Chappy nie widział własnego syna? Tony jest bardzo przystojny, nie sądzisz?

- Przystojny i słaby?

- Pewnie nie powinnam była tego mówić, ale Chappy do prowadzi mnie do takiego stanu, że nie wiem, co robię. Nit, chce puścić Tony'ego tylko dlatego, że on, jest jego jedynym biletem do nieśmiertelności, teraz, kiedy Christie odeszła... - Cynthia wzruszyła ramionami i odwróciła wzrok od Dixy.

- Ona nie odeszła, Cynthio, nie pojechała na przedłużone wakacje. Nie żyje i ty dobrze o tym wiesz.

Cynthia wzruszyła ramionami.

- Tak, pewnie tak..

- Tak jak powiedziałem, oboje z Tonym powinniście wyprowadzić się z tego domu, jak najdalej od Chappy'ego.

- Tyle że ja naprawdę nie chcę wyjeżdżać z Tary. Może Chappy wkrótce kopnie w kalendarz i Tony odziedziczy to wszystko.

- Nie liczyłbym na to. Ja mu daję jeszcze jakieś dwadzieścia lat. Powinniście przeprowadzić się z Tonym do Richmond. On mógłby stanąć na czele tamtejszego banku, do oddziału w Maestro zatrudniłby menedżera, którego Chappy mógłby torturować do woli. A gdy kiedyś Chappy umrze, wróćcie do Tary, jeśli będziecie mieli ochotę.

Cynthia podeszła do okna, rozsunęła ciężkie, brokatowe zasłony i wyjrzała na zewnątrz. Do pokoju wpadło zimne powietrze. Zamknęła okno i powiedziała przez ramię:

- Tony boi się wyjechać, obawia się, że sobie nie poradzi, że Chappy go wydziedziczy.

Wzruszyła ramionami.

- Christie potrafiłaby namówić go do wyjazdu, ale ja nie umiem. Tak bardzo bym chciała, żeby ona żyła, Dix, tęsknię za nią.

- Wydawało mi się, że niezbyt ją lubiłaś, kiedy żyła, Cynthia. Skąd ta zmiana?

- Chyba zmądrzałam. - Odwróciła się od okna i przecięła bibliotekę. - Przyszliście na lunch? Pani Goss nic mi nie mówiła.

- Nie, nie przyszliśmy na lunch. Przede wszystkim chciałem zadać ci kilka pytań na temat rozkładu zajęć Chappy'ego w zeszły piątek wieczór.

Wielkie nieba, to wtedy, kiedy znalazłeś Ruth, prawda? Wiem tylko, że Chappy wrócił późno. Co on wam powiedział?

- Że był w domu, pracował w swoim gabinecie. A Tony? Gdzie on był?

- Zajmował się uszczęśliwianiem mnie, przynajmniej od około dziesiątej wieczorem. Domyślam się, że cały dzień spędził w banku. Zwykle tak robi. Po kolacji wyszedł na kilka godzin. Nie powiedział, dokąd idzie, a ja nie pytałam. Kiedy wrócił, miał pod pachą butelkę szampana, a na twarzy szeroki uśmiech. Chciał od razu ze mną być, więc poszliśmy na górę do łóżka. Pamiętam, że Chappy był w domu, bo około jedenastej zapukał do drzwi naszej sypialni i chciał wiedzieć, co robię jego synowi. Cieszyłam się, że zamknęłam drzwi na klucz, to nie był pierwszy raz, kiedy nam przeszkadzał.

Dix nie sądził, że Chappy był zainteresowany seksem, odkąd wiele lat temu zmarła jego żona.

- Pewnie chciał wam dokuczyć. Tony nie powiedział ci, gdzie był po kolacji?

- Pewnie wrócił do banku. Robi, co może, żeby nie spotykać się z ojcem. Pokłóciłam się wtedy z matką przez telefon i byłam wściekła, nie zwracałam na nikogo uwagi. - Ziewnęła. - Kłótnie z Chappym zawsze mnie wyczerpują. Chyba pojedę do Richmond na zakupy, to pomoże mi zapomnieć.

- Nie wybierasz się na koncert ku pamięci Erin? - spytała Ruth.

Przecież nie znałam jej tak dobrze, prawda? - Cynthia znów ziewnęła i wstała.

- Nie wiem, po co w ogóle zawracam sobie tym głowy - powiedział Dix, gdy kilka minut później szli do range rovera.

- O tak, Tony pracował w piątek do późna, potwierdził to strażnik, a pracownicy i jego sekretarka powiedzieli, że był w banku przez cały dzień. Co do Chappy'ego, pani Goss twierdzi, że w ciągu dnia go nie było, ale nie wie, dokąd poszedł. On nigdy nikomu się nie tłumaczy. Sam go o to spytam.

- Są jakieś nowiny z Richmond na temat osoby, która wynajęła Dempseya i Slatera, żeby mnie zabili?

- Nic nowego ani od tamtejszej policji, ani od agentów. Zadzwoń do detektywa Moralesa, może obiecam, że zjesz z nim kolację, jeśli coś odkryje. Lubisz włoską kuchnię, prawda?

Ruth błysnęła zębami w uśmiechu.

- Musiałabym rzucić monetą, Dix, czy wybrać twoją potrawkę czy spaghetti Bolognese.

Uroczystość ku pamięci Erin Bushnell odbywała się w dużym audytorium w Gainsborough Hall. Wokół sceny ułożono tuzin ozdobnych wieńców, a z sufitu zwisało ogromne, kolorowe zdjęcie Erin grającej na skrzypcach. Wyglądała na nim bardzo młodo, pomyślała Ruth.

Audytorium było wypełnione po brzegi. Dix był pewien, że przyszli wszyscy studenci i profesorowie, zauważył też wielu miejscowych. Goście, którzy nie znaleźli miejsc siedzących, tłoczyli się pod ścianami lub siedzieli na schodach.

Wszyscy przyglądali się jemu i Ruth, niektórzy patrzyli na nich spod zmarszczonych brwi, inni witali się serdecznie. Rodzice Erin sprawiający wrażenie konserwatywnych, bladzi i milczący, wciąż nie mogli pogodzić się z okrutną śmiercią córki. Dix spotkał ich już wcześniej, gdy tylko przyjechali, złożył im kondolencje. Sam stracił żonę, ale nie potrafił sobie wyobrazić, jak czuje się człowiek po utracie dziecka. Pomyślał o Rafie i Robie i poczuł, jak serce mu się ściska w piersi.

Jeśli to będzie od niego zależało, Bushnellowie nigdy nie dowiedzą się, co dokładnie stało się z ich córką. Oszołomiona lekami i zakłuta nożem - to wystarczająco okropne, bez makabrycznych szczegółów. Dix mógł mieć tylko nadzieję, że nikt z szóstki ludzi, którzy znali całą prawdę, nic im nie powie.

Przez całą uroczystość przyglądał się siedzącym wokół ludziom i wiedział, że Ruth robi to samo. Wygłoszono sześć mów pochwalnych, Gloria Stanford mówiła wzruszająco i pięknie, a Gordon wyglądał, jakby ostatnim wysiłkiem woli powstrzymywał się od łez. Prezbiteriański ksiądz skupił się na opatrności bożej i wzywał do wiary w to, że Bóg nie pozostawi śmierci Erin bez kary, co znalazło szeroki oddźwięk wśród sześciuset słuchaczy.

Dix widział, że Tony i Gloria Stanford siedzieli po obu stronach Gordona, Gloria trzymała go za rękę. Zobaczył też Milтона Beana z „Mestro Daily Telegraph”.

Nikt nie zachowywał się podejrzanie. Tak naprawdę Dix czuł, że umysł odmawia mu posłuszeństwa. Był zmęczony patrzeniem na wszystkich jak na potencjalnych podejrzanych i mimo że ubolewał nad śmiercią Erin, miał dosyć słuchania, jak wychwalano ją pod niebiosa.

Pomyślał o Helen, jej ciało koroner wydał bratu, który w końcu zgodził się na wyprawienie uroczystości w Stanislausie w przyszłym tygodniu i o starym Walcie, nie na tyle ważnym, by urządzać mu oficjalne wspominki, pochowanym już na dwustuletnim cmentarzu w Coyote Hill. Dix był zaskoczony, widząc na pogrzebie sporą grupkę mieszkańców, prawdziwych przyjaciół Walta. Staruszkowi byłoby miło.

Po uroczystości Dix zatrzymał się w kwiaciarni i kupił bukiet goździków, po czym razem z Ruth pojechali na cmentarz, żeby odwiedzić grób Waha McGuffeya. Dix przyklęknął na jedno kolano i położył bukiet w głowach.

- Zamówiłem tablicę, powinna być gotowa w przyszłym tygodniu.
- Przyszłabym z tobą wczoraj na pogrzeb, gdybyś tylko mnie poprosił - powiedziała Ruth.
- Rozmawiałaś z Waszyngtonem, nie chciałem ci przeszkadzać. Poza tym jesteś zmęczona, Ruth, oboje jesteśmy. Dużo przeszłaś. Zimno tu, nie chcę, żebyś się rozchorowała. Wracajmy do domu.

Skinęła głową, chociaż uderzył ją sposób, w jaki powiedział „dom” - jakby należał do nich obojga. To było dziwne i trochę przerażające, ale poczuła się z tym dobrze. Mieszkała z tym mężczyzną i jego dziećmi od tygodnia i z każdym dniem ta sytuacja wydawała się jej bardziej naturalna. Dix był szlachetnym człowiekiem i bardzo się troszczył - przede wszystkim o synów, ale też o swoje miasto, o to, żeby postępować tak, jak powinien. Nie chciała zastanawiać się nad tym, jakiego wielkie, wysportowane ciało wyglądało w tych obcisłych dżinsach.

Miała ochotę porozmawiać z nim o Christie, ale wiedziała, że to nie jest odpowiednia chwila. Jeszcze nie. Może i nie знаła go długo, ale w głębi duszy była przekonana, że jeśli Christie była choć trochę podobna do niej, nigdy nie zostawiłaby Dix'a ani chłopców. Nie z własnej woli. Christie Noble musiało spotkać coś strasznego i wszyscy o tym wiedzieli.

Gdy wracali do samochodu, Dix czuł na sobie spojrzenie Ruth, ale nie widział jej oczu ukrytych za lustrzanymi szklami ciemnych okularów. Usiadła na siedzeniu pasażera otulona w czarną skórzaną

kurtkę, z fioletowym szalikiem na szyi i naciągnęła na uszy wełnianą czapkę w tym samym kolorze. Dix zauważył, że na stopach ma własne skarpetki, nie te ciepłe, które pożyczył jej Rafe, i podkreślił ogrzewanie.

Rozdział 30

Wrócili do domu parę minut przed szóstą. Gdy Dix otwierał drzwi, zadzwoniła komórka Ruth i ona odwróciła się, żeby ją odebrać. Rozłączyła się po kilku minutach. - Dzwoniła Sherlock. Wszystko zaczyna się układać. Zostaną z Dillonem w Waszyngtonie, chyba że będą nam potrzebni. Powiedziałam jej, że świetnie sobie radzimy.

Dix pośpiesznie otworzył drzwi, bo słyszał, jak Brewster wściekle drapie w drewno pazurami.

- Brewster, poczekaj! Pamiętaj, Ruth, jeśli na ciebie skoczy, trzymaj go z daleka.

- Nie, Brewster nie nasiusiałby na kogoś, kto nakarmił go hot dogiem.

Dix otworzył drzwi, a Ruth złapała Brewstera w objęcia.

Przytuliła psiaka mocno, śmiejąc się i całując go po mordce, a on ani na chwilę nie przestał szczekać i machać ogonem.

- Och, rety - powiedziała. - Brewster, jak mogłeś?

Psiak popatrzył na nią i polizał po brodzie.

- Jutro zaniesiemy twoją kurtkę do pralni. Wiem z doświadczenia, że potrafią pozbyć się tego zapachu. I nie będzie plam na skórze.

Ruth roześmiała się.

- Ty mały niewdzięczniku, czego więcej ode mnie chciałeś? Bułki do hot doga? A może musztardy?

- Poczekaj, musisz ją zdjąć - powiedział Dix, przyciągnął Ruth do siebie - Brewster wciąż dziko szczekał między nimi - i pocałował ją.

Odsunął się niemal natychmiast.

- Przepraszam, nie miałem zamiaru... Nieprawda, miałem. Wyjął psiaka z jej rąk, uściskał go i postawił na podłodze. Ku jego zaskoczeniu Brewster nie poczuł się urażony, patrzył na nich z łebkiem przechylonym na jedną stronę i machał ogonem.

Ruth nie mogła dojsć do siebie. Przełknęła ślinę, odchrząknęła..

- Cóż, mnie też nie jest przykro. Tak naprawdę ja...

- Tato!

- Co to za zapach? Och, Brewster cię dopadł, Ruth?

- Niestety, Rafe. Cześć, chłopaki. Co robicie na kolację?

Rafe i Rob wymienili spojrzenia.

- W sumie to czekaliśmy na was.

- Pizzę - powiedział Rob. - Zaraz mogę włożyć mrożoną pizzę do piekarnika.

- Chcecie powiedzieć - zaczęła powoli, przenosząc wzrok z jednego chłopca na drugiego - że zwalacie całą robotę na tatę? - Czasami różne panie przynoszą nam jedzenie.

- Robimy pranie i sprzątamy nasze pokoje.

- Tak naprawdę to tata nie musi ciągle gotować. Bardzo chętnie będziemy częściej jeść pizzę.

- Upiekę rybę i ziemniaki - powiedział Dix. - Rob, Rafe, macie godzinę na skończenie lekcji.

Dobrze, tato.

- Ja nie mam nic zadane.

I ja mam w to uwierzyć. Obaj marsz do pokojów i macie się uczyć. Żadnej telewizji ani słuchawek na uszach.

- Tato?

Dix usłyszał w głosie Rafe' a jakąś dziwną nutę. Zastanawiał się, czy chłopcy widzieli, jak pocałował Ruth. Wolałby, żeby nie widzieli, było jeszcze za wcześnie.

- O co chodzi, Rafe?

Rafe rzucił spojrzenie bratu, po czym wbił wzrok w swoje trampki.

- Pani Benson, moja nauczycielka matematyki, płakała dzisiaj w szkole. Wiesz, przez tych wszystkich zamordowanych ludzi.

Dix podniósł Brewstera, schował go za pazuchę i przytulił obu chłopców do siebie.

- Wiem, że jest wam ciężko i możecie być pewni, że ani Ruth, ani mnie też nie jest lekko. Wczoraj powiedziałem wam wprost: złapię tego, kto popełnił te morderstwa, obiecuję wam.

Rafe spróbował się uśmiechnąć.

- Do wtorku. - Ukrył twarz na ramieniu ojca. - Powiedziałem tak pani Benson, a ona odpowiedziała, że ma taką nadzieję, bo głosowała na ciebie.

- Czy jest coś jeszcze, o czym chcecie porozmawiać? - spytał Dix, powoli przenosząc wzrok z jednego syna na drugiego.

Rafe uściskał ojca, a Rob postąpił krok w tył tak, żeby móc mu spojrzeć prosto w twarz. Dix zauważył ze zdumieniem, że Rob już nie był od niego niższy. Kiedy tak wyrósł? Nabierał też tężyzny, miał mniej kościste ramiona, szerszą klatkę i bary.

- Powiedz mi, co się stało, Rob.

Ruth stała bez słowa, wiedząc, że prawdopodobnie powinna odejść, ale nie mogła się zmusić do żadnego ruchu. Rob zerknął na nią.

Widziałem, jak pocałowałaś Ruth, tato.

Rafe aż podskoczył i wpatrywał się z niedowierzaniem w ojca i Ruth.

- Pocałowałaś ją? Kiedy?.

- Minutę temu - odpowiedział Rob.

- Tak - potwierdził Dix. - Pocałowałem. Nie zamierzałem, ale zrobiłem to.

- Jeśli tak naprawdę nie zamierzałeś... - zaczął Rob i przyjrzał się ojcu uważnie.

- To nie do końca prawda. Chciałem, wiedziałem, że nie powinienem, ale mimo wszystko to zrobiłem. Któryś z was ma z tym problem?

Zapadła pełna napięcia cisza, aż w końcu Rob wyszeptał:

- Chodzi o mamę.

Dix wiedział, że prędzej czy później nadejdzie chwila, w której w jego życiu pojawi się jakaś kobieta. Po zaginięciu Christie poruszał się spowity mgłą bólu, zbyt zajęty poszukiwaniami, żeby wyjaśnić wszystko chłopcom. Kiedy kilka tygodni później zaczął myśleć nieco jaśniej, zdał sobie sprawę, że chłopcom bardzo brakuje rozmowy o matce. Zrozumiał też, że on potrzebuje ich tak samo mocno jak oni jego, dlatego był z nimi tak szczery, jak tylko mógł. Dzięki temu nabrali zwyczaju opowiadania mu o wszystkim, co czuli. W każdym razie wierzył, że tak było. Sam zakopał swój ból

głęboko, dla dobra chłopców, i nauczył się z nim żyć. Aż do teraz, kiedy pocałunek z Ruth zerwał ich niewypowiedzianą umowę.

Dix przesunął dłonią po włosach syna, czując, jak ogarnia go fala miłości, bólu i poczucia winy. Nic nowego, ale teraz doszła jeszcze Ruth.

- Chodzi o mamę - powtórzył Rob.

- Wiem, Rob, wiem. Ale wasza mama zniknęła już prawie trzy lata temu.

- Billy Caruthers - zaczął Rafe - wiesz, ten kretyn z drużyny, którego trener nie wybrał, tylko mnie, kłapał dziobem na wszystkie strony, że mama pewnie uciekła z facetem, którego poznała na siłowni. Ja w to nie wierzę, ale jeśli to prawda, to może wróci.

Dix poczuł, jak rośnie w nim dzika, gorąca wściekłość.

- Wiesz, że tak nie było, Rob.

Oczy Roba zaszyły łzami, ale głos brzmiał pewnie.

- Tak, ja wiem. Powiedziałem mu, że mama nie zrobiłaby czegoś takiego, i wtedy zaczęliśmy się bić.

- A wujek Tony powiedział nam - wtrącił Rafe - że może mama była bardzo chora i nie chciała, żebyśmy patrzyli, jak umiera, dlatego odeszła. Ale jeśli to prawda, tato, to dlaczego ch) nas nie napisała?

- Wujek Tony tak wam powiedział? Kiedy to było, Rafe'?

- Jakieś trzy miesiące temu.

Rob skinął głową.

- Spytałem wujka Tony' ego czy mama miała raka, ale po wiedział, że nie wie, ale to musiało być coś naprawdę poważnego, czego nie da się wyleczyć.

Chłopcy nie chcieli przyjąć do wiadomości, że ich matka niżyła. Dix świetnie to rozumiał, bo sam często tak czuł.

- Posłuchajcie mnie, wasza mama nigdy by nas nie opuściła, nigdy. Żadna choroba, nic nie zmusiłoby jej, żeby zostawiła nas bez słowa. Dlaczego żaden z was mi o tym nie powiedział?

Rob unikał wzroku ojca. Potrząsnął głową, patrząc na Brewstera.

- To przez Ruth, tato. Powiedzieliśmy ci przez Ruth.

- Rozumiem. Nie planowałem pocałunku z Ruth, ale się stało. W końcu będę musiał pójść naprzód ze swoim życiem, z uczuciami, chociaż to trudne dla nas wszystkich. Wasza mama chciałaby tego. Żałuję, że, kiedy usłyszeliście to wszystko, nie przyszliście do mnie, tylko dusiliście to w sobie. Myślałem, że ten etap mamy już za sobą.

- Wierzysz, że mama nie żyje, bo inaczej nie zostawiłaby nas na tak długo - wyszeptał Rob.

W przedpokoju zapadła cisza. Dix popatrzył na chłopców. Od początku mówił im prawdę, ale wiedział, że oni nie chcą jej zaakceptować, a on, w obawie przed ich bólem, nie naciskał. Jednak teraz mogła pomóc tylko naga prawda, dlatego odsunął obu chłopców na odległość ramienia i popatrzył im prosto w twarz.

- Powtórzę wam to jeszcze raz: wasza mama nie zostawiłaby nas nawet na jeden dzień, dobrze o tym wiecie. Każdego dnia modlę się, żeby dane mi było dowiedzieć się, co się z nią stało, wszyscy zasługujemy na to, żeby wiedzieć. Nigdy nie przestanę szukać odpowiedzi, nigdy.

Wiem, że ona nie żyje, Rob, jestem o tym głęboko przekonany. Odkąd odeszła wasza matka... Nie, postawmy sprawę jasno. Od śmierci waszej matki próbowałem was kochać za nas dwoje i wiercie mi, Kocham was tak bardzo, że moja miłość sięga stąd aż do nieba. I tam właśnie jest wasza mama. A

co jakiś czas czuję jej obecność blisko siebie i wiem, że zawsze tak będzie.

Wicie, że szukałem i szukałem jakiejkolwiek wskazówki, która powiedziałaaby nam, co się z nią stało, ale nic nie znalazłem. Nie potrafię wam opisać, jaki ból mi to sprawia. Waszej mamie przydarzyło się coś złego i żałuję, że nie powiedziałem wam tego wprost. Popełniłem błąd. Teraz widzę, że staraliśmy się nie widzieć prawdy, bo ona jest zbyt bolesna. Nie będziemy już więcej tak robić, to nie fair wobec żadnego z nas. Obaj byliście bardzo dzielni i jestem z was niezwykle dumny.

Dix wyprostował się, popatrzył najpierw na Ruth, a potem na synów.

- Widzieliście, jak całuję Ruth, i to was zdenerwowało.

Rozumiem was. Bardzo lubię Ruth. Nie mam pojęcia, co ona o mnie myśli, ale wiem, że jest mądra, miła i naprawdę lubi was dwóch. Czy na razie może tak zostać?

- Ruth nie jest mamą - powiedział Rafe.

- Oczywiście, że nie. Ruth w niczym nie przypomina waszej mamy, ale też niczego jej nie odbiera, Christie nada jest wyjątkową osobą dla mnie i dla wszystkich, którzy ją kochali. Rozumiecie?

Twarze chłopców były nieprzeniknione.

- Chociaż nie, pod paroma względami Ruth jest dokładnie taka sama jak wasza mama. Jest twarda i jest bardzo dobrym człowiekiem. - Dix podał Rafe'owi Brewstera. - Nie musicie iść teraz do lekcji. Zabierzcie tego dobermana na spacer, zawołam was na kolację.

Dix i Ruth patrzyli, jak chłopcy zmieniają trampki na zimowe buty, wkładają kurtki i rękawiczki i wychodzą. Trzasnęły drzwi wejściowe, przynajmniej to było normalne. Po chwili usłyszeli, jak wrzeszczą do Brewstera.

- Chcesz zaprać tę piękną kurtkę? - Spytał Dix Ruth.

- Naprawdę myślisz, że jestem twarda? - Ruth była poważna.

- Może. Ale nie miałbym nic przeciwko temu, żeby znaleźć się z tobą w ciemnej alei. - Roześmiał się. - Jak uporasz się z kurtką, pomożesz mi przygotować sałatkę? Musimy się ratować przed mrożoną pizzą.

Rozdział 31

Waszyngton.

Piątek wieczór

Telefon Savicha zadzwonił o dwudziestej pierwszej piętnaście. Właśnie układał Seana do snu, przypominając mu po raz kolejny, jak wygląda opieka nad szczeniakiem. Pocałował syna na dobranoc i wyszedł do przedpokoju.

- Savich.

- Savich, mówi Quinlan. Przed chwilą był wybuch w Bonhornie Club. To mogła być wina bojlera, jeszcze nie wiemy. Jest mnóstwo dymu i ranni, a panika taka, że może ich być jeszcze więcej.

- Czy pannie Lilly nic się nie stało?

- Nie, ale nie zamierza pozwolić, żeby spłonęła jej kolekcja płyt jazzowych. Nie wiem co z Marvinem i Fuzzem. - Nie wpuszczaj jej do klubu, Quinlan, Już jadę.

Savich próbował się uspokoić. Zajrzał jeszcze raz do pokoju Seana, zobaczył, że maluch śpi słodko owinięty ulubionym kocykiem, z Robocopem u boku. Podszedł szybko do łóżka i znowu pocałował syna, który zachrapał cicho przez sen.

Sherlock i Graciella siedziały w kuchni, jadły pop-com i piły dietetyczną oranżadę. Kiedy Sherlock zobaczyła męża, skoczyła na równe nogi.

- Co się stało, Dillon?

- Przed chwilą dzwonił James Quinlan z Bonhomie Club. Był wybuch. Nie wiedział, czy to wina bojlera, ale są ranni. Wygląda na to, że panuje tam istne pandemonium. Pannie Lilly nic się nie stało, jest tylko wściekła. Muszę tam pojechać i im pomóc.

- To nie był bojler, Dillon, i ty dobrze o tym wiesz. To mógł być Moses Grace.

- Wiem, ale to nie ma znaczenia. Tam są nasi przyjaciele, Sherlock.

- Pojedziemy oboje. I będziemy mieli oczy szeroko otwarte.

Graciello, postaramy się wrócić jak najszybciej.

- Uważajcie na siebie! - zawołała za nimi Graciella. Wycie syren usłyszeli już dwie przecznice przed Houtton Street, a po chwili zobaczyli błyskające koguty i reflektory rozświetlające niebo. Na ulicy i chodnikach parkowały ciężarówki, a strażacy z węzami i siekierami w dłoniach biegli w stroni; klubu. Obok radiowozów i wozów strażackich z piskiem opon zatrzymała się furgonetka telewizyjna, chociaż zarówno Houtton Street, jak i boczne ulice zostały zablokowane. Pierwsza linia policjantów usiłowała powstrzymać gapiów, reporterów i kamerzystów. Za ich plecami inni funkcjonariusze pomagali gościom wybiegającym z klubu, którzy potykali się, brudni i kaszlący, i nawoływali narzeczonych, żony, bliskich. Reporterzy podtykali mikrofony pod nos każdemu, kto się do nich zbliżył, wyrzucali pytania z prędkością karabinu, uszczęśliwieni i pełni nadziei na kilka minut

w wieczornych wiadomościach. Dokoła tłoczyła się ponad setka ludzi, większość wystrojona na piątkowy wieczór w klubie, wśród nich przechodnie, którzy zatrzymali się, żeby popatrzeć lub pomóc. Savich zaparkował swoje porsche przed wejściem do klubu, gdzie sześciu policjantów pilnowało wolnego miejsca, pewnie dla szefa policji albo jakiegoś polityka, który postanowił okazać zainteresowanie i współczucie dla mieszkańców dzielnicy zasiedlonej głównie przez czarnych. Zanim policjanci zdążyli zaprotestować, Savich wyskoczył z auta i pokazał odznakę.

- Agent Dillon Savich. Co się dzieje?

- Wybuch w klubie - sapnął oficer Greenbera, wymachując wielką pięścią w stronę reportera, któremu udało się przedrzeć przez linię policjantów. - Niezbyt wielki, ale jest mnóstwo czarnego dymu i przez to wybuchła panika. Wie pan, co się dzieje, kiedy ludzie uciekają w ten sposób. Prawie wszyscy są już na zewnątrz, ale wciąż musimy opanować ogień i sprawdzić, czy ktoś nie został uwięziony w tym gęstym dymie. Hej, koleś z mikrofonem, cofnij się! Przepraszam. To zajęło nam chwilę, agencie Savich, ale opanowujemy sytuację. Wiem, że to wciąż wygląda jak pandemonium, ale zobaczyłby pan sytuację dziesięć minut temu. Do tyłu! - wrzasnął do trzech dziennikarzy, którzy dostrzegli Savicha i próbowali się do niego dostać.

- Bezduszne harpie - dodał, gdy zaczęły błyskać flesze. - Pewnie będzie pan w wiadomościach, agencie Savich, wszyscy wiedzą, kim pan jest. Musi pan porozmawiać z detektywem Millbrayem. On tu dowodzi razem z detektywem Fortnoyem. Zaprowadzę pana, inaczej nigdy go pan nie znajdzie.

- Savich!

James Quinlan podbiegł do niego i złapał za ramię. Był brudny, miał rozdartą marynarkę i małe rozcięcie nad okiem.

- Cieszę się, że tak szybko przyjechałeś. Nie powinienem był tak cię alarmować, nie jest tak źle, jak na początku myślałem. Więcej dymu niż czegokolwiek innego. Ale ten wybuch był tak cholernie głośny, że cały budynek zadrżał w posadach. Pannie Lilly nic nie jest, ale, jak możesz się domyślać, nie przestaje biadać nad klubem i swoją białą suknią. Fuzzowi, barmanowi, też nic się nie stało, nawdychał się tylko dymu. Pomaga wyprowadzać ludzi. Karetka zabrała Marvina, ochroniarza, do szpitala. Chyba poturbowali go spanikowani ludzie, ale lekarz powiedział, że nic mu nie będzie.

- Gdzie jest panna Lilly?

- Widziałem, jak wynosi ze strażakami jakieś pudła, pewnie płyty i dokumenty. O tam jest, mówi strażakom, co mają robić. - Uśmiechnął się szeroko, ukazując bardzo białe zęby błyszczące w osmolonej twarzy.

Savich ledwo rozpoznał pannę Lilly. Jej piękna biała suknia z satyny była zrujnowana, ale wrzeszczała ile sił w płucach, co uznał za dobry znak. Pomachał do Greenbera.

- Przepraszam na chwilę, zaraz wrócę.

Savich schwycił Sherlocka za rękę i przyciągnął blisko do siebie, żeby mogła go usłyszeć.

- Chcę, żebyś została na zewnątrz i wypatrywała Mosesa i Claudii. Może popadam w paranoję, ale wiesz, co myślę o takich zbiegach okoliczności. Na wszelki wypadek poproszę detektywa, żeby przydzielił ci trzech policjantów. Jeśli zauważysz Mosesa i Claudię, krzycz najgłośniej, jak możesz, dobrze?

Skinęła głową. Przynajmniej nie będzie musiała się obawiać, że ją stratuja. Oparła się o drzwi Porsche, z bronią luźno zwisającą u boku i wbiła wzrok w falujący tłum. Patrzyła, jak Greenberg prowadzi Dillona i Jamesa Quinlana przez gromadę gości klubu, policjantów i strażaków do miejsca, w którym wielki mężczyzna zwrócony plecami do tłumu obracał w ogromnych dłoniach jakiś

przedmiot. Mężczyzna miał na sobie długi, wełniany płaszcz, a na głowie wielką, rosyjską futrzaną czapę

Savich postukał detektywa Millbraya w ramię, a ten odwrócił się szybko i przyjrzał jego odznace.

- Wiem, kim pan jest, agencie Savich - powiedział lekko zdezorientowany. - Ben Raven z panem pracował, prawda? Jest tu gdzieś. Ta jego dziewczyna, dziennikarka z „Post”, wszystkich wypytuje. Przynajmniej trochę ubrudziła się krwią, wyciągnęła kogoś spod krzesła. Jestem Ralph Millbray.

Savich przedstawił detektywa Millbraya Jamesowi Quinlanowi.

- Quinlan jest nie tylko agentem FBI, raz w tygodniu gra tutaj na saksofonie.

- Niezłe zestawienie, agencie Quinlan.

- Proszę, żeby pan posłał kilku ludzi do pilnowania tej rudej kobiety, która stoi obok porsche - poprosił Savich. - Sytuacja jest krytyczna. Później to panu wyjaśnię.

Quinlan i Savich patrzyli, jak Millbray szybko przywołał czterech policjantów i polecił im otoczyć Sherlock.

- Dziękuję, detektywie. Co pan tu ma?

Millbray podał Savichowi urządzenie.

- Niech pan tylko popatrzy na ten niewinnie wyglądający gadżet. To fragment telefonu komórkowego użyty jako domowej roboty detonator. Całkiem popularny przedmiot na Środkowym Wschodzie, jak pan zapewne wie. Okazało się, że wybuch nie spowodował wielkich szkód, ale narobił wystarczająco dużo huk i dymu, żeby wystraszyć wszystkich na śmierć. Ktokolwiek skonstruował tę bombę, mógł dać dużo więcej materiału wybuchowego, a tak spowodował tylko masową panikę. Wygląda to niemal na jakąś chorą prowokację, jakby komuś zależało na zamknięciu klubu.

- Nie chodziło o zamknięcie klubu, detektywie - powiedział Savich. - Kiedy Quinlan do mnie zadzwonił, wiedziałem, że to może być Moses Grace. On wie, że występuję tu od czasu do czasu i przyjaźnię się z panną Lilly. Dlatego poprosiłem o ochronę dla agentki Sherlock. To moja żona.

Millbray zamarł.

- Ma pan na myśli tego zwariowanego starucha, którego szuka każdy glina w tym mieście? I tę nastolatkę?

Savich skinął głową, a Millbray zawołał jednego z sierżantów i odszedł na chwilę.

- Kazałem mu powiedzieć wszystkim, że sprawcy wciąż mogą tu być - wyjaśnił po powrocie. - I powiedziałem mu, kim prawdopodobnie są. Jeżeli on znał to miejsce, wiedział, że właścicielka jest dla pana ważna, dlatego podłożył taką kiepską bombę, zamiast przygotować prawdziwy wybuch?

Podszedł do nich jeszcze jeden policjant w cywilu.

- Detektyw Jim Fortnoy. Zadzwoniłem po posiłki. Przeczyszemy okolicę w poszukiwaniu tych dwojga.

Savich pokiwał głową i zwrócił się do Millbraya:

- Pytał mnie pan...

Wtedy usłyszał wrzask Sherlock. Machała bronią w górę, wskazując na jakiś punkt nad jego prawym ramieniem.

- Dillon, na ziemię! - krzyczała.

Wystrzeliła dwa razy, biegnąc w jego stronę, policjanci tuż za nią z bronią wymierzoną w dwupiętrowy budynek.

Ale Savich nie obejrzał się za siebie, patrzył na porsche.

Pomyślał o bombie, którą Moses podłożył w Motelu Hootera. Wokół samochodu kręcił się z tuzin ludzi i Savich nagle zrozumiał, co Moses zaplanował. Zwinął dłonie przy ustach i krzyknął najgłośniejszym głosem, jak mógł:

- Biegnijcie! Odsuńcie się od tego porsche! Tam jest bomba! Uciekajcie!

Fortnoy i Millbray krzyczeli wraz z nim, chociaż nic nie rozumieli. Czy Moses Grace był w budynku za nimi? Ale nie padły stamtąd żadne strzały.

Nikt się nawet nie zawahał. Nerwy napięte jak postronki po wybuchu w klubie kazały ludziom reagować błyskawicznie.

Millbray schwycił Savicha za ramię.

- Dlaczego myślisz, że tam jest bomba? Twoja żona i policjanci strzelali do tamtego budynku. Co się dzieje?

Savich usłyszał huk, gdy jego porsche zamieniło się w kulę ognia, poczuł wstrząs i podmuch gorąca. Siła wybuchu odrzuciła ludzi na zewnątrz, przewracając ich na chodnik lub rzucając na siebie nawzajem. Savich usłyszał wrzaski i krzyk policjanta, który kazał wszystkim paść na ziemię i zachować spokój. Otoczony szóstką policjantów Savich podbiegł bliżej auta. Upadł na kolana obok młodej kobiety leżącej bezwładnie na chodniku i przyłożył palce do jej szyi. Dzięki Bogu wyczuł puls. Zawołał ludzi z pogotowia. Po krótkiej chwili ciszy strażacy zaczęli biec w stronę płonącego porsche, jedni z wężami w dłoniach, inni pomagali ludziom odsunąć się od płomieni, wynosili tych, którzy nie mogli iść o własnych siłach.

Wszystko wyglądało jak z koszmaru: wrzaski, jęki, płacz, pomarańczowe płomienie strzelające pod nocne niebo, wysiłki strażaków, by zapanować nad paniką i strachem ludzi.

Savich obrócił się w kółko, wołając Sherlock. Widział ją przez ułamek sekundy, gdy biegła w jego stronę i strzelała w okna domu. Nagle ją dostrzegł, była bez czapki, a jej włosy, rozsypane na ramionach, wyglądały na tle surrealistycznie pomarańczowych płomieni, jakby same stanęły w ogniu.

I już była przy nim, twarz miała czarną, kurtkę rozerwaną.

- Wydawało mi się, że widziałam go w oknie na drugim piętrze. Celował do ciebie. Kilku policjantów pobiegło to sprawdzić. - Przytuliła go mocno do siebie. - Nic ci nie jest?

Zanurzył twarz w jej włosach.

Sherlock odsunęła się i popatrzyła mu w oczy.

- Wysadził twój samochód. Chciał, żebym ja wyleciała w powietrze razem z nim. Myślisz, że zdetonował bombę z tamtego okna?

- Wkrótce się dowiemy. - Przez chwilę Savich nie mógł wydusić słowa. Tak mało brakowało. - Nie potrafię ci powiedzieć, jak bardzo się cieszę, że kogoś tam zobaczyłaś. To ocaliło ci życie. - Udało mu się nawet powiedzieć to spokojnie, pomyślał patrząc na najdroższą mu istotę na świecie.

Sherlock, usmolona i piękna, uśmiechnęła się do niego.

- To ty wyczułeś tę bombę w aucie jak jasnowidz. Jak myślisz, dokąd uciekł Moses Grace?

- Millbray i Fortnoy posłają za nim połowę glin w Waszyngtonie.

Po kwadransie chaosu ludzie zaczęli przychodzić do siebie, uspokajali się powoli, gdy okazywało się, że ich najbliżsi są cali i zdrowi. Wielu po prostu odeszło, szczęśliwi, że żyją i w obawie przed kolejnym wybuchem. Pielęgniarki chodzili od grupy do grupy, odprowadzali rannych do czekających karettek. Wszędzie pracowały kamery telewizyjne, od razu przekazując spektakularny widok płonącego auta.

- Savich!

Savich podniósł wzrok i zobaczył biegnącego w ich stronę Bena Ravena, a tuż za nim Callie Markham w długim płaszczu, którego poły uderzały ojej buty.

- Jestem tutaj, z Sherlock. Nic nam nie jest. Ben ciężko dyszał, pot płynął mu po twarzy.

- To dobrze. Świetnie. Co za okropny bałagan. Przed chwilą wsadziłem do karetki mężczyznę, prawdopodobnie z obrażeniami wewnętrznymi. Dzieciak, który przyszedł zobaczyć, co się dzieje, dostał w głowę kawałkiem metalu. Mam nadzieję, że nic mu nie będzie. Cholera, Savich, twoje porsche. Twoje piękne porsche.

- Mówisz tak, jakbyś właśnie stracił najlepszego przyjaciela - powiedziała Callie i uderzyła go w ramię. - Weź się w garść, Ben, to tylko samochód. Najważniejsze, że Dillonowi i Sherlock nic się nie stało. Nigdy nie widziałam czegoś takiego, ale gliny świetnie sobie radzą.

- Ale ja się nim nigdy nie przejechałem.

- Moses Grace i Claudia wciąż mogą być niedaleko, chociaż wątpię w to. Zbyt wiele by ryzykowali. On musiał być blisko, żeby zdetonować bombę, Sherlock widziała go w tamtym oknie. Wybrał odpowiednią chwilę, by podrzucić ładunek do samochodu, i odszedł, co nie było trudne przy takiej liczbie ludzi. Pewnie czekał, aż wróce do auta, gdy Sherlock go zauważyła. - Znowu to do niego dotarło. Popatrzył na żonę i przycisnął ją do siebie tak mocno, że nie mogła oddychać. Jej kurtka wciąż była ciepła, a włosy śmierdziały dymem.

- Nic mi nie jest - wyszeptała. - Naprawdę, wszystko w porządku. - Przytuliła się do niego i pogłaskała go po plecach.

- Jestem idiotą. W ogóle nie powinniśmy byli tu przyjeżdżać. Miałaś rację, to była pułapka. Gdybyś nie dostrzegła Mosesa i nie pobiegła w moją stronę, zginęłabyś, a tamci policjanci razem z tobą.

Ben i Callie popatrzyli na siebie. Callie powoli wyjęła dyktafon i zaczęła cicho do niego mówić.

- Proszę cię, Callie, nie nagrywaj.

Patrzył na nią, dopóki nie skinęła głową i nie schowała dyktafonu.

Savich odwrócił się, żeby spojrzeć na dymiące zgliszcza porsche, jego chluby i radości od chwili, gdy dostał auto od ojca na dwudzieste pierwsze urodziny. Teraz została z niego tylko sterta pociętego metalu i czarny dym.

- Przykro mi z powodu twojego samochodu, Dillon.

- Nie bądź głupia. - Przytulił ją jeszcze mocniej. Pod prawą ręką poczuł coś mokrego i serce w nim zamarło.

- Sherlock, co się stało, co...

- Och, kurczę - wyszeptała, przełykając z trudem ślinę.

- Chyba jednak nie uszłam bez szwanku.

Savich zerwał z Sherlock kurtkę i zobaczył plamę krwi na jej prawym ramieniu.

Wziął ją na ręce i zaniósł do karetki, gdzie pielęgniarze pakowali już swój sprzęt. John Edsel, wysoki i zbudowany jak surfer, który akurat dziś obchodził dwudzieste piąte urodziny, znalazł się przy nich w ułamku sekundy.

- Co się stało? Poczekaj, Gus, mamy jeszcze jedną. - Gestem polecił Savichowi, żeby położył Sherlock na noszach.

- Nie, proszę, Dillon, pozwól mi siedzieć. Nie mogę leżeć płasko na plecach.

Savich usiadł na brzegu noszy i przytulił żonę do siebie, rozmawiając jednocześnie z

pielęgniarem.

- Agencie, musi ją pan puścić - powiedział Edsel. - Proszę odsunąć się o dwa kroki, tyle miejsca mi wystarczy. Mówił pan, że kiedyś już była ranna w to ramię?

- Tak, parę lat temu została dźgnięta nożem, nie zdążyła sil,) odsunąć.

- Dlaczego nie zdążyła się pani odsunąć? - spytał John, rozcinając rękaw swetra.

Sherlock wiedziała, że chłopak próbuje odwrócić jej uwagę, ale nagły atak bólu tak ją poraził, że omal nie zemdląca. Zapomniała, że taki ból może uderzyć człowieka jak obuchem. Próbowała skupić się na rzeczywistości.

- Chyba nie ćwiczyłam wystarczająco dużo, dlatego byłam za wolna. Dillon był na mnie wściekły i jak wyzdrowiałam, zemścił się na mnie na siłowni, dał mi taki wycisk, że ledwo żyłam. Teraz jestem tak silna, że mogłabym unieść tę karetkę. Niech się pan nie martwi, nie zemdleję.

- Och, rozumiem, pani też jest agentką FBI. Prowadzicie ekscytujące życie. To wasze porsche wyleciało w powietrze? No dobrze, nie jest tak źle, ta gruba kurtka ochroniła panią. Potrzeba tylko kilka szwów. Zabierzemy panią do szpitala.

John zatrzymał się na chwilę i popatrzył na powykręcana, dymiąca ruinę.

- Strasznie szkoda tego porsche. Jest pani gotowa się położyć? - Pomógł jej obrócić się i wyciągnąć na noszach, ale cały czas patrzył na samochód i potrząsał głową.

Rozdział 32

Waszyngton

Piątek w nocy

Dochodziła północ, gdy Ben Raven przywiózł ich do domu. Sherlock, nafaszerowana proszkami przeciwbólowymi, z prawą ręką na temblaku, nuciła melodię z „Gwiezdných wojen”, ale była tak oszołomiona, że nie wychodziło jej to zbyt dobrze. Pożegnała się z Benem i pozwoliła, żeby Dillon zaniósł ją do domu. Powiedzieli Gracielli, co się stało, i Savich wniósł żonę na górę. Posadził ją na brzegu łóżka i zaczął rozbierać, gdy zadzwonił jego telefon komórkowy.

Sherlock przestała nucić i wyszeptała:

- Jest dokładnie północ. Ma wycucie, co?

Dillon skinął głową, wziął głęboki oddech i próbował się uspokoić. Pozwolił, żeby telefon zadzwonił trzy razy, po czym pokazał gestem Sherlock, żeby zadzwoniła ze stacjonarnego telefonu do Budynku Hoovera i uprzedziła agentów o telefonie Mosesa Grace.

- Przygotowałeś niezły wybuch, Mosesie - powiedział do słuchawki.

- Rozjaśniliśmy noc, prawda? I wy też przyjechaliście. Podobało mi się to, pokazaliście, jaki jestem dla was ważny. Claudia i ja mieliśmy niezły ubaw, patrząc, jak ci wszyscy eleganci galopowali z klubu, wrzeszcząc, popychając się i przewracając nawzajem. Ludzie są tacy nieuprzejmi, prawda? Dobre maniery to tylko pozory. Kiedy chodzi o to, żeby przeżyć, zaciera się granica między dobrem a złem. Wybrałem Bon homie Club specjalnie dla ciebie, masz tam tylu przyjaciół. Wiedziałem, że przyjedziesz.

I proszę bardzo, nadjechałeś w tym swoim błyszczącym, czerwonym autku, zupełnie tak, jak przewidywałem. Claudia widziała, jak wyskakujesz z samochodu, i niemal się oblizała.

Zarechotał, czknał i przełknął flegmę. Savich niemal widział, jak ociera zylastą dłonią usta.

- Szkoda twojej radości i dumy, synku. Miałem łzy w oczach, kiedy auto stanęło w płomieniach. Wiesz, Claudia powiedziała, że my dwaj za dobrze się znamy. Twoja żonka dostrzegła mnie w tym oknie. Zaskoczyła mnie jak diabli, gdy zaczęła wrzeszczeć i strzelać. Prawie mnie trafiła, ale Claudia w porę mnie odciągnęła. - Westchnął. - Wtedy musiałeś zgadnąć, co się wydarzy.

Claudia była wściekła, że twoje małe kochanie nie wybuchło w powietrze razem z porsche, chciała zobaczyć, jak wylatuje w powietrze niczym kawałki blachy.

- Tak, znowu spieprzyłeś sprawę, tak samo jak w motelu - powiedział Savich z pogardą. - Ale jesteś stary, Mosesie, i tak chory i słaby, że tracisz pazur. I wiesz co? Jesteś kłamcą, żalonym, pokręconym kłamcą.

- Co? O czym ty mówisz, chłopcze? Bawiliśmy się tylko, nie mieliśmy zamiaru rozerwać was na strzępy tam, w motelu, ale gdyby tak się stało... cóż, zabawa by się skończyła, prawda? Dlaczego nazywasz mnie kłamcą? Nigdy cię nie okłamałem, synu.

- O tak, okłamałeś. Twierdziłeś, że-torturowałem kobietę, a” krzyczała z bólu, a potem ją zamordowałem. To kłamstwo. Nigdy nikogo nie torturowałem, nigdy nie zamordowałem, ani kobiety, ani mężczyzny. Tylko ty i ta psychopatyczna lolita robicie takie rzeczy. Po co wymyśliłeś takie brednie, Moses? Jesteś już tak żalosny, że musisz opowiadać takie bzdury, żeby poczuć się ważny?

Savich usłyszał bulgotanie flegmy w gardle starca, który dyszał przez chwilę, po czym wybuchnął:

- Niczego nie wymyśliłem, ty sukinsynu! Nie okazałeś jej odrobiny litości i sam też jej nie zaznasz!

Savich ściszył głos i warknął:

- Jesteś kłamcą, Moses. Dlaczego kłamiesz?

- Poczekaj, aż będzie wolna, i wtedy ją zamordowałeś.

Pożałujesz tego. Obiecuję ci, chłopcze, że zanim umrzesz, dowiesz się, kim była. Powiem ci przed samą śmiercią. Wszystko dotychczas było dla zabawy, ale koniec z tym. Teraz cię dopadnę i sprawię, że będziesz cierpieć tak jak ona. Zapłacisz mi za to. - Moses rozkaszał się głośno i przerwał połączenie.

Savich schował telefon do kieszeni koszuli i odwrócił się do żony.

- Bulgocze, jakby tonął. Dzwoniłaś do agenta Arnolda, a ja zadzwonię do Maitlanda, niech wyślą policjantów za Mosesem. Potem zdejmemy z ciebie to ubranie.

Sherlock dotknęła dłonią jego policzka.

- Świetnie ci poszło, Dillon. Dużo ci powiedział?

- Tak, wydaje mi się, że wiem już, o kogo chodzi. Moses powtarzał, że zabiłem kobietę, z którą był związany. Pomyśl o tym, Sherlock. Dziś wieczorem Moses podłożył w moim samochodzie bombę, chociaż dokoła kręciły się dziesiątki policjantów. Nikt go nie widział w motelu ani na cmentarzu, ani w okolicach restauracji Denny’ego, chociaż musiał gdzieś tam być. Kto z osób, które znamy, potrafił zrobić coś takiego? Sprawić, żeby ludzie widzieli tylko to, co ta osoba chciała, łącznie z nią samą?

Popatrzyła na niego uważnie.

- Tylko Tammy Tuttle.

- Bingo. Mogła uczyć się od niego.

- Ale przeglądaliśmy jej akta. Nie znaleźliśmy żadnych powiązań.

- Myliliśmy się.

Sherlock wstała.

- Arnold ma za chwilę oddzwonić, a potem dopadniemy tego starego wariata. - Położyła mu palec na ustach. - Nie, nie rozbieraj mnie i nie kłóć się ze mną. Siedzimy w tym razem. Nic zemdleję, może nawet zaśpiewam ci jeszcze jakąś piosenkę.

O pół do jedenastej w sobotę rano Savich otworzył drzwi i zobaczył Ruth z Brewsterem na ręku, a za jej plecami szeryfa Dixona Noble’a i jego roześmianych synów.

- A to dopiero niespodzianka! Ruth, mówiłem ci wczoraj, że wszystko w porządku. Nie powinnaś była przyjeżdżać, ty...

- Milcz, Dillon, w ogóle nic nie mów. Tak się martwiłam, że musiałam sama sprawdzić. Gdzie jest Sherlock? - Ruth objęła Savicha, Brewster czekał między nimi jak szalony. - Te wszystkie straszne sceny, które pokazywali w wiadomościach. Wyglądały jak obrazy z piekła. Proszę, powiedz mi, że Sherlock nic się nie stało.

- Nic jej nie jest, słowo.

- Dobrze, dobrze. Nie mogliśmy tego znieść, musieliśmy się upewnić.

- Inaczej mówiąc - powiedział Dix, wyciągając dłoń do Savicha - Ruth obawiała się, że kłamiesz, że tak naprawdę leżycie oboje w szpitalu podziurawieni kulami i kawałkami płonącego metalu, a my martwiliśmy się tak samo jak ona. Powiedziała, że wygarbuje wam skórę, jeśli nie będziecie uśmiechnięci i na nogach, jak tu przyjedziemy. Twoje porsche... w wiadomościach pokazywali, jak podjeżdżasz pod klub, a potem jak samochód płonie. Niezły widok.

- No dobrze, Brewster, chodź tutaj.

- Uważaj, Savich, wiesz, jaki on jest - ostrzegł Dix.

- Tak, wiem. - Savich pozwolił Brewsterowi polizać się po brodzie i lekko odsunął go od siebie, ale psiak się nie zsiusiał. - Pół godziny ternu byliśmy z nim na spacerze - wyjaśnił Rafe. - Pewnie jego bak jest pusty.

- Jestem pewien, że ma zapasowy - mruknął Dix.

- Rob mówi, że jak się prowadzi taki samochód jak pana porsche, to można poderwać każdą dziewczynę - powiedział Rafe.

- Pewnie - odrzekł Dix. - Ale na to auto już nikogo nie da się poderwać.

Do przedpokoju wszedł Sean, a zaraz za nim Sherlock.

Chłopiec zatrzymał się i wpatrzył w Brewstera, który lizał jego ojca po twarzy.

Ruth dostrzegła temblak na ramieniu przyjaciółki.

- O mój Boże, Sherlock, Dillon powiedział, że zostałam ranna w ramię, ale mówił, że lekko. Co się stało?

- Nic mi nie jest, naprawdę. To był kawałek rozgrzanego metalu, ale ledwo mnie drasnął. Cześć, Rob, Rafe, Dix. Cieszę się, że was widzę. Wejdźcie, wejdźcie. Och rety, Dillon, szybko, zdejmij Brewstera z dywanu, on siusia.

Pół godziny później czwórka dorosłych siedziała przy kuchennym stole, piła kawę i herbatę i pogryzała placuszki z rodzynekami z nowej piekarni „Słodkości” na Potomac Street. Chłopcy zjedli po sześć ciastek każdy i teraz bawili się z Brewsterem w salonie pod czujnym okiem Gracielli, która siedziała na kanapie, robiła sweter na drutach i uśmiechała się do dzieci i najśłodszego psiaka, jakiego widziała w życiu.

- Znowu rzuciłeś mu wyzwanie - powiedziała Ruth do Savicha. - Myślałeś, że uda ci się go złamać.

Savich wzruszył ramionami.

- Za nic nie mogłem dojść, kim on jest. Nigdy nie zabiłem żadnej kobiety, ale po wczorajszym wybuchu i telefonie Mosesa chyba już wiemy, o kim mówił.

Ruth pochyliła się do przodu, opierając łokcie na stole. Savich musiał coś dostrzec w oczach żony bo wstał, wziął z blatu proszek przeciwbólowy i podsunął jej do ust. Kiedy przełknęła pigułkę, usiadł z powrotem i wznosił filiżankę w geście toastu w stronę Ruth.

- Jesteś gotowa? Ta kobieta to Tammy Tuttle. Ruth zamarła.

- To było, zanim dołączyłam do oddziału, ale dużo o niej słyszałam, o jej umiejętności sprawiania, że ludzie widzieli to, co chciała - wyjaśniła Dixowi.

- Masowa hipnoza? - spytał Dix, unosząc brew. - Jesteście pewni? To dosyć dziwaczne.

Savich skinął głową.

- Nie musisz mi mówić. Bardzo trudno było nam ją wytropić, mimo że dwa razy mieliśmy ją na

widoku. Dzięki Bogu nie udało jej się wszystkich oszukać. Kiedy zbliżyła się do mnie, nie wiadomo dlaczego, ale rozpoznałem ją. Moses miał rację tylko w jednej kwestii: prawie odstrzeliłem jej ramię. Chciała zabić dwóch nastolatków, których porwała razem ze swoim zwariowanym bratem bliźniakiem, Tommym. Musiałem postrzelić ją w ramię, przez co straciła rękę. Uciekła ze szpitala i zaczęła mnie ścigać, z taką zaciętością jak Moses.

- Ale Dillon jej nie zabił - powiedziała Sherlock. - Wtedy mieszkała u nas jego siostra. Tammy porwała ją z naszego domu i ukryła w stodole w Plum River w Maryland, gdzie to wszystko się zaczęło. Siostrze Dillona udało się zabić Tammy i uratować. Przyjechaliśmy, jak już było po wszystkim.

- Twojej siostrze nic się nie stało? - spytał Dix.

- Nie, nic.

Ruth ugryzła ze smakiem placuszka.

- Chcę wyjść za faceta, który to upiekl.

- Arturo waży ze dwieście kilo - uprzedził Savich.

- No dobrze, może nie jest idealnym kandydatem. - Ruth uśmiechnęła się szeroko. - W takim razie kim jest Moses Grace? Dziadkiem Tammy Tuttle?

- Być może. To ciekawe, Moses nie wspomniał nic o bliźniaku Tammy, Tommym. Zastanawiam się dlaczego.

- Jedyne rodziny, o jakiej wiemy, to Tommy i kuzynka Tammy, Marilyn Warluski - powiedziała Sherlock. - Do niej należała stodoła w Plum River i dzięki temu MAX ich namierzył. Marilyn nie zrobiła nic złego, była trochę opóźniona i podatna na wpływy albo kuzyni po prostu ją pobili. Manipulowali nią i wykorzystali, ale przeżyła. Wszyscy modlimy się, żeby wiedziała coś o Mosesie Grace, może będzie potrafiła nam podać jego prawdziwe nazwisko.

- Pamiętam, że pytałam Marilyn o rodziców Tommy'ego i Tammy, a ona powiedziała, że ich mama nie żyje. Nie wiedziała, kim był ojciec. Nie pytałem o innych krewnych, wtedy zbyt dużo się działo. Pomysł, że Moses Grace jest ich dziadkiem, wydaje się sensowny. Od kogoś musieli dostać te geny szaleństwa, a Moses byłby doskonałym dawcą.

- Nie udało się wam namierzyć Mosesa po wczorajszym telefonie? - spytał Dix Savicha.

- Nasi ludzie zlokalizowali miejsce, z którego dzwonili, z parkingu restauracji w Juniperville w Wirginii, jakieś czterdzieści minut drogi stąd, ale identyfikacja telefonu trwała zbyt długo i zniknęli, zanim policja zdążyła tam dojechać. Jestem pewny, że Moses dobrze wie, ile czasu zajmuje nam namierzenie ich przez komórkę. Używa telefonów komórkowych, bo uwielbia, kiedy gliny pędzą na złamanie karku tylko po to, żeby zobaczyć pusty parking.

- Będziecie musieli znaleźć inny sposób - powiedziała Ruth.

- Mam kilka pomysłów - odrzekł Savich, ale nie zdradził żadnych szczegółów.

Sherlock ścisnęła go za rękę.

- Dillon poprosił Dane'a Carvera, żeby znalazł Marilyn Warluski. Ostatnio słyszeliśmy, że była na Karaibach, więc najpierw sprawdzi wyspy. To nie powinno długo potrwać, chyba że Marilyn ukrywa się z jakiegoś nieznanego nam powodu.

- Jest jeszcze coś - powiedział Savich, popijając herbatę.

- Czasami, kiedy rozmawiam z Mosesem, jego gramatyka jest fatalna, ale innym razem mówi bezbłędnie. Myślę, że gra ze mną w jakąś grę, chce, żebym odniósł wrażenie, że jest niewykształcony, ale potem zapomina się i mówi normalnie. Tak samo jest z jego południowym

akcentem, raz go ma, a raz nie. Naprawdę nie sędzę, żeby był aż takim nieukiem, jakiego udaje.

Rafe i Rob weszli do kuchni, Sean biegł między nimi, a Graciella podążała za całą trójką, uśmiechając się jak dumna mama.

- Agencie Savich - powiedział Rob - słyszeliśmy, jak rozmawiacie o tej kobiecie, Marilyn Warluski, że ona ma stodołę koło Plum River i że jej szukacie. Zapytaliśmy Graciellę, jak to się pisze, i wrzuciliśmy jej nazwisko w Google na laptopie. Marilyn Warluski mieszka w Summerset, w Maryland, pod numerem trzydziestym ósmym na Baylor Street. Znaleźliśmy Summerset na mapie, leży jakieś dziesięć mil na północ od Plum River. Mogliśmy od razu do niej zadzwonić, ale Graciella uznała, że najpierw powinniśmy was zapytać. Powiedziała, że miło by było, gdybyśmy zostawili wam coś do zrobienia.

Savich wstał, podszedł do chłopców i mocno ich przytulił. - Lepiej nauczcie Seana wszystkiego, co umiecie, dobrze? Ruth popatrzyła na Dixę.

- Jeśli chłopcy nas słyszeli, to raczej nie odbywamy tu prywatnej konferencji. Może za małą łapówkę zgodzą się wyjść z Graciellą. Co ty na to, Sherlock?

Dziesięć minut później Graciella poprowadziła całą gromadkę w stronę lodziarni na Prospect Street.

- No dobrze - powiedział Savich, siadając. - Pora, żebyście opowiedzieli nam o postępach w dochodzeniu w Maestro.

- Musieliśmy porzucić wątek balsamowania - powiedziała Ruth. - Nie ma mowy, żebyśmy namierzyli źródło zakupu, ten płyn jest wszędzie dostępny, można go nawet kupić na ulicy. Niektórzy narkomani są wystarczająco głupi, żeby nasączać nim marihuanę.

Co do gazu BZ, to dowiedziałam się, że mimo iż używa się go do produkcji bomb dla wojska, też jest powszechnie dostępny.

Rob i Rafe mogliby zamówić go przez internet. Przejrzałam kilka artykułów medycznych na Medline i okazało się, że używa się go do badań nad neuroprzekaznikami. Jest dostarczany do tysięcy laboratoriów na całym świecie. Tak samo jak w przypadku płynu do balsamowania namierzenie konkretnego źródła jest niemożliwe.

Dowiedziałam się, że kiedy byłam w jaskini, nie musiałam koniecznie wdychać gazu. On wnika do organizmu także przez dotyk, więc bez trudu mogłam wchłonąć go, jeśli dotknęłam czegoś, na czym osiadł.

- I co zamierzacie dalej robić? - spytała Sherlock.

- Zaczęliśmy szukać dowodów na działalność seryjnego mordercy. Sprawdziliśmy rejestr osób zaginionych w ciągu ostatnich pięciu lat w promieniu pięćdziesięciu mil od Maestro i natrafiliśmy na dziewiętnaście przypadków.

- To chyba dużo - uznała Sherlock. - Sprawdziliście, jakie są statystyki?

Dix skinął głową.

- Tak, to prawie piętnaście procent więcej, niż wskazują statystyki w wiejskich rejonach w Wirginii. Większość zaginionych była młoda, niektórzy z nich mogli uciec z domu. Znaleźliśmy kalendarze Helen Rafferty, wszystkie porządnie schowane w biurze, i próbowaliśmy zestawiać daty zniknięć z wyjazdami Gordona z miasta.

- Oczywiście to nie były duże odległości, Gordon nie musiałby wyjeżdżać na noc, mógł po prostu pojechać do sąsiedniego miasta, zauważyć ofiarę i ją porwać - dodała Ruth.

- Ale sześć wyjazdów poza miasto przypadło dokładnie w tym samym terminie, gdy zniknęły

nastolatki i młode kobiety. To mógł być zbieg okoliczności.

Sherlock postukała palcami w blat stołu.

- Jeśli morderca jeździł po tych miastach w poszukiwaniu ofiar, ktoś musiał go zobaczyć, może nawet w towarzystwie ofiary.

- Tak, masz rację - zgodziła się Ruth. - Dix wysłał dziś kilku ludzi, żeby porozmawiali z policją w miastach niedaleko Maestro. Chcemy, żeby poznali wszystkie szczegóły tego, co się u nas wydarzyło i co stało się z Erin. Muszą jeszcze raz przyjrzeć się tamtym sprawom i porozmawiać z rodzinami.

- Myślicie, że to Gordon? - spytała Sherlock.

- To trudne - odpowiedział Dix - zwłaszcza że mówimy o wuju mojej żony, ale śmierć Helen wskazuje na kogoś stąd, kogoś, kto zna wszystkich graczy.

- Mimo wszystkich protestów i łez Gordon był z nimi najbliżej - przypomniała Ruth.

- Jak na razie nie mamy dymiącego pistoletu - powiedziała Sherlock. - Oskarżycie Gordona, a on się wkurzy albo was wyśmieje i nigdy więcej nie będzie chciał z wami rozmawiać. - Musimy mieć coś jeszcze - przyznał Dix. - Jakies konkretne dowody, może świadka.

- Czy li czeka was rutynowa, policyjna robota - podsumował Savich. - Mamy ludzi, którzy mogą pomóc wam przeszukać miasta, o których wspomniałeś. Mogę zadzwonić do Billy Gainera, naszego agenta w Richmond, żeby z wami współpracował.

- Byłoby świetnie.

Kiedy Graciella wróciła z chłopcami, kompletnie zasłodzonymi potrójnymi deserami lodowymi, Ruth uznała, że pora iść. Sean wbił sobie do głowy, że wyjdzie razem z nimi, i zajęło im dziesięć minut, żeby go przekonać, że to nie jest dobry pomysł.

Rozdział 33

Summerset, Maryland Sobota po południu

Dzień był słoneczny i zimny. Synoptycy przysięgali, że nie będzie opadów śniegu aż do wtorku, ale nikt w to nie wierzył. Savich i Sherlock dotarli do Summerset w stanie Maryland o trzeciej, a dziesięć minut później znaleźli numer 38 na Baylor Street. Savich zaparkował volvo Sherlock na małym podjeździe przed jednopiętrowym domem w dzielnicy, którą dołączono do Summerset trzydzieści lat wcześniej.

- Wynajmuje ten dom od ponad dwóch lat, odkąd skończyła dwadzieścia trzy lata - powiedział Savich, patrząc na mały ogród, obsadzony kilkoma dębami, których gałęzie zwieszały się nad domem. - Właściciel jest świetnym stolarzem i producentem mebli. Ona pracuje u niego.

Savich zapukał do świeżo pomalowanych drzwi wejściowych otoczonych skrzynkami pełnymi bratków. Nikt nie otworzył, nie było też słycać zbliżających się kroków. Savich zapukał jeszcze raz, odczekał chwilę, po czym się cofnął.

- No dobrze, sprawdźmy w garażu. Ona prowadzi toyotę camry z dziewięćdziesiątego szóstego roku. Jeśli auta nie ma, jej też raczej nie będzie w domu.

W elektronicznych drzwiach garażu było małe okienko, więc Savich nie musiał próbować ich otwierać. W środku nie stał żaden samochód.

Sherlock podrapała się w rękę w wiszącą na temblaku.

- Może być wszędzie.

- To prawda. Ale wiesz co? Nie sądzę, żeby Marilyn nosiło po świecie. Mam pomysł. Sprawdźmy, czy mam rację.

Parę minut później Savich skręcił w dziurawą, asfaltową drogę. Sherlock spojrzała na rząd klonów, których nagie gałęzie kołysały się na wietrze.

- Okolica wygląda znajomo. Wiesz, cieszę się, że znowu zobaczę tę stodołę. Wszystko się tutaj skończyło.

Savich pamiętał tamto popołudnie, jakby to było wczoraj. - Tamtego dnia wygraliśmy. Ci chłopcy, których porwali, też.

- To dziwne, jak dobrze Moses Grace zna niektóre fakty, a jak bardzo myli się co do innych. Musiał szukać informacji jedynie w gazetach.

- Tak, a resztę sobie wyobraził. Wielkie nieba, popatrz tylko na to.

Wielka stara stodoła, nieużywana od dziesiątek lat, nie była już opuszczoną ruiną. Odpadające niegdyś deski pomalowano na jaskrawoczerwony kolor, który odbijał popołudniowe słońce przeświecające przez gałęzie drzew. Śmieci i części maszyn, które kiedyś walały się dokoła, zniknęły, a do podwójnych, wielkich drzwi prowadziła zwirowana ścieżka.

- To miejsce wygląda zupełnie inaczej. Myślisz, że Marilyn to zrobiła?

- A kto inny? Spójrz, drzwi są uchylone. Ona musi być w środku. - Savich otworzył z uśmiechem drzwi. To niesamowite, pomyślał, patrząc na zalane słońcem wnętrze. Uprzątnięcie gnijącego siana, zardzewiałych maszyn i drewnianych żłobów musiało zająć kilka miesięcy. Namalowane na środku czarne koło, które tak dobrze pamiętał, zniknęło, podłogę pokryto czystą sklejką. Ściany wygładzono i pomalowano, a w okna wstawiono szyby. Stara stodoła pachniała świeżym powietrzem, farbą, trocinami i klejem do tapet.

Ruszyli na drugą stronę stodoły pod opuszczonym sufitem, z którego zwieszały się nowe lampy rozjaśniające pomieszczenie wielkimi kręgami światła. Widoczne na przeciwległej ścianie schody prowadzące na strych zostały odnowione i pomalowane i wyglądały na bardzo solidne.

Savich usłyszał nucenie i zawołał: - Marilyn? Czy to ty?

Nucenie ustało, a kobiecy głos z nutką lęku spytał: - Kto tam?

- Agent Di Iton Savich i agent Sherlock z FBI. Pamiętasz mnie?

Z zaplecza wyszła młoda kobieta z pędzlem w dłoni ubrana w stare, poplamione farbą dzinsy, za dużą koszulę i sfatygowane tenisówki. Zgarbiona, zastraszona dziewczyna z nadwagą, tłustymi włosami i przerażonym wzrokiem, którą oboje pamiętali, zniknęła. Ta kobieta była zdrowa, miała bystre spojrzenie i czyste włosy, związane w koński ogon.

- Agent Savich? To naprawdę ty? Och wielkie nieba, to ty! I jak fantastycznie wyglądasz! - Zarzuciła mu ręce na szyję i podskoczyła, żeby objąć go nogami w pasie. Odchyliła się lekko i uśmiechnęła szeroko. - Och, to po prostu ekstra! Pamiętasz ten list, który wysłałam ci z Aruby? Pisałam, jak bardzo się cieszę, że Tammy cię nie zabiła? - Pochyliła się do przodu i ucałowała go głośno w oba policzki. - Nie myślałam, że jeszcze kiedyś cię zobaczę.

Savich schwycił ją delikatnie za nadgarstki i rozplątał uścisk wokół swojej szyi.

- Marilyn - powiedział ze śmiechem - nie myśl, że nie podoba mi się takie powitanie, ale to jest moja żona, agent Sherlock. Pamiętasz ją, prawda? Teraz ma rękę na temblaku, ale gdyby nie miała, sama ściągnęłaby cię ze mnie i mocno uściskała za to, jak bardzo nam wtedy pomogłaś.

Marilyn odwróciła się w jego ramionach.

- Och, cześć, agentko Sherlock. Dlaczego ty też nie nazywasz się Savich?

Sherlock uśmiechnęła się do kobiety, której nogi wciąż oplatały talię jej męża.

- Cóż, widzisz Marilyn, jeden agent Savich już jest. Uwierz mi, FBI nie potrzebuje drugiego. Poza tym dzięki mojemu nazwisku źli kolesie pomyślą dwa razy, zanim spróbują ze mną zadrzeć.

- Sherlock - powiedziała Marilyn, przeciągając samogłoski.

- Tak, podoba mi się. - Zeskoczyła na podłogę i uśmiechnęła się do Savicha. - Kopę lat, panie Savich.

- I mnóstwo zrman na lepsze - dodał.

- Dwa lata temu ukończyłam dziewięciomiesięczny kurs obróbki drewna w centrum architektonicznym w Baltimore, nauczyłam się inkrustować, żłobić, rzeźbić i tak dalej, a potem dowiedziałam się o tym starszym panu, który ma sklep właśnie tutaj, w Summerset. Jest absolutnie wspaniały, rzemieślnik w dawnym stylu, słynie z wyrobu mebli w całej okolicy. Udało mi się go przekonać, żeby mnie zatrudnił. Nazywa się Buzz Murphy i jest uroczym staruszkciem. Uczy mnie wszystkiego, co sam umie, i jesteśmy już prawie partnerami. Zamierza odsprzedać mi sklep, jak pójdzie na emeryturę. - Przerwała na chwilę. - Hm, do tego stary bałwan chce się ze mną ożenić, ale nic z tego.

Już nie jestem biedna, w każdym razie nie aż tak jak kiedyś.

I schudłam, chodzę na siłownię, a frytki jem tylko dwa razy w tygodniu. - Uniosła za dużą koszulę i okręciła się wokół własnej osi, pokazując brzuch.

Sherlock roześmiała się.

- Wyglądasz świetnie, Marilyn, może nawet zbyt dobrze, dlatego wolałabym, żebyś odsunęła się od mojego męża. - Zatoczyła ręką dokoła. - To wielkie przedsięwzięcie i jak dużo już osiągnęłaś.

Marilyn aż pojaśniała z radości.

- Czyż to nie wygląda wspaniale? Zabrało mi całe miesiące. Kiedy trzeba coś zrobić, a sama nie potrafię sobie z tym poradzić, znajduję kogoś, kto umie. - Wskazała ręką na kilka mahoniowych krzeseł. - Widzicie tamte krzesła, które zrobiłam z Buzzem? Uwielbiam chippendale. - Marilyn była tak podekscytowana, że niemal tańczyła.

- To brytyjski wzór z końca osiemnastego wieku. Spójrzcie na te skomplikowane ryty, kurczę, ile one wymagają delikatności i koncentracji, i na te nogi w kształcie łap, za te cudeńka można dać się pociąć.

- Są niesamowite - przyznała Sherlock. - Tak starannie wykonane.

- Buzz pomagał mi przy ozdobach, ale ostatnie dwa zrobiłam zupełnie sama. Założę się, że nie poznacie, które zrobiłam bez jego pomocy.

Savich przyjrzał się meblom uważnie, przejechał dłonią po zawitym wzorze na jednym z krzeseł i uśmiechnął się.

- Nie, nie potrafię powiedzieć. Jesteś naprawdę dobra, Marilyn.

- Dziękuję. Już przygotowałam sobie starą narzędziownię, będę miała tam biuro. A mieszkać będę na strychu. Skończę go za kilka miesięcy i wtedy się wprowadzę.

Zdecydowałam, że nie chcę ani sklepu, ani domu Buzza, wezmę tylko jego narzędzia, wyposażenie i klientów, ale jeszcze mu o tym nie powiedziałam, prowadzi ten interes od trzydziestu lat. Ale mój sklep będzie tutaj. Będę tu miała mnóstwo miejsca do pracy. I światło, popatrzcie, jakie cudowne jest światło!

Savich powoli przyzwyczajał się do tego, jak bardzo Marilyn się zmieniła. Nie tylko zewnętrznie, zniknęła też aura beznadziei i lęku, która ją otaczała. Nie była już tą sterroryzowaną dziewczyną, wykorzystywaną przez Tuttle'ów, tylko rozsądną, młodą kobietą.

Savich wziął ją za rękę. Wiedział, że znowu ją zdenerwuje, ale nie miał innego wyjścia.

- Nie chcę cię niepotrzebnie straszyć, Marilyn, ale potrzebujemy twojej pomocy. To dotyczy Tammy.

Jej dłoń drgnęła w jego uścisku, ale Savich mocno ją przytrzymał. Przez chwilę w oczach Marilyn malowała się panika.

- Wszystko w porządku. Wiesz, że Tammy i Tommy od dawna nie żyją. Chodzi o kogoś blisko z nimi związanego. Szukamy starszego mężczyzny, który znał Tammy, być może jej dziadka.

- Ale dlaczego? Oni wszyscy nie żyją, prawda? Przysięgasz, że Tammy umarła, Savich?

- Oczywiście, że umarła - zapewnił ją. - Ale żyje jeden niebezpieczny starzec, tak szalony i agresywny jak Tammy. Chce pomścić ją, zabijając mnie. I chce skrzywdzić Sherlock. Pomóż nam, Marilyn, powiedz, kim on jest.

- Moses Grace? - wyszeptała, blada na twarzy i z dawnym wyrazem strachu w oczach. - Ten starzec, o którym wszyscy mówią? I ta nastolatka, która z nim jest? Claudia?

Savich skinął głową.

- Och, Boże, myślisz, że on coś wie o tej stodole?

- Nie, nie sądzę. W żadnej gazecie nie podano dokładnej lokalizacji. I uwierz mi, Marilyn, gdyby w jakiś sposób dowiedział się o tym miejscu, byłby tu już kilka miesięcy temu. Nie wie. Zaufaj mi.

- To dobrze. Myślisz, że Moses Grace jest dziadkiem Tammy?

- Tak, to bardzo prawdopodobne. Jest zbyt stary, żeby być jej Ojcem.

- Nie chcę, żeby on cię zabił. - Skinęła głową w stronę temblaka na ramieniu Sherlock. - On to zrobił?

- Tak - odpowiedział Savich.

- Masz rację, on nie może być ojcem Tammy. Jej tata odszedł, kiedy oboje z Tommym byli bardzo mali.

- Dobrze. Mówiłaś, że twoja mama i mama Tammy były siostrami. Opowiedz nam, Marilyn, co wiesz o innych krewnych: nazwiska, adresy, cokolwiek.

- Trudno mi o nich mówić, ale spróbuję. - Wskazała im mahoniowe krzesła. - Proszę, siadajcie. No dobrze. - Zamilkła, wyciągnęła nogi przed siebie i wepchnęła ręce do kieszeni dżinsów.

W końcu zaczęła mówić, powoli, jakby ktoś wyciągał z niej słowa wbrew jej woli:

- Mieszkałam z mamą w Dalton, w Kansas. Tammy i Tommy mieszkali w Lucas City, niewielkim miasteczku odległym od naszego o jakieś piętnaście mil. Nie pamiętam, żeby kiedykolwiek była mowa o ojcach, ale jestem pewna, że nasze matki miały mężów. Na mamę Tammy mówiłam ciotka Cordie. Cordelia Tuttle, Tuttle to było nazwisko po mężu, ale, jak już powiedziałam, on dawno odszedł. Mój tata miał na nazwisko Warluski, dlatego moja mama nazywała się Marva Warluski. Mój staruszek zniknął jeszcze przed moim urodzeniem.

Mama mówiła, że Cordie ma mózg wielkości orzeszka ziemnego i jest złośliwa jak żmija, a Tommy i Tammy są podobni do niej jak dwie krople wody. Za każdym razem gdy mnie bili, mama mówiła, że dopóki nie skręcą mi karku, wszystko jest w porządku, bo muszę przestać być mięczakiem.

Chowałam się, kiedy do nas przychodzili. - Zamilkła na chwilę i wygięła usta. - Ale zawsze mnie znaleźli i zbili na kwaśne jabłko. Mama nazywała mnie tchórzem.

- Pamiętasz jakichś innych wujków albo ciotki? Marilyn potrząsnęła głową.

- Moja mama nigdy o nikim takim nie mówiła. Ciotka Cordie też nie.

- Twoja mama i matka Tammy obie nie żyją, prawda, Marilyn?

- Tak, umarli, kiedy byliśmy nastolatkami. Wtedy Tommy i Tammy mnie zabrali, powiedzieli, że muszę robić dokładnie to, co mi każą, albo wrzucą mnie do dołu pełnego węży.

- Jak one umarły?

- Tommy powiedział, że włamały się do domu tej staruszki, żeby zabrać jej emeryturę, ale ona nie chciała im powiedzieć, gdzie trzyma pieniądze. Sąsiad usłyszał krzyk starszej pani i zadzwonił na policję. Wybiegły z domu, gliny za nimi i jeden z nich strzelił w tylną oponę. Mama nie mogła utrzymać samochodu na drodze i uderzyły w drzewo. Obie zginęły na miejscu.

Sherlock poczuła falę mdłości i przełknęła. Marilyn mówiła o tym tak spokojnie. Zobaczyła, że wyraz twarzy Dillona się nie zmienił, ale oczu mu pociemniały.

- Powiedz nam, jakie było panieńskie nazwisko twojej matki - poprosił.

- Marva Gilliam.

- Czy Cordie nosiła to sarno nazwisko?

- Ciotka Cordie... tak, ona też nazywała się Gilliam.

- Dobrze, bardzo dobrze. Cordelia Gilliam. Czy kiedykolwiek spotkałaś dziadka lub babcię?

Marilyn ponownie zamknęła oczy.

- Babci nie pamiętam. Ale dziadka... tak, pamiętam go. Nigdy u nas nie był, tylko u ciotki Cordie. Miałam może sześć lat, kiedy przyjechał. Coś musiało się wydarzyć, bo nagle zniknął. Może zrobił coś złego i musiał uciekać. Był podły, agencie Savich, tak podły jak ciotka Cordelia, Tommy i Tammy. Uderzył Tammy w głowę, a potem tulił ją i głaskał po włosach. To mnie śmiertelnie przeraziło, teraz widzę, że coś było nie tak w sposobie, w jaki ją przytulał.

- Widziałaś go jeszcze kiedyś?

- Po śmierci mamy przyszedł kiedyś w środku nocy do domu

Tammy i Tommy' ego. Pakowaliśmy się, bo mieli przyjechać po nas ludzie z opieki społecznej i musieliśmy uciekać. Wcisnął Tammy do ręki całą garść banknotów, pocałował ją, tak z otwartymi ustami, poklepał ją po policzku i wyszedł. Pamiętam, że Tammy wybiegła za nimi wróciła dopiero po godzinie. - Marilyn popatrzyła na Savicha. - Nie myślałam o tym od lat. Naprawdę nie zdawałam sobie sprawy... ale Tammy nie miała wtedy nawet piętnastu lat. Czy on uprawiał z nią seks, agencie Savich?

- Nie myśl o tym, Marilyn. Czy kiedykolwiek słyszałaś, jak miał na imię?

- Moja mama i ciotka Cordie nazywały go Papą. Słyszałam, jak mówił Tammy, żeby mówiła do niego Malcolm, więc chyba nazywał się Malcolm Gilliam. Wiecie co? Właśnie zobaczyłam go oczami wyobraźni. Był przystojny, naprawdę dobrze wyglądał, chociaż był stary.

Pamiętam, że kiedyś, jakieś pół roku później, Tommy i Tammy rozmawiali o nim. Tammy machała mi przed nosem pocztówką, powiedziała, że jest od jej dziadka. Przypomniałam jej, że to także mój dziadek, ale ona roześmiała się i powiedziała, że ja go nie znam tak jak ona. Powiedziała, że przysłał jej tę kartkę aż z Montrealu.

- Skąd wiedział, gdzie oni są, pamiętasz?

- Nie wiem, agencie Savich. Nie mówili o tym.

- Były jakieś inne listy albo kartki?

- Tak, kilka, przychodziły razem z plikami pieniędzy przez jakieś trzy lub cztery lata, a potem przestały.

Savich pochylił się i poklepał ją po ręku.

- Bardzo nam pomogłaś. Dziękuję.

Ponieważ Marilyn była tak dumna ze swego nowego domu, Savich i Sherlock napili się z nią lemoniady i zjedli kilka ciastek. Pokazała im stół, który robiła do kompletu z pięknymi krzesłami. Na do widzenia Marilyn odprowadziła ich do volvo i powiedziała do Savicha:

- Bardzo mi przykro z powodu twojego porsche. Widziałam w telewizji, jak wyleciało w powietrze. Teraz musisz jeździć tym maleństwem.

Savich poklepał ją po policzku i pocałował lekko.

- Jak tylko będę mógł, kupię sobie auto, które ci się naprawdę spodoba.

- To kup jedną z tych nowych corvette, oczywiście czerwoną. Chyba że stać cię na ferrari.

Machali do niej oboje, aż szopa zniknęła im z pola widzenia.

Kiedy wjechali z powrotem na wiejską drogę, Savich powiedział:

- Malcolm Gilliam. Założę się o wszystko, że jedno z rodziców nazywało się Moses albo Grace.

Rozdział 34

Richmond, Wirginia

Sobota po południu

Ruch na drodze był powolny, gdy dojeżdżali do Richmond, ludzie wychylali się z okien samochodów i rozkoszowali łagodniejszą pogodą.

Dix zjechał z autostrady i ruszył przez West Grace Street w stronę posterunku policji.

Jak na sobotę po południu ruch w komisariacie był spory, Dix widział ostatni raz takie zamieszanie w Nowym Jorku. Minęli kobietę, która łkała z twarzą ukrytą w dłoniach, mężczyznę klnącego głośno na oszustwo mechanika i policjanta, który wypisywał protokół obok śmiertelnie przerażonego nastolatka. Dix pomyślał, że powinien był zostawić Roba i Rafe' a w samochodzie z Brewsterem, ale w tej chwili pojawił się detektyw Morales i podszedł do nich z wyciągniętą dłonią. Po prezentacji detektyw zaprowadził ich na drugie piętro. Popatrzył na chłopców i powiedział coś cicho do telefonu komórkowego.

- Popatrz na tę bliźnę - wyszeptał Rafe do brata. - Niezła co? Założę się, że ktoś go postrzelił.”

- Tak, grupa kolumbijskich handlarzy narkotyków ukryła się w magazynie i wdarliśmy się tam siłą - rzucił Morales przez ramię. - A to moja pamiątka. - Przesunął palcami po bladej bliźnie. - Moja żona też uważa, że jest niezła. Ach, Linus, te dwa pistolety to Rob i Rafe Noble. Mam nadzieję, że kiedy ja będę rozmawiał z ich tatą, szeryfem Noble, i agentką specjalną Warnecki ty będziesz mógł oderwać się na chwilę od ścigania rabusiów bankowych i pokażesz im nasze włości.

Oficer Linus Craig nie mógł mieć więcej niż dwadzieścia dwa lata, pomyślała Ruth, ściskając jego mięsistą dłoń. Miał chyba ze dwa metry wzrostu i ważył pewnie ponad sto dwadzieścia kilo. Dałaby sobie rękę uciąć, że grał w szkole w piłkę, na pewno w ataku. Jego złamany nos nie zrósł się do końca prosto i chłopak miał wyjątkowo słodki uśmiech. Wyszczrzył zęby do Roba i Rafe'a, uściśnął im dłonie i nachylił się konspiracyjnie.

- Chłopaki, chcecie zobaczyć pokój okazań? Jest na końcu korytarza, w oddziale dla detektywów. Powieszę wam na szyi numery, zobaczycie, jak to jest. Przy okazji możemy sprawdzić, ile macie wzrostu.

Chłopcy nawet się nie obejrzel. Detektyw Morales, ciemnowłosy i ciemnooki, zbliżający się do pięćdziesiątki, roześmiał się i zaprowadził Dix'a i Ruth do małej sali konferencyjnej na końcu korytarza.

- Sam mam trzech nastolatków. Chcieli, żebym zamknął ich na noc w celi, ale zgodziłem się tylko na okazanie. Przez cały dzień nie mówili o niczym innym. - Otworzył drzwi i poprosił gestem, żeby weszli do środka.

- Ładnie się tu urządziliście - powiedział Dix, przyjmując kubek kawy.

- Ten budynek jest nowiutki, zaczął funkcjonować w dwutysięcznym drugim roku. Żadnego

smrodu komisariatu, oparów wilgoci czy taniego odświeżacza powietrza i „eau de criminal”. Jeszcze nie. To największa zaleta nowych budynków. A zatem pani jest agentką FBI? - nie przerywając, zwrócił się do Ruth. - Jak poznaliście się z szeryfem Noble? Jesteście małżeństwem? To wasze chłopaki?

- Nie, nie jesteśmy małżeństwem - odpowiedział Dix gładko. - Spotkaliśmy się dopiero tydzień temu, kiedy to wszystko się zaczęło, detektywie Morales.

- Mówi mi Cesar.

Dix skinął głową, pochylił się do przodu i położył ręce na stole.

- Ja mam na imię Dix, a to Ruth. To właśnie do niej strzelali Dempsey i Slater w zeszłą sobotę. Dziś rano widzieliśmy się w Waszyngtonie z szefem Ruth i bardzo się cieszę, że dzisiaj pracujesz, że mogę spotkać cię osobiście.

- Oboje dobrze wiemy, jak to jest pracować w weekendy, szeryfie - dodała Ruth. - Diabeł nie śpi.

- Przepraszam, że zająłem czas twojego człowieka opieką nad chłopcami, Cesar. Mieli ciężki tydzień, zmarli ludzie, których znali, nasz dom został ostrzelany. Chciałem im pokazać, że panujemy nad sytuacją, uspokoić ich trochę i nie chciałem zostawiać ich samych.

- Rozumiem - powiedział Morales. - Craig świetnie sobie z nimi poradzi, aja będę mógł spokojnie wam opowiedzieć, co robimy.

- Wspomniałeś, że sprawdzacie informacje, które dostaliście od jakiegoś Eddi'ego Skanky'ego? Detektyw pokiwał głową.

- Tak, poza tym dwójka moich detektywów zajmuje się standardową robotą: karty kredytowe, telefony, konta w bankach. Opierają się na informacjach od dziewczyny Dempseya i jego współników w interesach - czy jakkolwiek by ich nazwać - ale takie gnidy nigdy nic nie powiedzą, chyba że ciąży nad nimi oskarżenie i chcą utargować niższy wyrok.

Eddie Skanky to lokalny łobuz, detektyw Marilyn Honniger przyskrzyniła go już dwa razy. Teraz też go zamknęła za złamanie warunków zwolnienia, a on obiecał, że będzie węszył, byle tylko nie trafić znowu do więzienia. Chyba znał Slatera i Dempseya w więzieniu. Czekamy, aż poda jakieś nazwiska.

- To byłby dobry początek - uznał Dix - ale musimy być pewni, że nie wziął tych nazwisk z gazet tylko po to, żeby uniknąć więzienia.

- Niektórzy ludzie, związani blisko z ofiarami, to wpływowi, szanowani obywatele - wyjaśniła Ruth. - Miejmy nadzieję, że powie nam coś pewnego, inaczej nas wyśmieją.

- Rozumiem - odrzekł Morales. - Słyszałem o wszystkim i wiem, że niektórzy z nich są twoimi krewnymi, szeryfie. Cieszę się, że nie jestem w twojej skórze.

Dix westchnął głęboko, mruknął coś pod nosem i powiedział, patrząc Moralesowi prosto w oczy:

- Tak, z tego może być nie zły bałagan. Modłę się, żeby nikt z rodziny nie był w to zamieszany, głównie ze względu na chłopców. Nie chciałbym mówić im o czymś takim. Ale zajmiemy się tym, jeśli zajdzie taka potrzeba.

Parę minut później wyszli, ciągnąc za sobą Roba i Rafe'a, którzy za nic nie chcieli puścić Craiga. Dix otworzył samochód, w którym Brewster szczekał histerycznie, i wszyscy wsiedli. Ruth poczekała, aż chłopcy zagłębią się w grę komputerową, po czym powiedziała cicho:

- Polubiłam Moralesa. Cieszę się, że przyjechaliśmy go poznać, naprawdę inaczej się pracuje, kiedy pozna się kogoś osobiście. To uczciwy facet. Zdobędzie dla nas to nazwisko, tylko nie wiem,

czy zdąży. - Gdy Dix uniósł brew, wyjaśniła spokojnie: - Do wtorku.

Dix uśmiechnął się, i zerknął na chłopców w tylnym lusterku: - Wciąż nie mogą sobie poradzić z utratą matki - mruknął.

- Mam nadzieję, że mylimy się co do Gordona.

- Tato, mówiłem ci, jak oficer Craig zabrał nas do punktu rejestracyjnego? Pokazał nam nową maszynę do robienia odcisków palców? Jest nowsza niż twoja.

- Pokazał mi, jak wyglądać na prawdziwego twardziela na okazaniu, jak się garbić i stawać na kantach butów.

- Na okazaniu, co? Może następnym razem Craig zamknie was na kilka godzin w celi, żebyście dotrzymywali towarzystwa co bardziej przyzwoitym obywatelom miasta.

Chłopcy gwizdnęli i spokojnie pogrążyli się w grze. Jeśli dziką kakofonię strzałów i katastrof samochodowych można nazwać „spokojną”, pomyślała Ruth.

Dix wyminął starą furgonetkę, skinął głową do farmera, który im pomachał, i pojechał dalej.

Rozdział 35

Waszyngton

Niedziela w nocy

Savich i Sherlock siedzieli w samochodzie na podjeździe przed swoim domem, z włączonym silnikiem i ogrzewaniem. Savich wpatrywał się w laptopa. MAX łączył się przez satelitę z centrum komunikacji w Budynku Hoovera, a na monitorze widniała powiększona mapa Waszyngtonu.

- Co za ironia - odezwała się Sherlock. - Nasi północni sąsiedzi trzymali Malcolma Gilliana w psychiatryku przez dziewięć lat. Gdyby go nie wypuścili, to wszystko nigdy by się nie wydarzyło.

- Wolałbym, żeby siedział w więzieniu niż w szpitalu - powiedział Savich. - Szkoda, że Najwyższy Sąd Kanady zmienił w dziewięćdziesiątym pierwszym przepisy, teraz łatwiej jest uniknąć odpowiedzialności karnej, powołując się na niepoczytalność.

- Ale to nie zmienia faktu, że on brutalnie zabił w Quebecu dwie osoby. I wypuścili go po dziewięciu latach?

Savich wzruszył ramionami i przeciągnął się.

- Jeśli adwokat przekonał ławę przysięgłych, że Moses nie był odpowiedzialny za popełnione czyny, bo w czasie dokonania przestępstwa miał halucynacje i był sterowany z zewnątrz, nie mieli prawa dłużej trzymać go w zamknięciu. I mówmy o okrutnej i nie adekwatnej karze.

- Chyba że udałoby się im udowodnić, że stanowi zagrożenie dla społeczeństwa, On musiał świetnie poznać prawo. - Popatrzyła przez chwilę na ekran i przesunęła mapę na zachód. - Skoro uznali, że Moses nie jest zagrożeniem, nie mogli go monitorować po wypuszczeniu na wolność, prawda?

- Miał pojawiać się co tydzień na spotkaniu grupy wsparcia, ale legalnie miał prawo opuścić szpital, dlatego rozciął bransoletkę z nadajnikiem i dwa lata temu wrócił do Stanów. Dalej nic o nim nie wiemy aż do chwili, w której poznał Claudię i pobił tego bezdomnego osiem miesięcy temu w Birmingham.

- Wiesz, on chyba widzi w Claudii drugą Tammy.

- Prawdopodobnie. Claudia jest w tym samym wieku, I teraz razem wyruszyli po krwawe żniwo. Savich otworzył na ekranie zdjęcia.

- Jeszcze nie widziałaś tego, Sherlock. Zrobiono je na trzy tygodnie przed rozprawą Mosesa.

Nachyliła się, żeby popatrzeć na fotografię dystygowanego mężczyzny w średnim wieku, o gęstych siwych włosach, szczupłej ascetycznej twarzy i rzymskim nosie. Miał na sobie elegancki tweedowy garnitur, w którym wyglądał jak bankier.

- Nigdy bym nie powiedziała, że to Moses Grace - zdziwiła się głośno. - W restauracji wszyscy przyznali, że wyglądał jak stulatek, a nie minęło nawet dwanaście lat, od kiedy zrobiono to zdjęcie.

Savich skinął głową i zaczął masować jej szyję i ramiona, żeby zmniejszyć napięcie.

- Dobrze by było, gdybyśmy mieli zdjęcie z czasów, gdy wyszedł po dziewięciu latach ze szpitala. Wciąż nad tym pracujemy.

Sherlock jeszcze raz przyjrzała się fotografii.

- Od tamtych czasów postarzał się ze trzydzieści lat.

- On jest bardzo chory, Sherlock, i pewnie dlatego tak staro wygląda. Już w szpitalu leczono go na gruźlicę, ale nie dokończono kuracji, bo uciekł. Kiedy opowiedziałem doktorowi Breakerowi o jego symptomach, powiedział, że według niego infekcja doszła do etapu, w którym pojawiają się jamy gruźlicze - w płucach powstają wielkie dziury. Doktor Breaker myśli, że to już końcowe stadium.

- Kiedyś gruźlica była bardziej powszechna, więc pewnie odnowił się wirus, którego złapał w dzieciństwie. Przynajmniej dopadnie go sprawiedliwość.

- Jeśli to satelitarne połączenie z centrum komunikacyjnym się sprawdzi, to sami wymierzmy mu sprawiedliwość - powiedział Savich.

- Mam nadzieję, Dillon, inaczej nigdy się nie wyśpimy.

- Mamy jeszcze trochę czasu do północy. - Savich pociąg-nął żonę na kolana, pocałował ją za uchem i pogłaskał po włosach. - Odpocznij chwilę. Nie minęły nawet dwa dni, odkąd zostałeś ranna.

Popatrzył na zegarek z Myszką Miki.

- Ostatnim razem Moses zadzwonił dokładnie o północy.

Nie będziemy czekać dłużej. Dane i Ben powinni już tu być.

Punktualnie o dwunastej zadzwoniła komórka Savicha. Dillon wyjechał z podjazdu i zaparkował przy krawężniku. Uniósł kciuk do góry i odebrał telefon.

- Hej, Moses, jak leci? Kaszlesz krwią? Jesteś już jedną nogą w grobie, co, staruszk?

Savich go zaskoczył. Zapadła długa cisza.

- No, synku, wiesz, że moja Claudia nie pozwoliłaby na to. Jestem w wystarczająco dobrej formie, żeby się tobą zająć.

Zanim Moses skończył zdanie, na mapie Waszyngtonu pojawił się pulsujący, żółty punkt lokalizujący dzwoniącego. Byli w ruchu. Sherlock powiększyła mapę, skinęła Savichowi głową i wskazała wprost przed siebie. Volvo ruszyło gładko z miejsca.

- Nadal myślisz, że uda ci się mnie zabić? Nie ma szans, staruszk - powiedział Savich.

- Zobaczymy, w końcu teraz wiem, gdzie mieszkasz. - Zarechotał, a Savich usłyszał bulgotanie śliny w ustach starca.

- Chcesz wiedzieć, skąd mam twój adres? Znalazłem u panny Lilly, zanim odpaliłem naszą małą bombę. Claudia uznała, że skoro twoja żonka nam umknęła, to pora zabrać się do roboty i jak najszybciej spróbować jeszcze raz, więc chciałem cię uprzedzić, że nie ukryjecie się już przed nami. Całkiem nieźle mi poszło w piątek wieczór, co?

Sherlock wskazała w lewo na Clement Street i Sherlock gładko skrzył. Dane Carver i Ben Raven siedzieli z tyłu i słuchali przez komórki wiadomości z centrum komunikacji z Budynku Hoovera, po czym przekazywali wszystkim agentom współrzędne lokalizacji Mosesa.

- Zrobiłeś furorę, Moses. Pozdrów ode mnie Claudię, dobrze? To Claudia Smollett z Cleveland w Ohio, prawda? Wygląda ślicznie na fotografii. Jesteś pewien, że chcesz, żebym się z nią spotkał?

Usłyszeli stłumiony, pełen wściekłości głos Mosesa:

- Cholera, Claudia, namierzili cię. Co ja mam z tobą zrobić, skoro ty mnie w ogóle nie słuchasz?

Migający żółty punkt zniknął z mapy. Moses musiał wjechać w martwą strefę, gdzie GPS nie

działał. Na szczęście ku powszechnej uldze wszystkich pasażerów volvo, po chwili kropka pokazała się znowu, tak samo jasna i wyraźna jak przedtem.

- Nie złość się na nią, Moses. Nie tylko ona była taka beztroska. Tak naprawdę nie nazywasz się Moses Grace, prawda? Twój tata miał na imię Moses, a mama Grace. Myślisz, że byliby zadowoleni, gdyby wiedzieli, że zabijasz ludzi, posługując się ich imionami? Wydaje mi się, że byli bardzo miłymi ludźmi.

Moses zaczerpnął gwałtownie powietrza i zaczął kaszleć, aż w końcu udało mu się wykrztusić:

- Proszę, proszę. Zgadywałeś czy nasz harcerzyk odrobił pracę domową?

Sherlock uniosła kciuk i powiedziała bezgłośnie:

- Dwie minuty.

- A może ja będę mówił, kiedy ty krztusisz się własną krwią, Moses? - zaproponował Savich. - Nazywasz się Malcom Gilliam, urodziłeś się w Youngstown w Ohio. Wyrzucili cię ze studiów inżynierskich, potem spędziłeś trochę czasu w Kanadzie. A tak przy okazji, powinieneś popracować nad tą rolą niedouczzonego prostaka.

- Powiesz mi, skąd się tego wszystkiego dowiedziałeś? Savich tylko się roześmiał.

- Nieźle sobie poradziłeś, wsadzili cię do tego szpitala w Kanadzie tylko na dziewięć lat. Jak ci się to udało?

Usłyszał, jak krew i flegma bulgocze w gardle Mosesa.

Starzec przełknął, ale bulgotanie nie ustało.

- No wiesz, chłopcze, zacząłem brać Zenadrin, żeby trochę schudnąć i, niech mnie diabli porwą, jeśli kłamię, zacząłem słyszeć głosy. Okropna sprawa, powiedzieli adwokaci, coś straszego. Ale wyobraź sobie, że ci świętoszkowaci kretyni i tak trzymali mnie na oddziale psychiatrycznym przez dziewięć lat! Dziewięć lat musiałem odgrywać tę rolę i robić wszystko, co mi kazali! Mówię ci, nawet nie wiesz, ile mnie to kosztowało, żeby grać dokładnie tak, jak tego chcieli, i udzielać właściwych odpowiedzi na tych ich idiotycznych testach, ale teraz mam to już za sobą i oto jestem, synku, ja, twój najgorszy koszmar.

- Jedzie na południe - wyszeptała Sherlock. - W tej chwili przeciął Delancy Street i kieruje się do dzielnicy willowej. Jest nie dalej niż sześć przecznic od nas. Dane, Ben, macie go?

- Kto tam z tobą jest, chłopcze? I tak pora już kończyć naszą pogawędkę. Wiem, jak bardzo lubisz namierzać mnie po telefonie, mimo że za każdym razem jestem szybszy.

Savich musiał utrzymać go na linii jeszcze chwilę dłużej.

- To Sherlock, Moses, nie musisz się bać. Przecież jesteśmy starymi przyjaciółmi, skoro jesteś dziadkiem Tammy.

Zaskoczenie Mosesa było niemal namacalne w ciszy, która zapadła. Gdy się odezwał, Savich usłyszał w jego głosie nutkę strachu.

- Skąd, do diabła, o tym wiesz?

- Wiem o tobie wszystko, Malcolm. Ostatnim razem, gdy widziałeś Tammy i Tommy'ego, dałeś im plik banknotów i wyjechałeś do Kanady.

Po długiej chwili ciszy Moses wyszeptał:

- Zamordowałeś mojego biednego Tommy'ego i odstrzeliłeś Tammy rękę. Wie o tym tylko jedna osoba, córka Marvy. Jak ona ma na imię? Marilyn. A ja myślałem, że ona już nie żyje. Nigdy jej nie lubiłem, mała zaryczana suka, ale Tommy lubił mieć ją pod ręką. No cóż, znajdę ją, dam na chwilę Claudii, a potem wytnę jej serce. - Ostatnie słowa zagłuszył atak gwałtownego kaszlu.

Savich popatrzył na Sherlock, która wyszeptała:

- Jest tylko parę przecznic przed nami, jedzie wolno.

- Claudia jest obok ciebie? Słucha naszej rozmowy?

- Moje słoneczko jest tuż obok mnie.

- Pewnie trzyma na kolanach pudełko chusteczek i łapie nimi krew, którą plujesz. Szkoda, że masz gruźlicę, Moses.

- Wysadzę twój dom w powietrze, słyszysz, synku? Wyślę ciebie i twoją żonkę prosto do piekła.

I Moses się rozłączył.

Savich dostrzegł granatową furgonetkę w tym samym momencie, w którym zauważyli ją Dane i Ben. Moses jechał wzdłuż parku Jacksona, niewielkiego skweru obsadzonego klonami, opustoszałego w tę zimową noc. W domach otaczających skwer świeciły się tylko nieliczne światła.

- Jest dokładnie przed nami - wyszeptał Dane do słuchawki.

- Wszyscy mają być cicho. Czekajcie na mój sygnał.

Nagle furgonetka przyspieszyła. Zdali sobie sprawę, że zostali namierzeni, ale było już za późno. O wiele za późno.

- Mam cię, staruszk. - Savich nacisnął na gaz i ruszył prosto na samochód przed nimi. Ben i Dane wychylili się przez okna i zaczęli strzelać w tylne koła furgonetki.

Obie opony wybuchły.

Claudia wychyliła się przez okno pasażera i strzeliła. Furgonetka zjechała z drogi i odbiła się od zaparkowanej toyoty. Moses przeciął chodnik i wjechał do parku, prześlizgując się między dwoma cienkimi klonami. Drzwi się otworzyły i z obu stron wyskoczyli Moses i Claudia, niosąc w rękach coś, co wyglądało jak strzelby AR-15. Pobiegli w przeciwnych kierunkach i ukryli za drzewami.

Wokół parku zaroilo się od samochodów FBI, które hamowały z piskiem opon, zalewając skwer światłem reflektorów.

Savich wyskoczył z volvo, wrzeszcząc: - Na ziemię, wszyscy na ziemię!

Z parku wystrzeliła seria pocisków z broni automatycznej.

Savich usłyszał pomruk i zawołał bez chwili zastanowienia:

- Zestrzelcie ich!

Agenci zaczęli strzelać w stronę parku ze wszystkich kierunków i po chwili Savich usłyszał krzyk Claudii i zobaczył, jak dziewczyna wypuszcza broń z rąk i upada na ziemię, po czym próbuje odczołgać się dalej, trzymając się za bok.

By li wystarczająco blisko, żeby słyszeć kaszel i przekleństwa Mosesa. Na chwilę zapadła cisza, gdy zmieniał magazynek, a potem znowu zaczął strzelać.

W domach dokoła skweru pozapalały się światła tak, że w parku nie było ani jednego cienia. Claudia wrzasnęła i podpełzła do swojej broni. Jeden z saperów wziął ją na muszkę dokładnie w chwili, gdy złapała za strzelbę. Rozległ się huk, głowa dziewczyny eksplodowała, a jej ciało opadło martwe na ziemię.

Nagle strzelanina ucichła, bo Moses przestał strzelać i zniknął z pola widzenia.

Nigdzie nie było po nim śladu.

Savich puścił się biegiem do miejsca, w którym ostatni raz widział Mosesa, zgiętego niemal w pół od kaszlu, strzelającego bez przerwy aż do końca drugiego magazynka.

- Nie strzelać! - krzyknął. Był jakieś sześć stóp od miejsca, w którym stał Moses, ale zobaczył jedynie puste łuski po nabojach. Nagle po lewej stronie usłyszał kaszel i pobiegł w tamtym kierunku.

- Słyszysz cię, Moses! A za sekundę będę cię widział. Nie jesteś tak dobry jak Tammy.

Padł strzał, a po chwili Savich zobaczył Mosesa Grace zgiętego w pół, jęczącego i kaszlącego krwią. Na jego brzuchu rozlewała się wielka plama krwi i nagle z ust trysnęła fontanna posoki. Savich podszedł do mężczyzny i wyjął mu broń z bezwładnej reki.

- Wszyscy cię teraz widzą, Moses. To koniec. Załatwione - krzyknął przez ramię.

Starzec nie przestawał pluć krwią, cały był w niej skąpany.

Zachwiał się i upadł ciężko na ziemię ze wzrokiem wbitym w twarz Savicha.

Jego twarz wykrzywiła się, gdy próbował przemówić, zakrwawiona pierś unosiła się w spazmatycznych oddechach. Savich ukląkł obok niego. Starzec otworzył zalane krwią usta i gdy Savich pochylił się nad nim, próbował go opluć. Ale nie starczyło mu już oddechu. Jeśli nie stracił przytomności, to ostatnią rzeczą, jaką widział w życiu, były twarze dwudziestu agentów FBI, którzy zebrali się wokół mego.

Savich sprawdził puls na szyi i potrząsnął głową. Przez długą chwilę wpatrywał się w leżącą przed nim ruinę człowieka.

Jimmy Maitland uklęknął obok Savicha.

- Nie wiedziałem, że w człowieku jest tyle krwi. Dzięki Bogu, że to już koniec. Odsuń się, Savich, on ma infekcję.

Maitland wstał, Savich też powoli się podniósł. Patrzyli, jak ludzie gratulują sobie nawzajem.

- No dobrze, chłopcy i dziewczęta - zawołał Maitland - zakończmy ten koszmar.

Z oddali słychać było wycie syren.

- Za chwilę będą tu media - powiedział Maitland do Savicha. - Mam nadzieję, że nigdy się nie dowiedzą, w jaki sposób to załatwiłeś. - Poklepał Savicha po plecach.

- Podziałało jak magia, co? - Savich wyszczerzył zęby. Dziesięć minut później Jimmy Maitland patrzył, jak technicy medycyny sądowej ostrożnie zapinają worki z ciałami Mosesa Grace i Claudii Smoliett. Policja otoczyła kordonem cały teren, żeby trzymać gapiów z daleka. Z furgonetek telewizyjnych wyskakiwali mężczyźni i kobiety, uzbrojeni w mikrofony i kamery. Maitland patrzył, jak Savich uściskał Sherlock i pomógł jej wsiąść do samochodu, po czym obszedł auto dokoła i zajął miejsce kierowcy. Wydawało mu się, że agent skrzywił się, przekręcając kluczyk w stacyjce i uśmiechnął się do siebie, a następnie wyprostował ramiona i ruszył stawić czoło mediom.

Rozdział 36

Maestro, Wirginia

Niedziela południe

Chłopcy połknęli pierwszego hamburgera i pieczonego ziemniaka, jeszcze zanim skończyli mówić o pokoju okazań na posterunku policji w Richmond. Dopiero gdy zabrali się do komponowania drugiego hamburgera, Rob zmienił temat:

- Dziś rano łód na stawie był super, tato. Ścigaliśmy się i ja wygrałem. Bez trudu.

- Tylko raz byłeś lepszy ode mnie, Rob - uściśli Rate - i to dlatego, że oszukiwałeś. A reszta dzieciaków miała po dwanaście lat.

- A Pete? On jest ode mnie starszy.

- To kretyn, nie wie, która noga jest która.

Ruth i Dix odchyliłi się na krzesłach i patrzyli, jak chłopcy jednocześnie jedzą i się kłócą.

- Niesamowite jest to, że pamiętam, jak siedziałem tak przy stole z moimi braćmi - powiedział Dix.

Ruth skinęła głową, ale widać było, że myśli o czymś innym. - Odwaliliśmy dziś rano kawał dobrej roboty, Ruth, daj swoim szarym komórkom odpocząć.

- Nie mogę.

- Ruth, jeździsz na łyżwach? - spytał Rob. - Myślisz, że przegonisz mojego brata? Jeśli tak, to będziesz mogła pościgać się ze mną.

- A zwycięzca będzie walczył ze mną, dobrze? - zaproponował Dix.

- Żeby z tobą przegrać, musiałby być upośledzony, tato.

- I ślepy - dodał Rafe.

- Taki jesteś dobry? - zainteresowała się Ruth.

- Wygraj z moimi chłopakami, a zobaczysz.

Ruth uśmiechnęła się i podała chłopcom musztardę.

Dix zauważył, że Rob nie zabrał się od razu do jedzenia, co było dziwne.

- Co się dzieje, Rob?

Chłopiec ostrożnie odłożył widelec na talerz.

- Nie wiem, ale coś jest z tobą nie tak, tato. Wydaje mi się, że jesteś bardzo spięty. Ruth też.

- Chyba masz rację. - Dix domyślał się, dokąd zmierza ta rozmowa.

- Rafe i ja rozmawialiśmy... - Rzucił bratu ostrzegawcze spojrzenie.

- Tak?

- Cóż, może... Nic takiego, tato. Możemy porozmawiać o tym później. - Rob odsunął krzesło, złapał hamburgera i wstał. - Idziemy na sanki. Dzięki za lunch.

- Poczekaj na mnie, Rob!

- Uważajcie na siebie! - krzyknęła za nimi Ruth.

Dix otworzył usta, żeby dowiedzieć się, o co chodziło, ale nic nie powiedział. Chłopcy słuchali plotek i wyobraźnia musiała im podpowiadać różne wyjaśnienia. Rob miał rację, oboje z Ruth byli spięci. Rozmowa z chłopcami mogła poczekać, aż będą do niej przygotowani, a to nastąpi dopiero wtedy, gdy to wszystko się skończy.

- Pewnie winią mnie - powiedziała Ruth, kompletnie go zaskakując. - Łatwo jest pomyśleć, że to wszystko nigdy by się nie zdarzyło, gdybym tu nie przyjechała.

- Jeśli tak myślą, to się mylą i wkrótce to zrozumieją. Są sprawiedliwi i bystrzy. Najlepsze, co możemy dla nich zrobić, to zakończyć tę sprawę najszybciej, jak to możliwe. Wtedy pomożemy im uporać się z tym. Potrzebują trochę czasu.

Zadzwoniła komórka.

- Szeryf Noble.

Ruth obserwowała twarz Dix'a, gdy słuchał.

- Dzwonił Cesar Morales - powiedział po skończonej rozmowie. - Nie zdobył dla nas tego nazwiska.

- Mam ochotę siarczyście zakląć. No dobrze, Dix, nie czaruj. Po co dzwonił?

- Okazało się, że dziewczyna Dempseya wydawała ostatnio mnóstwo gotówki. Przyłapali ją na tym i w końcu przyznała się detektywowi, że Tommy dał jej pięć tysięcy dolarów, żeby przechowała je do powrotu jego i Jackiego.

Serce Ruth zaczęło bić szybciej.

- Czy powiedziała cokolwiek, co mogłoby naprowadzić nas na ślad osoby, która dała Dempseyowi pieniądze?

- Tak jak mówiłem, Cesar nie podał mi żadnego nazwiska.

Ale Tommy powiedział swojej dziewczynie, że tę robotę zleciła im kobieta. - Przerwał i uśmiechnął się szeroko. - A dokładnie powiedział, że będzie robił dla tej szurniętej suki ze szkoły muzycznej w Maestro.

Rozdział 37

Maestro

Niedziela wieczór

Dix zaparkował na podjeździe przed domem Gordona o szóstej. Odpiął pas i obrócił się w stronę Ruth.

- Masz broń?

- Tak.

B.B. wysiadł ze swojego samochodu i wszyscy troje stanęli na trawniku.

- Szeryfie, agentko Warnecki. Ktoś został z chłopcami?

- Poszli do Claussonów na kolację i foosball.

- Masz zamiar go aresztować, szeryfie?

- Zobaczymy, B.B. - Odwrócił się, żeby popatrzeć na dom, i wymamrotał do Ruth:

- Po zniknięciu Christie wszyscy na posterunku zaczęli matkować chłopcom. - Odwrócił się z powrotem do B.B. - Gdzie był dzisiaj po południu?

- Około drugiej pojechał do Tary, potem wrócił tutaj, jakąś godzinę temu. Wyglądano to, że zapalił w domu wszystkie światła.

Rzeczywiście, pomyślał Dix.

- Chciałbym, żebyś został w samochodzie, B.B. Zadzwoń do mnie, jeśli z jakiegoś powodu doktor Holcombe wyjdzie z domu przed nami.

- Zwłaszcza jeśli wybiegnie z dymiącym pistoletem w dłoni - dodała Ruth.

Dix ujął Ruth pod rękę i ruszyli wyłożoną kamieniami ścieżką do frontowych drzwi. Otworzył im Gordon, który w szarym, kaszmirowym golfie i czarnych spodniach wyglądał jak arystokrata. Elegancki i światowy, ale wyczerpany, oczy miał podkrążone i tępe spojrzenie.

On wie, że przyszliśmy po niego, uznał Dix, on wie. Gordon stanął w drzwiach i przyjrzał się im uważnie.

- Witam. Jest niedziela. Czemu zawdzięczam tę przyjemność?

- Chcielibyśmy z tobą porozmawiać, Gordonie. Gordon spojrzał ponad ramieniem Dix'a.

- Widziałem na zewnątrz twojego funkcjonariusza. Mam nadzieję, że jego nie będę musiał gościć.

- Nie, mój człowiek ubezpiecza tyły. Gordon zaprosił ich gestem do środka.

- Jest parę rzeczy, o których musimy z tobą pomówić, Gordonie, na przykład o tym, kto wynajął Tommy'ego Dempseya i Jackie Slatera.

- Kogo? Och, tych ludzi, których zabiłeś w pościgu samochodowym. No dobrze, w takim razie wejdźcie, przecież nie mogę was powstrzymać. - Gordon wskazał ręką w stronę salonu.

Podszedł do barku, wziął butelkę brandy i odwrócił się do nich, unosząc brew.

- Ktoś ma ochotę na drinka?

- Nie, dziękujemy - odpowiedział Dix.

Ruth rozejrzała się po ogromnym salonie, wyłożonym dębową boazerią, z wielkimi oknami i fortepianem stojącym w najdalszym kącie. Na ścianach wisiały pięknie oprawione nuty - Ruth była pewna, że to oryginały podpisane ręką kompozytorów. Mimo rozmiarów salon wydawał się przytulny i elegancki, wypełniony wielkimi skórzanymi meblami w kolorach ziemi. Na kominku płonął jasny ogień.

Gordon nalał sobie solidną porcję brandy, rozlewając trochę na tacę, jakby już wypił za dużo.

- Ma pan pięknego Steinwaya, doktorze Holcombe. Zauważyłam go już, jak byliśmy tu wcześniej.

- Tak, widzieliście wszystko, jak przeszukiwaliście mój dom, prawda? - Podszedł do wielkiego czarnego fortepianu i położył lekko dłoń na klawiszach. - Wiecie, że ten Steinway walczył w bitwie pod Waterloo?

Potrząsnęli głowami, a Gordon westchnął, popijając brandy. - Kogo to obchodzi?

- Chyba jeszcze ci nie mówiliśmy, Gordonie - powiedział

Dix bez wstępów - że wiemy, kto wynajął Dempseya i Slatera. A może już wiesz?

- A skąd miałbym wiedzieć? Powiedz mi, Dix.

- Helen Rafferty.

Ręka mu drgnęła i ze szklanki wylało się jeszcze trochę brandy.

- Helen wynajęła tych dwóch bandytów? Wielkie nieba, ale po co? Żeby zabić agentkę Warnecki? W zeszłą sobotę Helen nawet jej nie знаła! To nie ma sensu, Dix.

- Nie, Helen, nie wynajęła ich żeby zabili Ruth. Wynajęła ich, żeby zamordowali Erin.

- Co ty powiedziałaś? Żeby zamordowali Erin? To jakiś obłąd. Dlaczego Helen miałyby robić coś tak szalonego? Nie, myślałem, że to ten kochaś Marian, Sam Moraga. Słyszałem, że pragnął Erin, a ona go nie chciała. - Nagle zamilkł i wbił wzrok w twarz szeryfa. - Poczekaj chwilę, Dix. To znaczy, że już nie podejrzewacie mnie o zabicie Erin? Myślicie, że jestem niewinny?

- Wiemy, że ich nie wynajęłaś, Gordonie. Przepraszamy cię, że myśleliśmy inaczej.

- Ale wiemy też, że Sam Moraga nie miał nic wspólnego ze śmiercią Erin - dodała Ruth.

- A zatem winicie Helen? Nic z tego nie rozumiem, Dix. - Oparł się ciężko o fortepian.

- Jesteśmy policjantami - powiedział Dix. - Nasza praca polega na zadawaniu pytań tak długo, aż wszystkie części układanki będą do siebie pasować. I przez chwilę te części układały się w twój wizerunek, ale w końcu okazało się, że nie mogłeś zabić ani Erin, ani Walta. Tak naprawdę, Gordonie, uważamy, że bardzo kochałeś Erin.

- Tak, oczywiście, że kochałem, Dix. Była pełna światła i miłości. - Przez chwilę obawiali się, że Gordon wybuchnie łzami, ale wziął się w garść i zrobił pogardliwą minę. - A zatem ruszacie w dół listy. Bardzo dobrze. Powiedzcie mi, co, waszym zdaniem, Helen miała z tym wspólnego.

- Ruth i ja przez całe popołudnie przeglądaliśmy wyciągi bankowe Helen. Okazało się, że w ostatnich trzech tygodniach dokonała trzech dużych wypłat gotówki. Przejrzeliśmy też billingi telefoniczne. Dwa razy dzwoniła do Richmond, na numer Tommy'ego Dempseya, a w zeszły czwartek on telefonował do niej. Helen może była dobrą sekretarką, ale kiepską przestępczynią. Zostawiła mnóstwo śladów.

- Wynajęła tych ludzi, żeby zamordowali moją Erin? Ale to nie może być prawda, Dix. Ona zawsze mnie wspierała, pomagała mi. Myślę, że mnie kochała. Dlaczego miałyby robić coś takiego?

- Nie tak trudno odpowiedzieć na to pytanie, prawda, Gordonie? - odezwała się Ruth. - Helen zobaczyła, że Erin Bushnell nie była taka jak inne studentki, z którymi romansowałaś. Zdała sobie

sprawę, że Erin jest pierwszą kobietą, którą naprawdę pokochałeś, która będzie mogła zostać z tobą dłużej, a nie tylko do zrobienia dyplomu. Helen pogodziła się z faktem, że zostawiłeś ją przez swoją - jak to nazywała - słabostkę, potrzebowałeś stymulacji, a nawet inspiracji, którą czerpałeś od tych młodych utalentowanych kobiet. Helen mogła je zaakceptować, bo pojawiały się w twoim życiu tylko na chwilę, jedynie ona była na stałe.

- Ale wtedy spotkałeś Erin i wszystko się zmieniło. Gordon wychylił jednym łykiem resztę brandy, zakaszłał i otarł załzawione oczy.

- Zrobiłbym dla Erin wszystko. Wszystko.

- Wiemy i Helen też o tym wiedziała. Nie mogła z tym żyć.

Coś w niej pękło.

- Wciąż nie mogę w to uwierzyć. Jak ktoś taki jak Helen mógł znaleźć dwóch przestępców?

- Dzwoniliśmy do brata Helen, Dave'a Rafferty - powiedziała Ruth. - Pytaliśmy, czy Helen kiedykolwiek wspominała o którymś z tych mężczyzn. On uczy w liceum, przypomniał sobie, że miał w klasie młodszego brata Dempseya. Był trudnym dzieckiem, a jego starszy brat prawie nie wychodził z więzienia. Dave pomyślał, że pewnie opowiadał o nim Helen, więc znalazła starszego Dempseya bez trudu.

- Uważamy - ciągnął Dix - że to Helen wskazała im Jaskinię Winkela jako dobre miejsce na ukrycie ciała Erin, inaczej nie mogli się o niej dowiedzieć. Czy ty albo Chappy zabieraliście tam kiedyś Helen?

- Nie pamiętam. Może Chappy ją tam zabrał, ja nigdy nie lubiłem tej jaskini, nawet jak byliśmy mali, to było miejsce Chappy'ego, nie moje.

- Helen wiedziała o wejściu, znała wnętrze jaskini, ale uważamy, że oni sami wymyślili, w jaki sposób zabić Erin. Wiedziałeś, że użyli środka halucynogennego, żeby ją obezwładnić, a po śmierci zabalsamowali ją i upozowali? Wiedziałeś o tym, Gordonie?

Doktor Holcombe wyglądał tak, jakby miał za chwilę zemdleć.

- Zabalsamowali? Tak jak w domu pogrzebowym? Ruth skinęła głową.

- Dokładnie tak. Wiemy, że ojczym Dempseya pracował w zakładzie pogrzebowym. Dempsey musiał tam bywać, widział, jak to się robi, i postanowił zagmatwać sprawę. Zabalsamowali ją ze Slaterem, a potem na wszelki wypadek upozorowali, żeby morderstwo wyglądało na rytualne, a nie na zabójstwo na zlecenie. I to im się wyjątkowo udało, odwrócili naszą uwagę. Uznaliśmy, że Erin Bushnell padła ofiarą rytualnego seryjnego mordercy i spędziliśmy sporo czasu, szukając innych ofiar, między innymi wśród twoich byłych kochanek, ale ponieważ wszystkie były całe i zdrowe, doszliśmy do wniosku, że raczej nie jesteś maniakałnym mordercą.

Twarz Gordona zrobiła się biała jak papier.

- Uwierzycie, że byłbym zdolny do czegoś takiego? Że mógłbym mordować młode kobiety?

- To wydawało się prawdopodobne - odpowiedziała Ruth.

- Ale teraz wiemy, że tak nie było.

- Dempsey i Slater całkiem dobrze zatarli za sobą ślady.

Wykazali się sporym sprytem, dopóki nie zaczęli polować na Ruth.

Gordon usiadł na stołku przy fortepianie i popatrzył na agentkę. - Jak ci się udało uciec przed nimi w tej jaskini?

- To dobre pytanie. Jestem pewna, że gdyby zdali sobie sprawę, że tam jestem, zabiliby mnie. Zamordowali Waha, więc nie ma co się łudzić, że mnie by oszczędzili. Uważamy, że gdy

nawdychałam się albo dotknęłam narkotyku, który podali Erin, upadłam i uderzyłam się w głowę. Jednak musiałam zachować na tyle przytomności, żeby wydostać się niezauważona z jaskini, może już po ich wyjściu. I pewnie bąkałam się po lesie, aż zemdlałam niedaleko domu Dix.

- Ale to co najmniej cztery, pięć mil od Jaskini Winkela. Ruth wzruszyła ramionami.

- Ani ja, ani Dix nie potrafimy inaczej wytłumaczyć, w jaki sposób znalazłam się koło jego domu.

- Ona jest w doskonałej formie - dodał Dix. - Nawet chora i z halucynacjami mogła godzinami tulać się po lesie. Doszliśmy do wniosku, że Dempsey i Slater powiedzieli Helen o znalezieniu samochodu Ruth z jej portfelem w środku, z którego dowiedzieli się, że mają do czynienia z agentką FBI. Założę się, że to nieźle nimi wstrząsnęło, bo pewnie byli przekonani, że ona wiedziała, co zrobili. Musieli szukać jej godzinami.

Helen zapewne skontaktowała się z nimi, kiedy dowiedziała się, że znalazłem w lesie nieprzytomną kobietę, która nic nie pamięta. Tak naprawdę musieli nie mieć wyboru, skoro zaryzykowali próbę zabicia Ruth w moim domu. Nie wzięli po uwagę, że sami mogą zginąć.

Gordon potrząsnął głową.

- Wciąż nie mogę uwierzyć, że ktoś tak oddany i ciepły jak moja Helen mógł wynająć ludzi pokroju Dempseya i Slatera. Nie, myślę, że to wszystko jest fortem, żeby schwytać mnie w pułapkę. Pewnie uważacie, że to ja ich wynająłem, może z pomocą Chappy'ego, on zna tylu ludzi w Richmond. Tak właśnie sądzicie, prawda?

- Och, nie, Gordonie, to ty odgrywasz przed nami komedię - powiedział Dix. - Wierzysz, że Helen to zrobiła, bo zadzwoniła do ciebie w środę wieczorem i do wszystkiego się przyznała. I dlatego ją udusiłeś.

- To obraźliwe i niedorzeczne! Spytajcie, kogo chcecie, musiałem wołać Helen, żeby zabijała muchy w moim gabinecie! Nie mógłbym nikogo zamordować.

- Wiemy, że Helen dzwoniła do ciebie w środę wieczorem - odezwała się Ruth. - Sprawdziliśmy to w billingach. Pewnie opowiedziała ci o wszystkim, gdy do niej przyjechałeś. Żałowała tego, co zrobiła, płakała, Gordonie? Miała wyrzuty sumienia, że spowodowała tyle bólu i cierpienia? Chciała powiedzieć wszystkim i zrujnować ci życie? Zabiłaś ją w napadzie wściekłości, z zemsty czy też z zimną krwią? Ja stawiam na zimną krew, bo udusiłeś ją, gdy spała, nie mogła cię zobaczyć i była zupełnie bezbronna. Chciałeś chronić swoją reputację i wygodną posadkę?

Gordon walnął pięścią w klawisze.

- Nie będę z wami więcej rozmawiał na ten temat! Oskarżyliście mnie o zamordowanie Erin, śledziliście bez przerwy, przeszukaliście mój dom, biuro, nawet pocztę internetową, na litość boską! I nic nie znaleźliście! Przez cały czas z wami współpracowałem. A teraz, po tym wszystkim, macie czelność przychodzić do mojego domu i oskarżać mnie o zamordowanie Helen. Nie macie żadnych dowodów!

To by było na tyle, jeśli chodzi o dobrowolne przyznanie się do winy, pomyślał Dix.

Ale Gordon jeszcze nie skończył.

- Co do jednego masz rację, Dix. Jeśli to, co mówicie o Helen, jest prawdą, to już nic mi nie zostało. Wszystko wyjdzie na jaw. Nie będę miał już nic: ani Erin, ani reputacji, ani kariery, ani dobrego imienia. To tylko kwestia czasu, zanim rada nadzorcza Stanislausa bardzo uprzejmie poprosi mnie o złożenie rezygnacji. Możesz sobie wyobrazić, jaką radość sprawi to Chappy'emu? Oczywiście, że możesz. Zrujnowałeś mi życie, Dix, zrujnowałeś!

Gordon wyciągnął ręce przed siebie.

- Proszę, aresztuj mnie i postaw w stan oskarżenia. Wiesz, że żaden sąd mnie nie skąże, bo nie zabiłem Helen, dlatego ty nie masz żadnego dowodu, że to zrobiłem. Myślisz, że jestem głupi i słaby, inaczej w ogóle byś tu nie przychodził. Niech szlag trafi was oboje! Wynoście się z mojego domu! I nie wracajcie, chyba że z nakazem aresztowania.

Wyglądał tak, jakby wykrzyczał z siebie wszystkie siły.

Wyczerpany pochylił się do przodu i wyszeptał, nawet na nich nie patrząc:

- Proszę, wyjdźcie. Chcę zostać sam, żeby opłakiwać Erin, Walta i Helen. Jestem taki zmęczony. Chcę się położyć.

Rozdział 38

Tara

Maestro, Wirginia

Poniedziałek rano

Ruth i Dix siedzieli na przeciwko Tony'ego i Cynthii, Chappy rozparł się na swoim wielkim krześle i bębnił palcami w stół.

Dix popatrzył po członkach rodziny Christie, nienaturalnie dzisiaj cichych. Chyba nigdy nie przebywał w ich towarzystwie, gdy nie ubliżali lub nie narzekali na siebie nawzajem. Siedział bez słowa, tak jak Ruth, uderzał stopą o podłogę i czekał, aż któreś z nich powie coś o Gordonie. Oczywiście, że o wszystkim wiedzieli. Wieści rozeszły się błyskawicznie po całym Maestro.

Ale nikt nie odezwał się ani słowem, aż w końcu Dix powiedział:

- No to które z was mi powie, dokąd pojechał Gordon? Chappy wzruszył ramionami.

- Nie mam pojęcia, dlaczego uważasz, że ktoś z nas mógłby to wiedzieć, Dix. - Odchylił się do tyłu i splótł dłonie na brzuchu, po czym roześmiał się, potrząsając głową. - To stary Twister zniknął w przestworzach? Dziś rano dzwonił do mnie Milt z poczty, mówił, że twoi ludzie chodzą od drzwi do drzwi i próbują go znaleźć, ale Twister ulotnił się jak duch. Jak mogłeś na to pozwolić, Dix? Nie pilnował go żaden detektyw?

- Wiemy, że Gordon pojechał taksówką do dzielnicy willowej w Elderville, ale nikt go tam nie widział ani nie zna. Ktoś inny musiał go stamtąd zabrać.

- I powiedziałałabym, że dobrze dla niego. - Cynthia uniosła w geście toastu resztkę muffinki.

- Wuj Gordon mógł jechać, dokąd chciał, Dix. Nie macie przeciw niemu żadnych dowodów, prawda? - upewnił się Tony. Pochylił się do przodu, kładąc zadbane dłonie na stole. - Kogo to obchodzi, że wyjechał? Nawet jeśli dowiedzie się, gdzie jest, i tak nie możecie sprowadzić go z powrotem.

- Wyjechał, bo tutaj już nic mu nie zostało - powiedziała Cynthia. - Jest zrujnowany. Nie potrafił stawić czoła upokorzeniu, więc zniknął.

- To bardzo eleganckie wytłumaczenie, Cynthio, ale prawda jest taka, że Gordon był tak samo kiepskim przestępcą jak Helen. Dobrze wie, że zostawił za sobą ślady, i dlatego uciekł, kiedy jeszcze mógł.

Znowu zapadła cisza. Nikt nie patrzył Dixowi w oczy. Szeryf popatrzył na Tony'ego.

- Dziwne, że nie powiedziałaś mi o zamknięciu wszystkich rachunków Gordona. Chyba mu nie pomogłeś, co, Tony? Nie mogę sobie wyobrazić, żeby Chappy maczał w tym palce.

- Wypłacenie klientowi jego własnych pieniędzy nie jest sprzeczne z prawem - powiedział Tony.

Dix przyjrzał się każdemu z nich po kolei, zastanawiając się, czy są jakieś słowa, którymi mógłby ich przekonać. Poważnie w to wątpił. Po raz pierwszy, zamiast walczyć przeciwko sobie, utworzyli

wspólny front. Ale i tak postanowił spróbować.

- Wiem, że Gordon nie miałby wystarczającej wiedzy ani środków, żeby zaplanować coś takiego. Chappy zarechotał.

- Najwidoczniej stary Twister miał głęboko ukryty talent. Kto by pomyślał, że go stać na coś takiego?

- A kogo to obchodzi, jeśli nawet ktoś pomógł mu zorganizować transport, pieniądze, dokumenty czy cokolwiek, Dix? - spytał Tony. - To nie jest sprzeczne z prawem.

- Może ja pomogłem Twisterowi. - Chappy wyszczerzył zęby w uśmiechu.

Dix potrząsnął głową.

- Akurat ciebie nigdy bym o to nie podejrzewał. Nie możecie przebywać z Gordonem w tym samym pokoju, nie rozrywając się na strzępy. Nie sądzę, żebyś zrobił dla niego cokolwiek poza wizytą w więzieniu z porcją żartów o pilniku ukrytym w cieście.

Chappy wstał powoli i pogroził Dixowi palcem.

- Zwariowałaś, Dix? Gordon i ja jesteśmy braćmi. Po prostu lubimy sobie pożartować.

- Wiesz, gdzie on jest, prawda, Chappy? - spytała Ruth.

- Stary głupiec bredził coś o samobójstwie. Nie zamierzałem pozwolić na to własnemu bratu, nie po tym, jak straciliśmy Christie, Dix. I na pewno nie spędzi ostatnich lat swojego życia, gnijąc w więzieniu. Chyba że możecie udowodnić, co zrobił i, oczywiście, znaleźć go. Rzecz jasna ja nie mam pojęcia, gdzie on jest, agentko Ruth.

- Rozumiem, że na razie Gordon nie będzie nas odwiedzał - podsumował Dix. - Jeśli wpadnie z wizytą, będziemy musieli zawiadomić Wydział Sprawiedliwości o fałszywym paszporcie, prawda?

Dix i Ruth wstali.

- Chappy, nigdy nie przestaniesz mnie zaskakiwać. Chciałbym niedługo wpaść do ciebie z chłopcami, to był dla nich trudny okres. Miałbyś coś przeciwko temu?

Oczywiście, że nie, Dix. Będzie mi bardzo miło.

Rozdział 39

Hotel Greyhaven
Great Bear Road
Maestro, Wirginia

Poniedziałek, wczesne popołudnie

- Przepraszamy za spóźnienie, ale mieliśmy małe spotkanie z Chappym, Tonym i Cynthią. Sherlock uśmiechnęła się na powitanie, a Savich uściskał Ruth i potrząsnął dłonią Dix.

- Najwyraźniej przydało się wam trochę snu - zauważył szeryf. - Mieliście ciężką noc.

- To prawda, ale spaliśmy trochę rano - odparł Savich.

- W każdym razie dopóki Sean nie wskoczył na łóżko i nie rozpoczął tańca wojennego - dodała Sherlock.

Gdy usiedli i złożyli zamówienie, Dix rozejrzał się po wielkiej sali z ogromnym, kamiennym kominkiem na przeciwległej ścianie i belkowanym sufitem.

- Ta restauracja to jedna z najlepiej strzeżonych tajemnic w Maestro. Poczekaj, aż spróbujesz wegetariańskiego minestrone, Dillon. - Uniósł filiżankę kawy. - Za rozwiązanie wszystkich problemów w Maestro.

Ruth uśmiechnęła się szeroko.

- Rozwiązaliśmy je, Dix, więc się rozchmurz.

Savich rozsiadł się wygodnie na krześle i popatrzył na nich oboje.

- No dobrze, opowiedzcie nam o tym spotkaniu w Tarze.

- Mówiłem wam już, jak bardzo byłem zaskoczony, że Gordon tak się postawił. Naprawdę miałem nadzieję, że uda nam się go złamać, ale nic z tego.

Ruth westchnęła.

- Liczyliśmy, że się przyzna, i dla większego efektu zrzuciliśmy na niego wszystko naraz.

- To było widać w jego oczach, kiedy powiedzieliśmy mu, że Helen była odpowiedzialna za śmierć Erin i Walta. Wiedział, Helen musiała mu się przyznać.

- Wiesz, Dix, teraz myślę, że to Chappy poinstruował go, jak ma się wobec nas zachować - powiedziała Ruth. - Gordon nigdy nie wydawał mi się aż tak silny. - Wzruszyła ramionami. - To robota Chappy'ego. I bardzo możliwe, że Chappy zrobił coś więcej niż tylko pomoc przy ucieczce z miasta.

- Nie zdziwiłbym się, gdyby Chappy zniszczył dowody, jeśli jakieś istniały - przyznał Dix.

- Przypisujesz Chappy'emu spore zasługi, Ruth - zauważył Savich.

- Chcę tylko powiedzieć, że Chappy pomógł bratu, i to nie tylko w ucieczce.

- Zresztą nie tylko on - dodał Dix. - Kiedy rano byliśmy w Tarze, okazało się, że wszyscy są w to zamieszani.

Wyjaśnił dokładnie, co miał na myśli, i pomachał marchewką w stronę Ruth.

- I dlatego nasza agentka FBI jest przekonana, że to Chappy zorganizował wielką ucieczkę G,Orдона. Będziemy cierpliwi, ale jeśli o mnie chodzi, to dopóki nie mamy żadnych dowodów, Gordon może nie wracać.

Savich pomyślał, że Dix w ogóle nie chce, żeby Gordon wracał, bez względu na to, czy znajdą się jakieś dowody czy nie.

Podano lunch i rozmowa zeszała na chłopców. Przy deserze złożonym z ciepłej szarlotki Ruth powiedziała:

- No dobrze, powiedzcie, jak udało się wam namierzyć Mosesa Grace i Claudię.

Sherlock popatrzyła na męża.

- Hm, sprawa wygląda tak. To, co zrobił Dillon, nie jest do końca zgodne z prawem i staramy się to trzymać w ścisłej tajemnicy, więc uznajcie się za uprzywilejowanych.

Dix uniósł brwi.

- Co ty zrobiłeś, Savich? Możecie liczyć na moją dyskrecję, jeśli to ma pozostać między nami.

Savich skinął głową i odłożył widelczyk na talerz.

- Wiecie, że kiedy ktoś dzwoni pod dziewięćset jedenaście, dyspozytor niemal natychmiast widzi numer i lokalizację dzwoniącego, bez względu na operatora sieci. Zaprogramowaliśmy anteny w Waszyngtonie tak, żeby wszystkie telefony na moją komórkę były odbierane też w Budynku Hoovera jako telefony pod dziewięćset jedenaście. Przymocowaliśmy MAX - a do tablicy rozdzielczej i czekaliśmy na telefon od Mosesa. Kiedy zadzwonił, ujrzeliśmy na ekranie śliczny żółty punkcik, który pokazywał nam dokładnie lokalizację Mosesa.

Przeprogramowanie anten nie było trudne, ale ciężko nam było zdobyć zgodę operatorów sieci komórkowych. Pomógł nam sam Moses, bo po podłożeniu bomby w Bonhomie Club stał się terrorystą stanowiącym zagrożenie publiczne i bardzo ważni ludzie chcieli go jak najszybciej powstrzymać.

- Czyli, że każdy, kto dzwonił pod twój numer, był nagrywany i lokalizowany przez FBI. Czy to legalne?

- Zwykle nie. - Savich uśmiechnął się i zatopił zęby w szarlotce.

Rozdział 40

Jaskinia Winkela

Poniedziałek po południu

Tym razem weszli do jaskini bez wahania i trzymając się prawej strony, ruszyli w dół cały czas świadomi głębokiego uskoku po lewej.

Ruth weszła do pieczary, gdzie znaleźli ciało Erin Bushnell, i poświeciła wokół latarką.

- Jak dobrze, że to miejsce już mnie nie przeraża. Teraz jest tu wręcz miło.

- Jest miło, ale wciąż pachnie jak miejsce zbrodni - powiedział Dix. - No dobrze, Ruth, nie chciałaś mi nic powiedzieć, dopóki nie znajdziemy się w jaskini. Możesz mi teraz wyjaśnić, co tu robimy?

- Szukamy skarbów, Dix. Przyszliśmy po złoto konfederatów. Wciąż myślę o tej mapie, według niej skarb został ukryty pod wnęką. Kiedy zobaczyłam tę pieczarę i zdałam sobie sprawę, że pod nami też jest jaskinia, zaczęłam się zastanawiać, czy mapa nie mówiła dosłownie. Może żołnierze znaleźli niżej jakąś wnękę lub jamę i tam zakopali złoto.

- Dlaczego mieliby robić sobie aż tyle kłopotu?

Podeszła do głębokiej wnęki, uklękła, wyjęła kilof i zaczęła dziobać ziemię.

- Nie chcieli, żeby ktokolwiek znalazł złoto - powiedziała przez ramię - nawet jeśli trafiłby do jaskini. Dlatego mapa nie była skończona.

Dix stał za nią bez słowa i patrzył.

Oboje to usłyszeli: uderzenie kilofa nie o kamień, lecz o drewno. Ruth podniosła wzrok, a jej uśmiech rozświetlił mroczną pieczarę.

- Czy to nie fantastyczne?

Zaczęła kopać kilofem, a Dix uklękł obok niej i wygrzebywał zruszoną ziemię. Po chwili poczuli pod palcami przegniłe deski i wkrótce odsłoniли spory drewniany kwadrat.

Gdy Dix wyciągnął ostatnią deskę, Ruth położyła się na brzuchu i zaświeciła latarką w głąb dziury.

- Zastanawiałam się, jak oni to zrobili, ale teraz już wiem. Zabili deskami naturalne przejście, jak dziurę w niskich piwnicach w domkach jednorodzinnych. Ten otwór nie ma więcej niż pięć stóp głębokości. - Skoczyła na równe nogi i wytarła dłonie o dzinsy. - Schodzimy na dół, partnerze.

Zeszli niżej i oświetlili latarkami niewielką pieczarę.

- Spójrz - powiedziała Ruth. - To wąskie przejście pewnie prowadzi do podziemnej rzeki i tego klifu przy wejściu.

- Podłoże musi się bardzo szybko podnosić. Założę się, że na końcu przejście ma nie więcej niż trzy stopy.

- Wszystko bardzo pięknie, ale gdzie jest moje złoto?

- Nie sądzę, żeby żołnierze zostawili sztabki na wierzchu, skoro zadali sobie tyle trudu, żeby je tu ukryć i zakryć tę dziurę w suficie.

Parę minut później palce Dix'a natrafiły na coś twardego na zachodniej ścianie pieczary.

- Coś tu jest, Ruth - zawołał, czując wzrastające podniecenie.

Szybko odsłoniли jeszcze więcej desek. Dix popatrzył na Ruth i uniósł brew. Skinęła głową i wbiła kilof w drewno. Deski wypadły na drugą stronę

Dix pochylił się nad jej ramieniem i zaświecił do środka latarką.

- Och kurczę! - Ruth wpełzła do wnęki zbyt małej, by w niej stanąć, i położyła latarkę na podłożu. Uklękła obok niskiego stosu czegoś, co wyglądało jak pokryte kurzem cegły. Przesunęła po nich rękawem. Oboje z Dixem wpatrzyli się w sześć rzędów sztabek złota, po cztery w każdym, ułożone wieki temu przez konfederackich żołnierzy. Obok złota leżał bardzo stary skórzany tornister.

Ruth dotknęła złota, ale jej wzrok powędrował do tornistra.

Wyciągnęła go delikatnie i ostrożnie odpięła. W środku był mały, wiązany notes w skórzanych okładkach.

- To nie jest pamiętnik, nie ma żadnych stron. W środku jest z tuzin listów. - Przesunęła palcem po złożonych kartkach i jedną z nich rozłożyła. - To kobiece pismo. Nazywała się Missy i pisała do męża. - Popatrzyła na Dix'a. - On musiał być jednym z żołnierzy, którzy ukradli złoto.

Wkrótce oboje siedzieli po turecku na podłodze i zapomniawszy kompletnie o złocie, przeglądali listy.

- Wszystkie są do porucznika Charlesa Breackena. Poczekaj chwilę, ten nie. - Rozłożyła ostatni list. - To od niego. Nie zdążył go wysłać. Ciekawe, dlaczego zostawił go tutaj?

Przeczytała:

„Dziś było bardzo gorąco, a jedyne ubrania mamy z wełny.

Zbliża się bitwa, wszyscy wiedzą, że nadchodzi, ale nikt nie chce o tym mówić. Nie wiem, kiedy Cię znowu zobaczę, Missy, może w przyszłym miesiącu. Cieszę się, że rodzice pomagają Ci przy gospodarstwie. Czy Twój ojciec wciąż za dużo pije?

Strzeżemy czegoś wartościowego, co udało nam się ukraść konfederatom, którzy wieźli to do generała Lee w Richmond. Szukają nas, ale my zrobimy wszystko, co w naszej mocy, żeby to chronić. Elias znalazł schronienie w jaskini i piszę ten list przy świetle świecy głęboko pod ziemią. Jeśli nam się uda, moja kochana Missy, oddamy Unii ogromną przysługę. Być może kiedy się spotkamy, będę kapitanem Charlesem Breackinem.

Muszę już kończyć. Elias właśnie przyszedł, powiedział, że rebelianci są coraz bliżej. Wzywają mnie. Ucałuj naszą córkę Twój kochający mąż Charles”

- Był żołnierzem Unii, oficerem - wyszeptała Ruth.

- I nigdy nie wrócił do domu, do żony i córki. Zmarł.

- Wszyscy zginęli, ale nie oddali złota. Zastanawiam się, w jaki sposób ta mapa znalazła się w starej książce? Dlaczego Charles zostawił tu swój tornister? Musiał dużo dla niego znaczyć.

- Może zginął tutaj, zaraz przy wejściu obok wzgórza Lone Tree.

Dix przytulił Ruth do siebie.

- Świetna robota, Ruth. Udało ci się. Pan Weaver będzie bardzo szczęśliwy. Jesteś bardzo mądra, wiesz o tym?

Ruth pocałowała go w odpowiedzi.

Spotkanie Służb Wywiadowczych

Biały Dom

Wtorek rano

Dyrektor wywiadu zagrzechotał kostkami lodu w szklance, niezawodny znak, że był z czegoś zadowolony.

- Jeżeli chodzi o punkt szósty, panie prezydencie, operacja bezprzewodowej komunikacji FBI została przeprowadzona bez żadnych zakłóceń na linii alarmowej numeru dziewięćset jedenaście. Jedyne agent FBI ranny w czasie strzelaniny nie będzie miał żadnego uszczerbku na zdrowiu.

Prezydent odchylił się w skórzanym fotelu i złączył palce w wieżyczkę.

- Operacja pozostała tajna? Nie będzie żadnych pytań o przekraczanie kompetencji?

- Nie będzie, panie prezydencie.

- John, chciałbym, żebyś napisał list z pochwałą dla agenta specjalnego Dillona Savicha za raport i doskonałą realizację planu. Podpisz swoim nazwiskiem.

- Oczywiście, panie prezydencie. Jeśli chodzi o punkt siódmy, prośbę o nowe obliczenia na granicy w Afganistanie...

EPILOG

Następne lato

Ruth Wamecki zapukała do drzwi małego domu w Midlothian w Wirginii. Po chwili otworzyła Linda Massey z dwoma małymi chłopcami uczepionymi nogawek džinsów i niemowlęciem na ręku.

- Mam nadzieję, że nie sprzedaje pani encyklopedii - powiedziała do Ruth z uśmiechem. - Ta załoga jest jeszcze trochę za mała, a nikt inny nie ma czasu na czytanie.

- Nie, niczego nie sprzedaję - odpowiedziała Ruth. - Ale chciałabym opowiedzieć pani historię o pani rodzinie, jeszcze z czasów wojny secesyjnej. Myślę, że to panią zainteresuje.

Linda Massey, najbliższa żyjąca krewna porucznika Charlesa Breackena, właśnie stała się bogatsza o pięćset tysięcy dolarów.

Ruth wyszła godzinę później i czuła się tak wspaniale, że na pożegnanie strzeliła obcasami. Pomachała do Dixy, który czekał na nią, opierając się o range rovera. Uśmiechnęła się do niego szeroko i uniosła kciuk.